

LORNA LANDVIK

**Wielka
tajemnica**



LORNA LANDVIK

Wielka tajemnica

Z angielskiego przełożyła
Bożena Krzyżanowska



LIBROS

•

*Dla moich braci,
Wendela i Lanny 'ego,
a także ku pamięci Grega*

Podziękowania

Pragnę podziękować Leonie Nevler za jej troskę i pasję. Bardzo się cieszę, że to właśnie ona jest moim redaktorem, a Ballantine - wydawcą. Dziękuję również mojej wciąż przemierzającej świat agentce, Betsy Nolan, oraz Jenny Alperen z jej biura, przysyłającej mi wiele wiadomości pocztą elektroniczną.

Jestem również wdzięczna Loft and the McKnight Foundation za wsparcie i czeki - w takim samym stopniu za jedno, jak i drugie.

Podziękowania należą się też wszystkim czytelnikom, którzy znaleźli czas, żeby do mnie napisać. Wasze listy sprawiły mi ogromną radość.

Chciałabym również wyrazić wdzięczność przyjaciołom i członkom rodziny. Cieszę się, że Was mam. Jak zawsze dziękuję za wszystko Harleigh i Kindze, a także Chuckowi -jesteś prawdziwym mężczyzną.

1

No więc w porządku, jestem diwą. Zdarzają się gorsze przy--dki, na przykład seryjni mordercy, bigoci, adwokaci udzielający porad przez telefon.

Dziwi mnie, że moja siostra traktuje to słowo jak obelgę. Dlaczego miałabym obrażać się o prawdę? W słowniku znalazłam wyjaśnienie, że diwa to „wybitna śpiewaczka”. Bez wątplenia nią jestem. Jednak pod tym hasłem znajduje się też odsyłacz do „primadonny”, określanej jako „osoba kapryśna, uważająca, że wszyscy powinni zasypywać ją pochlebstwami i traktować w sposób wyjątkowy, źle znosząca słowa krytyki i wszelkie niewygody”.

No cóż, mogłabym spytać: kto lubi krytykę czy niewygody? Zresztą dlaczego miałabym rezygnować z przywilejów, które przecież mi się należą? Trochę poczucia własnej wartości nikomu jeszcze nie zaszkodziło. Na przykład bardzo przydałoby się Ann.

Przez całe życie słyszałam pytanie: „Naprawdę jesteście bliźniaczkami?” Doskonale rozumiem tę wątpliwość - Ann i ja różnimy się od siebie jak dzień i noc. Kiedyś w jakimś wywiadzie Ann rozwinęła tę analogię, uznając mnie za noc - ciemną, pełną dramatyzmu, z gwiazdami za pan brat, a siebie opisując jako osobę bladą i nieciekawą, niemal tak podniecającą jak poobiednia drzemka.

Widocznie musimy być bliźniaczkami dwujajowymi, ponieważ obca nam jest owa przerażająca percepcja pozazmysłowa i normalne u bliźniąt jednojajowych poczucie, że stanowią dwie połówki jednej całości. Gdyby nasza mama nie była taka

gorliwa w produkcji jajeczek, Ann i ja bardziej przypominałybyśmy siostry, między którymi jest kilka lat różnicy. Byłyśmy sobie bardzo bliskie. Dzieliłyśmy wszystko, od ospy wietrznej poczynając, a na ubraniach i wielkich sekretach kończąc, ale gdy patrzę na Ann, nie widzę w niej swojego lustzanego odbicia. Prawdę mówiąc, gdybym spojrzała na nią w tej chwili, ujrzałabym jedno wielkie nieszczęście.

Dla tych, którzy mnie nie znają (gdzie wy, do diabła, żyjecie, w jaskini, w której nie ma dostępu do telewizji ani kabłówki?): nazywam się Geneva Jordan, jestem gwiazdą sceny, kina (niestety, występy w teatrze uniemożliwiły mi zagranie w wielu filmach) i telewizji (jeśli nie widzieliście, jak przyjmowałam nagrodę Tony'ego, to na pewno słyszeliście mój głos, śpiewający partię koszyczka dla kotów Aromati-Cat i udający dzwoneczki w Chef Mustachio Frozen Pizza). Ostatnio, po półrocznych występach, zrezygnowałam z tytułowej roli w *Monie!* - musicalu o tajemniczej modelce Leonarda da Vinci.

*Tajemniczy uśmiech, to Mona Lisa!
Pragnącej całusa... och, Mona Lisa!*

Wierzcie mi, muzyka bardzo wpada w ucho, dzięki czemu nawet taki tekst nie stanowi przeszkody.

Rola Mony Lisy zaowocowała drugim Tonym, zdjęciem na okładce i obszernym artykułem w „New York Timesie” oraz romansem z Trevorem Waite'em, moim musicalowym partnerem. Rola Mony Lisy i związane z nią przyjemności, zwłaszcza znajomość z Trevorem Waite'em, doprowadziły mnie niemal do psychicznego i fizycznego załamania. Dlatego prośba siostry wydała mi się jeszcze bardziej nedorzeczną.

- Proszę - błagała przez telefon, rezygnując z gróźb i uderzając w pokorny ton. - Riley i ja musimy przez chwilę побыć sam na sam.

- Nie wątpię, Ann. Nie podoba mi się tylko, że próbujesz zrobić mnie w niańczenie swojego dziecka.

- Jesteś matką chrzestną Richa.

- Nie musisz mi o tym przypominać, Ann. Ale matka chrzestna to nie pogotowie opiekuńcze.

- W takim razie co?

Zerknęłam na zegarek. Przez najbliższą godzinę nigdzie się

nie wybierałam, ale moja siostra wcale nie musiała o tym wiedzieć.

- Muszę już biec, Ann. Jestem umówiona ze stylistą.

- Kim?

- Posłuchaj, Ann, nie...

- Przestań mówić do mnie „Ann”.

- Przecież tak masz na imię!

- Owszem, ale ilekroć uważasz, że jestem w błędzie i tylko ty masz rację, nadużywasz mojego imienia. Zupełnie jak jakaś siara, złośliwa belfrzyca albo ktoś w tym stylu.

- Przede wszystkim jestem diwą, a nie starą, złośliwą belfrzycą. Cieszę się, że zadzwoniłaś, Ann.

Odkładając słuchawkę - no dobrze, rzucając nią - usłyszałam jeszcze odgłosy protestu.

Ann nie zorientowała się, że zrobiłam coś, co w teatrze nazywamy wielkim zejściem ze sceny, i natychmiast zadzwoniła ponownie. Nie odbierałam, czekając, aż włączy się automatyczna sekretarka.

- Genevo - powiedziała Ann - proszę. Przepraszam. Nie mam do kogo się z tym zwrócić. Błagam, podnieś słuchawki,... Pomóż mi, Dee.

O nie, to już był chwyt poniżej pasa. Dee to moje dziecinne przezwisko, jakie nadała mi babcia Hjordis.

- Oto Tweedledee i Tweedledum! - mawiała z norweskim akcentem. — Moje najukochańsze w świecie wnusie bliźniaczki!

Nie miała innych wnucząt bliźniaków, ale gdy to mówiła, czułyśmy się tak, jakbyśmy były w stanie pokonać nawet pięcioraczki.

Babcia mieszkała obok nas, w domku, który dla mnie i dla mojej siostry stanowił schronienie, pachnące bułeczkami cynamonowymi miejsce zabaw, gdzie wolno nam było ustawiać pionowo wszystkie poduchy z mebli, żeby zbudować ogromne igloo (podczas zabawy w Roalda Amundsena zdobywającego biegun południowy) albo wigwam (gdy odgrywałyśmy Leifa Brikssona odkrywającego Amerykę). Na podwórku babci stało kanu, a my udawałyśmy, że to Kon-Tiki.

Babcia Hjordis była typową norweską nacionalistką, dlatego przy każdej okazji zapoznawała kochane wnusie ze wspaiałą historią swojej ojczyzny i jej odkrywców.

- Spróbujcie nie bać się rzeczy nowych - radziła. - Świat jest o wiele zabawniejszy, jeśli człowiek nie zachowuje się jak płochliwa myszka.

Kiedy babcia niespodziewanie umarła, łamiąc nasze czter-nastoletnie serduszka, wraz z nią pochowałyśmy swoje prze-zwiska i używałyśmy ich tylko w sytuacjach kryzysowych.

Podniosłam słuchawkę.

- W porządku - warknęłam z rozdrażnieniem. - Masz mi-nutę. Tylko nie myśl, że się zgadzam. Obiecuję jedynie, że cię wysłucham. Przez minutę.

- W porządku. - Ann z zapałem podjęła wyzwanie, niczym uczestnik teleturnieju, który zyskał szansę na dodatkową run-dę. Wzięła głęboki wdech. - Wiesz, jak ciężko pracuje Riley. Na Boga, bez ciężkiej pracy nie zostałaby szefem wydziału lite-ratury angielskiej...

- Powtarzasz się, Ann.

- Twoje wtrącenia nie liczą się do mojego czasu, prawda?

Westchnęłam.

- Do rzeczy, Ann.

- Dobrze, już dobrze. W każdym razie po raz pierwszy od urodzenia Richa, to znaczy od trzynastu lat, mamy szansę być przez jakiś czas sam na sam. Na dodatek we Włoszech, Ge-nevo, we Włoszech!

Ponownie westchnęłam.

- Nie możesz ściągnąć mamy?

- Wiesz, że wciąż ma kłopoty z biodrem. Poza tym nie po-winna zostawiać taty.

Nasi rodzice bardzo długo cieszyli się dobrym zdrowiem. Jakiś czas temu zamieszkali w ośrodku dla emerytów w Arizo-nie. Niestety, ostatnio szczęście przestało się do nich uśmie-chać. W zeszłym roku w lecie mamie wszczepiono endoprote-zę stawu biodrowego, a ojciec powoli wracał do zdrowia po niewielkim wylewie, po którym szwankował mu błędnik i pa-mięć. Z pewnością starcze zniedołężnienie nie sprawiało im zbytnej przyjemności, ale powinni zdawać sobie sprawę, że ich problemy utrudniają nam życie! (Proszę, nie nasyłajcie na mnie Amerykańskiego Związku Emerytów - to był tylko żart).

- Dobrze, już dobrze.

- To znaczy, że się zgadzasz?

Wy buchnęłam śmiechem, choć niewątpliwie nie był to odpowiedni moment.

Mój Ty Boże, nie. Chcę po prostu, żebyś skończyła już gadać.

Moja minuta minęła?

Czasami Ann bierze wszystko zbyt dosłownie, co nie wychodzi jej na dobre.

Skontaktuję się z tobą podczas weekendu, dobrze?

I wtedy dasz mi odpowiedź?

Nie, opowiem ci kilka kawałów.

Ann kompletnie zignorowała mój sarkazm.

Dzięki, Genevo.

Jeszcze się nie zgodziłam - przypomniałam.

Wiem, ale i tak dziękuję.

Szybko odłożyłam słuchawkę. Wdzięczność siostry aż pa---a mnie w uszy.

Chwycałam kaszmirowy płaszcz — był to jeden z prezentów, którego Trevor nie zdołał mi odebrać. Kiedy zrywaliśmy ze sobą, rzuciłam w niego pierścieniem zaręczynowym, ani przez moment nie przypuszczając, że ten sknera zatrzyma ów drobiazg.

Przypuszczam, że nie był tani. Trevor rzeczywiście wydawał na mnie mnóstwo pieniędzy, ale często psuł całą radość z prezentu, zapowiadając, że ma zamiar kupić mi niesamowicie kosztowną rzecz, a potem obdarowując mnie znacznie tańszym substytutem, który jakimś cudem „bardziej do mnie pasował”. Kaszmir bardziej do mnie pasował niż norki. Piknik w Central Parku bardziej do mnie pasował niż lunch w „Four Seasons”. Pewnego razu rozglądaliśmy się po księgarni za białymi krukami i okazało się, że pierwsze wydanie *Marjorie Monungstar* bardziej do mnie pasuje niż pierwsze wydanie *Wielkiego Gatsby'ego*.

Bardziej przypominasz Marjorie niż Daisy - wyjaśnił, wyjmując kartę kredytową, by zapłacić za książkę o trzysta dolarów tańszą od tej, którą chciałam mieć.

To chyba wygląda na niewdzięczność z mojej strony, ale naprawdę bardzo mnie bolało, że wszystko, co „bardziej do mnie pasowało”, było jedynie namiastką.

Na ulicach panował duży ruch i wszyscy poruszali się w laki sposób, jakby mówili: „Zejdź mi z drogi, bo inaczej cię

rozdepczę". Ja też bardzo lubię tak chodzić. Jesień to moja ulubiona pora roku w Nowym Jorku. Wtedy można zrozumieć, dlaczego o tym mieście śpiewa się piosenki. Tego dnia na Manhattanie panowała wciąż atmosfera związana z wrześniowym początkiem roku szkolnego, owym ruchliwym okresem, pełnym wspaniałych planów i jeszcze wspanialszych pomysłów. Miałam wyostrzone wszystkie zmysły: kolory wydawały mi się bardziej jaskrawe, hałas - głośniejszy, a zapachy z ulicznych straganów z hot dogami i preclami - bardziej aromatyczne. A jednak z wielkomięjskiego nieba sączyła się delikatna melancholia, sprawiając, że wszystko wyglądało... nie wiem, jak to powiedzieć... chyba w jakiś sposób wruszając.

Przed wejściem do Tiffany'ego zatrzymała mnie jakaś wielbicielka.

- Geneva Jordan! - zawołała zaskoczonym tonem, który zawsze sprawiał, że czułam się nie istotą ludzką, lecz zjawą.

Pomachałam ręką w nadziei, że jej to wystarczy. Nie wystarczyło.

- Czy mogę prosić o autograf na... - Spojrzała na naręczne paczek i paczuszek, szukając czegoś, na czym mogłabym się podpisać. - Na mojej torebce od Tiffany'ego?

- Pod warunkiem że będę mogła zatrzymać jej zawartość.

Przez chwilę wyglądała na zaskoczoną, póki nie zapewniłam jej, że to był tylko żart.

Zawsze noszę w kieszeniach płaszczka długopisy, co pozwala mi oszczędzić na czasie. Kobieta podsunęła mi pakunek. Przez minutę zastanawiałam się, czy z nim nie uciec i nie napędzić nieco strachu mojej wielbicielce, ale zrezygnowałam z tego pomysłu i uprzejmie spytałam ją o imię.

- Beth - powiedziała. - Czytałam, że zrezygnowała pani z występów w *Monie!* A tak przy okazji, bardzo mi się pani podobała w tym musicalu. Nie tak bardzo jak w *Sunny Skies* czy *The Wench of Wellsmore*, ale te sceny między panią i Trevorem Waite'em...

- Miło mi to słyszeć - przerwałam jej, chowając długopis i oddając torebkę od Tiffany'ego. - Bardzo się spieszę. Cieszę się, że mogłam panią poznać!

Pobiegłam tak szybko, jak tylko mi się udało na siedmiocentymetrowych obcasach. Wielbiciele, gdyby tylko im po-

zwolnić, mogliby stać przez cały dzień i paplać bez opamiętania---, opowiadając, co im się podoba w twojej karierze, a co nie... zupełnie jakby człowiek przez całe życie czekał na ich krytykę. Nie zrozumcie mnie źle - nie zadzieram nosa wobec swoich fanów, po prostu wolę, gdy poprzestają na pochlebstwach.

Pani Jordan! - zawołała recepcjonistka Wendy, jakbym przyłapała ją na czymś, czego nie powinna robić. - Spodziewaliśmy się pani dopiero o wpół do trzeciej!

- Musiałam wyjść z domu - wyjaśniłam, rzucając płaszcz na kanapę ze sztucznej skóry lamparta. - Czy Benny może zająć się mną wcześniej?

- Oczywiście, że może, kochanie - zapewnił Benny, wygłaszając swoją kwestię znacznie lepiej niż wielu aktorów, z którymi pracowałam.

Podbiegł do mnie i głośno cmoknął w usta.

- Właśnie wykopałem z fotela Claudettę Pehl. Powiedziałem jej: „Kochanie, nie obchodzi mnie, że masz jeszcze wilgotne włosy. Muszę się zająć ważniejszymi klientkami”.

- Wierzę ci, Benny - przytaknęłam.

Claudettę Pehl była cieszącą się chwilową sławą modelką, miała siedemnaście lat i ważyła jakieś dwadzieścia pięć kilogramów.

- Kawy? - spytał, biorąc mnie za rękę i prowadząc do salonu. - Z odrobiną baileysa?

Z dużą odrobiną.

Oprawę muzyczną w salonie zapewniał Lou Reed - w „Hair by Benny” nie było miejsca na przeciętność. Każdy fotel spowijała imitacja skóry jakiegoś dzikiego zwierzęcia, a klientelę stanowiły najczęściej osoby o dobrze znanych twarzach. Na fotelu Martina właśnie zaczynano owijać w folię komentatorkę wiadomości PBS, Polly York, a Andre robił łyżwiarce, Ginie Bell, jej charakterystyczną, chłopięcą fryzurkę.

Założyłam bawełniany kitel z nadrukowanymi pręgami tygrysa (każdy kitel pasuje do obicia fotela - tanie efekciarstwo, tle co tam, do diabła, na tym częściowo polegał urok Benny'ego), a potem jedna z owych ponurych dziewcząt, które człowiek mimo woli podejrzewa o jakąś chorobę psychiczną, umyła mi głowę. Po tych zabiegach usiadłam na fotelu swojego stylisty. ,

- Gdy patrzę na ciebie, przychodzi mi na myśl słowo „wzburzona” - zagaił, podając mi kubek, który bardziej pachniał alkoholem niż kawą.

- Och, Benny, nie musisz mnie oszczędzać. - Upiłam łyk suto zakrapianej kawy i skrzywiłam się. - Mówiłam, że to ma być „duża odrobinka”, nie połowa butelki.

Zamiast przeprosić i pobiec szybko do ekspresu, Benny poklepał mnie grzebieniem po łopatce.

- Przestań zrzędzić i wypij - powiedział. - Wiesz, że jest ci to potrzebne.

Wiedziałam, dlatego wypiałam.

- Ufff - sapnęłam po opróżnieniu kubka. - Już świat zaczyna wyglądać lepiej.

Wiedziałam, że tak się stanie. Nie bez powodu Benny był jednym z najlepszych fryzjerów na Manhattanie - umiał obcinać włosy, ale co ważniejsze, wiedział, co zrobić, żeby jego klienci w tym czasie dobrze wyglądali. Ciepłe i łagodne oświetlenie sprawiało, że znikwały zmarszczki, rozszerzone pory i wszystko, co się sprzysięgło, by człowiek wyglądał jak niegodziwa macocha, chociaż wciąż czuł się jak Kopciuszek.

Prezentowałam się wspaniale... jak na czterdzieści osiem lat. Bez trudu mogłam udawać czterdziestolatkę, co też robiłam, póki moja siostra nie udzieliła wywiadu dziennikarce z „New York Timesa”, przy okazji niepotrzebnie zdradzając nasz prawdziwy wiek - zupełnie jakbym jej nie pouczyła, co ma na ten temat mówić. Niemniej fakt, że wygląda się na czterdziestkę, nie jest zbyt wielkim plusem w przemyśle rozrywkowym, chociaż łatwiej starzeć się w teatrze niż w filmie, gdzie zaczynają człowieka obsadzać w roli matki w *Matkach kobietkach*, mimo iż czuje, że idealnie nadawałby się do roli Jo.

Naprawdę mam śliczniutki nosek (własny, najmocniej dziękuję), ładne zęby (w większości swoje) i dobre włosy (naturalne fale są moje, ognistoczerwony kolor - wspaniały pomysł Benny'ego i od dziesięciu lat mój znak rozpoznawczy - nie), ale ludzie uważają mnie za cudowną głównie dlatego, że jestem gwiazdą.

Te słowa wcale nie zostały podyktowane przesadną skromnością (zresztą w moim przypadku każda skromność byłaby przesadna), po prostu ludzie dostają na mój widok zawrotów

głowy przede wszystkim dlatego, że jestem tym, kim jestem, a nie dlatego, że wyglądam tak czy inaczej.

- Benny, co sądzisz o krótkich włosach?

Oboje wbiliśmy wzrok w lustro, a mój fryzjer przytrzymał falujące pasemko włosów.

- Nie w twoim przypadku, kochanie. Twoje włosy są takie dramatyczne... takie wolne. Z chłopięcą fryzurką wyglądałaś jak sprzedawczyni komputerów. Albo pani sierżant, która prowadzi w wojsku musztrę.

Roześmiałam się. Benny był jedną z niewielu osób, które nie bały się mówić mi, co naprawdę myśla.

- W takim razie w porządku. Po prostu przytnij rozdwa-
jające się końce.

Kiedy Benny ciachał i kłapał (opowiadane przez niego plotki były niemal tak samo dobre jak fryzury), zamknęłam oczy i próbowałam znaleźć następne powody, dla których nie mogę pomóc siostrze.

Jak powiadają, najważniejsze jest wycucie czasu. Ann trafiła na najgorszy moment. To nie kaprys kazał mi zrezygnować z występów w *Monie!* Wcale nie miałam jeszcze dość tego przedstawienia. Nie wznowiłam kontraktu z powodu podwójnego ciosu - złamanego serca i menopauzy, choć ani do jednego, ani do drugiego nie przyznałabym się przed szeroką publicznością. W oświadczeniu dla prasy wyraziłam wdzięczność, że mogłam wziąć udział w tak wspaniałym przedstawieniu, nadszedł jednak czas, by poszukać sobie czegoś innego.

Naprawdę potrzebowałam nieco czasu, żeby się uspokoić i uzupełnić poziom hormonów. Chciałam popłatać się po mieście, jeść późne podwieczorki w „Carlyle” albo „Pierre”, obejrzeć spektakle, których nie widziałam z powodu własnych występów, i spędzać wolne weekendy w wiejskich posiadłościach przyjaciół, którzy od dawna mnie zapraszali. Potrzebowałam nieco czasu, by trochę się ze sobą popieścić.

Wracaj na ziemię, Genevo - szepnął mi Benny do ucha.

Przestraszona, otworzyłam oczy.

Przepraszam, jeśli cię znudziłem - powiedział z przesadną nonszalancją. - Uwierz mi, jest mnóstwo kobiet, które chętnie by mi zapłaciły, byle usiąść twoim miejscu i móc mnie posłuchać.

Roześmiałam się.

- Przecież ci płacę, Benny, pamiętasz?

Benny wzruszył ramionami i rozczesał mi palcami włosy. Były długie i falujące - „włosy hippiski z eleganckiej części miasta”, jak opisywał je Benny. (Stosuję sekret młodości Dicka Clarka - nigdy nie zmieniam uczesania).

- Powiedz mi, jak się czujesz jako aktorka bez pracy?

Do oczu napłynęły mi łzy.

- Genevo, kochanie! Nie zamierzałem sprawić ci przykrości, po prostu próbowałem cię zabawić.

- Nie o to chodzi - machnęłam ręką. - Mam kłopoty z siostrą.

W lustrze dostrzegłam, że na okrągłej twarzy Benny'ego pojawiło się zakłopotanie.

- Ale nie jest chora, prawda?

Potrząsnęłam głową.

- Nic z tych rzeczy. Dzięki college'owi ma możliwość wyjechania z mężem do Włoch.

- Hmmm - mruknął Benny, sprawdzając, czy mam równe końce. - Chyba nie bardzo rozumiem, o co chodzi.

- Prosi, żebym popilnowała im dziecka! - zawołałam, a zobaczywszy, że łyżwiarka obejrzała się z zainteresowaniem, zniżyłam głos. - Nie chcą żeby ich trzynastoletni synek tracił szkołę. Chłopiec ma na imię Richard - Rich. To mój chrześniak.

Benny nalał coś pięknie pachnącego na ręce i wmasował mi w głowę.

- A ty nie chcesz zajmować się Richem, ponieważ...?

- Ponieważ właśnie mam urlop! - wyjaśniłam. Mój podniesiony głos ponownie sprawił, że wścibska łyżwiarka z głupią chłopięcą fryzurką obejrzała się przez ramię. - Moja lekarza mówi, że mam zbyt dużo stresów, jestem przepracowana i potrzebuję trochę spokoju - szepnęłam. - Muszę też uporać się z pewnymi sprawami...

- Ten cham - mruknął Benny.

To był jego odruch. Ilekroć wspomniałam o czymś, co mogło pośrednio lub bezpośrednio dotyczyć Trevora, mój fryzjer mówił: „Ten cham”. Za takie właśnie reakcje dostawał ode mnie sute napiwki.

- Czy twoja siostra nie mieszka nad jakimś stawem lub czymś takim w Indianapolis?

- Nad jeziorem - poprawiłam. - Ma domek nad jeziorem nieopodal Indianapolis.

Benny wzruszył ramionami. Dla naturalizowanego Australijczyka jedno niczym nie różniło się od drugiego.

- Może tam znalazłabyś spokój - zasugerował. - Siedziałybyś sobie nad jeziorem w miejscu, gdzie diabeł mówi dobranoc.

- Jezioro będzie prawdopodobnie zamrożone - przypomniałam. - A nawet jeśli nie, siedziałabym nad nim z trzydziestolatkiem.

- Racja, dzieciak. Jest okropny, co?

Do oczu ponownie napłynęły mi łzy, niczym gorliwy pracownik gotów na każde zawołanie.

- Och, Benny! - jęknęłam.

Ruchem bardziej płynnym niż jakikolwiek podwójny aksel wykonywany przez Ginę Bell odwróciłam fotel, ukrywając siebie i swoje łzy przed wścibskim wzrokiem małej boginki lodowisk.

Tego wieczoru rozpałam w kominku, po czym usadowiłam się na zarzuconej poduchami kanapie z butelką dobrego szampana i bombonierką jeszcze lepszych czekoladek. Przystałam grać w musicalu zaledwie trzy dni temu, dlatego wciąż o ósmej wieczorem dziwnie się czułam i wpadałam w kiepski nastrój. Wyobrażałam sobie kulisy, ubranych w wymyślne kostiumy aktorów, którzy poszturchiwali się nawzajem i płatali sobie szczeniackie figle, tak jak to zwykle robi obsada długo granego spektaklu, czekając, aż kurtyna pójdzie w górę. Zawsze bardzo lubiłam te chwile. Uwielbiałam słuchać podeksytowanego pomruku publiczności, kochałam, gdy wszyscy jak jeden mąż wstrzymywali oddech, kiedy orkiestra zaczynała grać uwerturę. Byliśmy weteranami Broadwayu, gotowymi grać dalej, ale wcześniej musieliśmy spłatać sobie jakiegoś paskudnego psikusa albo pełnym oburzenia szeptem oskarżyć kogoś o puszczenie bąka.

Najbardziej jednak brakowało mi pocałunków, którymi Trevor Waite obdarzał mnie przed wyjściem na scenę.

Coś zatrzeszczało i zasyczało w kominku. Uznałam, że to idealny akompaniament do mojego nastroju. Upiłam spory łyk

musującego szampana i zganiłam samą siebie. Szkoda czasu na rozmyślanie o Trevorze.

To w niczym nie pomogło.

Jak mogłam być tak ślepa?

Moją jedyną, i to wcale nie najlepszą, wymówką było stwierdzenie, że dzięki swojemu urokowi osobistemu przysłonił mi cały świat.

Dzięki niezwykłemu czarowi Trevora człowiek czuł się przy nim, jakby był istotą stworzoną tylko dla niego. Jego urokowi ulegali wszyscy, poczynając od pani Wang ze sklepu na rogu, która za każdym razem wsuwała nam do torby piękną brzoskwinę albo koszyczek jagód, przez cały czas puszczając do Trevora perskie oko, a na redaktorze z „New York Timesa” kończąc. Tylko dzięki temu napisał on: „Ten człowiek to następca Errola Flynna i Laurence'a Oliviera. A gdy otwiera usta, śpiewajak Placido Domingo!”

Gdy Trevor kierował na mnie spojrzenie swoich lodowoniebieskich oczu, czas wprawdzie nie stawał w miejscu, ale zawsze traciłam przynajmniej kilka sekund. Kiedy się uśmiechnął, człowiek czuł się tak, jakby otrzymał najwspanialszy prezent. Ale największym darem mojego byłego narzeczonego był głos. Boże Wszechmogący, ten arystokratyczny angielski akcent (wypracowany po przeprowadzeniu się z Manchesteru do Londynu), wzmocniony przez głębokie, bogate brzmienie, kojarzył mi się z zapachem soli. Czasami mówi się, że ktoś ma tak wspaniały głos, iż nawet gdyby czytał książkę telefoniczną, wszyscy słuchaliby go z zapartym tchem. Komunał, ale w przypadku Trevora to się sprawdzało, zresztą pewnego razu przyjął moje wyzwanie.

- Bradshaw - przeczytał po odchrząknięciu. - Amy, Arnold, Beverly, Bruce, Bryan. - Trzymając w jednej ręce rozłożoną książkę telefoniczną, uniósł drugą dłoń. Kontynuując Bradshawów - ciągnął - mamy C.L., D.R., Davida, Doris, Douglasa i Granta. Dalej idą Harlod, I.J., Jody, Julie i Lloyd.

Czytywał mi też inne, bardziej poetyckie teksty i pewnie tego najbardziej mi brakowało. Nie ma nic wspanialszego niż romantyzm obdarzonego pięknym głosem angielskiego aktora, który czyta Szekspira w deszczowe popołudnie w Nowym Jorku.

Mieliśmy ze sobą dużo wspólnego, nie tylko zamięłowanie do słuchania jego głosu. Oboje podzielaliśmy podniecenie, które nasilało się przed nowym spektaklem, skłonność do śmiechu, a także upodobanie do tajlandzkiej kuchni, filmów Alfreda Hitchcocka i wieczornych spacerów. Byliśmy aktorami, nic więc dziwnego, że rozumieliśmy nie tylko siebie nawzajem, ale i szalony świat, w którym z własnego wyboru zarabialiśmy na życie. Przede wszystkim jednak bardzo nas do siebie ciągnęło - Trevor był tlenem, ja wodorem, a gdy przebywaliśmy razem, wokół leciały snopy iskier.

Początkowo byłam tak zakochana w Trevorze, że próbowałam przymknąć oko na jego flirt z chórzystką. Ludzie sceny z natury mają skłonność do kokietowania innych, ale flirt coraz bardziej się rozwijał, w końcu nabrałam pewności, że to już romans (kiedy po którymś spektaklu zażądałam wyjaśnień, Trevor gwałtownie wszystkiemu zaprzeczył, jednak jego luba jedynie się uśmiechnęła). Ponieważ sama potrafię kogoś oczarować, zrozumiałam, że dałam się zwieść jego urokowi osobistemu; zdałam sobie również sprawę, iż najczęściej Trevor używa go, by dostać coś w zamian. Kiedy zaczął zalecać się do nowej dublerki drugiej postaci kobiecej musicalu, w końcu musiałam spojrzeć prawdzie w oczy - uświadomiłam sobie, że w tym momencie Trevor chce w zamian za swój urok dostać więcej kobiet, znacznie młodszych kobiet.

Chociaż nawet nie zdawałam sobie sprawy, że zbiera mi się na płacz, z gardła wyrwał mi się szloch. Powoli zaczął ogarniać mnie mrok - chociaż nie chodziło wcale o brak światła, lecz o znacznie bardziej przerażającą, nieprzejrzaną ciemność.

Zawsze, nawet jako mała dziewczynka, byłam sową. Ann należała do tych osób, które potrafią zasnąć w pół minuty po wskoczeniu do łóżka, musiałam więc zabawiać się sama, co robiłam z prawdziwą przyjemnością, wymyślając piosenki, układając różne scenariusze rozmów z najfajniejszymi kolegami z klasy, a także próbując naśladować gwiazdy telewizji i kina. Ale pewnej nocy - mogłam mieć wówczas jakieś dziewięć lat - przytłoczyło mnie uczucie tak potwornej samotności, że zaczęłam się zastanawiać, czy to właśnie nie z takiego powodu ludzie wariują.

- Ann! Ann! — szepnęłam, potrząsając siostrę za ramię. - Ann!

- O co chodzi? - spytała, siadając i rozglądając się wokół nieprzytomnym wzrokiem.

- Ann, jestem taka samotna!

Przyjrzała mi się spod przymrużonych powiek, próbując ocenić, czy żartuję, czy nie. Uznawszy, że mówię prawdę, spytała:

- Dlaczego, Dee? Przecież jestem obok.

- Och, Dum -jęknęłam, przytulając się do niej. - Obejmij mnie.

Nie potrafiłam powiedzieć jej, co czuję, ale to i tak nie miało żadnego znaczenia, ponieważ Ann natychmiast zapadła w sen (zdrajczyni!).

Następnej nocy wszystko się powtórzyło.

- Ann! Ann! - wołałam, potrząsając siostrę za ramię, jakbym próbowała ją reanimować. - Znow wróciła samotność!

Moja bliźniaczka nie bardzo się tym przejęła.

- W takim razie każdej odejść -poradziła, obracając się do mnie plecami.

Zrobiłam to, samotność usłuchała, ale nie na zawsze. Co prawda nie pojawiała się każdej nocy, niemniej odwiedzała mnie od czasu do czasu. Była tak potworna i przytłaczająca, że nie potrafiłam sobie z nią poradzić. Próbowałam różnych sposobów, od całkowitego zaprzeczenia („W ogóle nie istniejesz, klawo się czuję”), poprzez użycie siły („Jestem od ciebie silniejsza!”), po całkowite podporządkowanie („W porządku, wygrałaś. Czy teraz dasz mi spokój?”). Nauczycielka prowadząca kółko teatralne zachęcała nas, żebyśmy pokonywali swoje problemy, odpowiednio je nazywając.

- Dajcie im głupie imiona, które pokonają ich moc - doradzała z idealną dykcją. - Nazwijcie złość Fredem, obawy - Myrtle, a strach - Lulu.

Zaczęłam mówić na swoją samotność Petunia i początkowo miałam wrażenie, że naprawdę udało mi się nieco osłabić jej moc, jednak po jakimś czasie zdałam sobie sprawę, że nadal jest to samotność, tylko ukryta pod głupim imieniem.

Nigdy nie było to zbyt miłe doznanie, ale tego wieczoru samotność przynajmniej odwróciła moją uwagę od Ann i jej próśby. Petunia szydziła ze mnie, dręczyła mnie, ale w końcu się wypłakałam, a wówczas nadszedł czas, żeby rozwiązać najnowszy problem. Przyszło mi do głowy głupie powiedze-

nie: „Gdy życie daje ci do ręki cytrynę, zrób lemoniadę”, ale niech mnie diabli porwą, jeśli znałam przepis.

Przede wszystkim wcale nie jestem taka zła. Może czasami rzeczywiście postępuję nieco egoistycznie i bywam ekstrawagancka, ale gdyby to było przestępstwo, wszyscy ludzie związani z przemysłem rozrywkowym musieliby pójść do paki. Myślałam nawet o niesieniu pomocy innym i z pewnością, gdybym tylko miała więcej czasu, wprowadziłabym ten pomysł w życie. Uznałam jednak, że bardzo dużo daję z siebie na scenie, dlatego poza nią mogę sobie nieco pofolgować.

Niestety, moje cholerne sumienie nagle zamieniło się w papugę i nie przestawało powtarzać: „To jest twoja bliźniaczka, to jest twoja bliźniaczka, to jest twoja bliźniaczka”.

Z pewnością Ann zrobiła dla mnie dużo dobrego. Była niezawodna i miała ogromne poczucie odpowiedzialności. Od ukończenia studiów pracowała jako nauczycielka i zawsze wspierała finansowo moje wielkie marzenia. To ona zapłaciła za mój bilet autobusowy do Nowego Jorku, gdy wydałam wszystkie swoje pieniądze na fatałaszkę, to ona do cotygodniowych listów zawsze wsadzała pięć albo dziesięć dolarów, to ona przynajmniej kilkanaście razy pomogła mi zapłacić za czynsz. Ponieważ Ann tak szastała pieniędzmi, myślałam, że nauczyciele zarabiają krocie. Prawdę poznałam dopiero wtedy, gdy po raz pierwszy zagrałam w spektaklu na Broadwayu.

Usłyszałam, że Ann kłóci się z matką w mojej małej kuchni. Nie rozumiałam poszczególnych słów, ale obie kobiety robiły tyle hałasu, że mnie obudziły. Widocznie nie wiedziały, że to ciężki grzech.

- Czyżbyście nie zdawały sobie sprawy - spytałam urażona i znużona - że potrzebuję snu, by zregenerować głos?

Ann, która zawsze ulegała żądaniom siostry aktorki, zacisnęła zęby i pochyliła głowę. Mama jednak nie dała się zastraszyć.

- Też mi coś! Przecież i tak przesypiasz większą część dnia.

- Co wcale nie jest dziwne, jeśli weźmie się pod uwagę, że wracam do domu o piątej nad ranem - przypomniałam.

- Czy to moja wina? Mój Boże, spójrz na ojca: wyszedł z domu o ósmej. - Zerknęła na zegarek. - Zresztą o dwunastej mam się z nim spotkać w „Macy's”.

Pragnąc im zasygnalizować, że potwornie boli mnie głowa, dotknęłam palcami skroni, mimo to, zachowując stoicki spokój, podeszłam do ekspresu do kawy. (W niektórych domach zawsze gra telewizor, a u Jordanów nigdy nie wyłącza się ekspresu).

- A tak swoją drogą, o co się kłóćcie? - spytałam, wzmocniona sporą dawką kofeiny.

- O nic - odparła Ann, wyraźnie dając do zrozumienia, że uważa sprawę za zamkniętą.

- Na litość boską - zadrwiła mama, spoglądając na moją siostrę. - Dwie minuty temu całe twoje życie legło w gruzach.

- Całe twoje życie legło w gruzach? - spytałam Ann.

Zawsze uważałam, że jej życie jest ustabilizowane i mocne jak najbardziej nieprzystępny bastion. Nie znałam nikogo, kto miałby tak ustabilizowane życie.

- Nie, to nieprawda - zaprotestowała Ann cicho.

Matka westchnęła.

- Rzecz w tym, że brakuje jej pieniędzy na samolot albo na czynsz za przyszły miesiąc.

- Nie masz pieniędzy na samolot albo czynsz? - powtórzyłam jak idiotka.

Ann wytarła nos w serwetkę i zaczęła sprzątać ze stołu. Mama wyjęła z torebki szminkę i zupełnie niepotrzebnie poprawiła usta.

- To chodząca duma. Nigdy z niej niczego nie wyciągniesz, więc ja ci powiem. - Wytarła usta papierową serwetką, zostawiając na niej koralowy odcisk. — Żeby przyjechać na twój występ, Ann musiała się zadłużyć, a teraz chce znów zaciągnąć następną pożyczkę, żeby wrócić do domu, o ile gospodarz nie wynajął już jej mieszkania komuś, kto regularnie płaci czynsz.

Gdyby mama w taki sposób zdradziła mój sekret Ann, na pewno jak burza wypadłabym z pokoju albo rzuciła o ścianę czymś, co można rozbić. Tymczasem moja bliźniaczka spokojnie zmywała kubek po kawie. Mogła się uzbroić w wężyk do rozpylania wody i sprawić mamie zasłużony prysznic. Ale Ann, w przeciwieństwie do mnie, nie zniżała się do takich metod.

- Potrzebujesz pieniędzy, kochanie? - spytałam, obejmując

II Jeśli tak, zawsze możesz na mnie liczyć. Wiesz o tym, prawda?

- Przecież jesteś biedną, głodującą artystką - zaprotestowała Ann.

- Już nie. Właśnie zostałam gwiazdą Broadwayu.

To była prawda. Zyskałam entuzjastyczne recenzje i sądziłam, że czasy niepewności i dorabiania w charakterze tymczasowej pomocy biurowej w firmach ubezpieczeniowych mam już za sobą.

- Och, Genevo -jęknęła Ann. - Tak się cieszę.

Potem położyła mi głowę na ramieniu i się rozpłakała.

- Ann - powiedziałam łagodnie, gdy nieco się uspokoiła. - Kiedy zaczęły się twoje kłopoty finansowe?

- Odkąd ty je masz - wyjaśniła matka. - Kłopoty finansowe Ann są bezpośrednio związane z twoimi. Kiedy potrzebowałaś pieniędzy, twoja siostra zawsze była gotowa ci je pożyczyć, chociaż wiedziała, że prawdopodobnie nigdy ich nie odzyska.

Ann urodziła się o cztery minuty wcześniej niż ja i zawsze bardzo poważnie traktowała swoje starszeństwo. Była niesłychanie opiekuńcza.

- Posłuchaj, mamó - powiedziała spokojnym głosem, który zapowiadał, że nadchodzi wielka burza. - Nie powinnaś mówić o czymś, o czym nie masz bladego pojęcia.

- Wiem, ile pieniędzy Geneva pożyczyła ode mnie i ojca. Przypuszczam również, że gdy przestaliśmy ją wspierać, zaczęła zwracać się do ciebie. - Obdarzywszy mnie znaczącym spojrzeniem, dodała: - Musieliśmy to zrobić, Genevo, dla twojego dobra. - Ponownie spojrzała na Ann. - Wspomniałam o tym tylko dlatego, ponieważ Geneva sama przyznała...

- Wspomniałaś o tym, ponieważ chcesz wywołać kłótnię - wtrąciła Ann. - Mam prawo robić ze swoimi pieniędzmi, co zechcę. Przepraszam, że wciągnęłam cię w to wszystko, prosząc o pożyczkę. Nigdy więcej tego nie zrobię, ponieważ wolę cierpieć z powodu braku środków do życia, niż narażać się na twoje słuszne oburzenie.

- To prawda - poparłam ją, naśladowując nauczycielski ton siostry. - Lepiej nie mieć środków do życia, niż narażać się na twoje słuszne oburzenie.

Mama westchnęła. Już dawno temu przekonała się, że gdy córki połączą siły, wcześniej czy później i tak ją pokonają.

- Jestem umówiona z ojcem - oznajmiła, biorąc pod ramię skórzaną torebkę, z którą nigdy się nie rozstawała.

Żadna z nas nie zaprotestowała, a gdy mama wyszła, udało mi się wyciągnąć z Ann całą smutną historię.

Od kilku lat nie ja jedna korzystałam z jej szczupłych dochodów. Pomagała stareńkiemu sąsiadowi, kupując mu artykuły spożywcze, od czasu do czasu płaciła rachunki za prąd i ogrzewanie przyjaciółce, która była samotną matką, kupowała mnóstwo pomocy szkolnych, na które nie mogli sobie pozwolić jej uczniowie, fundowała im bilety do teatru („Dzięki temu język nabiera dla tych dzieciaków życia”), książki i zbiorki poezji („Niektórzy z moich wychowanków nigdy w życiu nie mieli własnej książki”).

- Przez tyle lat jakoś dawałam sobie radę - wyznała, potrząsając głową - potem jednak, jak sądzę... sprawy trochę wymknęły mi się spod kontroli. Musiałam zrobić debet na kartach kredytowych, a dług wciąż narastał.

Moja siostra nie należała do osób potrząsających głową.

- Och, Ann - jęknęłam. - Kiedy w końcu się nauczysz, że aby zatroszczyć się o innych, najpierw trzeba zatroszczyć się o siebie?

Bardzo odpowiada mi filozofia, która zachęca, żeby człowiek przede wszystkim myślał o sobie.

- Och, Gen - odparła Ann z rezygnacją. - A co z ludźmi, którzy nie potrafią zatroszczyć się o siebie?

Sięgnęłam po torebkę (w przeciwieństwie do mamy nie jest to moje stałe akcesorium) i wyjęłam z niej książeczkę czekową.

- Ile potrzebujesz? - spytałam, wpisując w odpowiednim miejscu na czeku jej imię i nazwisko.

Zastanawiała się przez chwilę, a potem podała mi kwotę. Wpisałam dwa razy więcej.

Ann nie zemdlała z wrażenia, ale wyraźnie było widać, że jest wdzięczna.

- Dziękuję, Genevo - powiedziała, całując mnie w policzki.

- Tylko nie zamień tego czeku na gotówkę i nie rozdaj zebrakom na lotnisku.

- Nawet harekrisznowcom? - spytała, śmiejąc się, chociaż w jej oczach błyszczały łzy.

- Trzymaj się z daleka od nich - zastrzegłam. - Nie zgadzam się, żebyś wspierała ludzi, którym religia każe tak barbarzyńsko postępować z włosami.

2

Tylko raz byłam mężatką. Patrząc z dzisiejszej perspektywy, uświadamiam sobie, że z mężczyzną związałam się w wyjątkowo młodym wieku, gdyż miałam wówczas dwadzieścia cztery lata, a mój ślub poprzedzał niezwykle krótki okres narzeczeństwa. Chociaż słyszałam o udanych małżeństwach zawieranych po bardzo krótkim okresie znajomości, osobiście odradzam coś takiego. Lepiej poświęcić trochę czasu na poznanie człowieka, któremu przysięga się miłość, wierność i posłuszeństwo... albo przynajmniej postarać się, żeby trwało to nieco dłużej niż czterdzieści osiem godzin. Ja, niestety, dokładnie tyle znałam Jeana Paula, nim powiedziałam sakramentalne „tak”. Czternaście miesięcy później usłyszałam: adieu.

Był typowym Francuzem: czarującym i pełnym fantazji. Miał swobodny sposób bycia i tak wrażliwe podniebienie, że potrafił odróżnić butelkę wspaniałego wina od zaledwie do--ego, a stary, ostry ser od zepsutego. Reżyserował inscenizację *Pokojówek* Geneta. Była to wyjątkowo egzystencjalna sztuka, dlatego ilekroć oglądałam jego przedstawienie, zaczynała mnie boleć głowa. Oczywiście, nigdy się do tego nie przyznałam, zwłaszcza że Jean Paul był zdania, iż Amerykanie są *enfants*, jeśli chodzi o teatr. „Chcą, żeby ich karrmicz łyszeczka, chcą dosztawacz wymuszona komedia i musicalowy papka. I, oczywiście, wszystko musi sia dopsza konczycz”.

Widocznie nie przepadał za „dopra szakonczenie”, i tak lamo podszedł do naszego małżeństwa, gdy jego zranione ego podpowiedziało mu, że to nie na mnie mu zależało, lecz na zielonej karcie, którą zapewniało małżeństwo z Amerykanką.

Cest la vie - napisałam do siostry. Udawałam beztroskę,

ale naprawdę byłam kompletnie załamana. Naprawdę myślałam, że do końca życia będę współpracować z Jeanem Pauliem na scenie i poza nią. Obiecał, że obsadzi mnie w Molierze i adaptacjach Hugo, a ja postanowiłam urodzić mu dwójkę śliczniutkich brzdąców, które mówiłyby do mnie „maman” z akcentem na drugiej sylabie.

Moje małżeństwo rozpadło się pewnego ranka, kiedy poprosiłam Jeana Paula, by podał mi śmietanę, a on odparł, że chce się rozwieść.

- Dobrze, już dobrze, zatrzymaj sobie tę śmietankę - zażartowałam, otwierając gazetę na stronie z najnowszymi recenzjami.

Jean Paul odsunął ją.

- Genevo, ja wczale nie szarrtuję. - Ujął moją twarz w dłonie. Było to posunięcie, do którego często się uciekał, gdy chciał, żebym skupiła na nim całą uwagę. - Po prrosztu... o, chorrerra! Jak to powiedzicz? Myszłę, sze jeszcze nie dorroszłem do małszeństwo.

Pamiętam, że zupełnie zaschło mi w gardle, gdy patrzyłam na nieogoloną twarz męża, kurczowo trzymając się nadziei, że to tylko niezbyt śmieszny żart (bądź co bądź Jean Paul był Francuzem i poczucie humoru nie należało do jego mocnych stron), ale ta moja ostatnia deska ratunku okazała się spróchniała i popękana.

- Dlaczego... O co chodzi? - zdołałam wykrztusić.

- Chciałbym... chciałbym mocz ciebie to wytłumaczycz... Naprawdę cię kochacz, Genevo, szama wiedzicz. Po prrosztu nie chcę bycz dalej twoja masz.

Wstyd się przyznać, ale w tym momencie zaczęłam mu się podlizywać.

- Jeśli coś ci się we mnie nie podoba, mogę to zmienić! Nauczę się gotować. Przecież zawsze bardzo zależało ci na tym, żebym nauczyła się gotować. Nie muszę też tak dużo czasu spędzać w teatrze... Jean Paul, nie rozumiem. Proszę, nie rozwodź się ze mną!

- Tylko bez łza, Genevo, prroszę, nie płacze - zaznaczył, ocierając koniuszkami palców moją twarz. - Nie czzierrpię, kiedy ty płakacz.

- A ja nie czzierrpię, kiedy ty mówicz, sze się chcesz sze mną rrozwieszcz!

Jean Paul cofnął się o krok. Zawsze się obrażał, kiedy naśladowałam jego akcent, chociaż był to odruch całkiem naturalny i pozbawiony złośliwości.

- To nie porra, szeby sze mnie szydzicz!

To nie porra, szeby szię sze mną rrozwodzicz!

Stał przy zlewie w pozycji gladiatora gotowego powalić przeciwnika na ziemię. Zaczęłam się śmiać. Mój barometr emocjonalny odnotował szok, złość i ból, ale śmiech był czymś tak niespodziewanym, że roześmiałam się jeszcze głośniej.

Wyraz twarzy Jeana Paula świadczył o tym, że mój mąż czuł się zdradzony.

- Jak moszesz szmiacz się w taka chwila?! - krzyknął i wypadł z kuchni, po drodze zdążył jednak walnąć w piecyk patelni;), na której pół godziny wcześniej smażył dla nas omlety.

Na myśl o tym dniu wciąż zasycha mi w ustach, a serce wali jak szalone. Natychmiast po opuszczeniu kuchni Jean Paul zaczął się pakować. Nie chcę nawet wspominać, w jak okropnym byłam wówczas stanie: błagałam, prosiłam, płakałam. Wydaje mi się nawet, że w którymś momencie, gdy próbował skierować się do drzwi, chwyciłam go za nogi.

Byłam taka młoda, taka ufna, taka pewna, że na zawsze zapamiętam historie o jego dzieciństwie spędzonym w Burgundii („Moja rrodżina uprrawiacz tam sziemia od ponad szesz-Cziuszet lat”) i chwili, kiedy postanowił poświęcić się pracy w teatrze („Barrdżo szpodobacz mi szię Folies Berrgerre podczas wyprawa do Parrysz”, „Widziałem, jak moja dziadka tańczy w oborra przed publicznoszczą szkładającą szię z szama *krowy*”). Myślałam, że kiedyś będę opowiadać je naszym wnukom, tak samo jak on będzie przekazywać im opowiadki z mojego dzieciństwa.

Byliśmy małżeństwem zbyt krótko, by zaczęły mnie drażnić jego złe przyzwyczajenia - nonszalancję, z jaką traktował dezodorant, uznałam... no cóż... za „szabawną”, podobnie jak używanie przy stole opakowań po zapałkach do czyszczenia zębów po obiedzie. Byłam taka zakochana. Jean Paul lubił wypijać pierwszy kubek porannej kawy sam, a w czasie kiedy on pałętał się po kuchni, ja przesuwałam się na jego stronę łóżka i wdychałam zapach mojego męża. Na marginesach wszystkich scenariuszy gryzmoliłam: „Pani Gatienowa. Żona Jeana Paula Gatiena”. Byłam tak zakochana, że lubiłam nawet

prasować mu koszule i składać jego pranie. W tym okresie wciąż naiwnie myślałam, że jesteśmy na etapie miesiąca miodowego, więc kiedy Jean Paul odszedł, obawiałam się, iż mój rozum może doznać takiego samego uszczerbku jak serce.

Tydzień później dowiedziałam się, że zamieszkał ze swoją dawną francuską dziewczyną, stylistką z gazety, potem wpadłam na jego najlepszego przyjaciela. Powiedział mi, że *les deux amants* nigdy nie przestali się ze sobą spotykać, nawet po naszym ślubie. Świadomość, iż Jean Paul nigdy mnie nie kochał, sprawiła mi większy ból niż fakt, że mnie zostawił. Kto wie, może byłam bardziej zadurzona niż zakochana, może z czasem dorobiliśmy się dzieci, może nasze drogi i tak by się rozeszły (z pewnością w obecnych czasach rozpada się większość małżeństw, zwłaszcza zawartych zbyt młodo), ale Jean Paul okazał się złodziejem, który okradł mnie z szansy na sprawdzenie tych możliwości. Co gorsza, pozbawił mnie czegoś wrodzonego i niezwykle cennego: przekonania, iż jestem godna miłości. Musicie wiedzieć, że owa pewność zawsze stanowiła mój sztandar, niestety po tej przygodzie zostały z niego tylko strzępy. Co prawda wystarczyły, by przekonać mnie, że jestem wspaniałą aktorką i piosenkarką, niestety bezpowrotnie przepadło tak potrzebne w życiu uczuciowym przekonanie, iż zasługuje się na miłość.

Petunia uznała, że w ciągu pierwszego roku po moim nieudanym małżeństwie może przychodzić, kiedy zechce, dlatego odwiedzała mnie co noc. Uratowało mnie tylko to, że otrzymałam rolę w pewnym spektaklu. Przez kilka miesięcy zajmowałam się jedynie życiem zawodowym, ponieważ nawet najkrótsza chwila zastanowienia nad życiem osobistym mogła okazać się zabójcza.

Potem oświadczyło mi się kilku panów, ale ponieważ raz się sparzyłam, postanowiłam unikać ognia.

- Nie pozwól, by dawne niepowodzenie zagroziło przyszłemu szczęściu - radziła mi siostra, gdy powiedziałam jej, że znów zerwałam z facetem, który chciał się ze mną ożenić.

- Cóż to, czyżbyś zaczęła wróżyć z wosku? - spytałam. - Daj spokój, Ann, jesteś nauczycielką angielskiego. Nie powinnaś opowiadać takich bzdur.

- W porządku - westchnęła. - W takim razie powiem to prosto z mostu, żeby łatwiej było ci zrozumieć. Jean Paul oka-

zał się świnia, ale to wcale nie znaczy, że wszyscy mężczyźni mają kręcone ogonki.

- Ann, powiedziałaś „świnia”. Poskarżę mamie.

Roześmiała się. Nasza mama była zdania, że mydło to najlepszy sposób na usuwanie z ust brzydkich słów. Oczywiście, tylko ja, jako bardziej elokwentna z bliźniaczek, zapoznałam się z tą metodą, na dodatek kilkakrotnie.

- Daj spokój, Genevo, dlaczego tym razem się nie zgodziłaś?

- Nie wystarczą ci słowa „potworny strach”?

- Taaak, ale naprawdę go kochałaś?

- Wydawało mi się, że go kocham, ale chyba się myliłam. Przecież prawdziwa miłość powinna być silniejsza od strachu, prawda?

- Może z normalnym strachem by sobie poradziła, ale nie z „potwornym strachem”.

Wybuchnęłyśmy śmiechem, a potem Ann jęknęła:

- O kurczę, muszę kończyć. Riley wrócił.

- No to co?

Siostra była jedną z niewielu osób, którym mogłam przyznać się do potwornego strachu. Mój charakter niezmiennie kazał mi robić dobrą minę do złej gry i wszystko obracać w żart (na temat Jeana Paula mawiałam, że widocznie nie odpowiadała mu moja kiepska francuszczyzna), ale Ann wiedziała, jak bardzo cierpię. Zawsze mogłam się jej wypłakać, choćby tylko przez telefon. Dlatego nie chciałam, żeby coś, co przeradzało się w miły, podnoszący na duchu wywód czy sesję terapeutyczną, zostało zakończone tylko dlatego, że pojawił się jej mąż.

- To, że właśnie mam owulację - wyjaśniła z nietypowym dla siebie chichotem. - Cześć.

W tym czasie Ann i Riley - pełni nadziei przyszli rodzice - wciąż byli na etapie: „przynajmniej dobrze się bawimy, próbując”. Dopiero potem pojawiły się kłopoty i wizyty u specjalistów. W końcu tydzień przed spotkaniem w agencji zajmującej się adopcją Ann odkryła, że jest w ciąży.

- W końcu się udało! - zawołała radośnie przez telefon, a ja, szczęśliwa w jej imieniu, po prostu się rozpłakałam.

Tylko raz opuściłam przedstawienie - gdy polecałam, by towarzyszyć Ann przy porodzie. Riley był wspaniałym, wyro-

zumiałym i kochającym mężem, ale gdy tylko usłyszał słowo „krew”, natychmiast tracił przytomność.

Wciągnięto mnie więc na listę uczestników porodu pod numerem drugim - miałam przyglądać się wszystkiemu z boku i wkroczyć do akcji dopiero wtedy, gdy nieprzytomnego Riley'a trzeba będzie odesłać na ławkę rezerwowych. Nim szyjka macicy Ann otworzyła się na osiem centymetrów, Riley nie nadawał się już do użytku.

- Boże, dopomóż!

Do tego czasu Ann zachowywała stoicki spokój, tylko niekiedy wydając cichy jęk, ale to błaganie wypowiedziane zostało z pasją aktorki, starającej się o rolę Joanny d'Arc.

- Dziecko zeszło niżej - wyjaśniła pielęgniarka.

- Co to oznacza?

- Że wkrótce się urodzi.

Ann wykrzykiwała słowa, które mnie szokowały, zwłaszcza gdy wzięłam pod uwagę, z czyich ust wychodzą. Większość ich skierowana była do Riley'a, który siedział na krześle w rogu sali i wyglądał tak żałośnie jak każdy mężczyzna, gdy żona wiesza na nim wszystkie psy.

- Nigdy nie przypuszczałam, że sprawy mogą... przybrać tak gwałtowny obrót - wydukałam, gdy siostra znów krzyknęła.

- To jeszcze nic — wyznała położna. - Miałam kiedyś rodzającą która powiedziała mężowi, że jeśli jeszcze kiedykolwiek się do niej zbliży, potraktuje go piłą łańcuchową.

Lekarz, niczym sławny aktor, którego niewielka rola ogranicza się do jednego wejścia, pojawił się, gdy Ann właśnie parła.

- Wszystko w porządku-mruknął uspokajająco. Świetnie się pani spisuje. Proszę jeszcze raz porządnie napiąć mięśnie.

Ann wydała krzyk, pochodzący gdzieś z głębi brzucha - chociaż mam szkolony głos, naprawdę nie potrafię robić tak piekielnego hałasu - i wypchnęła dziecko.

- Little Richard! - zawołałam, widząc, że to chłopiec.

Wcale nie próbowałam żartować. Nie zapowiadałam piosenkarza z *Tutti Frutti*, ale witałam niemowlę o imieniu wybranym już wcześniej na cześć asystenta, który przedstawił sobie rodziców.

- Owszem, ma pani syna - potwierdził *lekarz*, podnosząc noworodka.

Wtedy Ann wydała następny dźwięk, który bardzo trudno byłoby mi odtworzyć: stanowił on mieszaninę śmiechu i płaczu. Słysząc w nim było rozbawienie, radość i respekt.

Riley, wciąż niezbyt przytomny, próbował wstać z krzesła w kącie, ale jedynie osunął się na podłogę jak spadający z urwiska bohater kreskówki.

- Ojciec zemdłał - zauważyła położna, podchodząc do Riley'a.

Chociaż zabrali niemowlę szybciej, niżbyśmy chcieli, sala promieniowała szczęściem. Naprawdę można było odnieść wrażenie, że wszyscy, łącznie z Rileyem, którego już docucono, unoszą się pod sufitem.

Gdy lekarz wrócił, z hukiem wylądowaliśmy na ziemi.

- Ann... Rileyu...

Boris Karloff nie zdołałby wymówić ich imion bardziej zło-wieszczym głosem.

- Co się stało? - wybuchnęłam.

- O co chodzi? - spytała Ann.

- Doktorze? - dodał Riley.

- Czy mogłaby pani na chwilę wyjść? - zwrócił się do mnie lekarz.

- To moja bliźniaczka! - zaprotestowała Ann niemal krzykiem. - Niezależnie od tego, co ma nam pan do powiedzenia, może pan mówić przy niej.

Nie wiem, skąd wzięła odwagę, by w ogóle się odezwać. Mnie ten jeden jedyny raz w życiu kompletnie zamurowało.

- No cóż - powiedział lekarz, odchrząkując. - Niełatwo mi to przekazać, ale...

- Ale co? - błagali Ann i Riley jednym głosem.

- Wasz syn ma zespół Downa.

Często wracam myślami do tego momentu. Przypominam sobie przesączające się przez żaluzje jasne promienie słońca, tak niestosowne, tak nie na miejscu jak żałobnik, który przyszedł na pogrzeb męża stanu w krótkich spodenkach, podkoszulku i przez cały czas popijał piwo z puszki. Pamiętam Ann i Riley'a, słuchających słów lekarza. Przyszło mi wówczas na myśl, że to oni zachowują się jak bliźnięta - twarze obojga wyrażały tę samą rozpacz.

Łzy wylane tego dnia przez moją siostrę wypełniłyby literatkę i niewielki dzbanek, które stały na tacy obok łóżka, basen, kosz na śmieci i torbę na pieluszki, przyniesioną przez rozradowaną Ann, a także wszystkie inne pojemniki znajdujące się w pomieszczeniu. Nigdy w życiu nie widziałam, by ktoś tak potwornie płakał.

Przyznaję, że Ann zawsze chętnie łała łzy. Niezmiennie szlochała, gdy coś sobie zrobiłam - kiedy spadłam z roweru i otarłam przy okazji oba kolana, kiedy David Corley, którego w przedszkolu kochałam na zabój, powiedział mi, że jestem siusiumajtką. Płakała również na każdym oglądanym przez nas filmie Walta Disneya, od *Bambiego* poczynając (co zrozumiałe), poprzez *Rodzice, miejcie się na baczności* (można jej wybaczyć), aż po *Kochanego Chrabąszcza* (!!!???)

Spodziewałam się więc łez, ale byłam zmartwiona ich niesłabnącą siłą dlatego wyszłam za pielęgniarką z sali.

- Nie sądzi pani, że przydałby się jej jakiś zastrzyk albo coś w tym stylu? - spytałam. - Rozchoruje się od tego płaczu.

- Nie potrzebuje żadnych środków uspokajających odparła pielęgniarka. - Te łzy i tak muszą popłynąć, więc niech popłyną od razu.

Pielęgniarka знаła się na rzeczy. Ann przed powrotem do domu wypłakała wszystkie łzy, pozbywając się strachu, bólu i złości.

Wciąż płacze na filmach i zawsze roni łezkę czy dwie, gdy opowiadam jej o swojej ostatniej porażce w potyczkach z Amorem, ale od wyjścia ze szpitala ani razu nie płakała nad Richem. Przynajmniej na oczach innych.

- Och, Genevo - jęknęła, gdy podzieliłam się z nią tym spostrzeżeniem. - Oczywiście, że płaczę nad Richem, ale staram się nie robić tego przy nim. Mój syn potrzebuje ode mnie wielu innych rzeczy.

I słowo daję, Ann mu je dawała. Riley również. Nigdy nie widziałam dwojga rozsądnych ludzi bardziej zwariowanych na punkcie dziecka. Każde jego osiągnięcie wynoszą pod niebiosa nie tylko w listach, ale i w telefonach, a Ann nie poprzestała na prowadzeniu szczegółowego dziennika jego dokonań w okresie niemowlęctwa. Nadal robi album z każdego roku jego życia.

Najczęściej jednak powtarza, ile radości dostarcza jej Rich i że jest „czystą, płynącą prosto z serca miłością”.

Pewnego razu trafiłam w telewizji na talk show, w którym rodzice opowiadali, w jaki sposób radzą sobie z dziećmi chorymi na zespół Downa. Pamiętam, że ich ochy i achy wzruszyły mnie do łez. Niemniej dręczyło mnie wówczas dziwne przekonanie, iż ich entuzjazm, jakże podobny do entuzjazmu Ann i Riley, pomaga im przekonać siebie samych do tego, co mówią.

Wmawiałam sobie, że nie czuję bliskiej więzi emocjonalnej z siostrzeńcem, ponieważ dzieli nas spora odległość. Pragnąc nadrobić te uczucia (albo ich brak), odgrywałam rolę wspaniałej matki chrzestnej, wysyłając mu bajeczne prezenty urodzinowe i bożonarodzeniowe, a przez okrągły rok zasypując go niespodziankami - gramami wideo, zabawkami mechanicznymi, podkoszulkami. Wysyłałam mu walentynki, koszyczki wielkanocne, duże zdjęcia z autografami kolegów i koleżanek ze sceny. Rich miał całą ścianę przeznaczoną dla „rozrywkowych przyjaciół cioci Gennie”. Zamieniałam z nim kilka słów, ilekroć rozmawiałam z Ann przez telefon, i cierpliwie słuchałam, gdy opowiadał okropne kawały.

Czyż moje wsparcie na odległość to za mało? Dlaczego poproszono mnie o osobisty udział w jego wychowaniu?

Obudziłam się następnego ranka na kanapie. Na podłodze leżały pomięte opakowania z czekoladek, obok opróżnionej butelki stał pusty kieliszek po szampanie, a mój brzuch przelewał się nad górnym brzegiem fig jak ziemia osuwająca się przez mur zaporowy. Powoli wstałam. Czułam się jak ofiara kaca i czegoś, co powoduje dodatkowe półtora kilograma żywej wagi. Ruszyłam w stronę sypialni z zamiarem przespania kilku najbliższych godzin na czymś wygodniejszym niż kanapa, po drodze jednak zatrzymałam się, żeby odebrać dzwoniący telefon. Nie miałam zamiaru słuchać, kto to taki. Chciałam jedynie odłożyć słuchawkę, żeby przerwać nieznośne dzwonienie, ale w tym momencie usłyszałam głos swojej agentki.

- Genevo! - krzyknęła.

Westchnęłam. Bolała mnie głowa. Przytrzymałam słuchawkę przy uchu.

- Tak? - powiedziała zmieszana, jak nastolatek, któremu kazano wypić mleko.

- No cóż, u mnie wszystko w porządku. Miło, że pytasz - odparła Claire w charakterystyczny dla siebie, energiczny sposób. - Po prostu chciałam tylko potwierdzić godzinę, ponieważ wiem, że czasami zapominasz o takich drobiazgach. A zatem pierwsza, tak?

- Claire — mruknęłam ponuro. - Co to...?

- W takim razie do zobaczenia!

Zerknąwszy na swój kalendarz, dostrzegłam mnóstwo grymołów (mój charakter pisma ucierpiał z powodu wieloletniego rozdawania autografów). W końcu rozszyfrowałam je jako *The Russian Tea Room, Claire, 13.00*.

Było dziesięć po dwunastej.

- Świetnie-jęknęłam na głos.

Po odliczeniu czasu potrzebnego na dojazd zostało mi dwadzieścia minut na to, by doprowadzić się do stanu używalności. Zważywszy na okoliczności, taki wyczyn zniechęciłyby nawet Houdiniego.

- Trzeba przyznać, kochanie, że prezentujesz się... dość interesująco - powitała mnie Claire, gdy usiadłam przy jej stoliku. - Zaproponowałabym ci drinka, ale wyglądasz, jakbyś już wcześniej skorzystała z czyjejś oferty.

- Spójrz, to Zach Bloome! - zawołałam, machając ręką sławnemu wiolonczeliście, który był w mieście, ponieważ podpisał umowę z Carnegie Hall.

W restauracji panował ogromny ruch, pełno było osób cieszących się międzynarodową sławą i ludzi estrady, a także przyglądających im się z zaokrąglonymi oczami turystów. Wybrałyśmy ten lokal z powodów sentymentalnych. Dwadzieścia pięć lat temu dokładnie w tym miejscu po raz pierwszy spotkałyśmy się na lunchu jako klientka i jej agent. Obie byłyśmy wtedy od niedawna w Nowym Jorku i same wybałuszałyśmy oczy.

- Poproszę kawę - powiedziałam do kelnera. - Pełną filiżankę.

- No cóż - mruknęła Claire. - Jak wyglądam?

Zanim udzieliłam jej odpowiedzi, wypiłam całą szklanke wody.

- Nie masz pojęcia, jak bardzo tego potrzebowałam.

Zerknęłam znad oprawki okularów przeciwsłonecznych. Claire uśmiechała się promiennie.

- W porządku - poddałam się, czując, że w jej pytaniu kryje się jakiś podstęp. - A jak powinnaś wyglądać?

- Na młodszą, niż jestem.

- To dotyczy nas obu - stwierdziłam, kiwając głową kelnerowi, który postawił przede mną kawę. - Żadna z nas nie chce za szybko się zestarzeć.

Promienny uśmiech Claire zniknął. Spojrzała na stolik, poprawiła serwetkę, przesunęła sztućce.

- Zapomniałaś, prawda? - spytała łagodnie.

- O czym?

Nie miałam nastroju do głupich żartów, zwłaszcza że trzy excedriny nie zdołały pokonać mojego bólu głowy.

Dolna warga Claire zaczęła drżeć. Patrzyłam jak zauroczona, nie z tego względu, że moja rozmówczyni nieco krzywo obrysowała usta konturówką (prawdopodobnie robiła to bez okularów), ale dlatego, że uważałam Claire Schwartz za twardą i bezwzględną kobietę interesu. Mój Boże, z dziką rozkoszą walczyła z producentem, jeśli tylko uznała, że dzięki temu uzyska dla swojego klienta lepszy kontrakt. Była moją agentką od samego początku, a jej wiara we mnie przypominała żagiel na nie zawsze spokojnych wodach.

- Chodzi o to, że... no cóż, pięćdziesiątka to w pewnym sensie wielka sprawa!

Nagle poczułam, że robi mi się niedobrze, choć nie z powodu kaca.

- Och, Claire - jęknęłam. - Dziś są twoje urodziny, prawda? Przynaknęła.

- Kiedy dzwoniłam, żeby przypomnieć ci godzinę, nie przypuszczałam, że należałoby również zwrócić uwagę na wydarzenie. - Twardy ton, jakiego używała podczas negocjacji, zastąpił głosik małej dziewczynki.

- My... myślałam, że świętujemy ponowne otwarcie.

„The Russian Tea Room” przez kilka lat był zamknięty, ponieważ przeprowadzano remont (jego niewiarygodny zakres świadczył o tym, że Busby Berkeley wraca na scenę i robi

obecnie karierę w projektowaniu wnętrz), i bardzo nam go brakowało.

- Tak mi przykro, Claire - zapewniłam, potrząsając głową. - Mam propozycję: podniesiemy twoją prowizję do piętnastu procent i uznamy to za prezent urodzinowy.

W oczach mojej rozmówczyni pojawił się błysk.

- Naprawdę?

- Nie. To był tylko gest. Głupi gest.

Claire zdołała się roześmiać.

- Jeszcze jeden, co?

Chociaż to ja pierwsza poruszyłam ten temat, komentarz Claire dotknął mnie do żywego, dlatego byłam zadowolona, że pojawił się kelner.

- Zdecydowały się panie na coś? - spytał.

Dzięki niemu mogłam bezboleśnie zmienić temat.

- Co by pan polecił mnie i solenizantce?

Godzinę później przekroczyliśmy naszą miesięczną normę cholesterolu (zjadłyśmy *foie gras*, bliny, kaczkę i deser) i zajęłyśmy się butelką wina, które zamówiłam, gdy znudziła mi się kawa.

Rozmawiałyśmy o interesach, o dramaturgu, który zdobył nagrodę Pulitzera i rozstał się ze swoją żoną, aktorką, dla jej scenicznego partnera, i o tym, że powstaje następny musical oparty na filmie animowanym.

Uśmiechnęłam się do swojej agentki, która miała zaczerwienioną twarz i nieco potargane włosy, jakby wino rozluźniło również loki.

- Na pewno nie wyglądasz na pięćdziesiąt lat.

Claire wzruszyła ramionami.

- Ale czuję, że je mam. - Wodziła palcem po brzegu kieliszka. - Naprawdę zapomniałaś, hm?

Cholera... a właśnie myślałam, że uzyskałam rozgrzeszenie i szefzapomni o naganie.

Splotłam palce i wbiłam w nie wzrok - chciałam go skupić na czymś innym niż twarz Claire. Niestety, to był błąd, gdyż na prawej ręce lśnił piękny, filigranowy pierścionek z białego złota z błyszczącym rubinem. Dostałam go od Claire dawno, dawno temu, na moje czterdzieste urodziny.

- Tylko nie myśl, że jesteśmy zaręczone, czy coś w tym stylu - zażartowała wówczas. - Po prostu zobaczyłam go

w sklepie ze starociami i pomyślałam, że bardzo będzie do ciebie pasował.

Szybko rozluźniłam ręce i położyłam je na kolanach.

- Chyba tak. To znaczy pamiętam, że piętnastego października masz urodziny, ale odkąd przestałam występować, kompletnie straciłam rachubę czasu, poza tym wciąż nie mogę się pozbierać po Trevorze...

Zerknąwszy na twarz Claire, zorientowałam się, że jest (a) znudzona i (b) nieszczęśliwa. Nie mogłam tego znieść, dlatego wstałam i w obecności wszystkich, którzy przyszli tu na lunch, odśpiewałam swojej agentce *Happy Birthday*. Muszę powiedzieć, że nie tylko odśpiewałam tę piosenkę, ale przy okazji urządziłam małe przedstawienie, jakbym brała udział w przesłuchaniach do jakiegoś sławnego musicalu. Improwizowałam, dodawałam ozdobniki, trzymałam ostatni dźwięk (mogę dodać, że było to górne G) chyba przez dwadzieścia minut.

Kelnerzy i klienci nagrodzili mnie gromkimi brawami i nie pozwolili mi usiąść, póki kilkakrotnie się nie ukloniłam.

- To tylko początek - zaznaczyłam, gdy w końcu usiadłam. - Pierwszy z pięćdziesięciu prezentów na pięćdziesiąte urodziny.

Claire westchnęła.

- Och, Genevo, wystarczyłaby kartka z życzeniami.

Szłam East Fifty-seventh Street w kierunku domu, mrużąc oczy przed chłodnym wiatrem. Moja sylwetka i sposób poruszania się musiały sygnalizować wszystkim „nie próbujcie wchodzić mi w drogę”, ponieważ nikt mnie nie zaczepił. Gdyby ktoś to zrobił, prawdopodobnie urwałabym mu głowę albo wypłakała mu się na ramieniu.

Czułam się podle, ale przede wszystkim było mi bardzo wstyd. Nie lubię ani jednego, ani drugiego. Czekałam, aż po Claire podjedzie taksówka, i przez cały czas opowiadałam, w jaki sposób nadrobię swoje zaniedbanie.

- Dlaczego tak postępujesz? - spytała, odczesując do tyłu włosy, które wiatr zarzucił jej na twarz.

- O co ci chodzi?

- Posłuchaj, jestem twoją agentką. Płacisz mi za rady do-

tyczące kariery. Teraz, jako przyjaciółka, coś ci poradzę - za darmo.

Nie bardzo chciałam słuchać, co Claire ma mi do powiedzenia, dlatego modliłam się, żeby taksówka pojawiła się jak najszybciej.

- Już dawno wyrosłaś z pieluch, Genevo. Od czasu do czasu musisz pamiętać, że inni ludzie też mają różne potrzeby.

- To nie jest śmieszne - powiedziałam, starając się naśladować mowę dziecka.

Claire uśmiechnęła się smutno.

- Nie chodzi tylko o to, że zapomniałaś o moich pięćdziesiątych urodzinach, Genevo, choć sam ten fakt jest dość bolesny. Niestety, to jedynie część całości, jeden z licznych przypadków twojego ciągłego zapomnienia - albo, co gorsza, niedostrzegania - czego potrzebują inni.

- O rany! - jęknęłam, zasłaniając ręką twarz.

- Wiesz, że cię bardzo kocham - o Boże, taksówka! - ale raz na jakiś czas musisz zejść na drugi plan i pozwolić, by ktoś inny zagrał pierwszoplanową rolę.

Skończywszy tę kwestię, wsiadła do taksówki i trzasnęła drzwiami.

Przyszło mi na myśl, żeby ją zwolnić - wierzcie mi, jest wielu wspaniałych agentów, którym nigdy nie przyszłoby do głowy, żeby odzywać się do mnie w taki sposób - ale jeszcze nie do końca wkroczyłam na ścieżkę Joan Crawford. Czasami potrafię spojrzeć prawdzie w oczy. Najsmutniejsze jednak było to, że Claire miała rację.

Gdy dmuchnął październikowy wiatr, postawiłam kołnierz, nie przestałam się jednak trząść.

Gdy zadzwoniłam do Ann i powiedziałam jej, że zajmę się Richem, nie usłyszałam okrzyku radości, którego się spodziewałam, zapadła natomiast całkowita cisza.

- Ann! - zawołałam po chwili. - Jesteś tam, a jeśli tak, czy nic ci się nie stało?

Nadal cisza.

- Ann, zacznym się bać!

Usłyszałam powietrze wypuszczane z płuc.

- Och, Genevo - odezwała się w końcu. - Dziękuję.

Moja siostra powiedziała te słowa jak żebrak, który właśnie dostał banknot dwudziestodolarowy - z tak ogromną wdzięcznością, że musiałam zażartować, gdyż inaczej wybuchnęłabym płaczem.

- A tak swoją drogą, czy Rich wie - spytałam energicznie - że jestem zwolenniczką kar cielesnych?

3

Nie mam nic przeciwko zamieszaniu wokół mojej osoby, postanowiłam więc zorganizować przyjęcie pożegnalne. Chciałam spędzić ten wieczór, jedząc wyszukane potrawy, pijąc szampana i słuchając, jak ludzie mówią, że jestem miła, bezinteresowna i/lub ofiarna.

Przyjęcie odbyło się w poniedziałkowy wieczór, kiedy to teatry toną w ciemnościach, a ich pracownicy zażywają przyjemności, na które nie mogą sobie pozwolić podczas weekendu. Kompozytor naszego musicalu wyżywał się na klawiszach, kilku wynajętych przeze mnie kelnerów serwowało drinki i przystawki, a całe mieszkanie wypełniał pełen radości gwar, podzwanianie naczyń i śmiechy. Byli obecni wszyscy współpracujący przy *Monie*, z wyjątkiem Trevora Waite'a - nie zaprosiłam go z czystej złośliwości. Faith Bennet, która podjęła się niewdzięcznej roli zastąpienia mnie w roli Mony, przekazała mi od niego wiadomość: „Ellie i ja serdecznie cię pozdrawiamy”.

- Ellie? - spytałam zaskoczona.

Faith przytaknęła.

- Tak, Ellie. Ellie Armstrong, gwiazda Broadwayu.

- Myślałam, że to ja jestem gwiazdą Broadwayu.

- Ty jesteś starą, a raczej była gwiazdą. - Faith się roześmiała, ale jej nie zawtórowałam. - Nową gwiazdą jest panna Chodząca Naiwność, a *Gibson Girl* robi prawdziwą furorę.

- Słyszałam, że to straszne gówno.

Faith uśmiechnęła się, rozkoszując się jadem, którego my, aktorzy, chętnie używamy w stosunku do naszych rywali.

- Według krytyków to wcale nie takie straszne gówno, a zdaniem Trevora panna Armstrong jest gwiazdą.

- To znaczy, że chodzą ze sobą?
- Nie tylko chodzą, kochanie.

Faith nie udało się odnieść w telewizji zbyt wielkiego sukcesu, dlatego nie mogła mi wybaczyć, że jestem gwiazdą, której miejsce ma zająć. Uwielbiała przy każdej nadarzającej się okazji wypuszczać w moją stronę zatrute strzały. Spełniwszy swoją misję, rozłożyła jedwabny kaftan, jakby próbowała chwycić wiatr w żagle, i odpłynęła z powrotem w stronę bufetu. Zauważyłam, że ma nieco przyciężką rufę.

Zostałam sam na sam z myślami o najnowszym romansie Trevora z młodą chodzącą naiwnością. Wszystkie komunały na temat męskiego kryzysu wieku średniego, tak chętnie powtarzane przez niego podczas kilku ostatnich miesięcy naszego związku, teraz stały się dlań rzeczywistością - zwłaszcza ten, że zatrzyma młodość, jeśli będzie miał u boku mniej więcej dwudziestodwuletnią dziewczynę. Dowiedziałam się również, że zamienił wysłużone bmw na nowiutkiego jaguara, zupełnie jakby uznał, że stare modele wymagają zbyt dużych nakładów i że prawda ta dotyczy wszystkich dziedzin życia.

- Nie do twarzy ci z naburmuszoną miną, Gen - ostrzegła Claire.

Udało mi się wrócić do jej łask, gdy w spóźnionym prezencie urodzinowym dostała ode mnie niezwykle kosztowną kryształową karafkę w komplecie z kieliszkami do wina.

- Faith właśnie poinformowała mnie o ostatnich podbojach Trevora.

- Nie wiedziałaś?
- A ty tak?

Claire przytaknęła, częstując się krewetką.

- Myślałam, że wszyscy wiedzą.
- Widocznie znalazłam się nie tylko poza sceną, ale i poza obiegiem.

Wcale mi się to nie podobało - owszem, potrzebowałam trochę spokoju i odpoczynku, ale nie kosztem tego, że jako ostatnia dowiem się, co wyrabia Trevor,

- A skoro już mowa o życiu poza sceną - wtrąciła Claire - miałam dzisiaj długą rozmowę z panem Powellem.

Angus Powell był producentem *Mony*. Gdy zgodnie z przysługującym mi prawem postanowiłam zrezygnować z występów, krzyknął: „Zaskarżę ją!”

- Kazał spytać cię, czy nie masz wyrzutów sumienia, że opuszczasz przedstawienie na samym początku dobrze zapowiadającego się sezonu.

- A to niewdzięcznik! - warknęłam. - Pewnie dla niego nie ma znaczenia, że grałam o sześć miesięcy dłużej i że mój kontrakt wygasł.

- Nie, nie ma znaczenia. Dla Powella liczy się tylko to, że spektakl bez ciebie ma spore szanse zrobić klapę i spowodować straty finansowe. - Wzięła następną krewetkę. - Powiedz mi jeszcze raz: kiedy wyjeżdżasz do Wisconsin? - Długim, pomalowanym na czerwono paznokciem starła spływający po wardze sos.

- Do Minnesoty. Za sześć dni. Ale gdyby pojawiło się coś nowego, zadzwoń. W końcu zawsze mogę załatwić to jakoś inaczej.

Claire uśmiechnęła się niemal... jak by to powiedzieć... złośliwie.

- O nie - zaprotestowała. - Nie pozwolę, by jakiś Sondheim czy Spielberg przeszkodzili Genevieve Jordan w spełnieniu dobrego uczynku.

Roześmiała się, jakby to było coś zabawnego. Nie podzielałam jej rozbawienia.

- Nie jedz za dużo krewetek - ostrzegłam, oddalając się w poszukiwaniu jakiegoś miłszego rozmówcy. - Wiesz, że owoce morza idą ci w biodra.

Podeszłam do niewielkiej grupki gości.

- Właśnie rozmawialiśmy o tobie, Genevo - powiedziała Lacey O'Rourke, dziennikarka mająca swoją kolumnę. - Właśnie im mówiłam, że moja siostra nigdy nie powierzyłaby mi opieki nad swoimi dziećmi. Gdyby nie zabiła ich moja kuchnia, nie przeżyłyby moich ulubionych utworów muzycznych.

- No właśnie - wtrącił Roy Dale, projektant kostiumów do *Mony*. - Co masz zamiar robić w tej dziczy z trzynastoletnim chłopcem? Zabierać go na wiejskie zabawy czy pilnować podczas konkursu w pluciu na odległość?

Zawsze uważałam, że kostiumy *Mony* były najsłabszym punktem musicalu. Royowi wydaje się, że jest dowcipny i uzdolniony, ale ten kocur niewiele z siebie daje.

- Roy, czy kiedykolwiek...

- Genevo - przerwał mi Joe Bernardi, choreograf moich trzech ostatnich przedstawień, pierwszy tancerz *Mony* i nieoficjalny mąż zaufania ekipy, niezmiennie godzący zwaśnione strony. - Czy moglibyśmy zwinąć dywan i potańczyć?

Oczywiście, zawsze tańczyliśmy na organizowanych przeze mnie przyjęciach. Moja ogromna kolekcja płyt obejmowała wszystko, od Cab Collway poprzez Grass Roots do Sheryl Crow, i wykorzystywana była nie tylko do słuchania. Zaczęliśmy więc tańczyć. Przynajmniej większość nas. Reszta szukała innych przyjemności.

Nasz reżyser, Paul Drake, zrezygnował na ten jeden wieczór z typowej dla siebie powagi i śpiewał w wannie irlandzkie pieśni pogrzebowe. Gail Wendt poszła do domu z barmanem, który dorabiał sobie na boku jako aktor i prawdopodobnie mniej interesowała go sama Gail, a bardziej fakt, że mogłaby pomóc mu w karierze. Harry Howe, malarz mieszkający w tym samym budynku co ja, oblał czerwonym winem Faith Bennet i moją kanapę (pierwsze mnie rozbawiło, drugie wkurzyło). Było to typowe na Manhattanie przyjęcie dla ludzi ze świata rozrywki i świetnie się bawiłam, ale najwięcej przyjemności sprawiło mi wręczanie gościom płaszczy przy drzwiach, zbieranie niby-całusów, przyjmowanie życzeń powodzenia i słuchanie zachwyków nad tym, jak ogromną przysługę wyświadczam siostrze.

- No cóż, przecież mnie znacie - powiedziałam, wypychając ostatnią grupkę za drzwi. - Święta Geneva to ja.

Gdy po zamknięciu drzwi usłyszałam cichy chichot, podskoczyłam.

- Święta Geneva - zadrwiła Claire, potrząsając głową. - W jakim świecie my żyjemy?

- Och, zostałam, żeby pomóc mi w sprzątaniu? - spytałam słodko. Dotknęłam palcem podbródka. - W porządku. Może zaczniesz od naczyń, a skończysz na łazience? Środek do czyszczenia muszli jest w szafce, znajdziesz tam też starą szczoteczkę do zębów.

Claire się roześmiała.

- Święci zawsze zostawiają najgorsze zajęcia dla siebie - przypomniała, zakładając płaszcz. - A teraz daj spokój, Genevo, bądź grzeczna i pocałuj swoją agentkę na pożegnanie.

- Dam ci dziesięć procent od pocałunku - powiedziałam. - To wszystko, na co zasługujesz.

Sprzątaniem zajęli się zatrudnieni przeze mnie ludzie, nie pozostało mi więc nic innego, jak pójść do łóżka.

Urządziłam sobie wspaniałe miejsce do spania: ogromne, kalifornijskie łożo, najłżejsza pod słońcem puchowa kołdra, jedwabne prześcieradła... wszystko, co najlepsze na moje wizyty w królestwie snu. Tylko... nie mogłam zasnąć.

Miałam zarezerwowany bilet lotniczy, spakowane bagaże (trzy, jak na mnie wyjątkowo mało, ale w Minneapolis życie towarzyskie właściwie nie istnieje, nie potrzebowałam więc sukni wieczorowych). Co parę dni będzie przychodziła moja gospodyni, żeby wszystko sprawdzić; najważniejsze sprawy były załatwione. Pozostał tylko jeden mały problem, który dźwięczał mi w głowie tak, jak swym nosowym głosem spreyczował go Roy Dale: „Co masz zamiar robić w tej dzicy z trzynastoletnim chłopcem?” Prawdę mówiąc, nie chodziło o dzicz, bardziej o to, jak będę zabawiać trzynastoletniego siostrzeńca.

Na zdjęciach wiszących w moim gościnnym pokoju wyraźnie było widać, że Rich ma zespół Downa, ale prawie nikt o tym nie wspomniał (może dlatego, że niewiele osób wchodziło do mojego pokoju gościnnego, z wyjątkiem tych, którzy chcieli się przespać). Ci ostatni naprawdę się martwili, mieli więc prawo marszczyć czoła, jednak za każdym razem z wyraźną ulgą przyjmowali moje zdawkowe odpowiedzi i... szybką zmianę tematu. Chętnie przypisałam im niepokój typowej dla tej grupy bezduszności... ale jak wytłumaczyć własne wątpliwości?

Spędzałam z Richem trochę czasu w trakcie swoich krótkich wizyt, ale zawsze byli przy nas Ann lub Riley. Poza tym ciocia Gennie, gdy znudziło ją przebywanie w rodzinnym gronie, zawsze mogła się wymówić chęcią zrobienia sobie kąpieli albo „ucięcia krótkiej drzemki dla urody”.

Im dłużej zastanawiałam się, w co się wpakowałam, tym bardziej dochodziłam do wniosku, że potrzebna mi pomoc psychiatry. Z pewnością musiałam być szalona, godząc się na coś takiego. Jak ja sobie poradzę? Co będziemy robić przez cały dzień czy przez tę część dnia, kiedy będziemy razem? Rzucałam się i wierciłam w swoim bawełniano-satynowym

raju, próbując znaleźć rozwiązanie problemu, którego nie ciało się rozwiązać. W końcu wstałam o świcie i chociaż kusiło mnie, żeby nalać sobie sporego drinka, nie chciałam do niewyspania dołożyć bólu głowy, dlatego zrobiłam solne kawę.

Na dzień przed wyjazdem do Minncapolis wybrałam się na kolację i do teatru. Chętnie odwiedziłabym leż Benny'go, ale niespodziewanie musiał wyjechać do Los Angeles, żeby uczesać Morę Maynard.

- Gdzie chcą ją pokazać? - spytałam, mając na myśli niemal stuletnią gwiazdę kina niemego. - Na imprezie, na której będą zbierane fundusze na konserwację następnego filmu?

- Mora Maynard umarła, Genevo - wyjaśnił szorstko Henry. Nigdy tak się do mnie nie odzywał. Czesalem ją kiedyś do zdjęcia na okładkę *TV Guide*. Była bardzo zadowolona, dlatego rodzina poprosiła mnie, żebym uczesał ją po raz ostatni.

- Och, no cóż... bardzo mi przykro - powiedziałam, odkładając słuchawkę.

Nie należę do ludzi, którzy panicznie boją się spędzania samotnie wieczoru na mieście - lubię własne towarzystwo - dlatego zjadłam kolację we francusko-peruwiańskim lokalu, o którym ostatnio sporo słyszałam. Całe pomieszczenie pomalowano na turkusowo („Jest to kolor południowoamerykańskiego nieba” - napisano w karcie), wszyscy siedzieli na krzesłach w kształcie lam i jedli danie złożone z gęstego sosu, ryżu i fasolki. Gdybym była krytykiem, zaraz bym ich obsmarowała; tanie chwytły nie wystarczą, by z przeciętnego lokalu zrobić dobrą restaurację.

To samo można powiedzieć o musicalu, który obejrzałam. Zatyłowałałabym go *Królowa tanich chwytów*. Oczywiście, nie oczekiwałam zbyt wiele po spektaklu kręcącym się wokół fryzury, do czego właściwie wszystko się sprowadzało.

Nie, nie przyszłam na mądrą opowieść, **chciałam** jedynie zobaczyć Ellie Armstrong. Siedziałam w ostatnim rzędzie (żeby sprawdzić, jaką ma emisję głosu) z rękami skrzyżowanymi na piersiach, z zaciśniętymi zębami, jakbym cierpiała na szczękościsk, i ani przez chwilę nie spuszczałam z niej oka.

Była ładna, ale prezentowała typ urody, który szybko się

starzeje. Nowa dziewczyna Trevora zbrzydnie jeszcze przed czterdziestką. Do drobniutkiej figury nie pasowały bez wątpienia sztucznie powiększone piersi. Nie miała nawet stu sześćdziesięciu centymetrów wzrostu i nie ważyła czterdziestu kilogramów, za to na pewno nosiła staniki z miseczkami D. Może nawet E.

Producenci w pełni wykorzystali (silikonowe) atuty panny Armstrong. W pierwszych kilku scenach miała na sobie bluzkę z golfem i bufiastymi rękawami, ale już od połowy aktu paradowała po scenie w gorsecie i jakoś nie przyszło jej do głowy, żeby się ubrać. Zrobiła to dopiero przed ostatnim wejściem.

Muszę przyznać, że ma głos, jeśli ktoś lubi drżący sopranik, który brzmi, jakby jego właścicielka była bliska łez. Aż miałam ochotę powiedzieć jej na boku, żeby wzięła się w garść.

Podczas antraktu podeszło do mnie kilka osób, prosząc o autograf i pytając, czy podzielam ich opinię, że Gibson Girl jest wspaniała.

- Rewelacyjna - potwierdziłam z promiennym uśmiechem na ustach, tak fałszywym jak plastikowe owoce.

Trzykrotnie podnoszono kurtynę, ale ja nie przyłożyłam ręki do poszechnego aplauzu. Szybko wyszłam z sali i w niemal pustym foyer wrzuciłam program do kosza na śmieci.

Chciałam trochę się przejść, żeby nieco oprzytomnieć. Widok ostatniej ukochanej Trevora zaniepokoił mnie i wytrącił z równowagi, dlatego przechodząc obok latarni, niemal kopnęłam słup.

W zasięgu wzroku pojawił się jednak lepszy cel.

- Witaj, Genevo!

Słyszac dobrze mi znany, słodki jak miód głos, poczułam się tak, jakby poraził mnie prąd: podskoczyłam i dostałam gęsiej skórki.

Odwrociłam się w stronę ludzkiej błyskawicy, udając zaskoczoną i znudzoną.

Uśmiechnął się. Miałam ochotę odpowiedzieć tym samym - chciałam wpaść mu w ramiona i zasypać go pocałunkami - ale brnąc dalej, powiedziałam tylko:

- Och, to ty, Trevorze. Co za niespodzianka!

Z jego twarzy nie zniknął uśmiech, chociaż bardzo tego chciałam - było mu z nim bardzo do twarzy. No cóż, z nim

i z dwoma dołeczkami, które pojawiały się po obu stronach ust niczym wierni ochroniarze.

- Wybrałaś się na spacer? - spytał.

- Prawdę mówiąc, na *Gibson Girl*.

Ochroniarze stali się jeszcze bardziej widoczni, ponieważ Trevor się rozpromienił.

- Naprawdę? Och, Ellie tak się ucieszy. Jest twoją wielbicieleką.

- Na pewno - mruknęłam chłodno.

- Właśnie jestem z nią umówiony - wyznał, a potem musnął palcami wargi (miał cały repertuar gestów sygnalizujących zamyślenie) i dodał: - Wybierzesz się z nami na drinka?

Wyglądał na zaskoczonego swoim zaproszeniem, ja również. Nigdy nie udało mi się opanować sztuki kulturalnego kończenia znajomości - zerwanie nadal traktuję równie poważnie jak w klasie maturalnej, kiedy to Brad Norlund (strasznie głupie bydlę) poprosił, żebym oddała mu jego skórzaną kurtkę. Kiedy mam złamane serce, zachowuję się jak osoba ze złamanym sercem: płaczę, jem za dużo czekoladek i zastanawiam się nad zemstą w stylu voodoo. Nie chodzę na drinki z facetami, którzy złamali mi serce, i ich nowymi dziewczynami.

Tym razem jednak przestałam udawać zaskoczenie, a na mojej twarzy pojawiło się lekkie rozbawienie.

- Świetnie - odpowiedziałam beztrzesko, jakby portier pytał mnie, jak mi leci.

Po drodze do baru przez kilka minut rozmawialiśmy o tym i o owym.

- A jak leci przedstawienie?

- Wspaniale. Oczywiście, Faith Bennet nie ma twoich strun głosowych, ale ściągnęła na widownię wszystkich swoich wielbicieli z poprzedniego teatru. Dzisiaj była pełna sala.

Poczułam ukłucie zazdrości. Pełna sala?

- Poza tym jest to ogromna wygoda dla mnie i Ellie, ponieważ pracujemy naprzeciwko siebie przy tej samej ulicy.

Uśmiechnęłam się błado.

- Oczywiście, skoro mowa o wygodzie, nic nie pobije naszego układu, ponieważ oboje pracowaliśmy w tym samym teatrze.

- Cieszę się, że nasz układ był dla ciebie wygodny, Trevorze.

Ujął mnie za łokieć i wprowadził do „Shay's Bar”, ulubionego lokalu broadwayowskich aktorów.

- Nie tylko wygodny - odparł, a ja, jak to często mi się zdarzało w przypadku Trevora, nie miałam pojęcia, o co mu chodzi.

W restauracji siedzieli aktorzy z *Mony* i *The Fieldstone Papers*, był również Ronnie Jax, który właśnie otworzył teatr jednego aktora. Bawili się jak na normalnym przyjęciu, więc od razu się do nich przyłączyłam, zamawiając podwójne martini i ulegając Ronniemu, by usiąść u niego na kolanach.

- Kiedy masz zamiar napisać sztukę dla dvojga aktorów i zaangażować mnie jako partnerkę? - spytałam.

- Od razu - odparł Ronnie, znany milionom telewidzów jako czarny charakter z opery mydlanej *Time to Love*. - Jak tylko napełnimy brzuchy i zaszumi nam w głowach, pójdziemy do mnie do domu i zaczniemy próby.

Śmiejąc się, jakby stary lubieżnik zdołał mnie rozbawić, uwolniłam się z jego uścisku i usiadłam przy małym stoliku obok Trevora. Nie mogłam wybrać lepszej chwili, ponieważ w tym właśnie momencie weszła panna Ellie Armstrong.

Warto było ujrzeć jej kredowobiałą twarz. Myślałam, że ukochana Trevora zemdleje. Ona jednak przywołała na usta uśmiech, wyprostowała się i podeszła do stolika, dźwigając przed sobą ogromne piersi.

- Kochanie! - zawołał Trevor. Podrywając się, prawie stracił mnie z krzesła. - Spójrz, kochanie, kogo przyprowadziłem!

Mówił jak właściciel pieska po przeszmyglowaniu ufryzowanego bolończyka do eleganckiej restauracji. Nie szczeknęłam.

- Geneva - jęknęła panna Ellie, odzyskując pewność siebie. - Geneva Jordan. Podziwiałam panią, jeszcze będąc małym dzieckiem.

- Wciąż nim jesteś - przycięłam, ściskając wyciągniętą rękę. Zerknęłam złośliwie na jej klatkę piersiową. - Chociaż masz też bardziej dorosłe fragmenty.

- Genevo - wtrącił Trevor, dając mi do zrozumienia, że posunęłam się za daleko.

- Och, Trewie - zakwiliła Ellie, siadając na moim krześle, musiałam więc wysunąć sobie następnę. - Nie martw się o mnie. Nie wiem czemu, ale mnóstwo kobiet, zwłaszcza płaskich desek, nie może patrzeć na moje piersi. Niestety, z ich wrogością muszę sobie radzić od dwunastego roku życia.

Rozmowy ucichły. To było przedstawienie po przedstawieniu, coś, na co wszyscy czekali.

- Twoi rodzice pozwolili ci na operację plastyczną, gdy miałaś dwanaście lat? - spytałam tonem oburzonej pracownicy opieki społecznej.

Na bladej twarzy panny Armstrong pojawiły się rumieńce.

- Nigdy nie wstawiano mi operacyjnie żadnych implantów - oznajmiła tak wyraźnie, jakby była w sądzie i zeznawała w charakterze świadka.

- Och, to znaczy, że wstawiono ci je w jakiś inny sposób?

- Może już pójdziemy? - zaproponował Trevor, wstając.

- Nie, nie, świetnie się bawię. - Chodząca niewinność uśmiechnęła się promiennie. - Moi rodzice nigdy by mi nie wybaczyli, gdybym wyszła ze spotkania z Genewą Jordan. Oni również uwielbiają od dziecka.

- Myślę, że Trevor dobrze się czuje, słuchając twoich złośliwych żartów na temat wieku. W końcu jesteśmy rówieśnikami.

Panna Ellie spojrzała na Trevora, układając usteczka w pełne zaskoczenia „O”.

- Och, kochanie - pisnęła. - Ty też masz sześćdziesiąt pięć lat?

- Miau - wtrącił Ronnie, siedzący przy sąsiednim stoliku.

Roześmiałam się wraz z innymi, pragnąc pokazać, że nie upadłam tak nisko, by brać udział w idiotycznej awanturze, i wszystko to robię dla draki. (Chociaż byłam naprawdę wściekła o ten numer z płaską deską - odkąd to 85 B kwalifikuje się na to określenie?).

- Wpadłem na Genewę przed teatrem - wyjaśnił Trevor, machając na kelnera. - Właśnie wyszła z twojego przedstawienia.

- Naprawdę? - Ellie Armstrong nie zdołała ukryć zadowolenia.

Duma nie pozwoliła jej spytać, czy mi się podobało, ale i takiej odpowiedziałam.

- Dzięki tobie już wiem, czemu tak bardzo lubię teatr.

Panna Armstrong przyglądała mi się wyczekująco. Nic tak nie przykuwa uwagi aktora jak możliwość pochwały.

Kelner podał drinki, zabrał mój kieliszek i zastąpił go nowym podwójnym martini.

- Czemu lubisz teatr? - spytał Trevor, gdy kelner się oddalił. Upiłam łyk wina i uśmiechnęłam się.

- No właśnie. Wręcz go kocham. Myślę, że w jakiś sposób zaspokaja moją żądzę krwi. Uwielbiam patrzeć, jak ktoś umiera na scenie.

Panna Armstrong pisnęła jak mysz, której ktoś nadepnął na ogon. Potem wzięta do ręki swój kieliszek i wylała na mnie jego zawartość. To był banalny, ale efektowny gest.

Gdy wycierałam serwetką twarz, w barze panowała absolutna cisza. Potem wyjęłam szminkę, spojrzałam w podręczne lustro i starannie pomalowałam usta, jakbym wybierała się w jakieś inne, miłsze miejsce.

Nadal nikt się nie odzywał.

Wstałam, potrząsnęłam ognicie czerwonymi włosami i dopiero wtedy skierowałam wzrok na pannę Ellie Armstrong.

- Są sytuacje, kiedy nie wolno iść na łatwiznę - powiedziałam słodko. - Wiem, że chętnie stosujesz takie metody w swoim aktorstwie, ale w prawdziwym życiu warto zdobyć się na odrobinę oryginalności.

Ronnie Jax zawył, a ja z uniesioną głową opuściłam lokal, jakbym schodziła ze sceny.

Dopiero po dotarciu do następnej przecznicy (kopnięciu walającego się przy krawężniku papierowego opakowania z McDonald'sa i odepchnięciu na bok pijaka, który skręcił gwałtownie w moją stronę jak odpięta przyczepa) porzuciłam królewską postawę, a do oczu napłynęły mi łzy.

Chociaż na fakt, że zostałam oblana zawartością czyjegoś kieliszka, zareagowałam, jak przystało na zblazowaną aktorkę, prawda wyglądała tak, że jednak ktoś chlusnął mi drinkiem w twarz. Napływające do oczu łzy były nie tylko reakcją na doznane upokorzenie (choć w barze za wszelką cenę starałam się to ukryć), ale też na dręczący głos, który szeptał mi do ucha: „No cóż, może jednak sobie na to zasłużyłaś”.

„Przecież to ona zaczęła!” - odparłam, ale wewnętrzny głosik spytał wyjątkowo znudzonym tonem: „Naprawdę?”

- Może rzuci panienka jakimś drobnakiem - zagaił cię w drzwiach.

Jakiś żebrak nazwał mnie panienką, może więc w normalnych okolicznościach dostałby ćwierć dolara, ale byłam bliska płaczu, dlatego zignorowałam go i jedynie przyspieszyłam kroku. Musiałam iść naprawdę szybko, gdyż nagle znalazłam się w Minneapolis, w salonie babci Hjordis.

Ocierała oczy i pomagała mi złożyć koc, który służył za kurtynę w moim teatrzyku jednej aktorki.

- Och, Genevo! - zawołała, potrząsając głową. - Śmiałam się tak bardzo, że o mały włos byłabym... no wiesz.

- Co takiego? - spytałam, bo moje jedenastoletnie ego koniecznie chciało usłyszeć te słowa.

- Nooo, wiesz. Byłabym zamoczyła.

- Co?

- Och, Genevo - odparła babcia, od nowa wybuchając śmiechem. - Majtki.

- To naprawdę było zabawne - przyznała Ann, wsadzając szaliki i kapelusze do torby. - Mogłabyś wstępować w telewizji.

- Dzięki - powiedziałam.

Duma z pewnością wypełniłaby moją pierś, gdyby nie delikatne wyrzuty sumienia. „Mój” teatrzyk początkowo miał być „naszym” teatrzykiem, gdy jednak Ann zapomniała kwestii, które napisałyśmy pół godziny wcześniej, i zabrakło jej przytomności umysłu, by coś zaimprovizować, wyrzuciłam ją z dywanu przed kominkiem, miejsca, które było naszą sceną.

Wyciągnęłam rękę, palcem wskazałam na jadalnię i krzyknęłam:

- Idź i nie wracaj, póki nie nauczysz się roli!

Potem niedbałym gestem strzepnęłam wyimaginowane cygaro i powiedziałam, naśladując Groucho Marxa:

- Chciałam Chico, nie Harpo.

To wywołało salwy śmiechu mojej mało wymagającej publiczności (mamy, taty, babci i dziadka). Ann, chociaż miała twarz czerwoną jak burak, również się roześmiała i przycupnęła na kanapie obok babci.

Później, kiedy mama i tata przeszli przez trawnik i zniknęli w drzwiach domu, a dziadek poszedł do łóżka („Muszę jutro wcześniej wstać i założyć okiennice przeciwsturmowe”), bab-

cia, Ann i ja zabrałyśmy się do sprzątanania salonowego teatru. Od czasu do czasu wybuchałyśmy śmiechem, przypominawszy sobie jakiś zabawny fragment przedstawienia.

- Bardzo lubię, jak naśladujesz Clema Kadiddlehoppera - powiedziała babcia z norweskim akcentem. - Potrafisz wychwycić jego mimikę prawie tak dobrze jak Red Skelton.

- Dzięki - powiedziałam, robiąc minę Clema Kadiddlehoppera.

W tym momencie Ann uznała, że wszystko jest już posprzątane, i postanowiła pójść do domu. Babcia odłożyła trzymany w rękach koc (który służył za królewski płaszcz w jednym z moich skeczów), podeszła do mojej siostry i wzięła ją w ramiona. Widziałam, że coś szepnęła Ann na ucho. Ann kiwnęła głową i pocałowała babcię w policzek. Kiedy się od siebie odsunęły, na twarzy siostry zobaczyłam coś dziwnego - jakąś mieszaninę triumfu i rezygnacji.

- Nie zapomnij zrobić w łóżku orła - powiedziałam, otwierając drzwi frontowe.

Spałyśmy w podwójnym łóżku, a ta, która szła spać pierwsza, zazwyczaj kładła się na środku, a potem ruszała rękami i nogami tak jak dzieci robiące orły na śniegu.

- Co mówiłaś Ann? - spytałam od niechcienia, gdy siostra wyszła, a babcia i ja dokończyłyśmy sprzątanie.

- Co będzie, jeśli powiem ci, że to sekret?

- Wtedy ja ci powiem, że w towarzystwie nie ma żadnych sekretów - odparłam poirytowana. - Sama mnie tego uczyłaś, babciu.

Opadła na kanapę, jakby ktoś ją pchnął, a potem zajrzała do jednego z kubków stojących na ławie (nawet wieczorem w domu dziadków pijało się kawę). Wypiła z niego ostatni łyk.

- Och, Tweedledee - westchnęła babcia. - Po prostu powiedziałam Ann, że ona też jest gwiazdą.

Babcia przyswoiła sobie słowo „gwiazda”, gdy zaczęłam często go używać. „Kiedy dorosnę, zostanę gwiazdą”, itd.

- Czemu to zrobiłaś? - spytałam. Czułam dziwne ssanie w żołądku, jakbym była głodna.

Babcia roześmiała się, nie był to jednak jej najweselszy śmiech.

- Genevo! - W jej głosie słychać było lekką przyganę. -

Chodź i usiądź obok mnie, Genevo. - Poklepała poduchy karnapy.

Usiadłam obok niej z rękami skrzyżowanymi na piersiach. Ponownie się roześmiała, tym razem nieco weselej.

- Czy nie wystarczy, mała aktoreczko, że tak długo byłaś w centrum uwagi? Mało ci, że przez cały wieczór oglądaliśmy cię, śmialiśmy się z ciebie, biliśmy ci brawa?

- Ale to był mój występ! - przypomniałam, obawiając się, że zacznę płakać. - To ja jestem gwiazdą!

Babcia objęła mnie - czułam na plecach jej wiotkie mięśnie - i ścisnęła mi ramię.

- Owszem, jesteś gwiazdą, ale twoja siostra też zasługuje na to miano. Wielkie nieba, pamiętasz, jak kazałaś jej zejść ze sceny...? - Na samo wspomnienie babcia potrząsnęła głową. — Dobrze wiesz, że to wcale nie było miłe.

- Ale Ann nie nauczyła się swojej kwestii! Psuła mi przedstawienie!

Babcia jeszcze raz potrząsnęła głową.

- Może rzeczywiście psuła ci przedstawienie, ale czy to nie miał być wasz wspólny teatrzyk? Co byś zrobiła, gdyby to ona wyrzuciła cię ze sceny?

- Nigdy by tego nie zrobiła! - krzyknęłam gorączkowo. - Ja znałam swoje kwestie!

- A gdybyś czegoś zapomniała?

- Niemożliwe! - Zaciśnęłam ręce na piersi i wbiłam pięści w żebra.

Przez chwilę siedzieliśmy bez słowa. Babcia czekała, aż ochłonę. Zdawała sobie sprawę, że nigdy nie pozwoliłabym, by Ann wywaliła mnie ze sceny, a gdyby już zdecydowała się na taki krok, nie postąpiłabym tak elegancko jak ona - na pewno nie zostałabym, żeby zobaczyć, jak sama gra całe przedstawienie. Zastanawiając się nad tym wszystkim, czułam, że serce wali mi w piersiach jak młot, na dodatek bez przerwy mrugałam, starając się powstrzymać łzy.

W końcu babcia wzięła z ławy filizankę i spodeczek.

- Zapamiętaj, Genevo, że na bożym niebie są różne rodzaje gwiazd. Niektóre świecą bardzo jasno i migocą tak, że aż zapiera w piersiach dech, inne nie mają tyle blasku, ale to wcale nie znaczy, że ich nie ma. Po prostu ich światło jest nieco delikatniejsze, i już.

Wstając, powiedziała mi, żebym pomogła jej zanieść naczynia do kuchni, a potem zmykała do domu. Robiło się późno.

Pamiętam, jak pędziłam przez podwórko. Noc była wyjątkowo zimna. Chociaż w tamtych czasach otaczali nas sami dobrzy ludzie i nikt nie zamykał drzwi na klucz, pamiętam, że odczuwałam potworny strach, wręcz panikę. Dobrze znane podwórko, kępki krzaków i drzew nagle wydały mi się całkiem obce, dziwnie groźne. Wbiegłam po ceglanych schodach swojego domu. Brakowało mi Ann, z którą zawsze razem pokonywałyśmy trawnik, trzymając się za ręce, by obronić się przed wszelkimi duchami i zmorami.

Nagły ryk klaksonu sprawił, że z powrotem znalazłam się na ulicach Manhattanu. Ku własnemu przerażeniu zdałam sobie sprawę, że zaczęłam przechodzić przez skrzyżowanie na czerwonych światłach, wokół panuje mrok, jestem sama i prześladowają mnie całkiem inne zmory.

4

Dla mnie lot nie jest lotem, chyba że trafię na spore turbulencje. Tym razem było naprawdę wspaniale. Tak bardzo nami rzucało i szarpało, że podczas jednej z serii skoków mężczyzna, który siedział obok mnie - handlowiec lecący na targi kosmetyków - pochylił głowę i szeptał: „Nie spadaj, nie spadaj, nie spadaj”.

Ja dla odmiany wyglądałam przez szybę i uśmiechałam się jak dziecko podczas przejażdżki na diabelskim młynie. Jak wszyscy klienci linii lotniczych chciałam dotrzeć do celu, ale w przeciwieństwie do reszty pasażerów nie miałam nic przeciwko dreszczykowi emocji po drodze.

Podczas tej konkretnej podróży byłam bardzo zadowolona z rozrywki, jaką zapewniały mi akrobacje w wykonaniu boeinga 727 czy modlitwy sprzedawcy perfum. Nie chciałam myśleć, dokąd zmierzam i co za sobą zostawiam.

Obdarzona szóstym zmysłem Joyce Dean, która jakimś cudem zawsze się dowiadywała o schadzkach zakochanych w Płazie i sprzeczkach wokół umowy w Williamie Morrisie,

oczywiście usłyszała o mojej wymianie zdań z panną Armstrong i z radością poświęciła tej scenie nieco miejsca w swojej kolumnie w „New York Post”: „Nie obeszło się bez fajerwerków - i strumieni alkoholu - w broadwayowskim lokalu »Shay's«, kiedy obecna kochanka przystojnego angielskiego aktora wylała zawartość swojego kieliszka na byłą wybrankę jego serca. Wygląda na to, że aktorki, które rezygnują z występów w odnoszących ogromne sukcesy musicalach, nie mają nic lepszego do roboty niż szukanie guza”.

Nie mam nic przeciwko plotkom, przynajmniej dopóty, dopóki nie dotyczą mojej osoby. Mimo upływu lat wciąż denerwuje mnie, gdy z felietonów zamieszczanych w takim czy innym czasopiśmie dowiaduję się o swoim życiu prywatnym.

Mój szwagier, Riley, jest święcie przekonany, że to nieodłączny atrybut wykonywanego przeze mnie zawodu.

- Jesteś osobą publiczną. Ludzie chcą coś o tobie wiedzieć.

- Jestem aktorką, Rileyu. Jeśli chcą coś o mnie wiedzieć, niech przyjdą do teatru i popatrzą, jak pracuję.

- Nie protestowałeś, gdy wczoraj wieczorem w restauracji nie musieliśmy stać w kolejce.

Ta rozmowa miała miejsce wiele lat temu, kiedy Riley i Ann przylecieli (na mój koszt), żeby zobaczyć mnie w *Dixie-land Detectives*, a mnie wszędzie przyjmowano z honorami należnymi gwiazdzie popularnego musicalu.

- Daj spokój, dlaczego miałabym protestować, jeśli ktoś z własnej woli chce traktować mnie lepiej niż innych? Ale w tej sytuacji mam przynajmniej jakiś wybór: mogę zaprotestować lub nie. W przypadku mediów jestem całkiem bezradna - nie pytają o zgodę. „Och, czy nie ma pani nic przeciwko temu, żebyśmy opublikowali to niepochlebne zdjęcie, na którym wysiada pani z limuzyny?” albo: „Czy bardzo będzie pani przeszkadzało, jeśli trochę pospekulujemy na temat pani szalonego romansu z południowoamerykańskim kontorsjonistą?”

Riley roześmiał się, a ja w niezwykle profesjonalny sposób pogłaskałam go po brodzie.

- Genevo, kłopot w tym, że chcesz mieć ciastko i jednocześnie je zjeść

- A czy ciastko nie jest po to, żeby je zjeść?

Spytałam też Rileyę, jak by mu się podobało, gdyby w lokalnych gazetach pisano o jego życiu miłosnym.

- Na pewno by o mnie nie pisano. Jestem nauczycielem angielskiego, nie gwiazdą Broadwayu.

Wywróciłam oczami.

- Rileyu, mam nadzieję, że w szkole nie okazujesz takiego braku wyobraźni. Co byś czuł?

Riley spojrział w głąb korytarza mojego apartamentu, prawdopodobnie zastanawiając się, dlaczego Ann tak długo siedzi w łazience.

- Myślę, że to byłoby dość... interesujące - wyznał w końcu. - Chyba czułbym się jak ktoś ważny. Wydaje mi się jednak, że po jakimś czasie to by mi się znudziło.

- Bingo!-powiedziałam.

Gdy samolot kołował w stronę rękawa, sprzedawca perfum wyjął z kieszeni kilka maleńkich próbek i mi je dał.

- Wiem, że nie potrzebuje pani więcej „Magii gwiazd” - powiedział, tworząc kalambur - ale i tak chciałbym to pani dać, panno Jordan.

- O rany, dziękuję. - Odkorkowałam maleńką buteleczkę i powąchałam. Poczulałam ładny, kwiatowo-leśny zapach. - Mmm.

- Podoba się pani? - spytał zadowolony. - Myśli pani, że pachnie jak magia gwiazd?

- Tak samo jak „Joy” pachnie radością - przyznałam, machając nadgarstkiem w okolicach twarzy. - A „Obsession” pachnie obsesją, chociaż gdyby obsesję naprawdę udało się zamknąć w butelce, prawdopodobnie nieźle by cuchnęła.

Sprzedawca uśmiechnął się.

- Mogłoby się wydawać, że moja praca jest głupim zajęciem, ale, mój Boże, w tym momencie niezmiernie się cieszę, że z niego nie zrezygnowałem. - Poruszył głową i poprawił węzeł krawatu. - Przez chwilę myślałem, że spadniemy.

- Samoloty są zbudowane w taki sposób, by wytrzymać turbulencje - zapewniłam jak rzecznik prasowy linii lotniczych. - Końce skrzydeł mogłyby się nawzajem dotknąć... - uniosłam ręce do góry, by to zademonstrować - ...a samolot i tak by się nie rozpadł.

- Bez żartów - powiedział sprzedawca kosmetyków. - Zresztą kto by chciał, żeby skrzydła samolotu składały się w taki sposób?

Gdy samolot zatrzymał się przy rękawie, zadzwieczał dzwoneczek. Mój rozmówca podskoczył, jakby w jego siedzeniu było pełno sprężyn. Ja się nie spieszyłam. Spokojnie pogrzebałam w torebce, a potem zajęłam się sprzączką buta, czekając, aż wszyscy wysiądą. W końcu, gdy wydawało się już, że zaniepokojona stewardesa wezwie ochronę, by usunięto mnie z pokładu, powoli wstałam. Nieśpieszno mi było pić piwo, którego nawarzyłam, zwłaszcza takie.

Stali w przejściu. Gdy zobaczyli, że jednak przyjechałam, na ich zaniepokojonych twarzach pojawiła się wyraźna ulga.

- Witaj, Genevo! - zawołała Ann i rzuciła się w moją stronę z rozłożonymi rękami jak emigrant na Ellis Island, witający pierwszego krewnego z dalekiej ojczyzny.

Uścisnęła mnie tak mocno, że musiałam ją odepchnąć, by nabrać powietrza w płuca.

- Ann, proszę. Uduśisz mnie.

- Przepraszam - mruknęła siostra, uśmiechając się od ucha do ucha. - Tak się cieszę, że cię widzę!

- Ja też - dodał Riley.

- Ja również - powiedział jakiś głos, po czym zza pleców Riley'a wyszedł poszturchiwany przez niego Rich.

Miał na sobie koszulę w kratkę i spodnie khaki (tak samo jak ojciec). Był wyższy, niż gdy widziałam go po raz ostatni w Nowym Jorku trzy lata temu, przybrał również na wadze. Krótkim, grubym palcem poprawił okulary na nosie i uśmiechnął się, przy okazji opuszczając dolną szczękę.

- Cześć, ciociu.

Był nastolatkiem, więc głos mu się nieco załamywał.

- Cześć - odparłam i, rozkładając ramiona, dodałam: - Przywitaj się ze mną.

Nie trzeba było go namawiać, w mgnieniu oka znalazł się w moich ramionach. Poczulałam, że brakuje mi powietrza bardziej niż wówczas, gdy zostałam wzięta w niewolę przez jego matkę. Nie chodzi wcale o to, że ścisnął mnie mocniej niż Ann, nie, Rich bardzo ostrożnie otoczył mnie ramieniem, jakby trzymał w objęciach coś kruchego, czego nie chciał uszko-

dzić. Wyczułam w tym uścisku jakąś dziwną dozę odpowiedzialności.

- No cóż - powiedziałam, wywijając mu się z objęć - chodźmy odebrać moje bagaże, dobrze? W jednym z nich może znajdzie się prezent dla pewnego trzynastolatka.

Rich ponownie odstąpił w uśmiechu dolne zęby.

- Ciocia ma na myśli mnie - wyjaśnił rodzicom. - Przywiozła mi prezent. - Wbił wzrok w podłogę. - Powiem ci, ciociu, kawał: Jestem Rich, ale nie mam pieniędzy. Kapujesz?

- Jesteś Rich, ale nie masz pieniędzy... - powtórzyłam, jakbym próbowała rozwiązać zagadkę.

Roześmiał się.

- Jestem Rich, to znaczy bogaty. Przecież mam na imię Rich!

Poklepałam się po głowie.

- Oczywiście. Jasne, masz na imię Rich, czyli bogaty!

Wziął ojca i matkę za ręce, po czym ruszyliśmy tam, gdzie wydawano bagaże.

- Wspaniale wyglądasz, Genevo - zapewniła Ann, wsuwając mi wolną rękę pod ramię. - Jak to się dzieje, że w przeciwieństwie do mnie nie wyglądasz na swoje lata.

- Ponieważ nie uważam makijażu za ekstrawagancję - wypaliłam, patrząc na nieładną i nieumalowaną twarz siostry.

Ann się roześmiała.

- Miałam nadzieję, że powiesz coś w rodzaju: „Och, Ann, ty również jesteś oszałamiająca”.

- Zgadza się. Słowo honoru, że to właśnie miałam zamiar powiedzieć.

- Jak minął lot? - spytał Riley, odwracając się w moją stronę.

Kiwnęłam głową.

- Trafiliśmy na spore turbulencje.

- Geneva lubi, żeby samolot, którym leci, zaznał tego samego co jej ulubione martini - wyjaśniła Ann. - Dużo wstrząsów.

- Dobre porównanie - przyznałam.

- Cóż dziwnego, w końcu to twoje słowa. Usłyszałam je w ubiegłym roku, gdy opowiadałaś o locie z Trevorem na Keys.

- Przypominam sobie - mruknęłam.

Poczułam lekki ucisk serca na wspomnienie trzydniowej wyprawy, którą umożliwił nam strajk elektryków. Wylegiwa-
liśmy się na plaży, poddając się pieścizocie promieni słońca,
a potem wylegiwaliśmy się w łóżku, poddając się pieścizocie
swoich rąk.

- Witaj, przyjacielu.

Zdałam sobie sprawę, że po raz trzeci lub czwarty głos Ri-
cha przerywa moje słowa i/lub ponure wspomnienia o Trevo-
rze Okropnym.

- Cześć — odpowiedział pilot, ciągnąc na pasku bagaż,
przypominający czarnego psa.

Przez całą drogę przez terminal chłopiec z zapalem wszyst-
kich pozdrawiał. Kiedy jakaś skwaszona kobieta nie odpo-
wiedziała na jego „Witaj, przyjaciółko”, spytałam go, dlacze-
go to robi.

- Przecież nawet nie znasz tych ludzi - drażniłam się
z nim. - Nie są twoimi przyjaciółmi.

- Ale mogą być - odparł z uśmiechem. - Pewnego dnia
mogą nimi zostać.

- Witaj, przyjacielu - powiedział Rich do mężczyzny cze-
kającego w kolejce do pucybuta.

- Cześć, przyjacielu - odparł zacepiony.

Rich spojrział na mnie triumfalnie.

- Jego postępowanie przypomina trochę maleńkie czekola-
dowe serduszka, które dostawałyśmy na świętego Walentego -
powiedziałam do Ann. - Pamiętasz? Te, w których były kar-
teczki ze słowami: „Jesteś śliczniutka” albo „Bądź moją
dziewczyną”.

Właśnie mijała nas stewardesa.

- Witaj, przyjaciółko - pozdrowił ją Rich. - Bądź moją
dziewczyną.

Początkowo była zaskoczona, szybko jednak odzyskała pa-
nowanie nad sobą, uśmiechnęła się i powiedziała: „Cześć”.

Riley ze śmiechem zmierzwił jasne włosy Richa.

- Dobrze jest pozdrawiać ludzi, Rich, ale nie należy z tym
presadzać.

- O rany! - jęknęłam do siostry. - On szybko chwyta,
prawda?

- Wciąż musimy mieć się na baczności - przyznała Ann,

u na jej twarzy pojawiło się tyle figlarności i zadowolenia, że *i*, zaskoczenia wstrzymałam oddech.

- To najłagodniejsza jesień od lat - powiedziała Ann, gdy wyglądałam przez szybę ogromnego samochodu Riley'a.

- Powinnaś zobaczyć, jak kolorowo tu było w ubiegłym tygodniu - dodał nasz kierowca. - Niewiarogodne.

- Moim zdaniem, wciąż jest całkiem ładnie - powiedziałam, lekko dotknięta, że Riley postanowił poinformować mnie, co straciłam.

Dla mnie najwspanialszą porą roku w Minnesocie jest jesień. To naprawdę piękny okres. Drzewa, wystrojone w krzykliwe czerwienie, brązy i żółcie, stoją w szeregu jak chórzystki w kostiumach Roya Dale'a, przy każdym podmuchu wiatru unosząc kolorowe spódnice.

Usadowiłam się na ogromnym tylnym siedzeniu, licząc na spokojną, pełną wspaniałych widoków jazdę, widocznie jednak Richowi nie udało się odczytać mowy mego ciała, która jednoznacznie sygnalizowała, że ciocia Gennie marzy właśnie o chwili ciszy.

- Mamy w szkole chomika - szepnął konfidencjonalnie, jak skazaniec informujący towarzyszy z celi, że właśnie dotarła kontrabanda.

- Nie żartuj.

Wyrzałam przez okno, mając nadzieję, że mój siostrzeniec zrozumie, iż nie mam ochoty na pogawędkę. Nie zrozumiał.

- Zabawny zwierzaczek - ciągnął, potrząsając głową. - Ma takie małe kółko. - Wymówił to słowo jako „kó-ko”. - Biega w nim. Przez cały dzień biega, biega i biega w środku tego koła. Bez przerwy biega.

- Bez przerwy biega - mamrotałam, wyglądając przez okno.

Właśnie mijaliśmy Mendota Bridge. Wyciągnęłam szyję i spojrzałam na kolorowe drzewa na urwisku nad rzeką.

- Taaak. Ten zwierzaczek chyba bardzo lubi biegać.

Zapadła długa cisza. Z przyjemnością pograżyłam się w milczeniu, przyglądając się wszystkim znanym mi miejscom i odnotowując zmiany, jakie zaszły w krainie mojego dzieciństwa.

- Nie lubisz mnie, ciociu?

Ann, zaskoczona, odwróciła się na przednim siedzeniu i spojrzała na Richa.

- Na pewno cię lubi - zapewniła, poklepując syna po kolanach. - Po prostu w tej chwili ciocia Gennie z przyjemnością wygląda przez szybę. Dawno tu nie była.

- To prawda - przyznałam. - Bardzo dawno.

Rich wysunął do przodu dolną wargę i wbił wzrok w złożone ręce.

- Co nie zmienia faktu - ciągnęłam - że zachowałam się trochę niegrzecznie, prawda?

Zastanawiałam się, jak ja sobie poradzę z tym dzieciakiem. Wjechaliśmy na autostradę niecałe pięć minut temu, a już zdążyłam go zranić.

- Trochę niegrzecznie - przyznał Rich, kiwając głową. Na jego wargach igrał delikatny uśmiech. - Taaak, rzeczywiście trochę niegrzecznie.

Ann puściła do mnie perskie oko. Odpowiedziałam tym samym, czując, że udało mi się rozładować sytuację, przynajmniej na razie.

Gdy Rich poszedł do łóżka, usiadłam z Ann i Rileyem przed kominkiem. Popijaliśmy nieźle wino i z przyjemnością wdychaliśmy zapach płonącego drewna cedrowego.

- Tylko pomyśl - zagaił Riley. - Za dwa dni będziemy siedzieli przy jakimś kominku w Toskanii.

- Myślisz, że w Toskanii też jest już zimno i palą w kominach? - spytała Ann.

- Jasne - odparł Riley. - Nie tak zimno jak u nas, ale na pewno już palą.

- A ja z przyjemnością będę podziwiał roztaczający się stąd widok - zapewniłam, wyglądając przez weneckie okno. Chociaż za szybą było ciemno, pamiętałam, co przez nią widać w świetle dziennym. - Tu jest naprawdę ładnie.

Riley i Ann mieszkali w pobliżu Minneapolis, na brzegu Deep Lake, w niegdyś sennym, małym miasteczku noszącym tę samą nazwę co jezioro. Obecnie jednak ich miejscina stała się bardzo popularna. Zbyt popularna - uznałam wcześniej, gdy mijaliśmy wielkie domy z kortami tenisowymi, pięknymi podjazdami i ogromnymi trawnikami, świadczącymi o zasob-

ności gospodarzy - jak na dochody Rileya i Ann, chyba że Minnesota zaczęła płacić nauczycielom więcej niż inne stany.

- Widzę, że przeprowadziliście się do wielkiego świata, prawda? - spytałam w drodze do domu, gdy mijaliśmy wspólnie zamek z wieżyczkami i nie tylko.

- To był interes stulecia - powiedział Riley. - Dziadkowie jednej z moich uczennic mieli starą zagrodę z zabudowaniami. Mogli wziąć za nią znacznie więcej pieniędzy, ponieważ stoi na brzegu jeziora, ale starzy Szwedzi uparli się, żeby sprzedać dom nauczycielowi.

- Nie jakimś tam nauczycielowi — zaznaczyła Ann. - Ale ulubionemu nauczycielowi ich wnuczki. - Odwróciła się w moją stronę. - Dziewczyna pisuje teraz w „Newsweeku”. Uważa, że to Riley namówił ją, by zaczęła parać się piórem.

- Wcale nie potrzebowała dodatkowego natchnienia - zaznaczył Riley. - Była wybitnie utalentowana.

- Mieszkamy tuż przy wodzie - wtrącił Rich. - Oczywiście, teraz jest za zimno, żeby się kąpać.

- Mamy też na zewnątrz ogromną wannę na gorące kąpiele - dodała Ann. - Niestety, pompa się zepsuła.

Ogromna wanna do gorących kąpiel, weranda od tyłu i roztaczający się widok były największymi plusami starego domku na farmie. Niemal o sto lat starszy od wielopoziomowych budynków i zamków z sąsiedztwa, zbudowany został z białych desek, miał dwie kondygnacje i maleńkie, wręcz ciasne pokoiki.

Jednak w ciemności, rozjaśnianej jedynie przez blask dochodzący z kominka, to, co było maleńkie czy wręcz ciasne, sprawiało wrażenie niezwykle przytulnego.

- W lecie wstawiliśmy weneckie okno - wyjaśniła Ann, stukając w mój kieliszek. - Myślę, że to jedna z najsmakniejszych rzeczy, jakie zrobiliśmy w życiu.

- Nie licząc zawarcia ślubu - zaznaczył Riley.

- O Jezus! - jęknęłam. - Właśnie się zastanawiałam, kiedy zaczniecie swoje pieprzone miłosne gruchanie.

- Pieprzone miłosne gruchanie? - spytał Riley. - Jesteś, Genevo, naprawdę niezwykle romantyczna. Możesz konkurować z Keatsem.

- Nie dokuczaj mi, Rileyu. Właśnie mam za sobą najgorsze

zerwanie, jakie zdarzyło mi się od rozwodu z moim Francuzikiem.

- Z moim Francuzikiem.

- Nie masz prawa mnie poprawiać! - zaprotestowałam, rzucając w niego poduszką. - Ann powiedz mu, że to niegrzecznie poprawiać innych.

Moja siostra wybuchnęła śmiechem.

- Wydaje mi się, że właśnie sama to zrobiłaś.

Zadzwoił telefon. Obie z Ann spojrzałyśmy na Riley'a.

- Dobrze, już dobrze - mruknął, wstając. - Odbiorę.

Obserwowałyśmy, jak wychodzi na korytarz. Potem Ann niecierpliwie spytała:

- Co u ciebie, Gen? Naprawdę zerwałeś z Trevorem?

- Myślę, że tak - odparłam z westchnieniem, - To znaczy chyba tak... Właściwie to on zerwał ze mną.

- Jego strata.

- Moja również - zatkałam, po czym padłyśmy sobie w objęcia.

Niezależnie od tego, jak długo byłyśmy z dala od siebie, po ponownym spotkaniu zawsze padałyśmy sobie w otwarte ramiona, czując, że zapewniają bezpieczeństwo.

- Gen, ty płaczesz.

- Nie, wcale nie - zaprotestowałam, ścierając dowód.

Moja siostra bliźniaczka odsunęła się i spojrzała na mnie jak adwokat, który próbuje sprawdzić niewinność klienta.

- Powiedz mi, co się stało.

Chętnie spełniłam jej prośbę. Czasami oszukiwałam Ann przez telefon i udawałam całkowitą beztroskę, ale z prawdziwą ulgą witałam chwilę, kiedy miałam siostrę przy sobie i mogłam powiedzieć jej dosłownie wszystko.

- No cóż - zaczęłam. - Nie myślałam, że zerwanie z Trevorem będzie...

- Dzwonił Jerod Schimtz - powiedział Riley, wchodząc do pokoju. - Człowiek, który będzie mnie zastępował podczas naszej nieobecności. - Potrząsnął głową i usiadł obok Ann. - Bez przerwy dodaję mu otuchy, jednak wciąż mu jej brak.

- Jak nam wszystkim - zauważyłam.

Żałowałam, że chwila należąca do mnie i Ann minęła. Moja spowiedź została tak gwałtownie ucięta, że czułam się, jakby ktoś przerwał mi stosunek. Mnie też było za mało.

Ann mrugnęła do mnie lekko, co miało znaczyć: „Porozmawiamy później”, i uzupełniła wszystkim kieliszki.

- A więc - powiedział Riley - sądzę, że omówiłyście już wszystkie szczegóły. Czy chcesz wiedzieć coś konkretnego, jeśli chodzi o Richa?

Westchnęłam.

- Na jak długo wyjeżdżacie?

- Daj spokój, Genevo - odparła Ann. - To wcale nie będzie takie straszne. W poniedziałek, środę i piątek Rich wraca autobusem do domu. We wtorek i czwartek ma zajęcia pozalekcyjne, ale dzięki rozdzieleniu obowiązków między rodziców rzadko będziesz musiała siadać za kółkiem.

- Będę jeździć na zmianę z innymi rodzicami? - spytałam, jakbym nie wiedziała, o co chodzi. - Mam dowozić inne dzieci?

- Tylko we czwartki. Chodź, pokażę ci.

Wstała, włączyła światło i z niewielkiego sekretarzyka w korytarzu wyjęła spory notes z wypinanymi kartkami.

- Wszystko masz zapisane - powiedział Riley.

- Tu i w kalendarzu w kuchni - uzupełniła Ann, siadając obok mnie. Otworzyła notatnik. - Spójrz, pospisywałam ci dzień po dniu. Rozkład zajęć Richa, propozycje posiłków...

- Propozycje posiłków?

- Rich ma swoje przyzwyczajenia, jeśli chodzi o jedzenie. Na przykład poniedziałek to dzień pizzy. W środy lubi chow mein z naszej chińskiej restauracji. Tu ich numer, a tutaj, co Rich lubi zamawiać.

Wzięłam notes i przejrzałam kilka stron.

- Co to jest: „Pobudka... o siódmej”?

- Och, Genevo - jęknęła Ann, śmiejąc się z żartu, którego nie powiedziałam. - Po prostu o tej porze musisz obudzić Richa. O siódmej.

- O siódmej? Ann, nie wstawałam o siódmej, odkąd... odkąd odkryłam dwunastą w południe.

- Tak będzie tylko w ciągu tygodnia. W soboty możecie dłużej pospać.

- W soboty? A co z niedzielami?

- No cóż - wyjaśnił Riley. - W niedziele Rich lubi chodzić do kościoła. Do szkółki niedzielnej.

- Ty nie musisz - zaznaczyła Ann. - Będzie go zabierać

Barb, mama Conrada, przyjaciela Richa. Wystarczy, jeśli go obudzisz.

- Nie może skorzystać z budzika?

Ann spojrzała na męża, szukając u niego wsparcia.

- Rich ma bardzo mocny sen - wyjaśnił Riley. - Podczas budzenia go trzeba użyć stanowczej perswazji.

- Stanowczej perswazji? - Nie podobał mi się przebieg tej rozmowy. Wcale.

- No wiesz - wytłumaczył Riley - potrząsniesz go raz lub dwa za ramię. Albo głośno zawołasz: „Rich, pora wstawać!”

- Na szczęście - wtrąciła Ann, nie zwracając uwagi na moją zdziwioną minę - Rich sam się ubiera i przygotowuje do szkoły. Na śniadanie lubi gorące płatki zbożowe, zwłaszcza teraz, kiedy robi się coraz zimniej.

- Gorące płatki zbożowe -jęknęłam. - Mam mu je zrobić?

Tym razem w śmiechu Ann słyhać było prawdziwe rozbawienie, a nie rozpacz.

- Nie, wystarczy, jeśli poprzedniego dnia włożysz gotową porcję do mikrofalówki. Rich umie ją włączyć. Przy jedzeniu lubi mieć towarzystwo.

- Ale ja nie jadam śniadań. Przynajmniej nie tak wcześnie.

- W takim razie zrób sobie kubek latte. Riley na Boże Narodzenie sprezentował mi ekspres do kawy.

- To znaczy, że nie jesteście tacy całkiem nieokrzesani - pochwaliłam szwagra. - Tyle że przy kawie lubię czytać „The New York Timesa”. Nie sądzę, żebyście go prenumerowali.

- Dostajemy gazetę wychodzącą w Minneapolis - powiedziała Ann z nadzieją w głosie. -I lokalny tygodnik.

- Klawo. Nie mogę się już doczekać, kiedy będę mogła przeczytać najświeższe wiadomości z Deep Lake.

- Sama się zdziwisz - zapewnił Riley.

- W porządku - przerwała nam Ann, wracając do harmonogramu. - O ósmej dwadzieścia po Richa podjeżdża autobus. Zatrzymuje się przed naszym domem.

Zerknęłam na następną notatkę: „15.15 - Rich wysiada z autobusu”.

- A co mam robić między ósmą dwadzieścia a piętnastą piętnaście?

Ann uniosła brwi.

- Co zechcesz. W tym czasie masz wolne.

Prawie pół godziny zajęło nam przejrzanie całego notesu kartka po kartce. Kiedy dotarliśmy do końca, byłam, mówiąc oględnie, zniechęcona. Zatrudniłam się jako opiekunka do dziecka, i co? Okazało się, że będę musiała grać też inne role, których nie brałam pod uwagę: kucharki, szofera, służącej, praczki i budzika. Na samą myśl o czekającej mnie ciężkiej pracy poczułam się zmęczona. Właśnie miałam zamiar z językiem wyznać, że to zadanie znacznie przekracza moje siły, kiedy Ann, przyciskając notes do piersi, wybuchnęła płaczem.

- Nie możemy jechać, Rileyu - powiedziała. - Geneva nie poradzi sobie z tym wszystkim.

Absolutnie się z nią zgadzałam, nie mogłam jednak pozwolić, by siostra decydowała, co mnie przerasta, a co nie. Chodziło o zasady.

- Ann - oświadczyłam niczym królowa zwracająca się do jednej z pokojówek - obrażasz mnie. Jak możesz uważać, że sobie nie poradzę? To śmieszne. Owszem, dotychczas robiłam coś całkiem innego, ale na pewno sprostam waszym wymaganiom. W końcu jestem gwiazdą Broadwayu.

- Gwiazdą Broadwayu - szlochała. - Co to ma wspólnego z obecną sytuacją?

Riley delikatnie otoczył ją ramieniem.

- Geneva chyba próbuje nam powiedzieć, że skoro poradziła sobie na Broadwayu, potrafi poradzić sobie w każdej sytuacji.

- Tak jak w tej piosence z *New York, New York*) - spytała Ann, pociągając nosem.

- No właśnie.

Zanuciłam kilka taktów, a potem wyśpiewałam fragment *make it anywhere*.

- Szszsz... - syknęła Ann, ze śmiechem ocierając łzy z twarzy. — Obudzisz Richa.

- Nawet gdyby tak się stało - oznajmiłam odważnie, chociaż w głębi duszy byłam przerażona tą perspektywą - zmusiłabym go, by zaraz zasnął.

- Jak byś to zrobiła? - spytała Ann.

Bardzo jej zależało, żebym udzieliła dobrej odpowiedzi... hm... dobrej odpowiedzi...

- Zaśpiewałabym mu kołysankę - wyjaśniłam.

Potem ofiarowałam im to, za co tysiące ludzi płacą cięż-

kie pieniądze - urządziłam im koncert. Wyśpiewałam cały swój repertuar ballad i kołysanek. Kiedy skończyłam *Hush Little Baby*, Riley cicho pochrapywał z głową wspartą o brzeg kanapy, a moja bliźniaczka patrzyła na mnie jak wówczas, gdy na podwórku babci Hjordis bawiłyśmy się w odkrywców: ona była Thorem Heyerdahlem, a ja Roaldem Amundsenem i właśnie odkryliśmy miejsce, którego nie ma na żadnej mapie.

5

Następny poranek spędziłam, jeżdżąc z siostrą i poznając sąsiedztwo.

- Kim są ci ludzie? - spytałam, gdy mijałyśmy następny domek jednorodzinny, w którym mogliby zamieszkać rodzice obojga małżonków i jeszcze wystarczyłoby miejsca na delegację ONZ.

- Och, no wiesz, lekarzami, adwokatami, bankierami, zawodowymi sportowcami. To dom Maury'ego Rungstona. - Wskazała na kilka sześcianików z oknami.

- Kim jest Maury Rungston?

- Trenerem drużyny futbolowej „Vikings”. Zawsze spotykam go w sklepie spożywczym. Kupuje dużo zdrowej żywności.

Po przejechaniu kilku przecznic rozpoznałam dom, który miałam na odręcznie naszkicowanej mapce, leżącej na moich kolanach.

- A więc to tu będę we czwartki podrzucać przyjaciela Richa?

Ann przytaknęła.

- Tak, w tym domu mieszka najlepszy przyjaciel Richa, Conrad. Opowiadałam ci już o nim. Wydaje mi się, że jego matka, Barb, jest na zakupach. Gdyby nie to, mogłybyśmy wstąpić, żebyście się poznały.

Obok nas pojawiła się kobieta w eleganckim stroju do joggingu. Podejrzliwie zajrzała do wnętrza samochodu, jakby próbowała ocenić, czy jesteście dwiema matronami, które wy-

brały się na przejażdżkę, czy też włamywaczkami prowadzącymi rozeznanie w terenie.

- Connie to prawdziwy dar niebios dla Richa, a Barb dla innej. Prawdę mówiąc, to właśnie ona przekonała Rileya i mnie do tej podróży.

- Trzeba cię było przekonywać? Myślałam, że cieszysz się na myśl o wyprawie do Włoch.

- Owszem, Genevo, bardzo się cieszę, ale jednocześnie jestem też śmiertelnie przerażona. Barb powiedziała jednak, że już najwyższy czas, byśmy oboje z Rileyem zrobili coś dla siebie.

- A kimże ona jest? Psychologiem rodzinnym?

Ann się uśmiechnęła.

- Nie. Osobą, która doskonale rozumie naszą sytuację. Conrad ma porażenie mózgowie. W każdym razie uznała, że miesiąc z dala od Richa to okres długi, ale nie za długi. Zaproponowała nawet, że zajmie się nim, gdy nas nie będzie.

- Naprawdę? - powiedziałam, chociaż w głębi duszy dręczyło mnie inne pytanie: „To znaczy, że wcale nie musiałam podejmować się tego zadania?”

- Jej mąż głośno zaprotestował. Co prawda Barb z łatwością mogłaby mu się przeciwstawić - w końcu to ona zajmowałaby się Richem, bo George w domu nawet palcem nie kiwnie - ale nie chciałam, żeby z mojego powodu doszło między nimi do jakichś nieporozumień. - Opuściła osłonę przeciwsloneczną. - Lepiej ruszajmy. Ta babka za bardzo się nam przygląda.

Przejechałyśmy jeszcze kawałek, a gdy skończyłyśmy objazd, Ann usiadła na siedzeniu pasażera i z uznaniem kiwnęła głową.

- Zawsze świetnie radziłaś sobie z mapą - przypomniała.

- Dziękuję.

Byłam dumna z tej umiejętności. Zawsze zgłaszałam się na ochotnika, gdy tylko istniała możliwość pilotowania innych.

- Co byś powiedziała, gdybyśmy poszukały jakiejś kawiarni? Chętnie wypiłabym podwójną porcję latte.

Prawdę mówiąc, bardziej chciałam odpocząć od wszystkich instrukcji Ann, usiąść i porozmawiać o... hmmm... o sobie.

- Kawa w tym momencie mogłaby mi tylko zaszkodzić -

wyznała Ann. - Z powodu zdenerwowania jest mi aż niedobrze.

- W takim razie bądź tak łaskawa i celuj na zewnątrz - powiedziałam, otwierając szybę od strony pasażera.

W głębi duszy westchnęłam, ponieważ zdałam sobie sprawę, że Ann jest bardzo spięta i wcale nie potrzebuje dodatkowego obciążenia, jakim bez wątplenia byłaby wiadomość, iż ciężko przechodzę menopauzę i rozstanie z ukochanym. Właściwie jak miałam powiedzieć siostrze, że samotność, którą, jej zdaniem, już dawno udało mi się przepędzić, okazała się moim stałym, niepożądanym gościem?

Ponownie westchnęłam - niezależnie od sytuacji zawsze trudno mi było zrezygnować z blasku reflektorów - i zadałam pytanie, na które znałam już odpowiedź.

- Skąd te nerwy?

- Och, Genevo. Nie mogę pogodzić się z myślą, że zostawiam Richa. I że to ty będziesz musiała się nim zająć.

- Pierwsze rozumiem - przyznałam - ale drugiego nie. Przykro mi, że we mnie nie wierzysz.

Prawdę mówiąc, wcale nie było mi przykro. Doskonale rozumiałam nieufność siostry w stosunku do mojej skromnej osoby, ale nie mogłam się do tego przyznać. Widocznie musiałam wypowiedzieć ostatnią kwestię, jak na zdobyczynię prestiżowej nagrody Tony'ego przystało, ponieważ Ann natychmiast zaczęła mnie przeproszać.

- Wybacz, Genevo, ale denerwowałabym się nawet wtedy, gdyby Richem zajmował się T. Berry Brazelton.

- Jaki Teaberry?

- To pediatra, pisarz i znawca wszystkiego, co wiąże się z dziećmi. - Ann podniosła szybę. - A skoro już mowa o pediatrach, to nie podjechałyśmy do lekarza Richa.

- Nie martw się - uspokoiłam ją. - Jeśli jest na mapie, znajdę go.

Rich postanowił nie jechać na lotnisko. Nie chciał patrzeć na odlot rodziców.

- Nie mam zamiaru żegnać się z wami tam - wyjaśnił, siadając na kanapie. - Wolę zrobić to tutaj.

- Jeśli pojedziesz z nami na lotnisko - namawiała Ann,

otaczając go ramieniem - będziemy mogli spędzić ze sobą jeszcze kilka dodatkowych chwil.

Rich potrząsnął głową.

- Ależ Rich - wtrącił Riley, po raz pięćsetny sprawdzając bilety - ciocia Gennie obiecała, że zawiezie nas na lotnisko, więc musisz jechać z nami. Nie zostawimy cię samego.

Rich wysunął dolną wargę i rozłożył ręce.

- Nie mogę jechać na lotnisko.

Ann spojrzała bezradnie na Riley'a.

- Owszem, możesz - oznajmił Riley stanowczym głosem. - Daj spokój, synu. Nie mamy czasu na kłótnie.

- Nie jadę.

Ann „zrobiła dzióbek”, jak mawiała nasza babcia, i chwiejnym krokiem podeszła do telefonu.

- Cześć, Barb, mówi Ann. Posłuchaj, mamy kłopot. Rich nie chce jechać na lotnisko, a Geneva nie może go tu zostawić, i dlatego... och... naprawdę? Bylibyśmy tacy wdzięczni. - Zerknęła na zegarek. - Nie wiem... za dziesięć minut?

Odłożyła słuchawkę.

- Rich, mama Conrada...

W połowie drogi do kanapy stanęła jak wryta.

- Pa, pa, mamusiu! Do zobaczenia!

Ann, która jeszcze przed chwilą „robiła dzióbek”, wyglądała teraz jak człowiek w gazecie na zdjęciu z podpisem: „Ogień zniszczył cały dom” albo „Próba uwolnienia przysłała za późno”.

Riley przyłączył się do żony i syna. Stał, ciężko przełykając ślinę, zdenerwowany i przerażony, marząc o tym, żeby go zastąpiła.

Kiedy zadzwonił dzwonek, otworzyłam drzwi.

- Cześć! - zawołała wysoka kobieta z tak mocną trwałą, że mój fryzjer nie wypuściłby jej ze swojego salonu. - Jestem Barb Torgerson. Kierowca taksówki.

- Geneva Jordan - przedstawiłam się, ściskając jej rękę. - Opiekunka do dzieci.

Zerknęła mi przez ramię i pomachała trójce splecionej w mocnym uścisku.

- Posłuchaj - szepnęła - gdybyś czegokolwiek potrzebowała, zadzwoń. O każdej porze dnia i nocy.

- Dzięki - odparłam.

Nie wiem, czy łzy, które napłynęły mi do oczu, wywołała

życzliwość zupełnie obcej mi kobiety, czy też fakt, że Riley właśnie zaczął zbierać bagaże i szykować się do wyjścia.

Przy land-roverze Barb uściskałam Riley'a i Ann, po czym wesoło życzyłam im miłej podróży. Potem, przypomniawszy sobie włoski odpowiednik (dwukrotnie byłam we Włoszech), powiedziałam:

- *Buon yiaggio.*

Rich tak mocno uściśnął ojca, że ten aż cicho sapnął. Ann niemal z taką samą siłą przytuliła się do mnie i szepnęła:

- Zaopiekuj się nim, Dee.

- Słowo daję, Dum, nic mu nie będzie.

Kiedy rozłożyła ramiona, by po raz ostatni uściskać Richa, przywarł kurczowo do matki.

Myślałam, że przez ten uścisk spóźnią się na samolot i że będą musieli zmienić plany, w końcu jednak Rich odsunął się, zaskakując nie tylko mnie, ale i Ann.

- Cześć — powiedział, wbijając wzrok w ziemię.

- Cześć — odparła Ann drżącym głosem.

Potem moja siostra i jej mąż wsiedli do land-rovera, a Rich i ja zostaliśmy na podjeździe, machając im jak dwie rozgorączkowane Miss Ameryki.

Kiedy nie było ich już widać, Rich opuścił rękę, ale się nie ruszył. Stał w miejscu, spoglądając przez drzewa na drugi koniec drogi.

- Co byś powiedział na to, żebyśmy wrócili do domu i napił się gorącej czekolady? - spytałam w końcu, gdyż zrobiło mi się trochę zimno.

Słyszając te słowa, Rich nagle przestał panować nad sobą.

- Mamusiu! Tatusiu! - załkał.

Poklepałam go po plecach, czując, że nic, zupełnie nie mogę dla niego zrobić.

Kiedy wydawało mi się, że po raz ostatni pociągnął nosem i otarł ostatnie łzy, spytałam wesoło (i zupełnie bezsensownie, z czego natychmiast zdałam sobie sprawę):

- W takim razie co teraz zrobimy?

Rich niespokojnie wzruszył ramionami. Wzięłam go za rękę i poprowadziłam do domu. Na szczęście jedliśmy już kolację, więc nie musiałam o tym myśleć.

Chłopiec opadł na kanapę i przyjął swoją ulubioną pozycję ze złożonymi rękami.

Usiadłam obok niego.

- Dobry pomysł. Nacieszmy się widokiem.

Ostatnie barwy zachodu słońca wyglądały jak gojąca się rena, wyblakły fiolet podbarwiał żółtawopomarańczowe niebo. Położyłam nogi na ławę i oparłam się, zapominając, że zawsze bardzo lubiłam dobrze mi znany widok na jezioro, który niezmiennie działał na mnie wyjątkowo uspokajająco.

- Nie kładź, ciociu, nóg na ławę. Mama tego nie lubi.

- Naprawdę?

Moja siostra była schludna, ale bez przesady. Jakoś nie mogłam sobie wyobrazić, by na siłę wprowadzała zasadę, która byłaby sprzeczna z wygodą.

Rich potrząsnął głową.

- Zawsze powtarza, że nie życzy sobie zabłoconych buciorów na meblach.

Poruszyłam palcami.

- Ale ja mam tylko rajstopy, widzisz?

- Racja. W takim razie w porządku. - Sam też położył obok mnie nogi w skarpetkach. - Co z tą gorącą czekoladą?

Wybuchnęłam śmiechem. Niewątpliwie Rich miał dobrą pamięć.

- Dostaniesz ją. Tylko wcześniej musisz zaprowadzić mnie do kuchni.

- Mam cię poprowadzić, ciociu?

- Jasne - odparłam i nagle znalazłam się na czworakach, dysząc i szczekając jak pies.

Na twarzy Richa pojawiło się zdziwienie.

- Proszę - powiedziałam, wręczając mu niewidoczną smycz. - Zaprowadź mnie do kuchni.

Chłopiec się uśmiechnął.

- Dobrze, już dobrze - mruknął, a potem poklepał się po udzie i powiedział: - Do nogi, pieseczku. Idziemy.

Jeszcze raz zaszczekałam, a mój siostrzeniec roześmiał się. W taki oto sposób dotarliśmy do kuchni: pan i jego pies. A co mi tam!

Znalazłam puszkę rozpuszczalnego kakao, ale jestem w tym względzie tradycjonalistką, poza tym przynajmniej mieliśmy

jakieś zajęcie. Wygrzebałam więc kakao naturalne, trochę cukru i mleka.

- Pomożesz mi?

Rich poprawił okulary na nosie i kiwnął głową.

Skupił się na wykonywaniu moich poleceń: ściągnął brwi, wystawił język i zaczął odmierzać kakao i cukier. Wlałam mleko i oboje staliśmy przy piecu, na zmianę mieszając.

- Tajemnica polega na tym, by nie dopuścić do wrzenia.

- Nie dopuścić do wrzenia - powtórzył Rich, wymawiając „wrzenia” jak „wze-nja”.

Kiedy nalałam dwa kubki, spytałam go, czy lubi cukierki ślazowe albo bitą śmietaną.

- I jedno, i drugie.

- Jesteś facetem w moim typie.

W lodówce znaleźliśmy pojemniczek ze śmietaną, a w kredensie - torebkę cukierków ślazowych. Dzięki nim dodaliśmy do naszych napojów po dwieście kalorii. Rich sięgnął po staroświecki słoik na ciasteczka. Szklane naczynie miało kształt kobiety, która jadła o wiele za dużo słodczy. Odkręcił przykrywkę (była to górna połowa brzuchatej damulki) i podsunął mi dolną część.

- Zje pani ciasteczko? - spytał uprzejmie jak kamerdyner.

- Chętnie. Dziękuję - odparłam, sięgając do słoika. - Na pewno mi nie zaszkodzą.

Siedzieliśmy przynajmniej dwadzieścia minut, mocząc herbatniki w kakao i od czasu do czasu uśmiechając się do siebie. Cieszyłam się, że tak miło upływa nam wieczór, dopóki nie zadzwonił telefon. Rich pobiegł go odebrać.

- Halo? - Na jego twarzy pojawiła się radość. - Mamusia! Tatuś! - Ścisnął kurczowo słuchawkę i spojrzał na mnie. - To mama i tata.

Kiwnęłam głową.

- Dotarliście już do Włoch? - zapytał, trzymając słuchawkę obydwoma rękami.

Ich rozmowa trwała kilka minut, potem Rich wręczył mi słuchawkę.

- Mama chce z tobą, ciociu, rozmawiać. Nie dolecieli jeszcze do Włoch. Prawdę mówiąc, nawet nie wsiedli do samolotu.

Powiedziałam Ann to, co usłyszała już od Richa: że pijemy gorącą czekoladę i że nieźle sobie radzimy.

- Jestem tak zdenerwowana, że do niczego się nie nadaję - wyznała Ann. - Płakałam przez całą drogę na lotnisko.

- Naprawdę? - spytałam wesoło, zerkając na Richa, który obserwował mnie czujnym okiem detektywa. - No cóż, my też świetnie się bawimy.

- Genevo, nie wiem, jak to wytrzymam. Chodzi mi o rozłąkę z Richem.

- Poradzisz sobie - zapewniłam jowialnie niczym psychoanalitik. - Gdy tylko dotrzecie na miejsce, wyślijcie nam pocztówkę, a my wam odpiszemy.

Kiedy Rich jeszcze raz się pożegnał, odłożyłam słuchawkę na widełki.

- To mama i tata - przypomniał. - Jeszcze nie wsiedli do samolotu lecącego do Włoch.

- Masz rację - przyznałam.

Rich westchnął. Było to ciężkie, wręcz karykaturalne westchnienie. Niemal wybuchnęłam śmiechem.

- Jacy ludzie mieszkają we Włoszech? - spytał.

Dopiłam ostatni łyk kakao.

- We Włoszech mieszkają Włosi. Ich ojczyzna znajduje się nad Morzem Śródziemnym. Jest to kraj o bogatej tradycji i... - Odchrząknęłam, po czym postanowiłam zrezygnować z formy wykładu. - Włosi są bardzo przystojni, najczęściej mają ciemne włosy i ciemne oczy.

- Co to znaczy „przystojni”?

- Że są tacy jak my, chłopcze. I wszyscy ludzie, na których miło popatrzeć.

Rich zmarszczył czoło, zastanawiając się nad moimi słowami.

- Ja też jestem przystojny? - spytał z nadzieją w głosie.

- Zdecydowanie. Jesteś superprzystojny.

- Chyba żartujesz, ciociu - powiedział, chichocząc.

- Wcale nie. Jesteś super, superprzystojny!

To wydało się mojemu siostrzeńcowi tak zabawne, że zaczął walić się po kolanach i zarykiwać ze śmiechu.

- Super, superprzystojny. To śmieszne.

Potem wstał i przyniósł ołówek leżący przy telefonie.

- Lepiej od razu zacznijmy pisać tę kartkę. - Usiadł. - Mamy jakąś pocztówkę?

- Nie - odparłam. Kiedy zmarszczył brwi, dodałam: - Ale możemy ją zrobić.

Skorzystaliśmy z kawałka kartonu. Na jednej stronie Rich narysował siebie z ogromnymi, błękitnymi łzami na policzkach.

- Dzięki temu będą wiedzieli, że jest mi smutno - wyjaśnił.

Pisał bardzo powoli i przez cały czas trzymał wystawiony język: „Tęsknię za wami. Smutny Rich”. Potem polizał znaczek, przycisnął go pięścią i zaczął płakać. Tak było przez cały wieczór - rozpaczał, a ja próbowałam go zabawić.

Rich poszedł do łóżka o zwykłej porze („Oho, już dziewniata!” - powiedział, zerkając na kuchenny zegar i przerywając naszą zabawę) i chociaż słyszałam, że płakał do poduszki, nie potrafiłam zdobyć się na to, by wejść do pokoju i go pocieszyć. Byłam zbyt wyczerpana. Uznałam też, że mogłabym w ten sposób naruszyć jego spokój. Może po prostu chciał się wypłakać?

Przez chwilę stałam pod jego drzwiami, w jednej minucie powtarzając sobie, że nie mam prawa mu przeszkadzać, a w drugiej dochodząc do wniosku, iż Rich mnie potrzebuje. Dlatego byłam taka wyczerpana: przez cały wieczór biłam się z myślami, próbując zdecydować się, co mam zrobić.

W końcu po prostu poszłam na paluszkach do swojej sypialni, zamierzając zakopać się pod robioną ręcznie przez babcię Hjordis kołdrą.

Nasza mama zatrzymała wszystko, co zrobiła babcia, a gdy ukończyliśmy dwadzieścia jeden lat, pozwoliła nam podzielić między siebie to, do czego sama nie rościła sobie żadnych pretensji. Ann wzięła trzy kołdry, ja dwie, ale też dostał mi się wyszukany, robiony szydełkiem obrus, który babcia kładła na stół, gdy przychodzili goście. Każda zabrała po jednym z identycznych strojów, które seniorka rodu szyła nam zawsze na Boże Narodzenie: były to między innymi cudowne, malutkie czerwone aksamitne sukieneczki, które miałyśmy na sobie w pierwsze Boże Narodzenie, a także eleganckie kreacje, które przygotowała dla nas tuż przed śmiercią.

- Uszyłaś dziewczynkom minispódniczki? - spytała mama, gdy zaprezentowałyśmy się w nowych strojach.

Wtedy babcia Hjordis puściła do nas perskie oko.

- Trzeba iść z postępowaniem - oznajmiła, jakby wyjaśniała aktorom z wędrownego trupy teatralnej, co to jest telewizja.

Opatuliwszy się patchworkową kołdrą, chciałam wrócić do słodkich wspomnień, ale wyparły je obecne kłopoty.

Z westchnieniem obróciłam się na łóżku, przekonana, że ponure myśli nie dadzą mi zasnąć, dlatego byłam bardzo zaskoczona, gdy obudził mnie Rich. Ciągnął mnie za nogę i głośno krzyczał coś, co brzmiało dla mnie jak kompletny bełkot: „Poratać!” Dopiero po chwili uświadomiłam sobie, że to już rano i pora wstawać.

- Słyszałam, że masz mocny sen - wymamrotałam.

- Dzisiaj - bęc! - klasnął w dłonie. - Po prostu sam się obudziłem.

- Świetnie - pochwaliłam, przez przymrużone powieki wpatrując się w budzik, póki cyferki nie zrobiły się wyraźne. - Jest dopiero wpół do siódmej.

- To źle?

- Nie, Rich - odparłam, odgarniając z twarzy zmierzwiłone włosy. - Nie, tylko trochę za wcześnie.

Pierwszy poranek można by porównać do okropnego wieczoru premierowego - potwornie się bałam, że popełnię jakiś błąd, zapomnę swojej kwestii albo dam zły sygnał partnerowi, dlatego czułam się niemal jak sparaliżowana. Mój żołądek ze zdenerwowania zamienił się w twardy węzeł. Dałam Richowi śniadanie (kiedy przypaliłam płatki owsiane, przypomniał mi, że gdybym wszystko wcześniej przygotowała, przygrzałyby je sobie sam, korzystając z kuchenki mikrofalowej), ubrałam go (prawdę mówiąc, stanęłam pod drzwiami jego sypialni i zapytałam, czy trzeba mu pomóc, na co ze złością odparł: „Umiem się ubierać, ciociu”) i wsadziłam do autobusu szkolnego. Po-tem studiowałam jego rozkład zajęć i instrukcje, które zostawiła mi Ann, jak starszy człowiek wkuwający przed egzaminem wstępnym na studia - każdą czynność kilkakrotnie sprawdzałam. Nie miewam migren, ale zaczęła mnie boleć głowa. Przestała dopiero wtedy, gdy stosunkowo bezboleśnie przebrnęliśmy drugi dzień. Wówczas odzyskałam pewność siebie i nabrałam przekonania, że jestem spadkobierczynią faceta, o którym mówiła Ann, Teaberry'ego, czy jak mu tam.

Nie chcę się chwalić, ale odkryłam, że mam talent do zajmowania się dziećmi.

Nie tylko udawało mi się obudzić Richa, nakarmić go i wsadzić do autobusu, ale potem również czekałam na niego po szkole niczym June Cleaver, brakowało mi tylko odpowiedniej sukienki i wysokich obcasów. Minęło przedpremierowe zdenerwowanie, byłam gotowa do udanego, wielotygodniowego przedstawienia.

Wiem, że czasami nadużywam aktorskich analogii, ale w tym przypadku takie porównanie było bardzo trafne: nie czułam się jak ciocia Gennie opiekunka, czułam się, jakbym grała rolę cioci Gennie opiekunki. To ryzyko zawodowe (i, jak sądzę, ogromna pomoc): jeśli nie wiesz, co zrobić, graj. Oczywiście, jeśli grałam, Rich również nie pozostawał w tyle - był uprzejmy jak przedsiębiorca pogrzebowy. Nie tak wyobrażałam sobie zachowanie trzynastolatka. Ale niezależnie od tego, czy tylko udawaliśmy, czy też nie, całkiem nieźle nam szło. Niestety, potem nadszedł czwartek.

Zgodnie z moim dokładnym rozkładem zajęć we wtorki Rich i jego przyjaciel, Conrad, mieli zajęcia wyrównawcze (nieważne, co to oznaczało), po których przywoziła ich Barb Torgerson. We czwartki byli w klubie pływackim, a odebranie ich należało do mnie.

Wysłałam z centrum odnowy biologicznej, poleconego mi przez Ann (wątpię, by moja siostra kiedykolwiek tam była, ale znając mnie, sporządziła listę sklepów i punktów usługowych, które mogłyby sprawić mi przyjemność). Całe popołudnie spędziłam na stole do masażu i byłam okładana pięściami przez gibką blondyneczkę. Biorąc pod uwagę jej drobną posturę, nikt by się nie spodziewał, że ma tyle siły. Kilka razy niewiele brakowało, a zaczęłabym krzyczeć, a kiedy skończyła, miałam zamiar oskarżyć ją o pobicie - potem jednak zdałam sobie sprawę, że świetnie się czuję. Umawiając się na następny tydzień, dałam jej spory napiwek i spytałam, skąd ma tyle sił w rękach.

- Gdy byłam mała, mama nauczyła mnie piec chleb - odparła. - Potem przez całe życie coś wyrabiałam. - Poruszyła palcami. - Tyle że teraz ugniatam mięśnie zamiast ciasta.

- Och, idę o zakład, że czasami prawie nie czuje pani róż-

nicy - zasugerowałam... oczywiście, wcale nie mając na myśli swoich ud.

Na jej ustach pojawił się nikły uśmiešek, jakby nie mogła się roześmiać z mojego niewinnego żartu, gdyż wówczas zła- małaby zasady obowiązujące między klientem a masażystą.

Pojechałam do szkoły Richa kompletnie rozluźniona, śpie- wając głośno starocie. (Starocie - kto by kiedyś pomyślał, że przeboje zespołów The Beatles, Rolling Stones czy Who zo- staną uznane za starocie?). Zaparkowałam starą, ogromną del- ię przed głównym wyjściem i czekałam. W miarę jak mijały minuty, a Rich się nie pojawiał, całe napięcie, od którego uwolniła mnie gibka masażystka, zaczęło wracać. Gdzie on się podziewa? Minęło pięć minut, następnie dziesięć. Zerknęłam na zegarek, potem na wyjście.

- Rich zawsze wychodzi głównymi drzwiami - zapewniała Ann, gdy wszystko mi pokazywała. - Spójrz, to te z nazwą szkoły.

No cóż, wryta w kamieniu nazwa wciąż tam była.

- Zajęcia kończą się o wpół do piątej - powtórzyłam na głos, ponieważ, jak przystało na dobrą aktorkę, większości in- strukcji Ann nauczyłam się na pamięć.

Ponownie zerknęłam na zegarek. Za piętnaście piąta. Ze- rwał się silny wiatr, przypominając mi, że w Minnesocie zima zawsze pojawia się wcześniej, niż wynikałoby to z kalendarza. Zaczęło mi burczeć w brzuchu. Wyobraziłam sobie, że będę musiała zadzwonić do Włoch. „Cześć, Ann. Mam pewien drobny kłopot. Nie bardzo wiem, gdzie w tej chwili jest Rich”.

Zapięłam kurtkę i podeszłam do drzwi, mając nadzieję, że mój siostrzeniec czeka w środku. Nie wykluczałam też, że jego trener czy ktoś inny, kto się nim zajmuje w klubie pły- wackim, w nagrodę zaproponował obu chłopcom, by popły- wali jeszcze przez kilka minut. Rich mógł również być w szat- ni i suszyć włosy. Albo... nawet nie śmiałam myśleć o innych możliwościach. Z bijącym sercem nacisnęłam klamkę. Myś- lałam, że lada chwila serce wyskoczy mi z piersi. Drzwi były zamknięte. Szarpałam je raz za razem, jakbym chciała otwo- rzyć je siłą. W momencie, kiedy miałam zamiar sięgnąć po te- lefon komórkowy i wybrać 911, zobaczyłam na ziemi złożoną kartkę papieru.

Rozprostowałam ją drżącymi rękoma. Był to wyciąg z konta bankowego George'a i Barbary Torgersonów. Nagryzmolono na nim kilka słów: „Rich jest u mnie w domu”.

- Co za idiota zostawia wiadomość w takim miejscu? - wymamrotałam.

Przyszło mi na myśl, że skoro znam numer rachunku Barb, może powinnam opróżnić jej konto, żeby czegoś się nauczyła. Potem z wyraźną ulgą pobiegłam do samochodu.

Po zaparkowaniu pod domem Torgersonów trzasnęłam drzwiami samochodu. Był to dobry sposób zawiadomienia o przyjeździe. Barb Torgerson przywitała mnie w drzwiach z promiennym uśmiechem na ustach. Nagle zdałam sobie sprawę, że coś łączy mój nastrój i jej trwałą. I jedno, i drugie było fatalne.

- Zastanawialiśmy się, kiedy...

- Proszę - przerwałam jej. - Gdy w przyszłości postanowicie wprowadzić jakieś zmiany, bądźcie tak łaskawi i dajcie mi znać. Niewiele brakowało, a ciężko bym się rozchorowała, zastanawiając się, gdzie jest Rich. Potem znalazłam leżącą na ziemi karteczkę... A swoją drogą to nie najlepsze miejsce na zostawianie wiadomości.

- Może jednak wejdiesz - zaproponowała Barb, przestając się uśmiechać.

Gdy tylko znalazłam się w maleńkim przedpokoju, napadł na mnie Rich.

- Gdzie byłaś, ciociu? - grzmiał z wyrazem złości na twarzy. - Czekaliśmy na ciebie z Conniem kilka godzin!

Potem odwrócił się do mnie plecami i złożył ręce na pierśsiach.

- To nie były godziny, Rich - poprawił go chłopiec, który pojawił się na schodach. Spod czapeczki baseballowej wystawały mu ciemne loki. - Gdybyśmy czekali kilka godzin, wciąż bylibyśmy w szkole.

Jedną ręką machał jak cepem, a mówiąc, odchyłał głowę do tyłu. Na jego ustach widniało coś pośredniego między uśmiechem a grymasem, na domiar złego przez cały czas lekko potrząsał głową.

- Przecież wiesz, o co mi chodzi, Conradzie! - krzyknął Rich.

- Myślę, chłopcy, że powinniście się trochę uspokoić - zdecydowała Barb. - Może dokończycie grę, a ja w tym czasie porozmawiam z ciocią Richa.

- Jestem spokojny - zapewnił Conrad, po czym wciągnął głowę, by wzruszyć ramionami. - Po prostu uważam, że, do jasnej cholery...

- Uważaj, co mówisz, Conradzie - ostrzegła Barb, ręką wypędzając chłopców. - Idźcie już sobie.

Kiedy szłyśmy do kuchni, nagle ogarnęło mnie koszarne uczucie.

- Miałam odebrać ich o czwartej, prawda? Zazwyczaj wychodzą o wpół do piątej, ale na dzisiaj zapowiedziano czyszczenie basenu. - Przypomniałam sobie twarz Ann, kiedy dawała mi tę specjalną instrukcję. - Jak mogłam zapomnieć, że dzisiaj czyszcza basen?

Barb wzruszyła ramionami, kiwnięciem głowy wskazując mi obrotowe krzesło.

- Siadaj.

Usiadłam i potrząsnęłam głową.

- Jestem naprawdę zaszokowana. Zaszokowana, ponieważ nauczyłam się na pamięć niemal wszystkiego, co napisała mi Ann. Nie mam pojęcia, jak mogłam pomylić godzinę.

- A tak gwoli informacji - powiedziała, skrobiąc marchewkę - zostawiłam wiadomość na twojej automatycznej sekretarce, po czym na wszelki wypadek wetknęłam w drzwi karteczkę. Nigdy nie położyłabym jej na ziemi. To byłoby głupie.

- Dobrze, że nie zdążyłam powiedzieć wszystkiego, co planowałam.

Barb, niech ją Bóg błogosławi, wybuchnęła śmiechem.

- Wyobrażam sobie. Ann uprzedzała mnie, że potrafisz być... niecenzuralna.

- Czuję się jak idiotka. Przepraszam.

Dodała marchewkę do innych warzyw, którymi obłożyła pieczeń, i wsunęła rondel do piekarnika.

- Któż nie popełnia błędów? - spytała, wycierając ręce w ściereczkę. - Ale wszystkie takie wpadki stanowią poważne zagrożenie dla naszych chłopców, dlatego obie z Ann staramy

się ich unikać. Chociaż nie zawsze nam się udaje. - Jęknęła. - Napijesz się kawy?

- Może masz coś mocniejszego?
- Myślę, że znajdzie się wino. Albo piwo.
- Chętnie wypiję kieliszek wina.

Siedziałyśmy w ciepłej kuchni, z prawdziwą przyjemnością sącząc chardonnay. Mijały minuty, coraz mocniej pachniała piekąca się kolacja, a mnie przepełniało uczucie, że przynajmniej w tym momencie świata nie grozi żadna katastrofa. Wyjątkowo dobrze i swobodnie czułam się przy tej kobiecie, chociaż jej fryzura stanowiła całkowite zaprzeczenie wyznaczanych przeze mnie zasad.

- A więc Conrad - zaczęłam - cierpi na porażenie mózgowie?

- I oto prawidłowa odpowiedź! - zawołała Barb, wyrzucając ręce do góry. - Jaką mamy nagrodę? Co znajduje się za drzwiami numer jeden, kurtyna czy coś innego?

Tak bardzo mnie przestraszyła, że przycisnęłam ręce do piersi w banalnym, ale jakże szczerym geście, jednocześnie otwierając usta.

- Przepraszam - rzuciła Barb ze śmiechem. - Po prostu powiedziałaś to tak, jakbyś była naprawdę zmartwiona.

- Wybacz, to...

Barb machnęła ręką.

- Czuję się przy tobie tak swobodnie, że odważyłam się powiedzieć coś naprawdę oburzającego. Możesz być z siebie dumna. Dotychczas niewiele osób usłyszało taką odpowiedź.

- Nie wiem, czy powinnam być dumna, czy obrażona.

- Zdecydowanie powinnaś być dumna. - Upiła spory łyk wina, a ja poszłam w jej ślady. - Owszem - powiedziała, osuszając dolną wargę - Connie cierpi na porażenie mózgowie, spowodowane niedotlenieniem podczas przedwczesnego porodu. Spędził w szpitalu więcej czasu niż przeciętny chłopiec w jego wieku, ale ostatnio czuje się coraz lepiej. Ma lekkie upośledzenie umysłowe, choć moim zdaniem jest bystrzejszy od wielu normalnych ludzi. I tyle. Wychowanie go jest wielkim wyzwaniem.

- Często słyszysz te same pytania, prawda?

- Wiem, że ludzie są ciekawi. Tylko nie mam pojęcia, dlaczego wyładowałam się właśnie na tobie.

- Ponieważ w mojej obecności czujesz się całkiem swobodnie, pamiętasz?

Barb znów się roześmiała.

- Racja. Ale wróćmy do dnia dzisiejszego. Connie zaczyna protestować przeciwko rutynie - zresztą obecnie jest na etapie przekleństw - ale Rich uwielbia, gdy wszystko idzie zgodnie z planem. Nagłe zmiany napawają go strachem. Poza tym martwił się, czy coś ci się nie stało.

- Czuję się jak idiotka - powiedziałam, ponownie potrząsając głową. - A tak dobrze sobie radziłam.

- Nadal świetnie sobie radzisz. Ann i Riley są na zasłużonych wakacjach, a ty wyrzekłaś się wszelkich przyjemności, żeby przyjechać tu na miesiąc i zaopiekować się Richem.

W normalnych warunkach byłabym wdzięczna, że mama Conrada docenia moje poświęcenie, ale nie chciałam oszukiwać kobiety takiej jak Barb Torgerson.

- Wcale nie poniosłam tak wielkich wyrzeczeń - wyznałam. - Nie pracowałam i właściwie miałam zamiar jedynie trochę sobie podogadzać pod... hmm... każdym względem.

- Więc sama widzisz, jak dużo straciłaś. Nie zawsze jest czas na spełnianie własnych zachcianek.

Uniosła kieliszek z winem, proponując następny. Kiedy potrząsnęłam głową, zakorkowała butelkę i odniosła ją do lodówki.

- Wiesz, chyba dobrze, że Rich się na ciebie zdenerwował. Bardzo się bał, czy go polubisz... Prawdopodobnie teraz czuje się przy tobie tak dobrze, że gotów jest okazać prawdziwe uczucia.

- Ile dni zostało do powrotu Ann i Rileya?

Barb się uśmiechnęła.

- Nie martw się. Naprawdę świetnie sobie radzisz. - Wstała, żeby zajrzeć do pieczeni. - Bardzo chciałabym, żebyś została na kolacji, ale, niestety, George zaprosił na dzisiaj kilka osób.

- W ten sposób próbujesz delikatnie dać do zrozumienia, że pora na mnie.

- Sądzę, że wcale nie robiłam tego tak delikatnie.

Roześmiałam się. Naprawdę miałam nadzieję, że wkrótce będę mogła zjeść z nią kolację.

- Rich! - krzyknęłam, składając dłonie w trąbkę. - Pora do domu!

Widocznie mój siostrzeniec naprawdę czuł się przy mnie dobrze, ponieważ nagle zniknęła gdzieś okazywana przez kilka ostatnich dni uprzejmość. Pomimo gorących przeprosin boczył się przez całą drogę powrotną. Potem w domu, pragnąc nawiązać jakiś kontakt, spytałam go, czy chce kolację.

- Co cię to obchodzi? Co cię to obchodzi?! - krzyknął.

Instykt podpowiadał mi, żeby zadzwonić po taksówkę i kazać zawieźć się na lotnisko, wiedziałam jednak, że lepiej będzie, jeśli przystąpię do działania - nie rodzicielskiego, ale takiego, jakie przystało ciotce.

- Proszę, nie krzycz na mnie, Rich - zaprotestowałam. - Powiedziałam ci już kilka razy, jak bardzo mi przykro, że pomyliłam godzinę. Nie zamierzam więcej tego powtarzać. Pora, żebyś zaakceptował moje przeprosiny albo... no cóż... Prawdę mówiąc, nie masz wyboru. Człowiek musi wybaczyć, zwłaszcza gdy ktoś żałuje z całego serca, tak jak ja.

Przymrużył oczy, a jego nozdrza przy każdym wdechu gwałtownie się rozszerzały. Przez dziesięć sekund na mnie patrzył, a potem się rozpłakał.

Wzięłam go w ramiona, bo nie wiedziałam, co jeszcze mogę zrobić. Staliśmy tak przez chwilę, a kiedy zaczęłam się obawiać, że lada chwila przewrócę się pod wpływem ciężaru jego ciała, poprowadziłam go do kanapy.

- Przepraszam, ciociu! - powiedział, zdejmując okulary i wycierając oczy. - Ale byłem przerażony! Myślałem, że mnie zostawiłaś. Że mnie zostawiłaś i wyjechałaś do Włoch!

Przez chwilę czułam, że serce zamiera mi w piersi. Wstrzymałam oddech i przestałam mrugać powiekami.

- Och, Rich - wydusiłam w końcu. - Nie wybieram się do Włoch. Jestem tutaj i mam zamiar z tobą zostać.

- Tęsknię za mamą i tatą! - szlochał. - Bardzo za nimi tęsknię!

- W takim razie zadzwonimy do nich - zaproponowałam, wycierając mu policzki. - Tylko najpierw musisz przestać beczeć. Zaniepokoiłoby się, słysząc płaczliwy głos.

Rich przeciągnął ręką po twarzy.

- W porządku - powiedział po chwili. - Zrobione.

Miałam wrażenie, że rozmowa z rodzicami podziałała na niego jak balsam. Zobaczyłam, że na twarz Richa wrócił spokój i uśmiech.

- Tak, tak, w szkole wszystko w porządku - zapewnił. Kilkakrotnie przytaknął, zachichotał, a potem zadał pytanie za sześćdziesiąt cztery tysiące dolarów. - Zgadnij, mamusiu, kto zapomniał odebrać Conrada i mnie z basenu.

Powinnaś wiedzieć, że tak się stanie, mimo to miałam ochotę uderzyć w twarz tego małego Benedicta Arnolda. Rich mówił i mówił, relacjonując wszystko z najdrobniejszymi szczegółami.

- W końcu postanowiliśmy zadzwonić do mamy Conniego, żeby nas zabrała, ponieważ nie zamierzaliśmy zostać w szkole do jutra! Nawet nie wiem, czy w nocy palą tam światło... A gdzie ty byś spała, mamusiu, na ławce?

Znow zachichotał, a potem zupełnie niespodziewanie machnął ręką, niemal uderzając mnie słuchawką w głowę.

- Mama chce z tobą rozmawiać.

Podczas niedzielnych pogaduszek telefonicznych ze swoją siostrą, Helen, nasza mama od czasu do czasu dawała Ann i mnie słuchawkę, żebyśmy zamieniły kilka zdań z naszą kuzynką, Belindą. Wówczas w trakcie rozmowy między Minnesotą a Chicago w słuchawce słychać było tyle trzasków, jakby pracownicy NASA próbowali kontaktować się z kosmonautami krążącymi po orbicie.

Teraz Ann słyszałam tak, jakby siedziała w sąsiednim pokoju. Była zła.

- Genevo, co...

- Już wszystko w porządku, Ann. Zapewniam cię, że to się nie powtórzy. Nie masz się o co martwić. Co słychać w Toskanii?

- Właśnie jest środek nocy. Wyrwaliście nas z głębokiego snu.

- Przepraszam. Ale Rich tak bardzo za wami tęsknił, że...

- Och, Genevo, dobrze się czuje, prawda?

- Świetnie - zapewniłam, spoglądając na pełną wyczekiwania twarz siostrzeńca i zastanawiając się, czy widzi na mojej niepewność. - Oboje świetnie się czujemy.

Istnieje wiele sposobów spędzania piątkowych wieczorów. Rich i ja poświęciliśmy go na odrobienie zadania z historii - wykonanie modelu Alamo. Ciche skupienie od czasu do czasu przerywał jedynie jakiś żart lub wymiana kilku zdań. Nagle ogarnęła mnie fala tęsknoty. Było to tak silne uczucie, że niemal sapnęłam.

- Co się stało, ciociu? - spytał Rich, zerkając na mnie znad patyczków po lizakach.

- Nic - odparłam, biorąc jeden z nich i dopasowując jego tępy koniec. (Moje zadanie polegało na zrobieniu obwarowań i wieżyczek fortu).

- W takim razie czemu zrobiłaś coś takiego?

Wydał okropny dźwięk, jak ktoś, kto dostał cios w żołądek. A więc jednak sapnęłam.

- Jak by ci to powiedzieć? - mruknęłam, zastanawiając się, czy zbyć jego pytanie, czy też udzielić na nie jakiejś odpowiedzi. Postanowiłam się wykręcić. - To była tylko czkawka.

Rich przmrużył oczy, spojrzał na mnie jak policjant, który nie wierzy wagarowiczowi, próbującemu wytłumaczyć, że w porze lekcji znalazł się na rogu ulicy, gdyż ma indywidualny tok nauczania.

Przełknęłam ślinę i zrobiło mi się wstyd.

- W porządku, to nie była czkawka. Po prostu pomyślałam o swojej babci - twojej prababci - i przypomniałam sobie, jak pomagała nam przy odrabianiu lekcji.

- Prababci Hjordis? - spytał Rich z płonącym wzrokiem.

Przytaknęłam.

- Czy twoja mama często o niej opowiada?

- Bardzo! - zapewnił Rich. - Zwłaszcza że mamy teraz to wielkie pudło z pamiątkami.

- Pudło z pamiątkami? O czym ty mówisz?

- Chodź, ciociu - powiedział Rich, odsuwając się od stołu. - Pokażę ci.

Powędrowałam za nim do małego pomieszczenia, które służyło jako pralnia, magazynek środków czystości i różnych zbędnych przedmiotów.

- Babcia Ruth nam to przysłała - wyjaśnił Rich, wskazując na duży karton. - Mama tylko zerknęła do środka. Powiedziała, że jest zbyt zajęta przygotowaniami do wyjazdu, by

rozpakowywać całe pudło. Uznała jednak, że będzie w nim mnóstwo pamiątek.

Przypomniałam sobie, jak przed wyjazdem do Arizony mama dzwoniła do mnie i mówiła, że sprząta dom. Pytała, czy chcę coś ze staroci. Myślałam, że „starocie” to jakieś bibeloty, łąpki do naczyń i przetarte ściereczki, więc odparłam uprzejmie: „Nie, dziękuję”.

Po uniesieniu przykrywki zobaczyłam album na zdjęcia. To rozbudziło moją ciekawość.

- Pomóż mi - powiedziałam, wyciągając pudło. - Przejrzyjmy, co w nim jest.

Ja ciągnęłam pudło, a Rich je popychał. Takim oto sposobem przetransportowaliśmy karton do salonu, po czym usadowiliśmy się na kanapie i zaczęliśmy przeglądać pożółkły album ze zdjęciami.

- Są stare - zauważył Rich, spoglądając na nie spod przy-mrużonych powiek. - Bardzo, bardzo stare.

Łzy napłynęły mi do oczu.

- To nasza babcia - szepnęłam. - Moja i twojej mamy.

Z prostokątnego, ząbkowanego czarno-białego zdjęcia spoglądała na mnie kochana babcia Hjordis. Stała w kuchni i trzymała w płóciennej łąpce jednego ze swoich piernikowych ludzików.

- Piekła najlepsze pierniki na świecie - wyjaśniłam. - Twoja mama i ja nie chciałyśmy ich jeść, ponieważ robiła im z lukru malutkie spodniczki i koszulki z cukrowymi guziczkami, ale nie mogłyśmy się powstrzymać.

- Czy to ona? Czy to ty i mama, jak byłyście małe?

Przytaknęłam, nie będąc w stanie wydusić z siebie ani słowa. Zdjęcie, które pokazywał Rich, przedstawiało mnie i Ann, gdy miałyśmy około pięciu lat. Siedziałyśmy na kolanach babci. Wyglądałyśmy jak dwie identyczne laleczki, ubrane w takie same ubranka, które babcia uszyła nam na Boże Narodzenie. Wszystkie trzy znajdowałyśmy się obok choinki i wyglądałyśmy tak, jak ludzie wyglądają podczas Bożego Narodzenia - wyjątkowo radośnie.

- Była bardzo dobrą babcią - szepnęłam.

- Ja też mam dobrą babcie - zapewnił Rich wyzywającym tonem. - Babcia Ruth mieszka w Arizonie. Druga, niestety, umarła.

Każde zdjęcie, na którym pojawiała się babcia, a od czasu do czasu również i dziadek, prowadziło mnie ścieżką wspomnień. Na jednym z nich babcia prezentowała swoją nowiutką maszynę do szycia („Nie będę musiała już dłużej używać pedału!”), na innym - razem z dziadkiem oglądała nasz zamek ze śniegu, dalej dziadek z prawdziwą dumą pokazywał swojego nowego forda falcona, gdzie indziej babcia zaplatała mi warkocz.

- Muszę porobić odbitki tych zdjęć - mruknęłam.

Potem pod wpływem wzruszenia słowa uwięzły mi w gardle. Na następnej fotografii była babcia, Ann i ja. Leżałyśmy na podłodze w salonie i pracowałyśmy nad modelem łodzi wikingów. W siódmej klasie musiałyśmy wykonać taką pracę z geografii. Prawdę mówiąc, to zdjęcie nie miało nic wspólnego ze wspomnieniami, które nawiedziły mnie, gdy pomagałam Richowi budować Alamo (jak babcia, gdy wspierała nas przy tworzeniu pionierskiej dioramy). Przyznaję wręcz, że całkiem zapomniałam o godzinach, które spędziłyśmy, zarzucając podłogę skrawkami materiału i kawałkami drewna, by stworzyć coś, co nazwałyśmy Potężną Helgą. Dostałyśmy za nią piątkę, a podczas wywiadówki zdobiła katedrę nauczycielki.

- Wielkie nieba! - zawołałam, używając słów, którymi posługiwała się babcia, by wyrazić nimi wszystko, od zniecierpliwienia po strach i zachwyty. - Podczas krojenia, klejenia i szycia nauczyła nas wiele na temat olinowania, kliwerów i masztów.

Zamknęłam oczy. Nie zrobiłam tego, żeby dokładniej przypomnieć sobie tamte chwile, bardziej zależało mi na powstrzymaniu łez.

- Pamiętam, jak babcia powiedziała mojej mamie - to znaczy twojej babci, Ruth - żeby wyjęła aparat fotograficzny i uwieczniła naszą pracę nad Potężną Helgą. Mama spytała, po co tyle zamieszania wokół zwykłych zadań domowych. Wiesz, co wtedy odparła babcia, Rich?

- Co? - spytał cicho.

Wciąż miałam przymknięte oczy. Zobaczyłam mamę w przejściu łukowym, łączącym jadalnię z salonem. Kierowała w naszą stronę obiektyw i krzyczała, żebym wreszcie przestała robić zeza i uśmiechnęła się.

Głos mi drżał.

- Babcia powiedziała: „Wykonywanie różnych rzeczy razem z moimi ukochanymi wnusiami to nie zamieszanie, lecz świetna zabawa”.

Pamiętam, że obie z Ann wymieniłyśmy spojrzenia. Sądząc po wyrazie jej twarzy, czuła to samo co ja -jakbyśmy dostały nagrody w trudnej do wyjaśnienia kategorii.

- Postanowiłam wówczas - ciągnęłam - że będę matką, która również uważa wykonywanie z dziećmi różnych rzeczy za świetną zabawę.

Ciężko westchnęłam. Wiedziałam, że lada chwila pograżę się w smutku i rozpaczy, ale Rich przez chwilę grzebał w pudle, a potem wyciągnął coś, co wyglądało jak dwa kawałki kartonu związanego wyblakłą wstążeczką.

- Co to? - spytał, przybliżając pakiecik do oczu. - Jest związane jak prezent.

- Pozwól, że się przyjrę - zaproponowałam beztrósko, powstrzymując się przed wyrwaniem mu tego z rąk.

- Nie mogę odczytać pisma - żalił się Rich. - Jest dla mnie zbyt zawiłe.

Wyrzucił rękę do przodu, a róg dziwnej książki, czy co to tam było, niemal wbił mi się w policzek.

- Proszę - mruknął. - Przeczytaj, ciociu.

- Z przyjemnością- powiedziałam przez zaciśnięte zęby.

Wyblakła fioletowa satynowa wstążeczka rozdzielała na połówkę wykonaną z lichego kartonu okładkę. Na górnej połówce zobaczyłam dwa słowa, napisane blednącym niebieskim atramentem i pełnym zawijasów charakterem pisma: „Wielka tajemnica”.

- O mój Boże! - szepnęłam.

- O co chodzi? - spytał Rich. - Co to jest?

- To książka, którą wykonaliśmy razem z twoją mamą - wyjaśniłam, dotykając sznurka przewleczonego przez trzy dziurki zrobione na lewym marginesie. - Książka, która powstała dawno, dawno temu.

Zdumiewające zjawisko, zwane wspomnieniami, ponownie przeniosło mnie w miejsce, w którym nie byłam od lat - do stojącej nad brzegiem jeziora chaty mojego ciotecznego dziadka, Carla Hillstroma, brata babci Hjordis. Rokrocznie latem na tydzień przenosiliśmy się nad wodę. Zazwyczaj ten czas wy-

pełniały nam kąpiele, łowienie ryb i spanie na werandzie. Mama i babcia często śpiewały, a cioteczny dziadek, Carl, wtórował im na skrzypcach.

Jednak tego roku wiał silny wiatr i padał deszcz. Nie dało się więc spać na werandzie. Pewnego wieczoru błyskawice wypełniały prostokątne okna niesamowitym, zielonkawym światłem. Ann i ja siedziałyśmy w przeciwnych końcach pokoju, lekceważąc się nawzajem. Znudziło nam się przebywanie ze sobą przez cały dzień, dlatego mama, żeby przerwać ciągłe sprzeczki, postanowiła nas rozdzielić.

Dorośli siedzieli przy sosnowym stole, a ja przeglądałam komiks, który czytałam już przynajmniej dwanaście razy. Od czasu do czasu podnosiłam głowę, żeby pokazać Ann język. Moja siostra rysowała coś w szkicowniku. Jakimś cudem wy-czuła, że wszystko bym dała, by zobaczyć, co rysuje, podniosła więc blok do góry. Pokój był tak mały, że z łatwością zobaczyłam podobiznę dziewczynki z rogami, zezem i zepsutymi zębami, podpisaną „Geneva”. Ann uśmiechnęła się z poczuciem wyższości, a ja wystawiłam jej język. Następne minuty ciągnęły się w nieskończoność.

- Powiedzcie mi... - zaczęła babcia Hjordis, nalewając dorosłym kawę z błękitnego dzbanka w drobny rzucik i z przypalonym spodem - ...co się właściwie stało z „na dobre i na złe, w zdrowiu i chorobie”?

W jej głosie słyszeć było złość. Babcia bardzo rzadko się złościła. Zamknęłam komiks, zadowolona z niespodziewanej rozrywki.

- Ależ, Hjordis, on nie przypuszczał, że do tego dojdzie - zaprotestował cioteczny dziadek, Carl. - Idę o zakład, że jest nieszczęśliwy na myśl o przykrości, jaką sprawi Mariannę.

- Zgoda - wtrącił dziadek Ole - ale czy to znaczy, że ma prawo lekceważyć głos serca?

- Tak! - zakrzyknęły chórem babcia i jej bratowa, Tove.

- Po prostu powinien zapomnieć o tej kobiecie! - ciągnęła Tove. - Zakochał się jak uczeń, chociaż powinien postępować, jak na męża i ojca przystało!

Rozmowa powoli przeradzała się w kłótnię. Nagle poczułam szturchnięcie Ann. Przesunęłam się, by zrobić jej miejsce na zniszczonym fotelu z obiciem w kowbojów. W naszej rodzinie dorośli nigdy nie podnosili głosów, dlatego obie zapo-

mniałyśmy o naszym nieporozumieniu i usiadłyśmy razem jak zauroczone.

- O kim oni mówią? - spytałam cicho.

Ann, która jakimś cudem zawsze potrafiła usłyszeć więcej niż ja, odparła również szeptem:

- O wujku Rolfie.

Wynikało z tego, że brat mojej mamy, wujek Rolf, zakochał się w innej kobiecie i postanowił rozstać się z żoną i dziećmi. Prawie nie znałam tego wujka ani jego rodziny - mieszkali w Kolorado. Spotkaliśmy się chyba tylko raz podczas jakiejś uroczystości rodzinnej.

Głosy za i przeciw rozłożyły się wyjątkowo równo - trzy osoby były przeciwne rozpadowi małżeństwa („To byłby pierwszy rozwód w naszej rodzinie!” - zawołała babcia Hjordis, potrząsając głową), a trzy uznały, że lepsze jest rozstanie. Nie sprowadziło się to jednak do sprzeczki między kobietami a mężczyznami. Co prawda babcia i jej bratowa, Tove, stały w opozycji do dziadka i ciotecznego dziadka, Carla, ale zaskoczył nas ojciec, który wziął stronę starszych pań. Co dziwniejsze, mama przyznała rację starszym panom.

- Od dawna był nieszczęśliwy - wyjaśniła. - Pamiętacie, jak Mariannę docinała mu podczas zjazdu rodzinnego? Bez przerwy robiła złośliwe uwagi na temat jego pracy, ubioru, a nawet sposobu, w jaki rozpałał grilla?

- Może wiedziała, że jej mąż z kimś się spotyka? - podpowiedziała cioteczna babcia, Tove.

- Poznał tę kobietę dopiero w zeszłym roku! - wyjaśniła mama.

- Niemniej - wtrącił tata — powinien znaleźć sposób na rozwiązanie tego problemu. Mężczyzna nie może uchylać się od swoich obowiązków.

- Czy to znaczy, że ma rezygnować z prawdziwego szczęścia? - spytała mama. - Wobec kogo ma większy obowiązek?

- Wyjęłaś mi te słowa z ust - poparł ją Carl.

Rozmowę przerwał piorun, który zagrzmiał tak głośno, że zadzwoniły szyby w oknach. Babcia przestraszona spojrzała na Ann i na mnie.

- Spójrzcie, kto nas słucha! - krzyknęła.

- Ann! Genevo! - skarcił nas ojciec. - Myślałem, że od dawna jesteście w łóżku.

Nie rozumiejąc, skąd dorosłym wziął się taki pomysł, obie z Ann wzruszyłyśmy ramionami.

- A waszym zdaniem co powinien zrobić wujek Rolf? - spytała mama.

- Wielkie nieba, Ruth! - krzyknęła cioteczna babcia, Tove. - To nie sprawa dla małych dziewczynek.

- Nie jesteśmy wcale takie małe - zauważyłam.

- Niedługo będziemy nastolatkami - dodała Ann, chociaż do dwunastych urodzin zostało nam jeszcze kilka miesięcy.

- Myślę, że powinni się rozwieść - oznajmiłam, wykorzystując możliwość, jaką dali nam dorośli. - Na pewno nie chciałabym być żoną mężczyzny, który mnie nie kocha.

- Ja również - poparła mnie Ann. - Chociaż ten, kogo poślubię, zawsze będzie we mnie szaleńczo zakochany.

Przynajmniej raz Ann powiedziała właśnie to, co myślałam i zamierzałam powiedzieć. Ucieszyłam się i poczułam typową dla bliźniąt więź. Potem wybuchnęłyśmy śmiechem, a zachęcone reakcją dorosłych, zaśmiałyśmy się jeszcze głośniej.

- O kurczę! - jęknęła cioteczna babcia, Tove. - To bardzo arogancka odpowiedź na wyjątkowo trudne pytanie.

- Możecie zapytać je o cokolwiek - wyjaśniła babcia z miłością, a jednocześnie z pewną irytacją w głosie. - Mają gotową odpowiedź na wszystko.

- Co wcale nie oznacza, że mówią mądrze - prychnęła cioteczna babcia, Tove.

- Akurat w tym przypadku, owszem - powiedziała mama - bo czyż nie tak właśnie powinno być? To samo dotyczy małżeństwa Rolfa. - Kiwając głową, przyjrzała się wszystkim zebranim wokół stołu, jakby zachęcała rozmówców, by się z nią zgodzili lub zaprotestowali. - Życie stawia wiele trudnych pytań i daje tyle samo odpowiedzi.

- Pokonała cię, Tove! - zawołał cioteczny dziadek, Carl.

Potem tata puścił do nas perskie oko, a ja poczułam się cudownie dorosła i akceptowana. Upajały mnie możliwości związane z jednym i drugim.

Tego wieczoru grzmoty i błyskawice szalały do późna. Gdy obie starsze pary poszły spać do dwóch maleńkich sypialni, a nasi rodzice powędrowali na stryszek, Ann i ja nie mogłyśmy zasnąć, zbyt pobudzone energią unoszącą się w burzowym powietrzu.

Nie wiem, która z nas wpadła na ten pomysł, ale po długiej debacie na temat trudnych pytań postanowiliśmy zrobić księgę z odpowiedziami.

Wyciągnęliśmy poczerńnięte nożyczki, a w szufladzie z rupieciami znalazłyśmy klej. Wycięłyśmy i zrobiłyśmy papierowe kieszonki, a następnie przykleiłyśmy je do kartek wyrwanych ze szkicownika Ann. Na pierwszej stronie nad kieszonką napisałyśmy pytanie. Na lewym marginesie kartek i kartonowych okładek zrobionych z rozebranego pudełka z cheerios czubkiem nożyczek wywierciłyśmy trzy (mniej więcej takie same) otwory.

- Świetnie! - powiedziała Ann, przeciągając ostatni kawałek szpagatu przez trzecią dziurkę i zawiązując go. - Jaki damy jej tytuł?

Dzieło naszych rąk leżało w stożku światła, rzucanego przez starą lampkę stołową z ręcznie malowanym abażurem. Ann i ja oparłyśmy brody na zaciśniętych pięściach i wpatrywałyśmy się w kartonową okładkę. Nie mogłyśmy nadać tak poważnej księdze byle jakiego tytułu, musiał być poważny, głęboki i intrygujący.

- *Wielka tajemnica* - zaproponowałam w końcu.

Ann zerknęła na mnie błyszczącymi oczami i powiedziała:

- Świetnie!

Kiedyś brałyśmy udział w przyjęciu urodzinowym przyjaciółki. Jej rodzice zatrudnili magika, który miał zabawiać dziesięcioletnich gości. Był to drobnutki staruszek, ubrany w czarny wyświechtany strój, pachnący kulkami na mole, trzeba jednak przyznać, że było na co patrzeć. Lolly Patchet (którą nie bez kozery nazywano Głośną Lolly) bez przerwy powtarzała: „Jak pan to zrobił?”, na co sztukmistrz odparł górnolotnie: „Ach... to wielka tajemnica”.

Ann i ja próbowałyśmy włączyć owo powiedzenie do naszego słownika, szybko jednak zrezygnowałyśmy, czując, że słowa te mają zbyt głębokie znaczenie, by beztrudno z nich korzystać (co może nieco dziwić, zważywszy na to, że moja siostra i ja - prawdę mówiąc, głównie ja - bez najmniejszych skrupułów stroiłyśmy sobie żarty z dziwnych ludzi i ich niecodziennego sposobu wyrażania się).

Ann napisała tytuł na kartonie śmierzącym papierosami pisakiem. Potem wycięłyśmy kawałki liniowanego papieru

i po długim zastanowieniu ułożyłyśmy odpowiedzi na nasze pierwsze pytanie, po czym wsunęłyśmy je do papierowej kieszonki.

- Czy nie powinnyśmy się podpisać? - spytała Ann.

- Nie. Uważam, że gdy ludzie nie muszą ujawniać swojej tożsamości, wypowiadają się mądrzej i swobodniej.

Ann przytaknęła.

- Prawdopodobnie i tak dojdziemy do tego, kto co napisał, na podstawie charakteru pisma.

Poprosiłyśmy pisemnie o odpowiedź na pierwsze pytanie, zostawiłyśmy księgę i karteluszkę na stole kuchennym, po czym podniecone poszłyśmy do łóżka, mając nadzieję, że dorośli podejmą grę.

- Otwórz to, ciociu!

Spojrzałam na siostrzeńca i zamrugałam powiekami. Drzwi do przeszłości zatrzasnęły się z hukiem. Musiałam wrócić do chwili obecnej.

- Dobrze! - powiedziałam, rozwiązując wstążeczkę. (Kiedy ktoś ją dodał?).

- Cheerios! - zawołał Rich, czytając ozdobną etykietkę z płatków zbożowych, znajdującą się po wewnętrznej stronie okładki naszej księgi. - Uwielbiam cheerios!

Wstrzymałam dech, spoglądając na wyblakły papier ze szkicownika i pismo Ann (pytania wpisywałyśmy na zmianę, chociaż moja siostra miała ładniejszy charakter pisma).

Rich szturchnął mnie łokciem.

- Czytaj, ciociu!

- „Witamy wszystkich, którzy zajrzeli do środka” - zaczęłam, zaskoczona, że do oczu napływają mi łzy. - „Witamy w *Wielkiej tajemnicy*, którą jest życie. Prosimy... nie bójcie się trudnych pytań, które ludzie zadają sobie od wieków, chociaż z pewnością nad odpowiedzią na nie zastanawiały się znacznie tęzsze umysły niż nasze”. - Uśmiechnęłam się, przypomniawszy sobie, z jaką dumą dyktowałam wstęp Ann. - „Pamiętajcie, że skoro nie ma głupich pytań, nie powinno być również głupich odpowiedzi. Prosimy więc, zastanówcie się i pomóżcie nam znaleźć odpowiedzi do *Wielkiej tajemnicy*. Z pozdrowieniami, Ann i Geneva Jordan. PS. Jeżeli was również dręczą jakieś trudne pytania, napiszcie je na czystych kartkach w dalszej części. Dziękujemy”.

Odwróciłam się.

- O rany, ciociu, ty drżysz - zauważył Rich.

- Po prostu jestem bardzo poruszona.

Chłopak przysunął się bliżej.

- Ja też.

Odczytałam pytanie napisane na górze kartki: „Co to jest prawdziwa miłość?”

- Co jest w tym schowku? - spytał Rich, pokazując kieszonkę, którą zrobiliśmy, składając kartkę przez pół, a potem przyklejając jej boki i dolny brzeg do strony.

- Odpowiedzi - odparłam, czując jeszcze większe drżenie. - Wyjmij jedną z nich.

Rich domyślił się, że musi być ostrożny, dlatego delikatnie wsunął dwa pulchne palce do kieszonki i wyciągnął skrawek papieru.

- O kurczę! - zawołał podniecony. - Niech to diabli! - Rozłożył karteluszek i przybliżył go do przymrużonych oczu. - Dla mnie te litery są zbyt niewyraźne, ciociu.

Wzięłam od niego kartkę, natychmiast rozpoznając charakter pisma.

- To odpowiedź babci Hjordis - wyjaśniłam.

- Proszę, przeczytaj! - błagał Rich.

Tak też zrobiłam.

- „Istnieje wiele rodzajów miłości i wiele rodzajów prawdziwej miłości. Oczywiście, najważniejsza powinna być miłość do Boga. Potem mamy miłość matki do dzieci - uczucie znacznie silniejsze od innych rodzajów miłości (z wyjątkiem miłości do Boga), ponieważ kobieta gotowa jest umrzeć dla swoich dzieci. Trudno uznać uczucie łączące mężczyznę i kobietę za słabsze. Ono po prostu wydaje się inne. Ale w tym przypadku możemy wybierać. Jeśli chodzi o dzieci, matka nie ma żadnego wyboru, kocha je niezależnie od wszystkiego. Równie prawdziwa może być miłość do brata czy siostry, rodziców lub przyjaciela, gdyż czułość, życzliwość, dobroć i troska nie są kłamstwem”.

- U-u-u - zawył Rich, gdy skończyłam. - Nie całkiem wiem, o co babci chodziło, ale i tak należą jej się brawa.

Uśmiechnęłam się, szczęśliwa, że Richowi spodobała się odpowiedź babci Hjordis. Czytając teraz tę odpowiedź, odczułam dokładnie taki sam zawód jak wówczas, gdy byłam

dziewczynką: babcia należała do wyjątkowo zabawnych osób, tymczasem jej rozważania w ogóle na to nie wskazywały.

- Kolej na mnie - oznajmiłam, wyciągając następny kawałek papieru. „Dziewczęta w waszym wieku mają przed sobą jeszcze kilka ładnych lat, nim zaczną się martwić o takie rzeczy jak prawdziwa miłość”.

- Kto to napisał? - spytał Rich, gdy przestaliśmy się śmiać.

- Moja cioteczna babcia, Tove. Bardzo często mawiała Ann i mnie, że jesteśmy nad wiek rozwinięte.

- Teraz ta - powiedział Rich, wręczając mi następny kartuszek.

Przeczytałam wszystkie odpowiedzi. Dziadek Ole napisał: „Miałem kiedyś psa myśliwskiego, którego nazywałem Bly. Pewnego razu wpadłem do wartkiego strumienia. Bly skoczył i wyciągnął mnie z wody. Spał w nogach mojego łóżka, a rano budził mnie lizaniem po twarzy. Chodził ze mną do szkoły i czekał pod nią, gdy zabrzmiał ostatni dzwonek. Mówiłem mu o wszystkim i odnosiłem wrażenie, że mój pies świetnie mnie rozumie. Był moim serdecznym przyjacielem i pewnie pierwszą prawdziwą miłością. Hjordis umieściłbym chyba na drugim miejscu... cha, cha, cha”.

Mój ojciec, Barney, nie stroił sobie żartów z żony. Musiał mieć natchnienie, bo napisał wiersz: „Ruth, Ruth / Tyle w niej czułości / To moja prawda na temat miłości”. Cioteczny dziadek, Carl, był w bardziej filozoficznym nastroju, dlatego snuł rozważania, czy ktokolwiek z nas jest naprawdę zdolny do prawdziwej miłości, „ponieważ wcześniej czy później nasze ego zbruka to uczucie i każe nam się zastanawiać, czy nasz partner również nas kocha”. Mama napisała: „Człowiekowi zawsze się wydaje, że gdy spotka kogoś odpowiedniego, będzie wiedział, iż to prawdziwa miłość - dozna, wtedy uczucia olśnienia, zachwyty, radości i szczęścia, poczuje, że druga osoba przeżywa to samo. Potem nagle okazuje się, że to wcale nie była prawdziwa miłość, jedynie zauroczenie. Prawdziwa miłość to wielki ogień, który powstaje po wielu latach wspólnego życia, radości i łez, dzielenia tych samych zainteresowań, patrzenia, jak rosną córeczki”. Potem dodała w bardziej romantycznym nastroju: „Istnieje wiele rodzajów miłości, ale prawdziwa miłość jest tylko jedna”.

Po przeczytaniu swojej odpowiedzi zatęskniłam za jede-

nastolatką, jaką niegdyś byłam: „Prawdziwa miłość to nie Annette Funicello i Frankie Avalon, prawdziwa miłość to nie Archie i Veronica, choć mogłaby połączyć Archiego i Betty, gdyby był nieco mądrzejszy. Prawdopodobnie coś na temat prawdziwej miłości mogliby powiedzieć Romeo i Julia, ale tego nikt się nie dowie, ponieważ oboje umarli. Dotychczas raczej nie przeżyłam prawdziwej miłości, wiem jednak, że jeszcze mnie czeka, prawdopodobnie przynajmniej kilka razy”.

Czytając odpowiedź Ann, również zatęskniłam za tamtą jedenastolatką. „Chyba nie bardzo potrafię sobie wyobrazić prawdziwej miłości, ale to musi być coś wspaniałego, skoro tak wielu ludzi o niej mówi, śpiewa i pisze. Wiem, że to coś wyjątkowego, jak balet, czekolada albo taki śmiech, od którego aż boli brzuch. Oczywiście, komuś, kto nie lubi baletu, czekolady ani śmiechu, prawdziwa miłość przypomina coś innego”.

- To by było na tyle - podsumowałam, zamykając książkę.
- Nie przeczytasz, ciociu, więcej?
- Może jutro. Spójrz, która jest godzina.

Rich wychylił się za kanapę, żeby zerknąć na zegar w kuchni.

- Prawie dziewiąta - przyznał. - U-u-u.

Potem spojrzął na ławę i nasze niedokończony Alamo, które zapoczątkowało rozmowę na temat babci Hjordis i zaowocowało odkryciem skarbu, leżącego teraz na moich kolanach.

- Ale jeszcze nie skończyliśmy mojego zadania.
- Na kiedy je masz?

Rich zmarszczył czoło i wbił wzrok w sufit.

- Mam je oddać dopiero po Halloween. Nauczyciel powiedział, że dopiero po Halloween.

- W takim razie zostało jeszcze dużo czasu - uznałam. - A teraz daj swojej starej ciotce całusa i zmykaj do łóżka.

- Nie widzę tu żadnej starej ciotki - zapewnił z przebiegłym uśmiechem na ustach. - Widzę tylko ciebie, ciociu.

Po tym wyszukany komplementem cmoknął mnie w policzek i uściśnął tak, jakby próbował nastawić mi kręgosłup.

Zrobiłam sobie gorącą kąpiel z pianą. (Znając moje upodobania, Ann rozmyślnie wyposażyła łazienkę w różowe, zielone

ne i błękitne buteleczki, których etykiety obiecywały uspokojenie, poprawę kondycji, przywrócenie sił witalnych albo odpozynek i przyjemność. Wybrałam ostatnią propozycję - reaguję na wszystko, co zawiera słowo „przyjemność”).

Ubrana we flanelową koszulę nocną, z prawie suchymi spiętymi włosami przygotowałam sobie filiżankę herbaty i zniosłam ją na piętro. Postawiwszy tacę na nocnym stoliku, ostrożnie złożyłam lnianą narzutę, poprawiłam poduszki i weszłam do łóżka. Wszystko to robiłam powoli i z rozmysłem, niemal dostojnie. Czułam się jak nowicjuszka wstępująca do klasztoru: pełna nadziei, zaszczycona i podekscytowana. Chciałam jak najszybciej wrócić do *Wielkiej tajemnicy*, mimo to niespiesznie weszłam do łóżka, poprawiłam kołdrę i ostrożnie rozwiązałam wstążeczkę, jakbym rozpakowywała pudełeczko zawierające najdelikatniejszą porcelanę.

Wróciłam do tego, co wcześniej przeczytałam Richowi. Przypomniałam sobie, jak następnego ranka obie z Ann pędem podbiegłyśmy do stołu.

- Gdzie ona jest?

- Co takiego? - spytała babcia, stojąc przy zlewie i myjąc naczynia po śniadaniu tych, którzy wstali wcześniej od nas.

- Przecież wiesz, babciu - powiedziała Ann. - Nasza księga.

- Księga? - spytała mama ze ścierką w ręce. - Jaka znowu księga?

- Obie wiecie, o co nam chodzi - zapewniłam.

Coś w moim głosie przekonało je, że lepiej się ze mną nie drażnić.

- Pracuje nad nią wujek Carl - wyjaśniła mama. - Jest na werandzie.

- Jako następny w kolejce ustawił się dziadek - ciągnęła babcia. - Zmusiłyście, dziewczęta, wszystkich do myślenia.

Przez kilka pozostałych dni spędzonych w chacie zstawiłyśmy księgę na stole kuchennym, żeby osoby schodzące na śniadanie mogły zobaczyć nowe pytanie. Dotychczas, jeżeli ktoś wychodził z domu na jakiś czas, zakładało się, że jest w ubikacji na zewnątrz, teraz wszyscy znikali, żeby zastanowić się nad odpowiedzią, chociaż cioteczny dziadek, Carl, lubił układać swoje odpowiedzi w domku z serduszkami. Po umyciu naczyń po kolacji zasiadaliśmy przy kominku, a na-

stępnie każdy wybierał na chybił trafił jedną odpowiedź i czytał ją na głos.

Rozluźniona po kąpieli, włożyłam z powrotem odpowiedzi oraz wyjaśnienia, czym jest prawdziwa miłość, i otworzyłam księgę na następnej stronie. „Jaki jest sens życia?”

Zadrżałam, sięgając do kieszonki.

„A cóż to za pomysł?” - napisała cioteczna babka, Tove. „Czy ktokolwiek zna odpowiedź na to pytanie? Dziewczęta w waszym wieku powinny raczej zastanawiać się, jakie miasto jest stolicą Danii, albo pytać: Czy możesz mnie nauczyć, jak się piecze dobry placek z chrupiącą skórką? To głupoty. Sens życia to, oczywiście, branie przykładu z Boga”.

No tak, znowu ten norweski luteranizm, przeciwko któremu jako dziecko bardzo się buntowałam, gdyż kompletnie pozbawił mnie radości życia.

„Każdy inaczej patrzy na życie, ale, co dziwne, różne podejścia można sprowadzić do jednego, nawet jeżeli diametralnie się od siebie różnią”. Nie bardzo rozpoznając pismo i nie rozumiejąc początku, przeczytałam go kilkakrotnie. W końcu udało mi się odgadnąć autora. Był nim mój ojciec. „Tylko pomyślcie - najczęściej ludzie mówią, że ważna jest dla nich miłość, rodzina i dobra praca. Mój brat, Glen, nigdy nie był żonaty. Od wielu lat przemierza świat wzdłuż i wszerz. Wiem, że gdybym zadał mu to pytanie, odparłby: »Sensem życia jest przygoda, badanie wszystkiego, co trzeba zbadać«. Słuchając tego, można by uznać, że jego poglądy bardzo różnią się od naszych, ale gdy się dłużej zastanowić, okaże się, że to nieprawda. Glen szuka przygód w dalekich krajach, ja znajduję je w wielkim mieście, w którym mieszkam od dziecka. Dlaczego człowiek prowadzi badania? Żeby poznać lepiej to, co bada. Glen nie jest jedynym odkrywcą - ja w pracy dowiaduję się nowych rzeczy dotyczących instalowania telefonów. Rozmawiając z żoną, lepiej poznaję ją i nasze córeczki. Dużo nauczyłem się od obu dziewczynek! W związku z tym moja odpowiedź brzmi tak: Jest wiele rzeczy wartych miłości, różnie można podchodzić do rodziny (Glen powiedział mi kiedyś, że jego rodzinę stanowią członkowie wszystkich plemion żyjących na ziemi! - mama niemal zemdląła!) i rozmaicie zarabiać na życie. Po prostu każdy musi odkryć, co jest dla niego ważne. I co chce zbadać”.

Trudno byłoby znaleźć bardziej prawomyślnego obywatela niż mój tata, Barney Jordan. Nigdy bym nie pomyślała, że pisząc o sensie życia, użyje takiego słowa jak „przygoda”. Wsunęłam karteczkę taty do kieszonki i przycisnęłam mój skarb do łomoczącego serca. Po kilku chwilach zawiązałam kokardkę na lichej okładce zrobionej z pudełka po płatkach zbożowych i ostrożnie odłożyłam księgę do szuflady w szafce obok łóżka, z przekonaniem, że to, co zawiera, jest cenne jak złoto, złoto, które najlepiej wydobywać powolutku.

Następnego ranka zabrałam Richa do biblioteki i wypożyliśmy książki na temat Włoch. Bardzo dużo mówił o tym kraju, uznałam więc, że może przy okazji się czegoś o nim nauczyć.

Było piękne, ciepłe sobotnie popołudnie. Niebo zachwycało błękitem. Kiedy dotarliśmy do domu, usiedliśmy w kurtkach na werandzie i przejrzelśmy książki.

- Spójrz, Rich - powiedziałam, pokazując zdjęcie jakiejś młodej kobiety w kawiarni. - Czyż nie są ładne? - Przewróciłam kartkę i zatrzymałam się na ilustracji przedstawiającej Dawida dłuta Michała Anioła. - A ten facet. Nie powiedziałbyś, że jest przystojny?

Rich zasłonił dłonią usta i zachichotał.

- Ten facet jest nagi.

Przemówiło do niego dopiero zdjęcie z ostatniej książki.

- Co to za łódka? - Krótkim, grubym palcem stuknął w kolorowe zdjęcie.

Oderwałam wzrok od słownika w podręczniku włoskiego dla początkujących.

- Och, to gondola.

- Gon-do-la?

- Tak, gondola. Takimi łódkami pływa się po kanałach w Wenecji. - Uznałam, że nadarzyła się doskonała okazja, by wykorzystać wiedzę wyniesioną ze szkoły. - Wiesz, co to kanał?

Rich przytaknął.

- Co?

Wysunął brodę i podrapał się po niej.

- Kanał to... kanał!

Szturchnęłam go w żebra.

- Co to za odpowiedź?

- To dobra odpowiedź - odparł ze śmiechem, próbując opędzić się przed moimi palcami.

- Kanał przypomina ulicę - wyjaśniłam. - Tylko zamiast asfaltu jest woda. Gondolierzy w pewnym sensie przypominają naszych taksówkarzy, ale zamiast taksówek mają gondole.

- Ten facet to gon-do-lia? - Rich ponownie zerknął na zdjęcie. Chcę nim być.

- Chcesz być gondolierem? - spytałam. - Jak dorośniesz?

Uśmiech Richa przypominał promień słońca. Na taki uśmiech można odpowiedzieć jedynie uśmiechem.

- Nie - odparł, machając ręką. - Jak dorosnę, mam zamiar zostać kierowcą rajdowym. Gondolierem chcę być w Halloween.

- Wydawało mi się, że podczas Halloween chcesz przebrać się za kowboja - powiedziałam, przypominając sobie notatki Ann na temat zbliżającego się święta i podpowiedzi, jak mam zrobić kostium.

- Nie za kowboja - poprawił Rich drwiąco. - Za ranczera. Kowboje są dla dzieci. Ale teraz chcę być gondolierem.

Z udanym namaszczeniem przyjrzałam się zdjęciu, a potem twarzy Richa.

- O, tak - przyznałam. - Będziesz z siebie *buon* gondolier.

Nieco później tego popołudnia trochę powygłupialiśmy się w sklepie spożywczym.

- Paasta, paasta - powiedziałam, najlepiej jak umiem udając akcent Sophie. - Musimy dostać jakaś paasta.

- I spaghetti - zaznaczył Rich. - Spaghetti to włoska potrawa.

Pchając wózek między regałami, zatrzymałam się przy przetworach mlecznych i przyjrzałam się kawałkowi sera szwajcarskiego.

- Szkoda, że nie jest włoski - zauważyłam. - Wtedy moglibyśmy go kupić.

Gdy dotarliśmy do owoców, wzięłam do ręki pomarańczę.

- Skąd jest ta pomarańcza?

Rich zerknął na etykietkę.

- Z Flo...Flo...

- Z Florydy - dokończyłam, po czym rzuciłam ją z powrotem na piramidę. - Szkoda, że z Florydy. Gdyby była włoska, moglibyśmy ją kupić.

Rich w końcu zorientował się, o co chodzi. Potem już razem żalowaliśmy, że teksańskie chili nie jest włoskim chili, chleb francuski nie jest chlebem włoskim (choć znaleźliśmy również pieczywo włoskie, co bardzo ucieszyło Richa), a angielskie toffi nie jest włoskim toffi.

Z chichotem wypełnialiśmy wózek produktami na włoską kolację (o ile ragout można uznać za potrawę włoską). Kiedy mijaliśmy pracownika marketu, Rich pozdrowił go swoim zwyczajowym „Witaj, przyjacielu”.

- Nie, mówi się *Ciao, amico* - poprawiłam go

- Jak?

- Tak po włosku brzmi „Witaj, przyjacielu”. *Ciao, amico*.

Rich promiennie się do mnie uśmiechnął.

- Czu amyko - powiedział, poruszając ustami, jakby przeżuwał te słowa.

Jakaś wystrojona kobieta przerzucała zapakowane próżniowo steki. Robiła to tak energicznie jak sekretarka przeglądająca swój notes.

- *Ciao, amico*- zaczepił ją Rich.

Na jej mocno przypudrowanej twarzy pojawiła się irytacja. Potem, kiedy zobaczyła, kto ją pozdrawia, uśmiechnęła się ze współczuciem, jak wszyscy ludzie, którzy po raz pierwszy widzą Richa.

- Co powiedziałaś, kochanie? - spytała, trzymając stek przy piersi, jakby myślała, że możemy go jej ukraść.

- Powiedziałem: *Ciao, amico*.

Kobieta uśmiechnęła się, rozluźniając uścisk na kawałku steku.

- Och, widzę, że pani syn mówi po włosku.

- To mój siostrzeniec - wyjaśniłam. - Chodź, Rich - powiedziałam, popychając wózek. - Pora na nas.

Niemal biegł, próbując dotrzymać mi kroku. Śmiał się, jakbyśmy prowadzili jakąś grę.

- Witaj, przyjaciółko - odezwał się do starszej kobiety

stojącej w kolejce do następnej kasy. Potem poprawił się na *Ciao, amico*, ale albo nie słyszała, albo nie chciała słyszeć.

Zaczęłam układać zakupy na przenośniku taśmowym.

- *Ciao, amico* - pozdrowił kasjerkę.

- Hmm? — spytała, unosząc resztki zbyt wyskubanych brwi.

- Powiedział pani „dzień dobry” - wyjaśniłam, obserwując Kicha podchodzącego do kraniku z wodą pitną przy wyjściu e sklepu. - Przywitał się z panią po włosku.

- Po włosku? - spytała kasjerka, przeciągając drugą sylabę.

Jej kolczyki w kształcie szklanych rybek poruszyły się w przód i w tył, gdy wyciągnęła szyję, by przyjrzeć się Richowi.

- No proszę, co za mądrala! - Policzyła kilka rzeczy i dodała: - To zdumiewające, czego w obecnych czasach potrafią nauczyć takie dzieci. Jaka trudna musi być dla nich nauka angielskiego, a tu jeszcze włoski!

Ćwierkała jak papuga, a ja marzyłam tylko o tym, żeby mieć pazury i móc się na nią rzucić.

- Moja przyjaciółka ma syna chorego na autyzm - ciągnęła. - Proszę mi uwierzyć, na pewno chciałaby, żeby umiał tyle co on. - Kiwnięciem głowy wskazała na Richa.

- Na pewno - warknęłam przez zaciśnięte zęby.

- O, tak. - Szklane rybki w uszach podskoczyły, gdy przylaknęła. - Syn przyjaciółki jedynie buja się do przodu i do tyłu, do przodu i do tyłu. Żyje w innym świecie. - Zerknęła na wydruk. - Trzydzieści osiem dolarów, pięćdziesiąt trzy centy.

Moja złość była niczym sucha hubka - potrzebowała jedynie iskry, a kasjerka rzuciła ją, gdy oddawała mi kartę, którą zapłaciłam za rachunek, mówiąc:

- Dziękuję, pani Jorgen.

- To znaczy, że pani też umie czytać?

Kasjerka uniosła cienkie brwi, tak że wyglądały jak dwa daszki.

- Przede wszystkim nie jestem żadną panią! - Mój Boże, nie bądź taka arogancka! - A po drugie, nazywam się Jordan. J-o-r-d-a-n. Geneva Jordan.

Literując nazwisko, poczułam się zaszokowana swoim zachowaniem. Nie należę do osób, które z braku pewności siebie chcą, by wszyscy je znali.

- Przepraszam, ale nie... nie znam pani.

Kolczyki szybko zataczały kręgi, gdy zakłopotana kasjerka kręciła głową.

- A dlaczego niby kobieta taka jak pani miałaby mnie znać? Jeżeli niewiedza jest błogosławieństwem, musi pani być bardzo szczęśliwą osobą.

Zarumieniła się z zażenowania. To mnie ucieszyło.

Obok pojawił się starszy mężczyzna, żeby zapakować moje zakupy.

- Idę o zakład, że dużo może się pan od niej nauczyć - powiedziałam, lekceważąco kiwając głową w stronę kasjerki, która, bliska łez, skoncentrowała się na podliczaniu zakupów następnego klienta. - Z pewnością ucinacie sobie mądre dyskusje na temat polityki, ekonomii i...

Zerknęłam za plecy zażenowanego pakowacza. W tym momencie zorientowałam się, że prawiąc kasjerce kazanie, straciłam z oczu Richa. Nie było go już przy kraniku z wodą.

- Rich?! - zawołałam i wymijając wózki, pobiegłam w stronę wyjścia. Wpadłam w panikę. - Rich!

Przebiegłam przez cały sklep.

- Rich!

Przez aptekę i kawiarnię.

- Rich?!

Sprzedawcy i pracownicy stali, obserwując mnie.

- Jak on wyglądał?! - krzyknął ktoś.

- To trzynastoletni chłopiec! - zawołałam w odpowiedzi. - Z zespołem Downa.

Gdy znalazłam się przy wyjściu, sapałam po szalonym biegu przez parter. Strach ścisnął mi gardło, z trudem łapałam powietrze. Zastanawiałam się, czy nie powinnam usiąść, żeby nie zrobić sobie krzywdy, gdy zemdleję.

Chciałam znów zacząć krzyczeć. Kasjerki i klienci nadal załatwiali swoje sprawy, chociaż uważałam, że powinni wziąć udział w moich poszukiwaniach. Nagle starszy mężczyzna, który pakował mi zakupy, poklepał mnie po ramieniu i spytał:

- To on?

Kiwnięciem głowy wskazał za okno. Na zewnątrz Rich siedział na nieruchomym, gipsowym koniku i podskakiwał jak brzdąc.

Wypadłam przez automatyczne drzwi, jakby mnie ktoś pchnął.

- Rich! - krzyknęłam.

- Moje uszanowanko - powiedział, unosząc wymagowany kapelusz.

- Rich, dlaczego nie powiedziałaś mi, gdzie idziesz? Potwornie mnie przestraszyłeś. Myślałam... myślałam...

- Ja tylko wybrałem się na przejażdżkę, ciociu - wyjaśnił, poklepując konia po wyszczerbionej grzywie. - Chciałem się przejechać na dzikim rumaku.

- Czy chce pani, żebym zaniósł zakupy do samochodu? - spytał pakowacz.

- Oczywiście. Chodź, Rich.

- Muszę wiać - powiedział, naśladowując słowa, które usłyszał poprzedniego wieczoru w filmie Roya Rogersa. Zsunął się z konia. - Muszę wiać.

W drodze do domu wybuchnęłam.

- Nigdy więcej tego nie rób! Potwornie się przestraszyłam. Kiedy gdzieś idziemy, masz trzymać się mnie, rozumiano?

Oderwałam wzrok od szosy i zerknęłam na siostrzeńca, który spoglądał na mnie z bladym uśmiechem na twarzy.

- Ciesz się, że cała ta sytuacja cię śmieszy, Rich, choć ja nie widzę w niej niczego zabawnego. Rozumiesz, co do ciebie mówię?

Uśmiech zniknął - prawdopodobnie Rich zrozumiał, że wcale nie żartuję - i chłopiec przytaknął.

- Wystarczyłoby, żebyś powiedział: „Ciociu, wychodzę na zewnątrz, żeby posiedzieć na koniu”.

- Wcale na nim nie siedziałem, ja na nim jechałem.

- W porządku, wystarczyło powiedzieć: „Ciociu, wychodzę na zewnątrz, żeby przejechać się na koniu”. Wtedy wiedziałabym, gdzie jesteś, i nie musiałabym biegać po całym sklepie jak war...

- Dobrze, już dobrze! - Rich skrzyżował ramiona. - W porządku. Dość tego gadania!

Zmieniłam pas ruchu, by oddalić się od wolno jadącego pipaku, i spojrzałam na siostrzeńca.

- To jeszcze nie koniec. Muszę mieć pewność, że rozumiesz, jak ważne...

- Naprawdę rozumiem! - zapewnił mnie Rich niemal z krzykiem. - Doskonale rozumiem! Ty, ciociu, możesz zapomnieć o odebraniu mnie ze szkoły...

- Rich, to był błąd, który więcej się nie powtórzy.

- ...ale kiedy gdzieś idziemy, mam trzymać się ciebie! Nie wolno mi wychodzić na zewnątrz i jeździć na koniu.

- Ani na niczym innym! Masz po prostu być przy mnie.

Ledwo zatrzymałam samochód pod domem, Rich wyskoczył i strzelił drzwiami w tak dramatycznym stylu, że aż zdziwił starą ciotkę, chociaż była wściekła. Przyszło mi na myśl, żeby zmusić go do powrotu i pomocy przy rozpakowywaniu zakupów, ale, prawdę mówiąc, kto lubi przedłużać własne cierpienia? Doszłam do wniosku, że oboje będziemy szczęśliwsi, jeśli zachowamy pewien dystans. Kiedy wniosłam zakupy do kuchni, usłyszałam, jak Rich głośno stąpa po swoim pokoju. „Dobrze. Zostań tam do jutra rana” - pomyślałam.

Chłopiec jednak nie odebrał przesłanej telepatycznie wiadomości. Rozpakowywałam ostatnią torbę, kiedy niemal staranował mnie od tyłu. Upadłam na podłogę i dostałam przedśmiertnych drgawek, jakie zdarzają się w przypadku zatrzymania akcji serca. W porządku, nie dostałam zawału, ale tak się przestraszyłam, że byłam tego bliska. Zdrowo nakrzyczałabym na Richa, gdyby tak bardzo nie płakał.

- Przepraszam, ciociu - bełkotał. - Nie złość się na mnie, proszę, tylko się na mnie nie złość.

- Och, Rich -jęknęłam, czując, że z powodu jego uścisku brakuje mi tchu. - Wcale się na ciebie nie złościę. Po prostu się przestraszyłam. •

Wyzwoliłam się z jego objęć - był silnym i ciężkim chłopcem, a kiedy kurczowo mnie trzymał, zaczynałam się czuć, jakbym znalazła się w pułapce - i podprowadziłam go do kanapy.

- Nie chcę być takim kretyńcem - wyrzucił z siebie, nim zdążyliśmy usiąść. - Nie chcę mieć zespołu Downa.

Gdy Rich mnie przestraszył, niemal dostałam zawału, teraz z kolei poczułam potworny ból serca. Usadowiłam się obok siostrzeńca, wciąż trzymając go za rękę. Chciałam zdobyć się

na jakąś mądrą uwagę, ale nawet gdyby udało mi się znaleźć odpowiednie słowa, nie zdołałyby się wydostać przez moje ściśnięte gardło.

- To straszne, że lubię jeździć na koniach, które nie są prawdziwe. Zupełnie jak małe dziecko.

- Och, Rich - powiedziałam w końcu, przepychając słowa przez kluchą w gardle. (A swoją drogą, z czego ona jest?). - Wiele osób chętnie wybrałoby się na taką przejażdżkę.

- Naprawdę?

Przytaknęłam.

- Jasne. Ale większość ludzi ma zahamowania.

- Co to są za-ha-ma-nia?

- Zahamowania to... - Twarz Richa wyrażała bezgraniczne zaufanie. Musiałam odwrócić głowę. - Zahamowania to coś, co czuje człowiek, gdy chętnie zaśpiewałby jakąś piosenkę, ale nie robi tego, ponieważ myśli, że wszyscy go uciszą.

- Uciszą - powtórzył Rich, uśmiechając się z jakiegoś powodu.

- Albo kiedy chce zatańczyć, jednak obawia się, że ludzie każą mu usiąść. Boi się coś zrobić, bo ktoś inny może uznać to za głupie.

Rich zamyślił się.

- Nie miałem za-ha-mań - powiedział powoli. - Na tym koniu. Na tym koniu było zabawnie. Tylko teraz... teraz wydaje mi się, że postąpiłem strasznie głupio.

- Czy wiesz, ilu ludzi z ochotą dosiadłoby tego rumaka i przejechało się na nim?

- Ilu?

- Bardzo wielu... wszyscy, którzy pamiętają, jak przyjemna jest taka przejażdżka. Ale znaczna część ludzi ma większe zahamowania niż ty.

Rich wysunął do przodu brodę i się uśmiechnął.

- Nie mam za-ha-mań.

Odpowiedziałam uśmiechem.

- Nie masz.

- Mimo to wolałbym nie mieć zespołu Downa. - Potrząsnął głową. - Wiesz, na co, zdaniem Conrada, powinniśmy cierpieć?

Potrząsnęłam przecząco głową, a Rich przymrużył oczy i uśmiechnął się promiennie.

- Na zespół geniusza.

Był tak zadowolony ze swojego żartu, że musiałam śmiać się razem z nim.

- Wiesz, co to jest zespół geniusza? - spytał.

Potrząsnęłam głową.

- Zespół geniusza ma się wtedy, kiedy jest się nie najgłupszym dzieckiem w klasie, ale najbystrzejszym. Tak byстрыm, że góruje się nawet nad nauczycielem. Tak byстрыm, że nauczyciel mówi: „Posłuchaj, Rich, może dzisiaj to ty poprowadziłbyś lekcję?” Connie jest mądry, ale robi zbyt małe postępy. Gdyby miał zespół geniusza, tak prędko posuwałby się do przodu, że zabrakłoby stoperów, by zmierzyć jego tempo. - Zachichotał. - To byłaby szybkość, prawda?

- Owszem.

- Każdy chciałby mieć zespół geniusza, bo gdy się go ma, wszystko robi się lepiej. Dosłownie wszystko. - Tym razem na twarzy Richa pojawił się uśmiech, jaki zwykle towarzyszy nam, gdy wyrażamy pobożne życzenie. - Wtedy wszyscy chcieliby być tacy jak Conrad i ja.

Wiedziałam, że mam dwie możliwości - zalać się łzami gorczy albo łzami smutku. Ale Rich nie potrzebował w tym momencie zalewającej się łzami ciotki, wolałby z pewnością, żebym była zabawna.

- Cziao, Richiee - powiedziała, naśladowując sposób mówienia Giny Lollobrigidy (nie należy go mylić z akcentem Sophie Loren). - Jesteś głodny, co? Możee byśmy sobie zrobili jakąś pastę?

Wśród płyt Ann i Rileya znalazłam nie tylko Deana Martina, Franka Sinatrę i Pavarottiego, ale przynajmniej dwanaście oper. Mogliśmy udawać intelektualistów i puścić Pucciniego, uznałam jednak, że do tego wieczoru bardziej pasuje Dino (co wcale nie znaczy, że nie mogą go słuchać intelektualiści - po prostu reprezentuje nieco inny styl). Tak więc Dino śpiewał coś o *amore* i o tym, że człowiek jest nikim, póki ktoś go nie pokocha, a my zawiązaliśmy sobie ścierki w pasie, porozrywaliśmy zieloną sałatę, pokroiliśmy chleb i posmarowaliśmy go masłem i czosnkiem, po czym stoczyliśmy wstępną walkę z garstką spaghetti.

- Wiesz to tak - powiedziała ze śmiechem do Richa.

- Nie, ty wiesz to tak!

Jego akcent nie oszukałby żadnego rzymianina, ale słyszałam gorsze.

Dino nie przestawał śpiewać, a my zapaliliśmy świece i wznieśliśmy toast kieliszkami do wina, wypełnionymi sokiem winogronowym.

- *Salute!*

- *Salute!*

Chleb czosnkowy trochę się przypalił, spaghetti nieco się rozgotowało, ale i tak nie zamieniłabym stolika, przy którym właśnie siedziałam, na najlepszy w „Sardi's” czy „Le Cirque 2000”.

Tego wieczoru leżałam w łóżku wsparta na poduszkach, spoglądając na gwiazdy za oknem. Czułam się wyczerpana - trudno powiedzieć, że dzień z Richem przypominał jazdę zwyczajną kolejką górską w wesołym miasteczku, był raczej bliższy jazdy najszybszą kolejką pokonującą największe różnice poziomów - ale też bardzo zadowolona z tego, jak minął wieczór, chciałam nawet odtworzyć w myślach wszystkie szczegóły. Nie mogę powiedzieć, że się zarumieniłam, jak zdarza mi się, gdy kłaniam się publiczności po odniesieniu sukcesu, niemniej byłam tak zadowolona z siebie, jakbym pokonała przeszkodę, którą uważałam za zbyt trudną. Zastanawiałam się, czy z takim właśnie uczuciem Ann kładzie się do łóżka i odtwarza w myślach najmiłsze chwile związane z pełnieniem roli matki. Potem, oczywiście, zaczęło dusić mnie w gardle. Zawsze tak się dzieje, gdy myślę, co tracę, nie mając dzieci.

- Powinnaś się z tego cieszyć - powiedział mi Trevor pewnego wieczoru, gdy oglądaliśmy *Cheaper by the Dozen*.

W pewnym momencie złapałam się na tym, że beczę, nie tyle z powodu śmierci ojca, którego grał zgryźliwy Clifton Webb, ile z powodu Myrny Loy, matki, która nadal widziała męża w dzieciach.

- Wszystkie tak bardzo ją kochają - szlochałam. - Czy mnie ktoś kiedyś będzie darzył taką miłością?

- Uwierz mi, Genevo — zapewniał Trevor, wręczając mi pudełko chusteczek higienicznych - mnóstwo matek w mgnieniu oka zamieniłoby się z tobą. Na przykład moja była żona. Byron kompletnie ją wykończył.

Byron był siedemnastoletnim synem Trevora. Ostatnio wyrzucono go z Eaton z powodu zażywania narkotyków.

- Ty w jego wieku brałeś LSD - przypomniałam, nawiązując do historii, które niegdyś mi opowiadał.

- Tak, ale to były lata sześćdziesiąte. Wtedy wszyscy to robili... Wpadało to robić... ze względów politycznych.

- Potem z tego wyrosłeś. Byron prawdopodobnie też sobie poradzi.

Trevor westchnął.

- Można jedynie mieć nadzieję. - Wsunął mi kosmyk włosów za ucho. - Naprawdę, Genevo, nie wiesz, jaka z ciebie szczęściara. Najmilsze są śliczniutki, chętne do pieszczot niemowlęta. Potem pojawiają się już tylko kłopoty.

Wtedy zrobiłam to samo co teraz - wsunęłam się głębiej pod kołdrę. Nie miałabym nic przeciwko kłopotom. Znałam plusy - uściski, pocałunki, historie do poduszki i wspólne zabawy - które mogły zrównoważyć wszelkie trudności.

Rozpłakałam się, gdy moja pani doktor powiedziała mi, że wkraczam w okres menopauzy. Dotychczas wmawiałam sobie, że moje uderzenia gorąca (pierwsze zdarzyło mi się minionego lata na scenie i było to coś wyjątkowego, dzięki czemu publiczność widziała, jak aktorka się spała, a na domiar złego Trevor w przerwie między aktami spytał: „Co się stało, skarbie? Jesteś czerwona jak burak”) to reakcja alergiczna na jakiś pokarm i że gdy zmniejszę liczbę przyjmowanych pigułek antykoncepcyjnych, znów będę miała regularne okresy.

- Proszę, Genevo - powiedziała moja pani ginekolog. - Pozwól, że przepiszę ci estrogen. To złagodzi niektóre objawy.

- Nie chcę łagodzić żadnych objawów - odparłam, wycierając nos w chusteczkę higieniczną.

Nie do końca powiedziałam prawdę - z pewnością uderzenia gorąca nie sprawiały mi przyjemności, ale prawda wyglądała tak, że próbowałam wszystkiemu zaprzeczyć. Gdy przez chwilę logicznie pomyślałam, przyjmowałam do wiadomości, że nigdy nie urodzę dziecka, ale trudniej mi było zaakceptować to od strony emocjonalnej. Pani doktor tak bardzo się o mnie martwiła, że spytała, czy nie wezwać kogoś, kto pomógłby mi wrócić do domu.

- Nie, nie, nic mi nie jest - zapewniłam ją, wrzucając przemoczoną chusteczkę do kosza. - Wezmę taksówkę i jakoś sobie poradzę.

Opuszczając gabinet, spjrzałam na rysunek przedstawiający kobiece organy rozrodcze i poczułam się tak, jakby należały do istoty z innej planety.

Teraz na tej planecie było jednak mnóstwo plusów i minusów, ale plusy przeważały. Mój uśmiech zamienił się w ziewnięcie. Z zadowoleniem przymknęłam oczy. Nie na długo.

- Rich! - zawołałam, zastanawiając się jednocześnie, dlaczego mój siostrzeniec tak bardzo lubi mnie zaskakiwać. - Co ty tu robisz?

Pokonał całą długość pokoju i wpakował mi się do łóżka.

- Przestraszyłem się, ciociu - odparł. - Miałem zły sen. Naprawdę zły sen.

Objął mnie mocno. Niewiele brakowało, a zaczęłabym krzyczeć.

- Co to było? - spytałam, wywijając się z jego uścisku, żeby usiąść i włączyć nocną lampkę.

Rich również usiadł i spojrział na mnie ze strachem w oczach.

- Zgubiłem się. Zgubiłem się i nikogo to nie obchodziło.

- Gdzie się zgubiłeś?

Rich pociągnął nosem.

- Nie pamiętam.

- Zaczekaj, zastanówmy się - powiedziałam. - Gdybyś miał się zgubić, gdzie byłoby ci najlepiej?

- Nigdzie. Nigdzie nie chciałbym się zgubić.

- Hmm... gdybym była na twoim miejscu, chętnie zgubiłabym się w sklepie z zabawkami.

- W sklepie z zabawkami? - spytał Rich, ale w jego głosie było już mniej strachu.

- Jasne, w takim wielkim. Jak z wielkiego sklepu z zabawkami dostałbyś się do domu?

- Powiedziałbym komuś, kto tam pracuje, że się zgubiłem? - spytał Rich z nadzieją w głosie.

- Uhm - odparłam. - Albo mógłbyś przejść na parking i sam pojechać do domu.

- Sam pojechać do domu?

- Jasne.

- Jesteś zabawna, ciociu. Przecież nie mam prawa jazdy.

Pocałowałam go energicznie w czubek głowy, a potem zsunęłam kołdrę, wstałam z łóżka i zachęciłam go, by zrobić to samo.

- Chodź, odprowadzę cię do twojego pokoju.
- Nie mogę tu zostać?
- Nie. Lepiej, gdy każdy śpi we własnym łóżku.

Nie kwestionując tego zdania, powędrował za mną. Kiedy położyłam go do łóżka, podziękował mi, że go uspokoiłam.

- Nie ma za co - powiedziałam wesoło. Zmierziłam mu włosy, chociaż czułam, że to całkiem nieodpowiedni gest. - Dobranoc - szepnęłam, wychodząc. - Życzę miłych snów. Koniec z koszmarami.

- Koniec z koszmarami - powtórzył.

Dopiero gdy znalazłam się w swoim łóżku, zdałam sobie sprawę, że drzę. Z równowagi wytrącił mnie fakt, że Rich wjechał się do mojego łóżka i tak kurczowo do mnie przywarł. Nie, nie tylko wytrącił mnie z równowagi, ale wręcz przestraszył.

Jeśli istniał na świecie chłopiec stanowiący uosobienie niewinności, bez wątplenia był to Rich, nie należało jednak zapominać, że jest nastolatkiem i w jego ciele musi szaleć burza hormonów. Czy potrafi nad tym zapanować? Czy wie, nad czym powinien panować?

Poczułam się jak idiotka, że w ogóle coś takiego przyszło mi do głowy, dlatego próbowałam ukryć się przed swoimi myślami pod kołdrą. Nie pomogło. Bardzo chciałam porozmawiać z siostrą, ale jak mogłam przyznać jej się do okropnych myśli, które zrodziły się w mojej głowie? „Cześć, Ann, trochę się przestraszyłam, gdy twój syn wpakował mi się do łóżka - w tej sytuacji było coś bardzo seksualnego. Muszę ci się przyznać jeszcze do czegoś. Czasami w miejscach publicznych wstydę się Richa, dlatego zawsze podkreślam, że to mój siostrzeniec, nie syn. Co gorsza, niekiedy na jego widok robi mi się trochę niedobrze. Ma taki płaski tył głowy, przygarbione plecy, grube i krótkie palce, a na domiar złego, kiedy myśli, często wystawia język... ”

Tak, z pewnością najlepiej bym zrobiła, gdybym zadzwoniła do siostry do Toskanii i zdradziła jej, że w ogóle się nie nadaję na opiekunkę jej syna. *Si, operatore*, proszę mnie połączyć jak najszybciej.

Serce waliło mi w piersiach. Ogarniała mnie ciemność, oznaczająca nie tylko brak światła, lecz również gościa, który groził, że mnie sobie podporządkuje i uwięzi jak w grobie.

- Witaj, Petunio! - szepnęłam cicho do czarnej samotności.

Ona wiedziała, kim naprawdę jestem, znała kryjącą się w głębi mojej duszy oszustkę, która nawet w prawdziwym życiu miała kłopoty z zejściem ze sceny... O Boże, co się ze mną dzieje? Czemu nie chcę, by w taki czy inny sposób wiązano mnie z Richem? Czemu krzyczałam na kasjerkę w sklepie spożywczym? Za kogo ja się uważam?

Nagle pokój stał się za mały. Otworzyłam drzwi, żeby spacerować po korytarzu. Potrzebowałam ruchu.

Petunia była niespokojna, wyjaśniała mi, czym zasłużyłam sobie na jej towarzystwo. Poczułam łzy, choć nawet nie zdałam sobie sprawy, że chce mi się płakać. Wówczas rozpoznałam najgorszą drwinę własnej samotności i zrobiło mi się wstyd. Wstyd, że moje wciąż łomoczące w piersi serce może być trochę za małe, trochę zbyt zamknięte, by zaspokoić kierowane pod jego adresem wymagania.

Nie wiem, ile kilometrów pokonałam, chodząc po korytarzu tam i z powrotem. Byłam jak pijak, który próbuje w ten sposób nieco otrzeźwieć, chociaż wstydu niełatwo się pozbyć. W pewnym momencie przypomniałam sobie *Wielką tajemnicę*. Odetchnęłam z ulgą i pobiegłam do sypialni tak szybko jak lekarz pogotowia, który właśnie usłyszał wołanie: „Nagły wypadek!”

6

„Nie potrafię powiedzieć, co stanowi sens życia, ponieważ jest to dla mnie zbyt trudne pytanie, spróbuję jednak napisać w miarę możliwości, jaki sens ma moje życie. Powiem tak: kiedy po dniu ciężkiej pracy wskakuję do ciepłego łóżka, kiedy mam w brzuchu dobre jedzenie przygotowane dla mnie przez Hjordis, kiedy zrobię dla kogoś coś miłego, kiedy usłyszę dobry kawał, który mnie rozśmieszy... no cóż, wtedy uważam, że to był dobry dzień i że miał sens”.

Tak wyglądały zwierzenia mojego dziadka, Olego. Odło-

żyłam na kolana karteluszek, który został zapisany niemal czterdzieści lat temu, nie chcąc go jeszcze chować.

„Może jedyny sens naszemu życiu nadaje to, co sami za ten sens uważamy”. Pismo należało do mojej matki, ale nigdy nie przypuszczałabym, że napisze coś takiego. „To brzmi trochę przerażająco, ponieważ miło jest myśleć, że istnieje coś takiego jak prawdziwy sens, który może odkryć każdy, jeśli tylko chce. Jednak zbyt duży wybór, zbyt wielka swoboda mogą przerażać. Myślę, że większość dorosłych przypomina dzieci, które woła, żeby im powiedzieć, w co powinny wierzyć, i wcale nie chcą niczego same odkrywać. Wiem, że człowiek Zachodu nie wierzy w reinkarnację, żyd nie czci Jezusa, a dla chrześcijanina Mahomet jest nikim, to jednak nie zmienia faktu, że powodem wszystkich wojen było lekceważenie najświętszych przekonań jednej nacji przez drugą. Napisawszy to, dochodzę do wniosku, że chcę zmienić pierwsze zdanie - większość ludzi jest przekonana, że każdy z nas nadaje swojemu życiu jakiś sens. Może to błąd, ponieważ gdy tylko człowiek nabierze w jakiejś sprawie pewności, natychmiast zaczyna zakładać, że inni się z nim nie zgodzą. Chyba powinniśmy zlikwidować wszystkie kościoły, rządy, armie, granice i zacząć wszystko od nowa, bez szukania sensu życia. Może wtedy udałoby się go znaleźć”.

Niegdyś myślałam, że najbardziej radykalnym posunięciem Ruth Jordan była praca w pełnym wymiarze godzin (w charakterze sekretarki) w czasach, kiedy mamy wszystkich moich koleżanek zajmowały się domem. Teraz odkryłam, że byłam córką anarchistki.

Wydaje mi się, że Ann i mnie łączyły z rodzicami dość bliskie stosunki, ale była to bliskość typowa dla lat pięćdziesiątych. Kochaliśmy się nawzajem, ponieważ członkowie rodziny powinni się kochać, ale w rzeczywistości dzieci wcale nie znały rodziców, a rodzice dzieci. Inaczej rzecz miała się z babcią. Babcię Hjordis znałyśmy naprawdę dobrze. Potrafiła dostosować się do naszego poziomu, bawić się z nami, być naszą kumpelą. Zależało jej na tym, by czerpać ze wszystkiego tyle radości co ja i Ann. Teraz, przeczytawszy słowa mamy, doszłam do wniosku, że bardzo chciałabym lepiej ją poznać.

Nie wiem, co kotłowało się w mojej podświadomości (czyżby myśl, że mama wolałaby wysadzić w powietrze Stowarzyszenie Rodziców i Nauczycieli, niż kierować zorganizowaną przez nie sprzedażą pieczonych placków?), ale spałam bardzo niespokojnie, dlatego, gdy zadzwonił budzik, miałam ochotę rzucić nim o ścianę. Zakłęłam jak szewc, a potem, powłócząc nogami, powędrowałam do pokoju Richa, by go obudzić.

- Pójdiesz ze mną do kościoła? - spytał nieprzytomny.

- Jasne - odparłam, również nie do końca obudzona.

Ledwo zdażyłam się ubrać, gdy usłyszałam delikatne trąbienie samochodu pod domem.

- Cześć! - zawołała Barb, gdy Rich wsiadł do land-rovera. - Ann uprzedzała, że raczej nie będziesz chciała chodzić do kościoła.

- Co powiedziała: że jej zdaniem nie lubię rano wstawać, czy po prostu uważa mnie za ateistkę?

Barb parsknęła śmiechem.

- Nie wyjaśniła mi, dlaczego tak sądzi. Pomożesz mi uczyć w szkółce niedzielnej?

- Barbaro - jęknęłam, widząc słoneczny poranek. - Nie wiedziałabym, czego uczyć.

Zawsze podziwiałam upór Ann, z jakim przestrzegała obowiązku uczestniczenia w cotygodniowej mszy nawet wtedy, gdy wyprowadziłyśmy się od rodziców i nie byliśmy do tego zmuszane. Siedząc jednak w ławce z jasnego drewna, obok kobiety, która z pewnością nie wygrałaby w konkursie na zużycie pasty do zębów, przypominałam sobie, dlaczego sama nie brałam przykładu z siostry. Próbowałam słuchać parafianina, który czytał słowo boże, niestety, złapałam się na tym, że bardziej interesuje mnie jego peruczka, niepewnie trzymająca się na czubku głowy, niż dukany tekst. Byłam zła, gdy czytano nicejskie credo (oczywiście, sama nie otwierałam ust). Czy naprawdę ci ludzie wierzą w to, co mówią, czy tylko bezmyślnie klepią wszystko z pamięci? Złapałam się na tym, że śmiertelnie znudził mnie duchowny, którego kazanie, jak mi się zdaje, dotyczyło sprawiedliwości (sprawiedliwie potraktowałby swoją parafię, gdyby zrezygnował z wygłaszania kazań i zostawił to zadanie komuś innemu).

Msza była beznadziejna, również jeśli chodzi o pieśni

(prawdę mówiąc, bardzo lubię śpiewać, a ludzie siedzący przede mną musieli ukradkiem oglądać się za siebie, by sprawdzić, do kogo należy szkolony głos). Jedyne dość ciekawy moment nastąpił wtedy, gdy chór wstał, a dyrygent wskazał na mężczyznę, który energicznie potrząsnął głową. Dyrygent uniósł brwi, jakby pytał: „Jest pan pewien?“, na co mężczyzna z rumieńcami na twarzy ponownie zaprzeczył. Pod koniec długiej godziny wręczyłam kościelnemu tacę, którą przekazywano sobie z rąk do rąk. Był to ten sam człowiek, który wcześniej wymieniał z dyrygentem tajemnicze znaki. Miał na sobie szyty na miarę granatowy garnitur. Bez śladu zażenowania, które wcześniej malowało się na jego twarzy, uśmiechnął się do mnie niczym chłopiec, jakby wszystkie pieniądze leżące na płytce drewnianej miseczce pochodziły ode mnie i były przeznaczone dla niego.

Wyobraźcie sobie moje zaskoczenie, kiedy w Halloween ten sam mężczyzna pojawił się u mnie z listem poleconym.

- Dzień dobry - powiedziała, kiedy otworzyłam drzwi. - Witaj, brachu.

Przeszukiwałam właśnie szafki Ann i Riley'a, sprawdzając, z czego mogę przygotować kostium dla Richa.

- Nie jestem piratem, lecz gondolierem. - Baczenie mu się przyjrzałam. - A pan nie jest listonoszem... tylko kościelnym.

- Prawdę mówiąc, i jednym, i drugim - odparł, kiedy oddawałam mu długopis. - Przy okazji chciałem powiedzieć, że w *The Wench of Wellsmore* była pani wspaniała.

- Widział pan *The Wench of Wellsmore!*

Listonosz-kościelny przytaknął.

- Spędziliśmy na Manhattanie długi weekend. Obejrzelismy trzy spektakle, piliśmy kawę z ekspresu w Village, robiliśmy zakupy w Bloomingdale, wyjechaliśmy na Empire State Building i Statuę Wolności.

- No proszę. Musieliście wspaniale wypocząć.

Baczenie przyjrzałam się mężczyźnie, który w kościele tak dobrze prezentował się w eleganckim garniturze. Tamto ubranie dodawało mu uroku. Owszem, nieźle wyglądał w mundurze, ale powiedziałabym, że mniej rzucał się w oczy.

- Jakie jeszcze sztuki pan widział?

- *Cats* i... - Urwał i zmarszczył czoło. - Wie pani, nawet nie pamiętam, jaki tytuł miał trzeci spektakl. Widocznie pani kunszt w *The Wench of Wellsmore* całkowicie wymazał tamto wydarzenie z pamięci.

- Dobra odpowiedź - przyznałam z uśmiechem. - Chociaż mój kunszt nie wystarczył, by zapomniał pan *Cats*, prawda?

Wzruszył ramionami.

- To krótki tytuł. Jak można zapomnieć tytuł, który składa się z jednego wyrazu? - Poprawił pasek torby z listami. - No cóż, mam do doręczenia rachunki za prąd i listy miłosne, a pani musi zamienić strój pirata na ubiór gondoliera. Miło mi było panią poznać. Gdy będzie pani rozmawiała z Ann i Rileym, proszę ich ode mnie pozdrowić.

Dotknął palcami daszku czapeczki, po czym oddalił się drogą dojazdową.

Och, a więc ten człowiek zna Ann i Rileya. Uśmiechnęłam się na myśl o małomiasteczkowej rzeczywistości. Znał moją siostrę i szwagra, przyniósł mi pocztę i odebrał moją ofiarę (czyli jednego dolara, którego kładłam z myślą: „Tylko nie wyślijcie go gdzieś na jakąś misję”). Nic więc dziwnego, że nie był zaskoczony, iż Geneva Jordan, gwiazda *The Wench of Wellsmore*, odbiera listy polecane w domku na farmie w Deep Lake, w stanie Minnesota.

No właśnie, list. Adres zwrotny wskazywał na Claire. Co uznała za tak ważne, żeby wysłać do mnie list polecony? Ogromny czek? Kontrakt do następnego filmu Scorsesego?

Claire musiała wiedzieć, jak bardzo będę zaskoczona jej przesyłką, ponieważ dołączyła liścik:

Droga Genevo!

Przepraszam, że to nie plik czeków, uznałam jednak, iż taka wiadomość zasługuje na list polecony. Nie tylko znalazła się w rubryce Joyce Dean, o wszystkim wspomniała również Liz. Kiedy przeczytasz, zadzwoń, podam Ci więcej szczegółów.

Całuję

Claire

W kopercie znajdowały się dwa wycinki z prasy. Najpierw przeczytałam zaznaczony kółkiem fragment felietonu Joyce Dean: „Czy wiedzą państwo, która z chodzących niewinności

porzuciła podstarzałego angielskiego aktora i piękniśia dla znacznie młodszego, błyskotliwego, długowłosego pisarza? Ciekawa jestem, panno A., czy pióro pisarza ma większą moc niż miecz aktora?"

Liz nie była tak nieśmiała i podała nazwiska: „Widocznie uczucie łączące dwoje aktorów, Trevora Waite'a i Ellie Armstrong, wygasło. Odtwórczynię głównej roli w musicalu *Gibson Girl* widziano nie tak dawno na balu w nowojorskiej bibliotece. Gwiazda wisiała na ramieniu (i siedziała na kolanach!) cieszącego się ostatnio sporą popularnością pisarza, Garreta Paxtona”.

Przez kilka minut wpatrywałam się w okno, obserwując jezioro i klucz gęsi, lecących po bezchmurnym niebie.

Muszę przyznać, że poczułam drobny dreszczyk emocji - wiedziałam, że romans Trevora z panną Ellie nie potrwa długo, nie przypuszczałam jednak, że skończy się tak szybko. Zastanawiałam się, kto wpadł na pomysł, by zerwać, i jak Trevor to przyjął, jeśli inicjatywa nie wyszła z jego strony.

Zmełam trochę kawy i zaparzyłam świeży dzbanek, dumna, że nie czuję potrzeby natychmiastowego zadzwonienia do Claire. Zdażyłam nawet wypić pół filiżanki, dopiero potem wybrałam numer.

- Och, panna Jordan! - Sekretarka pozdrowiła mnie z wazeliniarskim zachwytem, dzięki któremu daleko w życiu zajdzie. - Już panią łączę.

Chwilę później usłyszałam głos Claire. Wyraźnie się ucieszyła z mojego telefonu.

- Witaj, Genevo! Jak miło, że zadzwoniłaś. Tęsknię za tobą! Co nowego w Iowa? Dostałaś moją przesyłkę, prawda?

- W Minnesocie. Ja też za tobą tęsknię. Wszystko w porządku. I owszem, dostałam twoją przesyłkę. O co chodzi?

- No cóż, prawdę mówiąc, mam dla ciebie mnóstwo wiadomości. Właśnie dzwonił do mnie Norman Alexander. Kończy pisanie musicalu opartego na opowieści o Samsonie i Dalili. Zgadnij, kogo widzi w roli Dalili. Ciebie! - Cicho się roześmiała. - Czyż to nie wspaniałe? Zamierza zacząć próby na początku przyszłego roku i...

- A co z Trevorem? - spytałam.

Norman Alexander był ostatnią sensacją Broadwayu, ponie-

waż napisał *Bajki* oparte na Ezopie i odniósł ogromny sukces, ale to mogło zaczekać. Wieści o Trevorze nie.

- No cóż - wyznała - przyszedł się ze mną zobaczyć.

Dotychczas siedziałam w pozycji półleżącej i stopy trzymałam na ławie, ale słysząc to, wyprostowałam się.

- Naprawdę? Kiedy? Dlaczego?

Claire nie była agentką Trevora, więc jeśli ją odwiedził, musiało mu chodzić o mnie.

- Chciał wiedzieć, jak sobie radzisz. Zastanawiał się, czy może do ciebie zadzwonić.

Wzięłam szybki wdech.

- Zastanawiał się, czy może do mnie zadzwonić? Naprawdę tak powiedział?

- Uhm. Ale nie dałam mu numeru twojej siostry. Wtedy poprosił, żebyś do niego zadzwoniła.

- Chce, żebym do niego zadzwoniła?

- Tak, ale po namyśle dochodzę do wniosku, że powinnaś z tym poczekać, aż wrócisz do Nowego Jorku i będziesz mogła porozmawiać z nim twarzą w twarz. Wtedy przynajmniej będziesz miała szansę sobie przypomnieć, jaki to drań.

- Matko Przenajświętsza!

Rozmawiałyśmy jeszcze przez kilka minut. Claire przekazała mi najświeższe plotki ze świata teatru, a ja opowiedziałam jej o kostiumie, który właśnie przygotowuję. Potem musiałam chwilę poczekać, ponieważ rozmawiała z klientem, który groził, że zerwie kontrakt.

- Muszę kończyć, Genevo - powiedziała, ponownie się ze mną łącząc. - Znasz tych wybuchowych aktorów.

- Owszem.

- Mogę powiedzieć Normanowi Alexandrowi, że jesteś zainteresowana jego propozycją?

- Oczywiście. Do zobaczenia. Wszystkiego najlepszego z okazji Halloween.

Nim autobus podwiózł Richa pod dom, zaczął prószyć śnieg.

- Kto to słyszał?! - rzucił po wejściu do domu, otrzepując nogi na wycieraczce. - Śnieg w Halloween!

- Prawdę mówiąc, zdarzył się raz, gdy chodziliśmy z two-

ją mamą po domach - przypomniałam sobie. - Prawie w ogóle nie zebrałyśmy cukierków, za to świetnie się bawiłyśmy, rzucając we wszystkich kulkami śniegu.

- W ubiegłym roku padał deszcz - przypomniał sobie Rich. - Niektóre ze słodyczy mi zamokły. Wcale mi się to nie podobało.

Z przeobrażeniem Richa w gondoliera musiałam sobie poradzić sama. Przerobiłam kostium, żeby Rich nie wyglądał jak Long John Silver, rezygnując z obszernej kamizelki i zastępując bandanę, którą miałam zamiar związać mu wokół głowy, filcowym kapeluszem z szerokim rondem. O ile dobrze pamiętam, kilka lat wcześniej ofiarowałam go Ann. (Sądząc po miejscu, jakie zajmował w szafie, chyba nigdy go nie używała). Namalowałam siostrzeńcowi cieniutki wąsik i kocią bródkę, po czym cofnęłam się o kilka kroków, by przyjrzeć się swemu dziełu.

- *Magnifico* - powiedziała, całując czubki palców.

Rich pobiegł do lustra w korytarzu.

- Och, ciociu! - zawołał. - To jest najlepszy kostium, jaki w życiu miałem!

Potem mnie uścisnął. Przy okazji przemknęło mi przez myśl, że świat byłby naprawdę wspaniały, gdyby każdy tak spontanicznie reagował na drobne przysługi.

- Gdzie jest twój kostium, ciociu? - spytał Rich, gdy w końcu mnie puścił.

Poczułam się zaskoczona, gdyż w ogóle nie miałam zamiaru się przebierać.

- Najpierw zjedzmy kolację, a potem coś wymyślę.

Po raz ostatni przeszukaliśmy szuflady i szafę Ann, ale kapelusz z szerokim rondem, stanowiący teraz element stroju Richa, był najbardziej ekstrawagancką rzeczą, jaką miała moja siostra. Znalazłam suknię wieczorową („Mama wkłada ją na wesela” - wyjaśnił Rich), ale wystarczyło, że wsunęłam w nią ręce, by się zorientować, że jest o rozmiar lub dwa za mała.

- Nie, nie podoba mi się - powiedziała, zdejmując ją.

Nie miałam zamiaru opuszczać jej w dół, w bolesną dla mojego ego podróż przez biodra. W rezultacie postanowiłam skorzystać z rzeczy Riley'a - starego sportowego płaszcza, brzyd-

kiego, szerokiego krawata i podniszczonego kapelusza filcowego z okrągłym denkiem i podwiniętym rondem. Udało mi się ukryć pod nim wszystkie włosy. Potem kredką do brwi domalowałam sobie zarost - ogromne baczki i krzaczaste, niegondolierskie wąsy.

- Kim jesteś? - spytał Rich, gdy tylko skończyłam tę przemianę.

Rozłożyłam rękę.

- Mam na imię Bob - wyjaśniłam z teksańskim akcentem. - Jestem amerykańskim turystą. Wie pan, gdzie mogę znaleźć gondolę? Chętnie bym się przepłynęła.

Rich wyciągnął rękę, jak uczeń pragnący odpowiedzieć na pytanie nauczyciela.

- Ja jestem godnolierem! Wożę ludzi gondolami!

- Co za szczęśliwy zbieg okoliczności!

W tym momencie zadzwonił dzwonek u drzwi. Rich zamarł w bezruchu z zaokrąglonymi oczami.

- Przebierańcy! - krzyknął.

Wydzieliliśmy czekoladki dla aniołka, dinozaura i pudełeczka kredek.

- Dobry kostium - pochwaliłam matkę kredek.

- Robiłam go do trzeciej w nocy - odparła. - A teraz rozplywa się na tym zakichanym śniegu.

Nadeszła następna grupka przebierańców, a potem podjechał Conrad i jego matka.

- Jestem robotem - oznajmił Conrad, przez chwilę krocząc sztywno jak robot, póki jedna z rąk nie wyskoczyła mu w górę.

- Włożyliście coś ciepłego? - spytała Barb.

Miała na sobie normalne ubranie, jedynie twarz pomalowała tak, że wyglądała jak kot... albo myszka.

- Rich włożył pod koszulę sweter - odparłam. - Myślisz, że przydałaby mu się jeszcze kurtka?

Barb wyciągnęła rękę, by złapać padające płatki śniegu.

- Nie zaszkodziłaby.

Po długich pertraktacjach Rich zgodził się na kurtkę i rękawiczki, ale dopiero wtedy, gdy Barb wyjaśniła mu, że wielu gondolierów nosi kurtki i rękawiczki, albowiem wiatr wiejący od kanałów czasami bywa wyjątkowo przenikliwy.

- Spójrz, Rich - powiedział Conrad, klepiąc się po wyko-

nanej z kartonu ozdobię głowy. - Nie mogłem pod to zmieścić tej czapki co zazwyczaj. Mama zmusiła mnie, żebym włożył włóczkową. - Potem wyciągnął ręce. — Widziałeś kiedyś, by robot nosił rękawiczki?

Stanęliśmy przy drzwiach, a Barb zrobiła nam zdjęcie. Po-tem zostawiłam na schodach miseczkę z cukierkami, mając nadzieję, że dzieciaki postąpią honorowo i będą brać po tyle, po ile na nie przypada.

- Zazwyczaj krążymy po naszej okolicy - wyjaśniła Barb - ponieważ domy stoją tam bliżej siebie niż tutaj.

- Powinnaś powiedzieć mi to wcześniej - odparłam. - Nie musiałybyś po nas przyjeżdżać. Mogłabym przyjechać do was, do domu.

- Och, to już taka tradycja, prawda, chłopcy? - spytała, wsiadając do land-rovera.

- Tak! - odkrzyknęli Rich i Conrad zgodnym chórem.

- Zresztą nie możemy ominąć „domku dyni” - dodał szybko Conrad.

- Co to za „domek dyni”? - spytałam.

Barb poruszyła kocio-mysimi brwiami.

- Za chwilę sama zobaczysz.

Wycieraczki sprawnie usuwały śnieg padający na przednią szybę. Gdy chłopcy rozmawiali na tylnym siedzeniu, Barb spytała mnie, kim właściwie jestem.

- Mam na imię Bob, psze pani. Jestem z Teksasu.

- Oczywiście. Wszystko wyjaśnia kapelusz z podwiniętym rondem.

- Daj spokój - powiedziałam ze śmiechem. - W szafie Rileya nie bardzo było w czym wybierać. - Spojrzałam na Barb i przymrużyłam oczy. - Ale, prawdę mówiąc, nie mogę roz- wickłać, kim ty jesteś, Tomem czy Jerrym?

Teraz roześmiała się Barb.

- Tom jest kotem, prawda? Więc jestem Tomem. Malowa- nie twarzy nie jest moją mocną stroną.

- To on! - zawołał Conrad.

- To on, ciociu!

Pomarańczowe światełka tworzyły zarys dyni, zaczynający się u podstawy domu, a kończący na linii dachu, ale to było nic w porównaniu z resztą, czyli ogromną ilością oświetlo- nych świeczkami dyń, stojących po obu stronach drogi dojazd-

dowej. Nie były to jednak dynie z tradycyjnymi trójkątnymi oczami i głupawymi półsiężycowatymi uśmiezkami, lecz wykonane z trudem prawdziwe oblicza znanych osobistości.

- O kurczę! - zawołałam. - To Beethoven. A to Elvis!

- Mężczyzna, który je rzeźbi, przez długi czas wykonywał tylko ludzi, którzy w danym roku umarli - wyjaśniła Barb. - Ale ostatnio wraca do dawnych ulubieńców.

- Marilyn Monroe... i Franklin Roosevelt!

Wysiedliśmy z auta i wędrowaliśmy podjazdem, przyglądając się dyniom. Były wyjątkowe. Każdą od razu można było rozpoznać, każda wyglądała dokładnie jak jej model i została wykonana z niezwykłą precyzją.

- Zobacz, ciociu! - zawołał Rich, ciągnąc mnie za rękę. - John Lennon!

Riley był gorliwym wielbicielem Beatlesów i puszczał ich piosenki Richowi, gdy ten był jeszcze niemowlęciem. Ann mówiła mi, że jej męża do szału doprowadzał upór, z jakim Rich nazywał Johna Lennona Johnem Lemonem.

Sama słyszałam wymianę zdań między Rileyem a Richem.

- Lennon. On nazywa się Lennon, John Lennon.

- Lemon - odpowiadał Rich z przebiegłym uśmiechem na ustach. - Lemon. John Lemon.

- Lepiej wracajmy do auta - zaproponowała Barb, kiedy minęliśmy dynię przedstawiającą zadziornego Clarka Gable'a. - Zaczyna naprawę mocno sypać.

Rich podchodził do każdego domu charakterystycznym dla niego ciężkim krokiem, od czasu do czasu zatrzymując się, by zaczekać na Conrada, który miał dziwny chód - zataczał się, ale robił to z wdziękiem tancerza, który odbył zbyt wiele wypraw do baru. Obaj chłopcy, stojąc na stopniach każdego domu, przyjmowali cukierki z taką radością, jak członkowie Armii Zbawienia, gdy do ich skarbonek wrzucane są studolarowe banknoty.

- Dzięki! - wołali wylewnie, ciesząc się wszystkim, od skapej garstki czekoladowych monet po ogromne batony.

Barb i ja z uśmiechem przemierzałyśmy z nimi trawniki. (Nie mogłyśmy stać z tyłu na chodnikach, gdyż na przedmieściach nie ma trotuarów).

- Czy oni kiedykolwiek słyszeli o niewdzięczności? - spytałam.

- Nie, i dzięki Bogu - odparła Barb. - Wystarczy, że znają ją moje pozostałe dzieci.

- Ile ich masz?

Barb podciągnęła kołnierz kurtki i wsunęła weń brodę.

- Dwoje. Madeline ma dwadzieścia lat i jest na drugim roku w Grinnell, a Joel skończył dwadzieścia cztery. Wybiera się na studia prawnicze.

- Musisz być z nich bardzo dumna.

- Jestem - odparła Barb - ale najwięcej powodów do radości przysparza mi Conrad. - Wzięła mnie pod ramię. - Wiem, że nikt by tego nie zrozumiał, nieważne. Maddy i Joel to wspaniałe dzieci, ale wszystko przychodzi im łatwo. Connie z wszystkim ma problemy, a jednak jest niesamowity.

- Dostaliśmy prażoną kukurydzę! - oznajmił Conrad, gdy dogoniłyśmy ich.

- A z kim się nią podzielisz? - spytała Barb, robiąc im zdjęcie.

- Z moją cudowną mamą!

- Prawda, że nieźle go wyćwiczyłam? - spytała z uśmiechem.

- Podziwiam cię.

- Podziwiasz mnie? - powtórzyła zaskoczona. - Dlaczego?

Sama byłam lekko zdziwiona. Nie jestem skąpcem, jeśli chodzi o wyrażanie podziwu, ale też nie należę pod tym względem do zbyt rozrzutnych. Chociaż te słowa tylko mi się wyrwały, naprawdę tak myślałam.

- Jesteś... jesteś taką dobrą matką dla Conrada - wyjaśniłam. - Dzięki tobie to, co trudne, wydaje się wyjątkowo łatwe.

Obok nas przemknęła królewna z bajki. Brzeg jej lśniącej spódniczki był ciężki i mokry od śniegu.

- To wcale nie jest takie ciężkie - zapewniła Barb.

- Jasne - potwierdziłam z ironią.

- Naprawdę - powiedziała. - Ann i ja dużo rozmawiałyśmy na ten temat. Najgorszy jest początek, pierwszy szok na wieść, że twoje dziecko nie jest normalne.

- To znaczy, że ty też wcześniej o niczym nie wiedziałaś?

Moja siostra niezmiernie długo oczekiwała na dziecko, dla-

tego nie zgodziła się na przeprowadzanie żadnych badań, nawet ultrasonograficznych, uważając, że są zbyt inwazyjne („Zresztą - zapewniała mnie beztrąsko - wszystko będzie dobrze”).

Barb potrząsnęła głową.

- Wiedziałam, że noszę w łonie zdrowe dziecko, potem jednak trafiłam na salę porodową o osiem tygodni za wcześnie. Lekarze nie przyszli od razu, żeby mi to powiedzieć. Potrzebowali trochę czasu, by postawić diagnozę. Ale Conrad po przyjściu na świat był maleńki i siny, dlatego wiedziałam, że jeśli nie umrze, będą z nim jakieś poważne kłopoty.

- To straszne - przyznałam, potrząsając głową.

- Wtedy rzeczywiście było mi trudno - zgodziła się Barb - ale w końcu przekonałam się, że to wcale nie jest jakiś ciężki wyrok za przestępstwo ani żadna kara.

- Czekolada! - poinformował nas Rich, wyjaśniając, co właśnie dostał.

- To nie znaczy, że przynajmniej raz dziennie człowiek nie odczuwa potwornego bólu serca - ciągnęła Barb - z powodu wszystkich wyzwania, z jakimi musi się zmierzyć jego dziecko, ale gdy zdarzają mi się trudne chwile, pomaga mi w nich nie kto inny, jak właśnie Connie. Dzięki niemu jestem naprawdę szczęśliwa.

- Szczęśliwa?

Barb przytaknęła.

- Szczęśliwa, ponieważ posiadanie dziecka specjalnej troski jest prawdziwym wyróżnieniem.

- Szczęśliwa?

Barb się roześmiała.

- Każdy chce mieć zdrowe dziecko, ale gdy człowiek pogodzi się z faktem, że nie wszystkie modlitwy zostają wysłuchane, okazuje się, że na niektóre jednak można otrzymać pozytywną odpowiedź. - Ponownie się roześmiała. - Myślę, że śnieg nieźle dał się naszym wąsom we znaki.

- To znaczy? - spytałam, poprawiając na głowie kapełusz. - Na jakie modlitwy otrzymałaś odpowiedź?

Przez chwilę Barb obserwowała, jak chłopcy wraz z inną grupą przebierańców podchodzą do jakiegoś domu.

- Na przykład bardzo chciałam, by Connie spotkał kogoś

takiego jak Rich. Modliłam się, by mój syn nie był samotny. I oto ma serdecznego przyjaciela.

- Batony i paluszki! - oznajmili chłopcy.

- Och, chodź tu, Connie - jęknęła Barb. - Zaczynasz się rozklejać.

Głowa robota, która bardzo przypominała kartonowy kapelusz, była mokra i rozchodziła się w szwach.

- Nie przejmuj się tym, mamusiu! - uspokajał Conrad, uwalniając się spod skrzydeł matki. - Nic nie szkodzi, że się rozklejam!

- Naprawdę nic nie szkodzi! - zapewnił Rich i obaj chłopcy ze śmiechem pobiegli do następnego domu.

Naciągnęłam niżej kapelusz. Śnieg przestał już zasługiwać na miano „delikatnego i spokojnego”, bardziej pasowałoby do niego określenie „wszędobylski”.

- Ale sypie! - westchnęła Barbara. - Może dojdziemy do najbliższej przecznicy, a potem was odwieziemy do domu? Co ty na to?

- Nie zgłaszam sprzeciwów, psze pani - powiedziałam, wracając do roli. - Tam, skąd pochodzę, takie opady to rzadkość.

Wracaliśmy powoli. Barb siedziała z przodu, trzymając ręce na kierownicy w klasycznej pozycji, „na drugiej i dziesiątej”.

- Conradzie, chłopcze, musimy wracać do domu - oznajmiła, podjeżdżając pod drzwi. - Zrobiła się zamieć.

- Cholera, niech to diabli!

- Przykro mi, kochanie, ale z minuty na minutę coraz trudniej jechać. - Potem odwróciła się do mnie. - Zawsze kończymy na kilku domkach nad jeziorem, a potem pijemy u Ann grzany jabłecznik.

- Mogę zrobić gorącą czekoladę.

Barb wyjrzała przez przednią szybę i potrząsnęła głową.

- Nie, muszę wracać do domu.

Oboje z Richem staliśmy na podjeździe, patrząc na znikające światła.

- O kurczę! - zawołał Rich, wyciągając ręce. - Ale pada!

- No właśnie - potwierdziłam, po czym odchyliłam głowę do tyłu, wystawiając twarz na śnieg. - Wchodźmy do środka, nim zamienimy się w parę bałwanów.

- A co z Johnsonami?

- Z kim?

Richard machnięciem ręki pokazał na coś, co uznałam za dom. Zza białej ruchomej kurtyny prawie nic nie było widać. Śnieg zacinał i wirował jak bakterie pod mikroskopem.

- Johnsonami! Zawsze robią zdjęcia mnie i Conradowi w naszych kostiumach!

- Rich, Barb już zrobiła ci zdjęcie. Poza tym zaczyna się prawdziwa zamieć!

- Chcę mieć zdjęcie!

- W porządku - westchnęłam, biorąc go za rękę.

Nie dopuszczę do tego, by z powodu pogody ktoś uznał, że jestem niedołągą.

Na placu oddzielającym dom Ann od jej najbliższych sąsiadów można by wybudować trzy wille. Kiedy zbliżaliśmy się do zabudowań, przygarbieni z powodu gęstego śniegu, spytałam Richa, czy będzie tu również prosił o słodycze.

- W drodze powrotnej od Johnsonów - odparł. - Chodź, ciociu, to następny dom.

Powłócząc nogami, pokonaliśmy przestrzeń długości dwóch boisk futbolowych. Śnieg sięgał już po kostki, a gdy spojrzaliśmy w górę, na latarnie uliczne, można było zobaczyć mnóstwo wirujących płatków.

- Rich, może powinniśmy wracać.

- To ten dom! - oznajmił, kurczowo jak dziecko ściskając poszewkę, w której miał słodycze.

- O mój Boże, dwa bałwanki! - zawołała z uśmiechem starsza kobieta, wpuszczając nas do środka. - Stan, chodź, zobacz, przyszły dwa bałwany!

- Nie bałwany! - zaprotestował Rich. - Jestem gondolierem. A ciocia przebrała się za Boba z Teksasu!

- Miło mi panią poznać - powiedziałam, uchylając kapelusza i przy okazji zrzucając na podłogę małą, białą lawinę. - Och! - wykrzyknęłam zaskoczona, że tak dużo śniegu dźwiگاłam na głowie. - Przepraszam.

- Ann mówiła nam, że pani przyjeżdża zająć się Richem - powiedziała pani Johnson, gdy jej mąż pojawił się z aparatem fotograficznym. - Jest z pani taka dumna. Nie każdy może być wielką gwiazdą Broadwayu.

- Miło mi słyszeć - mruknęłam, chociaż ton pani Johnson sugerował, że nie do końca zgadza się z Ann.

- Gdzie twój przyjaciel, Conway? - spytał pan Johnson, kierując w stronę Richa obiektyw polaroidu.

- Conrad - poprawił Rich. - Musiał wracać do domu. Z powodu zamieci.

- Wszystko przez brak ozonu - orzekł pan Johnson.

- Och, na litość boską, Stan. A co powiesz na zamieć jedenastego listopada przed wieloma laty? Wtedy była jeszcze gruba warstwa ozonu.

- Winnie nie chce przyznać, że świat zmierza ku zagładzie - wyjaśnił pan Johnson scenicznym szeptem, a potem uniósł aparat do oka i powiedział: - W porządku, raz, dwa, trzy, proszę o uśmiech.

- Zrobione! - zawołał Rich, gdy pan Johnson naciskał migawkę.

Potem podał mi zdjęcie.

- Dzięki - powiedziałam, wkładając je do kieszeni.

- A my dziękujemy za to, że przyszliście - odparła pani Johnson, otwierając drzwi.

Widocznie Rich nie pojął raczej dość niegrzecznej aluzji, ponieważ ani drgnął.

- Chodź, Rich - powiedziałam. - Pora wracać do tundry.

Chłopiec rozłożył poszewkę.

- Psota albo poczęstunek, pieniądze albo smakołyk.

- No tak, zapomniałam o twoim cukierku - przyznała pani Johnson, wyjmując z niemal pełnej miseczki miniaturowy batonik.

- Dzięki! - zawołał Rich, patrząc, jak czekoladka wpada do worka.

- Winnie, nie bądź taka skąpa - oburzył się jej mąż, biorąc garść słodyczy i wrzucając je do poszwy Richa. - Za przyjemności trzeba płacić!

Po wyjściu na zewnątrz byłam zaszokowana: w krótkim czasie, który spędziliśmy w domu Johnsonów, burza śnieżna rozszalała się na dobre.

- O kurczę! - odezwał się Rich, a przynajmniej wydawało mi się, że powiedział coś takiego, tak bardzo jego głos był stłumiony przez wiatr, który nie tylko znacznie zwiększył prędkość, ale też przybrał na sile.

- Daj mi rękę, Rich! - nakazałam, po czym razem zaczęliś-

my przepychać się przez białą, ruchomą ścianę, zmierzając w stronę domu. - Czy na pewno idziemy w dobrym kierunku?

Rich roześmiał się, chociaż mogło mi się tylko zdawać.

- Mam nadzieję, że tak, ciociu.

Powłócząc nogami, szliśmy przez białe zasy śniegu, które jeszcze kilka godzin temu były zielonymi trawnikami.

- Byerlyowie! - krzyknął Rich, pokazując dom, który niczym fatamorgana wyłonił się w zamieci. - Nasz ostatni przystanek.

- Rich, nie możemy się zatrzymywać. Musimy iść do domu.

- Ale oni zawsze dają orzeszki w czekoladzie!

Gdy ruszył w stronę ich domu, pociągnęłam go za rękę.

- Nie, Rich, musimy wracać.

- Ale ja bardzo lubię orzeszki w czekoladzie!

Wyswobodził się z uchwytu i zaczął biec w kierunku zabudowań. Łatwo się domyślić, dlaczego bieganie w zamieci śnieżnej nie cieszy się zbyt dużą popularnością - po prostu jest bardzo kłopotliwe. Trudności sprawia śnieg leżący na ziemi i śnieg wirujący w powietrzu. Mimo to rzuciłam się pędem za Richem. Nim udało mi się go dogonić, przewrócił się. Poleciał do przodu z rozłożonymi rękami jak bejsbolista wślizgujący się do bazy.

Pomimo wycia wiatru usłyszałam głośny płacz siostrzeńca. Serce zaczęło walić mi w piersiach na myśl, jak w tych warunkach dowiozę go na pogotowie, by sprawdzić, czy nie połamał sobie kości.

Z trudem do niego dotarłam.

- Rich! Rich, co się stało?

- Moje słodycze! - krzyknął z płaczem. - Upuściłem słodycze!

- Jesteś ranny?

- Nie, ale moje słodycze!

Jeżeli bieg w zamieci śnieżnej uważacie za trudny, to spróbujcie pozbierać porozsypywane łakocie. To prawda, że biel stanowi dobry kontrast dla kolorowych opakowań, ale zaczyna toczyć się gra, kto pierwszy, ty czy śnieg? Czy uda nam się wszystko pozbierać, czy szybszy okaże się biały puch?

- Nie mogę znaleźć prażonej kukurydzy - łkał Rich.

- Nie staraj się szukać tego czy tamtego, po prostu zbieraj, co widzisz!

Było zimno, wietrznie i ciemno. Chciało mi się płakać, na szczęście nagle odezwał się męski głos:

- Mogę pomóc?

- Oczywiście - odparłam. Nie interesowało mnie, kto pyta, byłam gotowa przyjąć każdą pomoc. - Próbujemy pozbierać słodycze mojego siostrzeńca.

Mężczyzna pochylił się. Moje pole widzenia ograniczał teraz nie tylko wirujący śnieg, ale też kurtka z kapturem, która należała do mojego wybawcy.

- Och, ma pan latarkę! - ucieszyłam się, gdy od śniegu odbiła się wiązka światła.

- Nigdy bez niej nie wychodzę, zwłaszcza w Halloween - odparł.

Potem zauważyłam, że obok niego pochyła się jakieś dziecko.

- Moja prażona kukurydza! - zawołał Rich, wyjmując ze śniegu celofanową kulę. - Znalazłem moją prażoną kukurydzą!

Jeszcze przez chwilę pracowaliśmy we czwórce.

- To wszystko, jak sądzę - powiedział mężczyzna, po raz ostatni przeszukując teren, by sprawdzić, czy nie został gdzieś jakiś cukierek. - Teraz lepiej wracajcie już do domu.

- O rany! - zawołałam, w końcu go rozpoznając. - Pan jest tym listonoszem-kościelnym.

- Owszem. Dojdziecie do domu?

- Chodzi pan za mną?

- Słucham?

- Nic takiego... po prostu pojawia się pan zawsze tam, gdzie ja.

- Co robię?

- Nieważne. Próbowaliśmy zażartować.

Oboje podnieśliśmy głosy, żeby przekrzyknąć zamieć.

- Tatusiu, muszę do ubikacji!

To stwierdzenie było głośne, wyraźne i pełne zaniepokojenia.

- Chodźcie! - krzyknęłam. - Możecie skorzystać z naszej.

Córeczka listonosza potknęła się, potem przyszła kolej na mnie. W końcu wszyscy chwyciliśmy się za ręce i zwartą gro-

madką zaczęliśmy posuwać się w stronę domu. Wiatr podrywał z ziemi śnieg, a jednocześnie rzucał nam w twarz tym, co padało z nieba. Przez moment byłam bliska paniki, przypomniawszy sobie opowieści o zasypanych przez śnieg ludziach, których następnego dnia znajdowano zamrożonych dwadzieścia metrów od domu, do którego nie udało im się dojść.

- Gdzie on się podział?! - krzyknęłam, nie widząc niczego oprócz oślepiających białych tumanów.

- Jesteśmy już prawie na miejscu - odparł listonosz.

Ledwo wypatrzyłam dom, ale dopiero wtedy, gdy już byliśmy przy schodach.

- O, jak dobrze! - westchnęłam.

- Jak dobrze! - zawtórował mi Rich, i jeśli w moim głosie słychać było zadowolenie, w jego pobrzmiwała wręcz wdzięczność.

Po wejściu do środka śmialiśmy się, otrzepując buty i strząsając śnieg z ramion.

- Tatusiu -jęknęła dziewczynka. - Gdzie jest ubikacja?

- W korytarzu na prawo - odparłam i pokazałam.

Ledwo zdążyła zdjąć płaszcz, już pobiegła w tamtą stronę.

Rich ostrożnie powiesił swoją kurtkę, strzepując z rękawów śnieg, a potem, przypomniawszy sobie moją wcześniejszą propozycję, spytał:

- Dostanę, ciociu, gorącej czekolady?

- Jasne - odparłam. Potem zwróciłam się do listonosza: - Czy pan i pańska córeczka napijecie się z nami?

- Oczywiście. Oboje z Natalie bardzo lubimy gorącą czekoladę. - Wyciągnął rękę. - Mam na imię James, po prostu James.

Uścisnęłam wyciągniętą rękę.

- Miło mi cię poznać, Jamesie, po prostu Jamesie.

Śnieg w znacznej mierze zmył moje wasy i baczki, musiałam więc pójść do łazienki i dokończyć dzieła. Potem Rich pomógł mi przygotować gorącą czekoladę, a Natalie towarzyszyła ojcu rozpalającemu ogień w kominku.

- No cóż, w tym roku mamy śnieżne święto Halloween - powiedziałam, stawiając tacę na ławie.

- A tu trzeba zbierać słodycze - oznajmił Rich, stukając swoim kubkiem o mój. Po chwili, jakby coś sobie przypomniał, zawołał: - Słodycze!

Odstawił garnuszek i popędził do kuchni. Wrócił z poszwą i kawałkiem gazety, którą rozłożył obok kominka.

- Muszę wszystko posortować - wyjaśnił, wyrzucając łakocie. Przez chwilę z przyjemnością oglądał swój łup, jakby nie zdawał sobie sprawy, że słodczy zamokły. - Och! - sapnął, zerknąwszy na Natalie: - Chcesz też porozdzielać swoje?

Natalie poskubała moką grzywkę i przecząco potrząsnęła głową. Potem, zawstydzona, ukryła głowę za plecami taty.

- Nie chcesz posortować swoich słodczy? - spytał Rich.

Dziewczyneczka ponownie potrząsnęła głową. Chłopak na chwilę przykucnął i bacznie jej się przyjrzał.

- Jesteś nieśmiała, co? Widziałem cię w kościele. Zauważyłaś mnie?

Dziewczynka przytaknęła, ale się nie odezwała.

- Boisz się mnie, prawda? - spytał Rich po chwili. - Conrad mówi, że ludzie się mnie boją, bo śmiesznie wyglądam.

Nie było w tych słowach oskarżenia, jedynie rezygnacja. Oboje z listonoszem wymieniliśmy spojrzenia, ale żadne z nas się nie odezwało.

- Nie ma sprawy - ciągnął Rich, grzebiąc w swoim stosiku. - Naprawdę śmiesznie wyglądam. Jestem śmieszny. Idę o zakład, że skłonię cię do śmiechu, nim powiesz: „Na pewno ci się to nie uda”.

Dziewczynka wysunęła się z kryjówki, jaką zapewniały jej plecy ojca, i zerknęła na Richa.

- Na pewno ci się to nie uda - szepnęła.

- W takim razie zmuszę cię do śmiechu, nim powiesz szybko dziesięć razy „żagłówek z słońcem”.

- Dziesięć razy żagłówek z słońcem.

- Nieee - zaprotestował Rich ze śmiechem. ~ Musisz dziesięć razy powiedzieć słowa „żagłówek z słońcem”. Tylko te słowa - „żagłówek z słońcem”. Dziesięć razy. I trzeba mówić je szybko.

- Żagłówek z słońcem, żagłówek z słońcem, żagłówek z słońcem... - Język jej się zaplątał i zgodnie z obietnicą Richa wybuchnęła śmiechem.

- Prawda, że to trudne? - spytał. - Nikt nie potrafi tego powiedzieć.

Wyzwanie chłopca podjął listonosz-kościelny.

- Żagłówek z słońcem, żagłówek z słońcem,

żaglóweczka ze słoneczka, żaglóweczka ze słoneczka, żaglóweczka ze słoneczka, żaglóweczka ze słoneczka, żaglóweczka ze słoneczka, żaglóweczka ze słoneczka, żaglóweczka ze słoneczka.

- O kurczę! - zawołał Rich. - Jest pan jedynym człowiekiem, któremu udało się tego dokonać.

- Rich, proszę - powiedziałam, udając urażoną. - Pozwól spróbować prawdziwej profesjonalistce. - Wstałam i przybrałam pozę, jakbym miała zamiar wyrecytować wiersz. - Żaglóweczka ze słoneczka, żaglóweczka ze słoneczka, żaglóweczka ze słoneczka, żaglóweczka ze słoneczka, żaglóweczka ze słoneczka, żaglóweczka ze słoneczka, żaglóweczka ze słoneczka...

- Powiedziałaś „ze słoneczka”, ciociu! - zawołał zadowolony. Powiedziałaś „ze słoneczka”!

- To była tylko próba. - Odchrząknęłam. - Żaglóweczka ze słoneczka, żaglóweczka ze słoneczka, żaglóweczka ze słoneczka...

- Znowu się pomyliłaś! - krzyknął Rich.

- Tylko tym razem powiedziała pani „ze słoneczka” - dodała Natalie.

- Że słoneczka - powtórzył Rich, potrząsając głową.

Zażłamana porażką, poczępałam, by uścisnąć dłoń przeciwnika.

- Bardzo się starałaś - przyznał.

Dzieciaki znów wybuchnęły śmiechem. Natalie pobiegła po swoją torbę halloweenową. Wyrzuciła jej zawartość obok kupki Richa i razem liczyli paczuszki M&M-sów, marsów, cukierków i innych łakoci.

- W takim razie czemu tak śmiesznie wyglądasz? - spytała.

- Ponieważ mam zespół Downa. Taki już się urodziłem.

- Rozumiem - odparła dziewczyneczka. - Ja urodziłam się ze znamieniem na brzuszku.

- Dużym? - spytał Rich.

- Nie bardzo. - Podciągnęła do góry strój chochlika. - Widzisz? - spytała, pokazując małą plamkę w bok od pępka.

Rich przysunął głowę, żeby lepiej zobaczyć.

- Wygląda jak jednocentówka. Jednocentówka bez napisów.

Dziewczynka spojrzała w dół i przez chwilę się zastanawiała.

- Taaak, masz rację - przyznała wreszcie.
- Ile masz lat? - spytał Rich.
- Siedem i pół. A ty?
- Jestem już nastolatkiem.
- O rany! - zawołała Natalie z zazdrością.
- Przynieść wam jeszcze gorącej czekolady, James? - spytałam, zmuszając się do użycia jego imienia, żeby nie nazwać go listonoszem albo kościelnym.

- Słucham? - spytał, odwracając się od dzieci.
Wyciągnęłam przed siebie pusty kubek.
- Napijesz się jeszcze gorącej czekolady?
- Och... dziękuję. - Zerknął na zegarek. - Prawdę mówiąc, sądzę, że pora ruszać w drogę, Natalie.

- Jeszcze nie skończyłam, tatusiu.
Dzieliła swoje słodczyce na małe kupki. Nie mogłam się dopatrzeć w jej działaniu żadnej logiki. Rich również.
- Te batoniki powinnaś położyć tutaj - odpowiedział, wskazując identyczne czekoladki.

Mała potrząsnęła główką.
- Nie, Stella też je lubi.
- Kto to jest Stella? - spytał Rich.
- Jedna z moich lalek. Żadna z nich nie potrafi chodzić po domach, więc robię dla każdej małą torebkę halloweenową.
- Przecież lalki nie jedzą.

Natalie zmarszczyła czoło.
- Moje jedzą.
Odwróciłam się, by sprawdzić, co o tej wymianie zdań myśli ojciec, ale gdzieś wyszedł.

Znalazłam go w ciemnym korytarzu. Wyglądał przez szybę w drzwiach. Zrobiłam to samo co on.
- Wielkie nieba! - zawołałam, zaszokowana.

Na zewnątrz szalała prawdziwa zamieć. Trudno było odróżnić, gdzie kończy się ziemia, a zaczyna niebo - we wszechobecnej bieli ginął nawet padający śnieg.

- Mogę skorzystać z telefonu?
- Oczywiście - odparłam, włączając światło i wskazując na niewielkie biurko w korytarzu. «

Wróciłam na kanapę, udając, że z zainteresowaniem obserwuję dzielenie łakoci, naprawdę jednak moja uwaga skupiona

była na rozmowie telefonicznej. Z kim rozmawiał? Z Amerykańskim Związkiem Motorowym? Pogodynką? Żoną?

Bingo! Trzecia odpowiedź się liczy.

- Jak miałem to zrobić, Karin? Skąd mogłem wiedzieć...?

Rozległ się następny pomruk, ponownie padło imię Karin, ale dzieci rozmawiały, a ich śmiech zagłuszał słowa.

- Co robicie? - spytałam, w końcu skupiając na nich uwagę.

- Suszymy część moich słodyczy - odparła Natalie. - Te, które zmkły.

Ustawiali maleńkie batoniki na górnym brzegu osłony kominika.

- Rich, przecież mokre są tylko papierki - powiedziałam. - Połóżmy je na ladzie, żeby wyschły. Przy kominku mogą się roztopić.

- Natalie, odsuń się stamtąd - powiedział ojciec, wchodząc do pokoju. - Wiesz, że nie wolno ci się bawić przy kominku.

- Nie bawimy się - zaprotestowała dziewczynka. - Suszymy słodycze.

- Nieważne, po prostu trzymaj się z dala od osłony kominika - powtórzył, bardziej zmartwiony niż zły.

- Wszystko w porządku? - spytałam słodko, zawsze chętna do dodania dramatyizmu każdej sytuacji.

James potrząsnął głową.

- Mam nadzieję, że nie będziesz miała nic przeciwko temu, jeżeli spędzimy tu noc.

- Co takiego?

Muszę przyznać, że trudno mnie zaskoczyć, ale żądanie gościa wręcz mnie zaszokowało.

Zauważywszy to, James wybuchnął śmiechem.

- Widziałaś, co się dzieje na zewnątrz. Nie mogę wrócić do domu. Nawet pługi nie dały rady wyjechać.

- Ale... myślałam, że pracowników poczty nie powstrzyma ani deszcz, ani deszcz ze śniegiem, ani śnieg.

- W tej chwili nie niosę nikomu listów - odparł ze śmiechem. — A nawet gdybym miał je przy sobie, uwierz mi, taka pogoda z pewnością by mnie powstrzymała.

- Wciąż pada śnieg? - spytał Rich.

- I to jak — powiedziałam. — Tylko popatrz. - Wyłączyłam

obie lampki, żeby światło nie odbijało się od szyby. - Wiesz?

- O kurczę! - jęknął Rich.

- O kurczę! - zawtórowała mu Natalie, a potem podeszła do ojca i spytała: - Rozmawiałeś z mamusią, tatusiu?

- Uhm. - Posadził ją sobie na kolanach. - Powiedziała, żebyś zostawiła dla niej jakiś batonik.

- Bujasz - odparła dziewczynka. - Mama nie jada słodczy.

Natychmiast wyrobiłam sobie sąd o kobiecie, której nigdy nie widziałam na oczy: nie lubiłam jej. Prawdopodobnie była osobą, która liczy kalorie na kalkulatorze, ma cycki ze stali, a uda z granitu.

- I dlatego... - powiedział listonosz do córeczki - ...na dzisiejszą noc musimy rozłożyć tu biwak.

- Rozłożyć biwak - powtórzył Rich. - Hurrra!

Powiedziałam Jamesowi i Natalie, że mogą skorzystać z dodatkowej sypialni, ale Rich głośno zaprotestował. Wyjaśnił, że jeżeli nasi goście mają u nas biwakować, to powinni biwakować, a on razem z nimi.

- Proszę, ciociu, bardzo proszę.

Po zjedzeniu prażonej kukurydzy i wysłuchaniu niezbyt groźnej opowiadki o duchach mali biwakowicze owinęli się śpiworami i cicho pochrapywali, podczas gdy dorośli raczyli się drugim kieliszkiem wina.

- Twoja żona naprawdę liczyła, że wrócisz do domu podczas takiej zamieci?

James przytaknął, a potem przecząco potrząsnął głową.

- Spodziewała się, że przywiozę Natalie. Jeśli o mnie chodzi, nie przejęłaby się nawet wtedy, gdybym utknął w jakiejś zaspie. Prawdę mówiąc, byłaby wręcz zadowolona.

Cicho gwizdnęłam.

- Wygląda na to, że ty i twoja połowica nie żyjecie ze sobą w zbytnej zgodzie.

James powtórzył gwizdnięcie.

- Masz rację, z tym że moja połowica nie jest już moją połowicą.

- Rozwiedliście się?

- Parę lat temu.
- Ja rozwiodłam się...

Czy od tego momentu minęły dwadzieścia trzy lata? A może dwadzieścia cztery? To było tak dawno temu, że nie mogłam sobie przypomnieć.

- Bardzo dawno temu. - Spojrzałam ponad śpiącymi dziećmi na ogień. - Był Francuzem i bardziej zależało mu na zielonej karcie niż na żonie.

James westchnął.

- Karin... Ach, a tak przy okazji, gdy przyznałem jej się, gdzie jestem, powiedziała: „Nie zapomnij przekazać pani Jordan, że bardzo podobał mi się jej występ”.

Roześmiałam się, gdy z zaciśniętymi wargami udawał swoją byłą żonę, ale nie chcąc tracić wątku, spytałam:

- O czym to mówiłeś?

- Słucham? - James zagryzł wargę i powiedział: - A tak. Mówiłem, że Karin też zależało na czymś innym.

- Na czym?

Odwrocił wzrok od ognia. Nie miał klasycznych rysów jak Trevor, ale mógł się poszczycić ładnymi, falującymi brązowymi włosami, ciepłymi orzechowymi oczami i przyjacielską twarzą. Miał też bardzo sympatyczny uśmiech, tak sympatyczny, że aż chciało się powiedzieć coś miłego, byle przywołać ten uśmiech na usta.

- Chciała, żebym został wicedyrektorem do spraw marketingu w Amalgamated Mills.

- To dość konkretne wymagania. Miała jakieś powody, żeby widzieć cię w roli wicedyrektora Amalgamated Mills, a nie na przykład Pillsbury?

Wzruszył ramionami.

- Chyba tak, gdyż to miał być mój następny awans.

Przez chwilę mu się przyglądałam, czekając na błysk białych zębów, ale uśmiech się nie pojawił. Widocznie James wcale nie żartował.

- Nie zawsze byłem listonoszem - wyznał. - By się tym zając, musiałem wcześniej odzyskać zdrowy rozsądek.

Obdarzyłam go jednym ze swoich spojrzeń z uniesioną brwią. Ilekroć używałam go na scenie, wywoływał na widowni salwy śmiechu. Tym razem też zadziałał - James się roześmiał.

- Myślę, że chyba musisz mi coś wyjaśnić - powiedziałam, naśladując Ricky'ego Ricardo.

Natalie wymamrotała coś przez sen. James podszedł do niej i podciągnął śpiwór. Gdy wrócił, upił łyk wina i opowiedział mi historię swego życia, a przynajmniej jej ostatni rozdział.

Znałam podobne przypadki. Miałam kilku przyjaciół, którzy w wieku średnim porzucili dotychczasową pracę i zajęli się czymś innym, ale zazwyczaj była to zamiana, którą dało się łatwo zrozumieć, na przykład adwokat zrezygnował z praktyki, by napisać wspaniałą powieść, lub bankier przeprowadził się do rolniczego Maine, by zająć się garncarstwem. Artyści. Ale, na litość boską, nie znałam nikogo, kto porzuciłby wspaniale zapowiadającą się karierę zawodową, by roznosić pocztę. Powiedziałam to Jamesowi.

- Dokładnie tego samego argumentu użyła moja była żona. Myślała, że cierpię na załamanie psychiczne albo coś w tym stylu.

- Cierpiałeś? - spytałam.

Potrząsnął głową.

- Cierpiałbym, gdybym nie rzucił tego wszystkiego. To nie było życie, Genevo... liczyła się tylko praca. Karin i ja zarabialiśmy mnóstwo pieniędzy, ale brakowało nam czasu, by je wydawać. Bóg obdarzył nas śliczną córeczką, ale nie mieliśmy kiedy się nią nacieszyć. Po drodze do pracy podrzucaliśmy ją do opiekunki, a odbieraliśmy po kolacji z klientem albo po późnym spotkaniu, kiedy już właściwie spała. Gdy zaczęła chodzić do przedszkola, musiała potem dodatkowo zostawać pod czyjąś opieką. Pewnego wieczoru, wioząc ją śpiącą w małym foteliku, doszedłem do wniosku, że nic o niej nie wiem - czy lubi swoją wychowawczynię, z kim się przyjaźni. Byłem tylko jej szoferem. Moje zadanie polegało na tym, żeby zawieźć ją tam, gdzie ktoś się nią zajmie.

- Wtedy zrezygnowałeś z pracy?

- Następnego dnia. Karin wezwała nawet zakładowego psychologa, żeby porozmawiał ze mną w biurze, kiedy pakowałem swoje rzeczy. Naprawdę myślała, że ześwirowałem. Wszyscy tak myśleli.

- Czy teraz, kiedy zostałeś... listonoszem, wszystko wygląda lepiej?

James z uśmiechem podrapał się po policzku.

- Powiedziałaś to słowo w taki sam sposób, w jaki wymawia je Karin... Jakbyś mówiła „zawodowym kryminalistą”.

Ściągnęłam wełniany szal z oparcia kanapy i położyłam go sobie na kolanach.

- Prawdę mówiąc, chyba nie wykorzystujesz w pełni swoich możliwości.

- Nie wykorzystuję w pełni swoich możliwości... - powtórzył, potrząsając głową. - A jak wyglądają moje możliwości?

- Och, daj spokój, przecież wiesz, o czym mówię. Roznoszenie listów nie jest zawodem przynoszącym zbyt wiele satysfakcji.

Upił łyk wina i długo wpatrywał się w ogień. Myślałam, że rozmowa wygasła i że powinnam iść do łóżka.

- Jest wiele rzeczy, które dają człowiekowi satysfakcję. - Upił następny łyk, a potem odstawił kieliszek i odwrócił się w moją stronę. - Kto jak kto, ale ty powinnaś coś o tym wiedzieć.

- Prawie mnie nie znasz - próbowałam się bronić, nieco poirytowana nagłą intymnością. - Skąd możesz wiedzieć, co czuję lub myślę?

- Teraz mówisz tak, jak należałoby się spodziewać po Genevie Jordan.

Na przekór sobie wybuchnęłam śmiechem.

- A czego właściwie należałoby się spodziewać?

Wstał i podszedł do weneckiego okna.

- Widziałaś ten ogromny dom po drugiej stronie jeziora? No cóż, teraz go nie zobaczysz z powodu zamieci. Jest z szarego piaskowca...

- Z bordowymi wykończeniami? - spytałam, przechodząc nad Riche, by przyłączyć się do Jamesa przy oknie. - Oczywiście, że go widziałam. Jest ogromny.

- Należy do mnie.

- Żartujesz.

Wbiłam wzrok w białą kurtynę, jakbym mogła ujrzeć przez zamieć ogromne gmaszysko.

- To naprawdę mój dom. Mój i Karin. Teraz mieszka w nim Karin. Razem z Natalie... To znaczy Natalie jest u niej co drugi tydzień.

- Podzieliłicie się opieką nad dzieckiem?

James przytaknął.

- Dzięki Bogu, w tym względzie nie zdołała mnie pokonać. Teraz spędzam z Natalie więcej czasu niż Karin. Moja była żona dużo podróżuje.

- To znaczy, że widzisz córeczkę częściej niż poprzednio?

Na twarz Jamesa wrócił cudowny uśmiech, obejmując nie tylko usta, lecz również i oczy.

- Chyba żartujesz. Każdego dnia spędzam z nią więcej czasu niż kiedyś przez cały tydzień.

W jego głosie słyhać było takie podniecenie, że musiałam się roześmiać. Widocznie w tym śmiechu była jakaś dziwna moc, ponieważ rozpałił wszystkie możliwe emocje i nim zdołałam powiedzieć „przesyłka specjalna”, oboje z listonoszem padliśmy sobie w objęcia, całując się z zapałem nastolatków, ale z wprawą dorosłej kobiety i mężczyzny.

7

Gdy obudziłam się następnego ranka - sztywna i obolała od spania na kanapie - przywitałam się z Natalie i Richem, przeglądającymi w telewizji listę zamkniętych szkół.

- Napadało sporo śniegu - oznajmił Rich, a ja przypomniałam sobie, jak podniecająco brzmiały te słowa w moim dzieciństwie.

Kiedy dzieciaki rozmawiały o spędzeniu dnia na saneczkach i budowaniu zamków ze śniegu, powędrowałam do kuchni, w poszukiwaniu Jamesa.

Niezależnie od tego, co zainspirowało nas poprzedniego dnia do szczeniackiego pocałunku - czyżby patrzyenie na szalejącą za oknami zamieć rozbudziło w nas zwierzęce instynkty? - wszystko szybko się rozwiało, jakby nagle do pokoju wpadła przyzwoitka, klaszcząc w ręce i krzycząc, że nieodpowiednio się zachowujemy. Jednak na kanapę wróciliśmy, trzymając się za ręce, a potem oddaliśmy się rozmowie bez końca.

Początkowo przepytywaliśmy się nawzajem jak para na pierwszej randce. Podczas tej wymiany informacji dowiedziałam się niemal wszystkiego. Spytałam, spod'jakiego jest znaku. Nie bardzo wierzę w astrologię, ale po prostu chciałam wiedzieć, kiedy się urodził. Później wyszło na jaw, że jestem

starsza od niego o cztery i pół roku. Dowiedziałam się również, że wycięto mu migdałki, a zostawiono wyrostek robaczkowy (odwrotnie niż mnie), i że oboje uczyliśmy się gry na fortepianie, chociaż ja zakończyłam karierę pianistyczną w ósmej klasie (nie cierpiałam ćwiczyć), a James chodził na lekcje jeszcze przez całą szkołę średnią.

Gdy skończyliśmy wspominki z dzieciństwa, każde z nas wygłosiło monolog.

Opowiedziałam Jamesowi o Trevorze, o tym, że moim zdaniem nie nadaję się na opiekunkę Richa, o podnieceniu związanym z premierą każdej nowej sztuki, o swoim ulubionym rodzinnym przepisie (sos czekoladowy, twardniejący po nalaaniu na lody) i o tym, jak to jest, gdy ma się siostrę bliźniaczkę.

James zdradził mi, że poczuł ogromną ulgę, gdy wojna w Wietnamie skończyła się w tym samym roku, w którym zdał maturę. Uczcił to, przez trzy lata włócząc się po świecie - autostopem pokonał całą Europę, pracował jako pomocnik nawigatora na statku w Tahiti, zmywał naczynia w hotelu w Rio de Janeiro.

- Po powrocie nabrałem tempa, chcąc dogonić przyjaciół, a potem... sam nie wiem. Chyba nie mogłem przestać. Ze szczęśliwego włóczęgi zamieniłem się w... - obniżył głos - ...niewolnika własnych ambicji. Bezpośrednio po studiach zatrudniono mnie w Amalgamated, a praca stała się całym moim życiem. Szef często żartował, że jedynym ćwiczeniem fizycznym, jakie wykonuję, jest wspinanie się po stopniach kariery. Mogło się wydawać, że żyję tylko po to, by robić pieniądze. Karin i ja często siadywaliśmy przy stole kuchennym i robiliśmy wykresy naszych rosnących zarobków. Prawdę mówiąc, podczas wpisywania cyfr aż pialiśmy z zachwytem.

Gdy spytałam go, czy ma zamiar do końca życia roznosić listy, wzruszył ramionami.

- Kto wie? - odparł. - Robię to od półtora roku i wciąż jestem zadowolony.

- No cóż, czy nie... czy nie brakuje ci ciągłych wyzwań? Nie tęsknisz za związanym z poprzednim zajęciem dreszczykiem emocji, koniecznością podejmowania decyzji czy pracą koncepcyjną?

- O, taaak - odparł James ironicznie. - Naprawdę nie mogę żyć bez zastanawiania się, jaki krój pisma dać na opakowanie

ziemniaków w proszku, i wymyślania, czy mrożona kolacja powinna się nazywać Ole Chicken, czy Chicken Ole. Poza tym - dodał z uśmiechem - znacznie więcej pracy koncepcyjnej mam jako listonosz niż jako niedoszły dyrektor marketingu.

- Na czym polega praca koncepcyjna człowieka roznoszącego listy?

- Naprawdę myślisz, że wymyślanie sloganów czy opakowań jest takie twórcze, Genevo? Wyszukiwanie sposobów, żeby ludzie kupili to czy tamto?

- Owszem, myślę, że tak - przyznałam. - Uważam, że opakowanie produktów to swego rodzaju sztuka. Może nie sztuka przez wielkie „S”, ale z pewnością przemawia do wyobraźni.

- Przez cały dzień wykorzystuję swoją wyobraźnię, Genevo! To dlatego tak bardzo lubię obecną pracę. Mogę sobie pozwolić na luksus chodzenia i myślenia.

- A o czym myślisz? - spytałam.

Mój rozmówca wstał, poprawił polano pogrzebaczem, a potem się odwrócił.

- Czasami myślę o grze.

- W teatrze? - spytałam zaskoczona.

James się roześmiał.

- Nie, o grze w hokeja. - Musiał dostrzec na mojej twarzy zmieszanie, ponieważ udał, że trzyma kij. - Wymyślam zagrania, które później zawodniczki mogłyby wykorzystać na lodzie. Widzisz, trenuję dziewczęcy zespół hokejowy. Drużynę Natalie. Są trochę za małe na taktykę, ale spędzam sporo czasu, wymyślając różne sposoby i ćwiczenia. Zastanawiam się również, jak przekonać Shannon Mason, żeby nadal była naszym bramkarzem i nie rzuciła nas dla swoich lalek Barbie.

- Musi dokonać wyboru, co?

- Chyba tak. Wspaniale broni, jest bardzo agresywna, ale pewnego dnia jej matka wzięła mnie na bok i powiedziała, że zdaniem Shannon hokej zaczyna za bardzo odrywać ją od lalek.

- To znaczy, że jesteś szczęśliwy, mogąc roznosić listy i wymyślać strategię dla dziewczęcej drużyny hokejowej?

James przytaknął.

- Uhm. Chociaż czasami pozwalam myśлом wędrować i w inne okolice.

- Na przykład?

- Dzisiaj zastanawiałem się nad przykazaniami - wyznał takim tonem, jakby przywoływał słodkie wspomnienie.

- Przykazaniami?

Z powrotem usiadł na kanapie.

- Taaak, dziesięcioma przykazaniami.

- Powtórzyłam to słowo nie dlatego, że go nie zrozumiałam, ale dlatego, że mnie zaskoczyłeś.

James się uśmiechnął.

- Zaskoczyłem cię?

- Owszem. Po prostu raczej trudno spotkać kogoś, kto by chodził i zastanawiał się nad dziesięcioma przykazaniami, chyba że jest to duchowny albo ktoś głęboko wierzący. - Spojrzałam na Jamesa. - Jesteś bardzo religijny? Wiem, że chodzisz do kościoła. Czy to znaczy, że jesteś fanatykiem?

- Lubisz wszystko wiedzieć, prawda? - spytał. - Nie, nie jestem fanatykiem, ale często myślę o Bogu. W ogóle dużo myślę. — Na jego twarzy pojawił się pociągający uśmiech. - Na tym polega urok mojej pracy.

- W takim razie co myślałeś o dziesięciu przykazaniach?

- Że bardzo trudno ich przestrzegać.

Przytaknęłam.

- Zwłaszcza tego, które każe kochać bliźniego swego jak siebie samego.

James przez chwilę milczał.

- To zalecenie Jezusa. Nie zalicza się go do dziesięciu przykazań.

- Naprawdę? To dobrze. Kto by się na to zdobył?

- Na co?

- Na kochanie bliźniego swego jak siebie samego. Człowiek by zwariował.

- Nie bardzo rozumiem.

- Widzisz - próbowałam wyjaśnić - czasami człowiek czyta o okropnym wypadku i serce go boli na myśl o ofiarach.

James przytakując kiwnął głową.

- Ale to trwa moment, prawda? Potem przewracamy kartkę i nim dokończymy czytać komiksy, o wszystkim zapominamy. A teraz wyobraź sobie, że znasz te ofiary i że kochasz je jak siebie samego. Jak zniósłbyś ich ból, jeśli tak trudne jest pogodzenie się z własnym cierpieniem?

- No cóż, nie zniósłbym - zgodził się James. - Myślę jednak, że chodzi o to, by starać się być dobrym dla innych i traktować ich tak, jak byśmy chcieli, żeby oni traktowali nas.

- Złota zasada - przyznałam, jak dziecko, które podnosi rękę, ponieważ w końcu zna odpowiedź. - Ale to wcale nie jest zabawne.

Znów zostałam nagrodzona uśmiechem i dwoma dołączkami.

- Naprawdę. Tylko pomyśl, gdyby człowiek trzymał się tej reguły, nie mógłby plotkować, z nikogo stroić sobie żartów ani... - Roześmiałam się, słysząc własne słowa. - No tak, jestem płytka. Ale to prawda. Bardzo źle bym się czuła, gdybym nie mogła kogoś obgadać. - Poczulałam, że się rumienię, i żeby odwrócić uwagę od swojej skromnej osoby, jakże dalekiej od ideału, jakim była Matka Teresa, spytałam: - Którego przykazania tak trudno ci przestrzegać?

- Weźmy pierwsze z brzegu. O czczeniu ojca i matki.

- To znaczy, że człowiek powinien to robić, nawet gdy jest już dorosły?

James uśmiechnął się na mój niewinny żart.

- Moi trzymają stronę Karin. Są wściekli, że zrezygnowałam z obiecującej kariery i zostałam listonoszem. Co gorsza, myślą, iż celowo próbuję skompromitować swoją byłą żonę, roznosząc pocztę w jej dzielnicy.

- Czy to prawda? - spytałam.

- Nie jestem taki przebiegły. Tak po prostu wyszło. Facet, do którego należał ten rejon, przechodził na emeryturę, a ja właśnie złożyłem podanie o pracę. Tak więc obecnie dostarczam pocztę do tych domów, w których niegdyś bywałem na przyjęciach. Zabawne, ale ostatnio rzadko ktoś mnie zaprasza. - Zakrył usta dłonią i ziewnął. - Dziś przez telefon mama powiedziała mi, że jestem gorszy od czarnej owcy, ponieważ zachowuję się tak, jakbym koniecznie chciał wszystkim udowodnić, że jestem czarną owcą.

Nie mogłam w to uwierzyć. Przy tej kobiecie moja matka wydawała się wzorem wyrozumiałości.

- Co jej odpowiedziałeś? - spytałam.

- To, co powinienem - odparł James. - Beee. ' .

Spowijał nas coraz głębszy mrok, a przerwy między słowami wydłużały się. W końcu, gdy czekałam, aż James powie

mi, jakie filmy najbardziej lubił jako dziecko, usłyszałam jego chrapanie. Poczułam ulgę – ja też już miałam kłopoty z kożanieniem, ale jakoś nie potrafię położyć się do łóżka przed innymi. Chyba po prostu nie lubię niczego tracić.

Szukałam swojego gościa w domu wypełnionym jasnym zimowym światłem. To było naprawdę zdumiewające – niebo miało turkusowobłękitny odcień, a leżący na ziemi śnieg tak oślepił, że musiałam przymrużyć oczy, gdy zalśniło na nim słońce.

Na ladzie znalazłam kubek kawy i liścik.

Dzięki za gościnność. Obudziłem się, słysząc pługi, i doszedłem do wniosku, że lepiej zrobię, jeśli odśnieżę Ci podjazd, żebyś ewentualnie mogła ruszyć się z domu. Wybacz, że zostawiłem u Ciebie Natalie, ale uznałem, że powinienem odśnieżyć również podjazd Karin. Kto wie, może wrócę, nim się obudzicie.

James

- A więc to nieprawda, że wszyscy rycerze wymarli dawno temu —, powiedziałam na głos, składając karteczkę i wsuwając ją do kieszeni szlafroka.

Jakby w odpowiedzi na te słowa zadzwonił telefon. Jednak nie był to sir James Dzentelmen, lecz sir Trevor Gnida.

Mimo to mój głos podwyższył się o dziewięć oktaw.

- To ty, Trevorze?

- Właśnie zobaczyłem w CNN, że spadło u was sześć metrów śniegu.

- Sześćdziesiąt centymetrów – poprawiłam, uśmiechając się. - Aż dziw, że się już obudziłeś i oglądasz telewizję o tak wczesnej porze.

Nawet uwzględniając różnicę czasu, Trevor zawsze lubił sobie rano pospać.

- Pewnie nie uwierzysz, ale codziennie wstaję wcześniej rano i o ósmej jestem już na sali gimnastycznej.

- Żartujesz!

- Nie. Jeden kieliszek po przedstawieniu i o północy leżę w łóżku.

- Sam? - nie zdołałam się powstrzymać.

Z jednej strony wcale nie chciałam tego wiedzieć, z drugiej - byłam bardzo ciekawa.

- Sam, ale ze wspomnieniami... o tobie.

O kurczę! Oto cały Trevor Waite, wykorzystujący swój urok osobisty, żeby mi się przypodobać. Byłam tak podniecona, że nerwowo zachichotałam.

- Och, Genevo - westchnął Trevor. - Nie moglibyśmy spróbować jeszcze raz? Tak bardzo za tobą tęsknię. Tęsknię za prawdziwą kobietą w moim życiu.

- W przeciwieństwie do silikonowej?

Prychnął śmiechem jak ludzie, którzy chcą zdobyć u kogoś punkty, śmiejąc się z jego kawałów, nawet jeśli są złośliwe.

- Och, Genevo - powtórzył. - Nie tęsknisz za mną? Za wspólnymi chwilami? Za naszą piosenką?

Zaczął nucić duet, który wykonywaliśmy w *Monie*. Często śpiewaliśmy tę balladę również poza sceną.

Musiałam dołożyć wszelkich starań, żeby się do niego nie przyłączyć. Wszystko nabierało zbyt szybkiego tempa.

- No dobrze - powiedziałam, uznając, że czasami mała odmiana nie zaszkodzi. - A skąd wzięłeś ten numer?

- Ja miecz szwoja szposzoby - powiedział z ciężkim niemieckim akcentem. - Prawdę mówiąc, wystarczyło otworzyć bożonarodzeniowy prezent, który w ubiegłym roku dostałem od twojej siostry. Pamiętasz tę biografię Yeatsa? W środku była dedykacja: „Najlepsze życzenia od Ann i Rileya Wahlstromów”. Zadzwoiłem więc do informacji telefonicznej.

- Sprytne - przyznałam.

W głębi duszy przeklinałam jednak siostrę i szwagra za to, że dzięki nim Trevor zdobył tak ważną informację. Czy zawsze muszą być cholernie mili i dawać na Boże Narodzenie prezent facetowi, z którym właśnie się spotykam?

Wzięłam głęboki wdech.

- Trevorze, muszę... muszę już iść.

- Co sądzisz o tym, co powiedziałem? Zadzwoić ponownie? Mogę na coś liczyć?

Cieszyłam się, że rozmawiam z nim przez telefon. Gdyby był w tym samym pomieszczeniu, już dawno rzuciłabym mu się w ramiona.

- Nie... nie wiem, Trevorze. Trochę mnie zaskoczyłeś... Muszę kończyć.

Po odłożeniu słuchawki stałam, łapiąc powietrze jak początkujący adept jogi. Czy mogę - czy powinnam? - jeszcze raz zaryzykować i wrócić do Trevora Waite'a, człowieka, który sprawił, że moje życie legło w gruzach, a potem z prawdziwą przyjemnością jeszcze po nich deptał? Gdy zastanawiałam się, co dalej, byłam bliska załamania, na szczęście decyzję podjął ktoś inny.

- Ciociu, jesteście głodni! - oznajmił Rich.

- Bardzo głodni - poparła go Natalie. Jej jasne oczy przeszukiwały kuchnię. - Gdzie tata?

- Odgarnia śnieg przed domem twojej mamy - wyjaśniłam, otwierając kredens. - Co zjecie? Płatki owsiane, płatki kukurydziane czy...

- Francuskie tosty! - krzyknął Rich.

- Francuskie tosty! - zabrzmiało cichutkie echo.

Zajęliśmy się wspólnym przygotowaniem śniadania. Przez cały czas podtrzymywałam spokojną rozmowę z dziećmi, nie chcąc myśleć o telefonie Trevora.

- Rich, możesz podać mi jajka?

- Tylko nie bij piany - poprosiła Natalie. - „Ponieważ jeesteś za miły”. - Uśmiechnęła się. — Kapujesz? Wiesz, co znaczy „bić”? Nie możesz bić piany, bo jesteś za miły.

Rich zrobił okrągłe oczy, gdy zrozumiał grę słów, potem wybuchnął śmiechem.

- Za miły, żeby bić pianę! Za miły, żeby bić pianę!

Wyjęłam z lodówki karton.

- Podejrzewam, iż jesteś również zbyt wrażliwy, żeby jeść bitą śmietaną.

- Bitą śmietaną! - pisnęli. - Bitą śmietaną!

Przyjemność sprawiały im kalambury, które udało im się wymyślić: „zadać komuś bobu”, „wpaść w oko”, „złapać za-jąca”, ale do hysterii doprowadziło ich zaproponowane przeze mnie jako przeciwieństwo „puścić bąka”.

- Puścić bąka! - sapał Rich. - Przecież to odpowiednik słowa „pierdnąć”.

- Pierdnąć! - powtórzyła Natalie, śmiejąc się jak szalona. - Moja mama nie pozwala mi tak mówić!

W tym momencie mała wyglądała jak żeglarz, który rozważa, czy zostać na statku, czy się zbuntować. Zwyciężyła chęć buntu.

- Pierdnać, pierdnać, pierdnać, pierdnać!

Po chwili biegali po pomieszczeniu w groteskowym tańcu, powtarzając słowo „pierdnać” i wydając ustami odpowiedni dźwięk. Ja wędrowałam za nimi, za pomocą garnka i chochli udając perkusję i od czasu do czasu wykrzykując: „Hej!” Na takiej zabawie przyłapał nas James.

Okrażaliśmy właśnie stół kuchenny, gdy zobaczyliśmy go w drzwiach. Kiwał głową w rytm naszych okrzyków.

- Tatusiu! - zawołała Natalie, podbiegając do niego. - Śpiewamy specjalną piosenkę o pierdzeniu!

- Słyszę - powiedział, uśmiechając się. Pocałował córeczkę w czubek głowy, a potem spojrzął na mnie. - Świetny tekst, wspaniały rytm. Daję dziewięćdziesiąt punktów.

- Dzięki. - Delikatnie się ukłoniłam. - Mamy jeszcze zamiar urządzić konkurs bekania.

- Konkurs bekania - podchwycił Rich. - Hurra!

- Żartowałam - wyjaśniłam, podchodząc do dzbanka z kawą. - Co słyszać na zewnątrz?

- Cieszę się, że dzisiaj mam wolne. Żeby przebić się przez ten śnieg, prawdopodobnie potrzebowałbym o trzy godziny więcej niż normalnie. - Wziął ode mnie kubek z kawą. - Ale odśnieżyli już Lakę Road, więc gdybyś musiała po coś jechać, na pewno sobie poradzisz.

- Możemy tu zostać na cały dzień, tatusiu? - spytała Natalie, podskakując. - Chcemy z Richem pojeździć na saneczkach, zrobić kilka bałwanów i zbudować zamek ze śniegu!

- Mama prosiła, żebym przyprowadził cię do domu - powiedział, kładąc córeczce ręce na ramionach, żeby powstrzymać ją od skakania. - Ponieważ spadło dużo śniegu, nie musi iść do pracy i chce spędzić ten dzień z tobą.

- Ale ja wolałabym pojeździć na sankach, ulepić bałwana i zbudować zamek ze śniegu.

- Wiem, skarbie, niestety musisz umówić się na randkę w ciemno.

- Co to jest „randka w ciemno”?

James spojrzął na mnie swoimi ciepłymi, orzechowymi oczami.

- Coś, na co bardzo liczę.

„Współczuję ludziom, którzy nie mają bliźniaka lub bliźniaczki. Geneva i ja w niczym nie przypominamy McDermottów, którzy ciągle oszukiwali innych i wmawiali im, że Lowell to Lance, i na odwrót. Zresztą nawet nie jesteśmy do siebie bardzo podobne zewnętrznie i mamy różne charaktery, co nie zmienia faktu, że przyszedłam na świat razem z nią! Gdy mama powiedziała nam, skąd się biorą dzieci (fuj!), nie zwymiotowałam tylko dlatego, że pomyślałam o cudzie, jakim było zrobienie nas obu tego samego dnia. Kiedy potem rosłyśmy w brzuszku mamy, przynajmniej miałyśmy towarzystwo! Gdy w ubiegłym roku byłyśmy tu, w chacie ciotecznego dziadka, obie z Genewą spałyśmy na werandzie. Nie mogłyśmy uwierzyć, że na niebie jest tyle gwiazd. Byłam w dziwnym (i raczej dość smutnym) nastroju. Powiedziałam, że patrząc na takie wygwieżdżone niebo, czuję się małeńka i samotna. Na co Geneva zaproponowała: »W takim razie odwróć głowę i spójrz na mnie«. Gdy to zrobiłam, spytała: »Wciąż czujesz się mała i samotna?« Odparłam, że tak, więc przysunęła twarz do mojej, tak że dotykałyśmy się nosami, i oznajmiła: »Moim zdaniem, jesteś całkiem duża«, po czym zrobiła zęza, co jest zupełnie normalne, gdy czyjaś twarz znajduje się blisko drugiej. Pewnie robiłam to samo, bo obie wybuchnęłyśmy śmiechem. To właśnie stanowi dla mnie sens życia - fakt, że ma się kogoś, kto potrafi sprawić, iż człowiek nie czuje się mały i samotny".

Czytanie było świetną zabawą. Po kolacji wszyscy siadaliśmy w chacie wokół stołu, po czym każdy na chybił trafił wybierał karteluszek i odczytywał go na głos. Nie pamiętam, by ktoś był zażenowany albo skrępowany. Nikt nie protestował („Nie zgadzam się z tym wszystkim!") ani nie próbował niczego oceniać („No wiesz, Ole, nie mogłeś wymyślić czegoś mądrzejszego?!"). Było to naprawdę wspaniałe wspólne przeżycie. Myślę, że wszyscy, łącznie z cioteczną babcią, Tove (która nigdy nie lubiła uścisków i zawsze starała się ich unikać), czuli się zaszczyceni, że biorą udział w tej zabawie. Wciąż słyszę, jak dziadek Carl czyta to, co napisała Ann. Pamiętam, że zarumieniłam się z dumy, gdy usłyszałam, ile znaczą dla mojej siostry.

Teraz, po tylu latach, siedziałam w łóżku, zastanawiając się, jakim cudem udało mi się dodać Ann otuchy w chwili samotności, skoro zazwyczaj to ja szukałam u niej pocieszenia.

- Właśnie zastanawiałem się, gdzie podziała się ta księga. Podskoczyłam.

- Przestraszyłeś mnie, Rich.

- Nie miałem takiego zamiaru - powiedział Rich, wchodząc do mojej sypialni. - Wołałem cię, ciociu, i wołałem.

Wskoczył na łóżko z takim impetem, że tylko cudem się nie załamało.

- Mówiłaś, że będziemy czytać ją jutro - przypomniał Rich, usadawiając się na poduszkach przy oparciu. - Potem nadeszło jutro, a ty tego nie zrobiłaś. Poczytajmy teraz.

- Właśnie chciałam zejść do kuchni i zrobić sobie gorącą czekoladę.

- Przecież przed chwilą jedliśmy!

To była prawda. James i Natalie wyszli po śniadaniu, niecałe pół godziny temu.

- Czyje to? - spytał, delikatnie ciągnąc kawałek kartki, którą trzymałam w ręce. - Jak brzmi pytanie? Jaka jest odpowiedź?

- Rich, zostaw, bo podrzesz!

Wezbrała we mnie złość, więc mocniej ścisnęłam karteluszek.

- W takim razie po prostu przeczytaj! Powiedz mi, jakie to pytanie, i przeczytaj odpowiedź!

- Nie teraz - zaprotestowałam, czując, że tracę cierpliwość.

Rich obydwoma rękami próbował wyprostować mi palce.

- Przestań!

- Obiecałaś, ciociu, że będziemy czytać to razem!

- Zmieniłam zdanie!

Rich patrzył na mnie z rozdziawioną buzią, jakby zaskoczyło go nie tylko to, co powiedziałam, ale również podniesiony głos. W końcu wybuchnął płaczem. Potem zeskoczył z łóżka, przebiegł przez pokój, wypadł na korytarz i dotarł do swojej sypialni. Słyszałam, jak trzasnął drzwiami. Siedziałam przez chwilę zaskoczona, słuchając przytłumionego szlochu siostrzeńca, a w ręce trzymałam wypowiedź siostry na pytanie o sens życia.

- Rich! - zawołałam, pukając do drzwi jego pokoju. - Mogę wejść?

Nie było odpowiedzi, więc otworzyłam drzwi, pragnąc przeprosić chłopca.

Leżał schowany pod kołdrą, spod której wystawała mu tylko kępka włosów.

- Rich?

Nie odpowiedział, ale jego ciałem wstrząsnął dreszcz. Poczucie wstydu i tchórzostwo niemal kazały mi wybiec z pokoju.

Usiadłam na brzegu łóżka i poklepałam najwyższy punkt wzniesienia.

- Przepraszam, Rich. Wybaczysz mi?

Górka się poruszyła.

- Rich, proszę, tak mi...

- Ta księga należy również do mnie! - krzyknął nagle, siadając z wykrzywioną od płaczu buzią. - Babcia przysłała ją nam, a moja mama pomagała przy jej wykonaniu! Powiedziałyby, że ta pamiątka nie jest tylko twoja, ciociu, i że należy do nas wszystkich!

Wygłosiwszy tyradę, znów wpakował się pod kołdrę i na nowo zaczął płakać.

- Wiem, kochanie - przyznałam, czując się tak podle, że chętnie zapadłabym się pod ziemię. - Chodzi o to, że... sama nie wiem... ta księga wywołuje cudowne wspomnienia... którymi na razie nie potrafię się dzielić.

- To się naucz! - Jego słowa bardziej przypominały pisk.

- Wiem, wiem. Postaram się. - Poklepałam go, mając nadzieję, że to jego pośladek. - Pójdę, przyniosę *Wielką tajemnicę* i poczytamy ją razem, zgoda?

- Nie chcę.

- Daj spokój, Rich. Przeczytamy tyle pytań i odpowiedzi, ile będziesz chciał, a ja opowiem ci wszystko o ciotecznym dziadku Carlu, ciotecznej babce Tove, twoim dziadku...

- Nie chcę.

Siedziałam przez długą chwilę, pewna, że chłopiec zmieni zdanie, ale na próżno. Kiedy usłyszałam równomierny oddech, zdałam sobie sprawę, że zasnął. Wtedy wyszłam z pokoju.

James dwukrotnie pojawił się na randce w ciemno. W poniedziałek razem z Natalie wybrał się z nami na pizzę, a we środę, po zjedzeniu potraw chińskich, Rich i ja poszliśmy z nimi na trening.

Na lodowisku było zimno, więc oboje z Richem kuliliśmy się na trybunach, przyciśnięci do siebie. Przed nami siedziały trzy kobiety. One również były skulone, chociaż wyglądały wyjątkowo elegancko. Jakimś cudem udawało im się prowadzić rozmowę, a jednocześnie okrzykami zagrzewać jeżdżące po lodzie córki.

- Nie zatrzymuj się, Emily! Naprawdę nie wiedziałas, że Lori i Dave Donaldsonowie się rozeszli?

- Chyba żartujesz. W ubiegłym roku byłam u nich na przyjęciu z okazji rocznicy ślubu. Patrz, co robisz, Jessico!

- Słyszałam, że to Lori poprosiła o rozwód. Ładny strzał, Ashley! Gdy dostała licencję pośrednika handlu nieruchomościami, postanowiła odzyskać niezależność.

Po lodzie oprócz Jamesa jeździł wysoki mężczyzna z wąsikiem. Każdy z nich zupełnie inaczej prowadził pracę trenera.

- No, dziewczynki, szybciej! Pospieszcie się! - wrzeszczał facet z wąsikiem, gdy zawodniczki pokonywały pół lodowiska. - W tym ćwiczeniu chodzi o prędkość! Do przodu, Natalie. Pospiesz się, Samantha... Ruszać się!

Tymczasem James jedynie obserwował dziewczynki, a po skończonym ćwiczeniu pogratulował im coraz lepszej jazdy na łyżwach.

- O rany, co się dzieje z Philem? - spytała jedna z matek, gdy hokeistki zaczęły oddawać strzały, a facet z wąsikiem krzyczał: „Celujcie do siatki, nie w bandę!”

- Podejrzewam, że zbyt często zażywa viagrę - odparła druga z matek i wszystkie wybuchnęły śmiechem.

- Co to jest viagra? - spytał Rich.

Potrząsnęłam głową, jakbym nie chciała, by mi ktoś przeskadzał. Tymczasem pierwsza z pań powiedziała:

- Jakby brakowało mu testosteronu. Ten facet jest gorszy niż sierżant od musztry.

- Mówiłem, żebyście celowały w siatkę, dziewczęta! - huknął.

- Niekoniecznie - wtrąciła trzecia. - Myślę, że dziewczynki potrzebują dyscypliny. Powinny wiedzieć, iż nie przyszedł tu, żeby się bawić.

W takim razie po co? - pomyślałam.

- Sama nie wiem. Emily się go boi - wyznała pierwsza z pań.

- Jessica też - dodała druga. - Za to ubóstwa Jamesa.
- James - mruknęła trzecia z lekką drwiną. - James jest dla nich za łagodny. Jakby zależało mu tylko na tym, żeby się świetnie bawiły.

- I co w tym złego? - spytała pierwsza.

- Myślę, że nic - odparł numer trzy. - Ale Ashley lubi wygrywać, dlatego chcę, żeby trenował ją ktoś, kto uważa, że pokonywanie przeciwników jest równie ważne jak zabawa.

Wywróciłam oczami i zerknęłam na Richa, ale on wcale tego nie słuchał. Był zajęty próbą pociągania za luźną nitkę.

- Spójrz, ciociu - powiedział, patrząc na odpadający od kurtki guzik. - Jeżeli dość długo pociąga się za tę nitkę, odpada guzik!

W drodze powrotnej do domu dzieci zdecydowały, że powinniśmy kontynuować wieczór i urządzić sobie sannę.

- Jest dość późno, a jutro rano trzeba iść do szkoły - przypomniałam jak mama.

- Och, ciociu, daj spokój, proszę! - błagał Rich. - Bardzo proszę.

- Ja też - zaćwierkała Natalie. - Jeżdżenie na sankach w nocy jest zabawniejsze niż w ciągu dnia! To tak, jakby można było zjeść dwa desery zamiast jednego.

- No właśnie, dwa desery - poparł ją Rich, robiąc okrągłe oczy.

- Jak można zrezygnować z dwóch deserów? - spytał James.

- To naprawdę trudne - przyznałam.

- Tylko, tatusiu, nie mam spodni narciarskich! - oświadczyła Natalie. - Nie mogę iść na saneczki bez spodni narciarskich!

- Możesz włożyć swój strój hokejowy.

- Ależ, tatusiu, on jest na treningi, nie na saneczki!

James spytał mnie spojrzeniem, czy może przedłużyć wieczór. Wzruszając ramionami, zgodziłam się.

- W porządku - powiedział. - Pojedziemy do domu i zmienimy spodnie.

Wkrótce zajechaliśmy pod ogromny dom, należący do byłej żony Jamesa. Rich wygrzebał się z wozu za Natalie.

- Rich, wracaj! - zawołałam. - Zaczekamy na nich w samochodzie.

- Chcę zobaczyć laleczki Beannie!

- Taaak - poparła go Natalie. - Mam ich siedemdziesiąt osiem.

- Wejdźcie - zaproponował James, otwierając drzwi od strony pasażera.

- A co...?

- Z Karin? Nie ma jej w domu. Dziś rano poleciała do Tokio.

- Do Tokio - mruknęłam, wysiadając z auta. - Na jak długo?

- Na kilka dni. Potem wybiera się do Bangkoku i Szanghaju.

- To dość egzotyczna podróż.

James wyjął z bagażnika sprzęt i kije hokejowe.

- Amalgamated nie wysłało jej tam w celach turystycznych. O ile dobrze pamiętam, powiedziała... - Jego głos zmienił się w monotony głos robota. - „Naszym celem jest pozyskanie w Azji nowych klientów”.

- Mimo to - roześmiałam się - powinna mieć w ciągu dnia trochę czasu, żeby coś zobaczyć.

- Nie znasz Amalgamated - odparł, potrząsając głową. - Nie znasz Karin!

- O kurczę! - zawołał Rich, gdy znaleźliśmy się w foyer. - Prawdziwy zamek.

- Pomyślałam to samo - mruknęłam.

- Chodź, Rich - zaproponowała Natalie. - Pokażę ci mój pokój.

Patrzyliśmy, jak dzieciaki biegają schodami na górę.

Nie mogłam oderwać wzroku od pomieszczenia. Było w nim tyle marmuru, że człowiek czuł się jak w kamieniołomie, tyle witraży, że chciało się paść na kolana, a sufit znajdował się tak wysoko, że można by ćwiczyć skok o tyczce.

- Naprawdę tu mieszkasz?

- Co gorsza, pomagałem projektować ten dom.

- Niemożliwe.

James potrząsnął głową i zrobił minę kryminalisty, który nie może uwierzyć w swoją paskudną przeszłość. «

- No, może raczej wyraziłem na to zgodę. Gdy architekt pokazywał nam ostatnie plany, nie powiedziałem: „Czy pan

zwariował?" Za każdym razem, kiedy proponował czteropółmetrowe okno albo balkon, po prostu mówiłem: „Świetnie” albo „To mi się podoba”.

Weszliśmy do salonu, w którym kominek zajmował całą ścianę, a na środku stał wielki fortepian, bardziej wyglądający na eksponat niż na instrument do grania.

- Jest straszny, prawda?

Nie zrozumcie mnie źle, nie mam nic przeciwko bogactwu. Bóg mi świadkiem, sama nie należę do nędzarzy. Mimo to uważam, że są rzeczy, którymi człowiek może się szcycić, na przykład inteligencja, uroda i talent (by wymienić te najbardziej mi znane), ale z innymi nie powinien się afiszować, między innymi z pieniędzmi, bliznami pooperacyjnymi i genitaliami. A jeżeli już czuje nieodpartą potrzebę chwalenia się bogactwem, lepiej, żeby robił to w wielkim stylu: na przykład posiadał apartament na poddaszu przy Fifth Avenue i starając świat chatę w Hamptons. Ale ten dom mówi o właścicielu tylko tyle, że ma dużo pieniędzy i ani krztyny gustu.

- Zakładam, że nie interesuje cię zwiedzanie?

- Tylko nie to -jęknęłam, opadając na ogromną, obitą białą skórą kanapę, której poduchy ani o centymetr nie ustąpiły pod moim ciężarem.

- Co za ulga! - westchnął James. Odłożył sprzęt i kije hokejowe, po czym usiadł obok mnie. - Mogę ci tylko pokazać mój pokój.

Musiałam zrobić głupią minę, gdyż wybuchnął śmiechem.

- Nie w tym celu. Pomyślałam o nim, ponieważ to najmniejsze pomieszczenie w domu. Karin nazywa go pokojem do szycia, choć nigdy nie szyje.

- Dlaczego w ogóle masz tu pokój? Przecież ten dom nie należy już do ciebie.

Trudno było odczytać uśmiech Jamesa.

- Najmocniej dziękuję. Karin wielokrotnie mi to wypomina. - Wyciągnął ręce nad głowę, a ja myślałam, że za chwilę mnie obejmie. Nie zrobił tego. - Moja eks często podróżuje, zależy jej więc na tym, żebym zostawał tu z Natalie i miał oko na dom. Ale uwierz mi, po spędzeniu tygodnia w tym bunkrze myślę, że moja kawalerka w Minnetonca to raj.

- A dlaczego nie chcesz pokazać mi swojego pokoju w tym konkretnym celu?

- Słucham? - 'Zrobił okrągłe oczy, a gdy w końcu zrozumiał, przytaknął. - No cóż - powiedział i odchrząknął - nie sądzę, żebyś była tym zainteresowana.

Nasz szczeniacki pocałunek w halloweenową noc nie pociągnął za sobą następnych, ale w tym momencie bardzo chciałam poczuć wargi Jamesa na swoich ustach.

- Jeśli nie spróbujesz, nigdy się nie dowiesz.

- W porządku - powiedział, a potem jego twarz powiększała się, powiększała, aż w końcu nasze usta się spotkały.

Niektórzy ludzie mają pokrewne dusze, my mieliśmy pokrewne usta - nasze wargi doskonale się ze sobą zgadzały, jak starzy przyjaciele, którzy znają się na wylot. Zarzuciłam Jamesowi ręce na szyję i z przyjemnością oddałam się temu, co zapowiadało się na długi pocałunek. Nagle usłyszałam pacnięcie, a w chwilę później rozległo się ciche wołanie Richa:

- Pomocy!

Oboje z Jamesem poderwaliśmy się, jakby kanapa stanęła w ogniu, i pobiegliśmy po schodach z polerowanego drewna. Po pokonaniu długiego korytarza wpadliśmy w otwarte drzwi.

Natalie siedziała na podłodze blada jak ściana. Przyciskała rękę do piersi. Gdy nas zobaczyła, przez jej twarz przemknęło zażenowanie, potem zaczęła płakać.

- Natalie! - krzyknął James, podbiegając do niej. - Zrobiłaś sobie coś w rękę?

- Słyszałem to! - oznajmił Rich. - Upadła, a ja słyszałem, jak coś pękło.

- Pozwól, że zobaczę - zaproponował James, ale nim zdążył dotknąć córeczki, zaczęła krzyczeć.

- Zostaw mnie, tatusiu, to bardzo boli!

- Wygląda na to, że musimy jechać do szpitala - powiedział, ostrożnie ją podnosząc. - Możesz nas zawieźć? - spytał.

- Oczywiście.

- Słyszałem to! - powtórzył Rich. - Słyszałem ciche pęknięcie. - Podskakiwał w górę i w dół.

- Chodź, Rich - mruknęłam, obejmując go i próbując uspokoić. - Musimy zawieźć Natalie i Jamesa do szpitala.

- Nic jej nie zrobiłem! - zastrzegł Rich. - Skakaliśmy z łóżka, ale nic jej nie zrobiłem!

- To był mój pomysł - wyjaśniła Natalie, wysuwając głowę zza ramienia ojca. - Nie Richa.

Uśmiechnęłam się do dzielnej dziewczyneczki. Potem czując, że Rich się uspokaja, ścisnęłam mu ramię.

- Skakaliście z górnego łóżka?

Rich przytaknął, a w jego oczach pojawiły się łzy.

- Ratowaliśmy laleczki Beannie - wyznał. Jedna z łez zasnuwających mu oczy potoczyła się po policzku. Oparł głowę o moją klatkę piersiową. - Ale to moja wina. Jestem mądrzejszy. Powinienem powiedzieć: „Nie możemy tego robić”. Mogłem nie zgodzić się na taką zabawę.

James się odwrócił, jedną ręką wciąż trzymając córkę.

- Daj spokój, kolego - powiedział, wolną ręką biorąc Richa pod brodę. - Wypadki chodzą po ludziach. - Spojrzał na porzrzućcane po podłodze zabawki. - Jeżeli mowa o czyjejs winie, to tych cholernych laleczek. Nigdy nie spotkałem zabawek, które sprawiałyby więcej kłopotów.

- Och, tatusiu - jęknęła Natalie, z bladym uśmiechem na ustach.

- Rzeczywiście, żadne zabawki nie sprawiają takich kłopotów - przyznał Rich ze śmiechem. - Och, James.

Gdy następnego dnia otworzyłam drzwi, zobaczyłam na progu Jamesa.

- Mam tylko minutkę - zastrzegł, gdy zachęcałam go, by wszedł do środka. Poklepał się po torbie. - Czekam mnie dziś jeszcze wiele kilometrów.

- Właśnie zrobiłam kawę - oznajmiłam.

Pobiegłam do kuchni, by nalać kubek. Na zewnątrz nie było wcale tak zimno - tylko trochę poniżej zera - uznałam jednak, że coś ciepłego dobrze Jamesowi zrobi.

- Dzięki - powiedział, biorąc kubek bez zdejmowania rękawiczek.

- Jak wczoraj wieczorem spisała się Natalie?

- Myślę, że tylenol zadziałał - wyjaśnił James, siadając przy ladzie. - Przespała całą noc, a rano nie mogła się doczekać, kiedy pójdzie do szkoły, żeby pochwalić się swoim gipsem.

- Cieszę się - przyznałam. - Natalie to odważna dziewczynka.

James przytaknął.

- Trochę martwi się o hokeja, ja zresztą też, ale lekarz twierdzi, że przed Bożym Narodzeniem będzie mogła wrócić na lód. - Saczył podaną przeze mnie kawę. - Dzwoniłem do Karin. Była wściekła.

- Przecież to nie twoja wina!

- Ale stało się na mojej wachcie. Karin dopilnowałaby, żeby Natalie nie skakała z łóżka.

- Tak powiedziała?

James przytakując kiwnął głową.

- I nie tylko. Na szczęście udało mi się ją przekonać, że nie musi wracać. Że to zwyczajne złamanie i wcale nie trzeba operować ręki.

- I co powiedziała twoja żona?

James wzruszył ramionami.

- Powiedziała: „Och, to znaczy, że zwyczajne złamanie to nic takiego, prawda?” A potem przez dziesięć minut łajała mnie, że pod jej nieobecność przyjmowałem w jej domu gościa.

Osobiście uważam, że słowo „suka” jest poniżające, ale ta kobieta zasługiwała na to, by ją poniżyć. Prawdę mówiąc, nie była suką, była wielką suką.

- Nawet nie znam twojej żony, ale jej nie cierpię.

James wybuchnął śmiechem.

- Ma też zalety.

Dałam mu chwilę na rozwinięcie tematu, ale kiedy uparcie milczał, spytałam:

- Jakie?

Ponownie się roześmiał.

- Właśnie się zastanawiam.

8

CIA poniosło ogromną stratę, nie próbując zwerbować Barb Torgerson. Miała ogromną siłę przekonywania i doskonale znała się na ludziach. Potrafiła nakłonić każdego do rzeczy,

których z pewnością nigdy by nie zrobił, niezależnie od tego, czy chodziło o zdradzenie jakiejś tajemnicy, złamanie kodu, czy też pomoc w szkółce niedzielnej.

- Przestań się krzywić - powiedziała. - Przecież cię nie zjedzą.

- Dlaczego w ogóle dałam się na to namówić?

- Ponieważ Brenda Albert ma grypę - przypomniała mi mama Conrada.

Powiesiliśmy nasze okrycia na kołkach w piwnicy kościoła. Rich i Conrad dołączyli już do kolegów i koleżanek.

- Wiedziałaś, że potrzebuję pomocy.

- Założę się, że Brenda udaje. - Mówiliśmy o wykładającej w szkółce niedzielnej nauczycielce, której dotychczas nie udało mi się poznać. - Pewnie w tej chwili siedzi w jakimś barze i popija porannego drinka z cudzym mężem.

- Jesteś okropna. - Barb się roześmiała. - A najmocniejszy trunek, jaki pija Brenda, to wino mszalne.

- Tylko tak mówi.

Na końcu korytarza czekał na nas James. Miał na sobie elegancki, szary garnitur w prążki.

- Ciebie też zwerbowała? - spytałam.

- Raczej przekupiła - odrzekł. - Zaprosiła mnie na drugie śniadanie.

- Ty również możesz czuć się zaproszona - dodała Barb z rozbawieniem, widząc, że jestem urażona.

Tak jak się spodziewałam, po otwarciu drzwi sali znaleźliśmy się w istnym domu wariatów. Młodzi ludzie gonili się nawzajem, bazgrali na niedużej, umieszczonej na sztalugach tablicy i puszczali papierowe samoloty. Jednak ujrawszy nas, przestali psocić i grzecznie usiedli. Przypomniałam sobie szkółkę niedzielną, do której przed laty sama uczęszczałam. Zachowywaliśmy się podobnie.

Na wypastowanym na wysoki połysk linoleum stały krzesła, tworząc krąg. Barb gestem ręki zaprosiła mnie i Jamesa, żebyśmy usiedli obok niej.

- Witajcie, dzieci. Większość was zna Jamesa - już was kiedyś odwiedził.

Kiedy ucichły powitania, Barb położyła dłoń na moim ramieniu.

- A to Geneva, ciocia Richa.

- Witaj, Genevo! - zawołał tuzin nastolatków.
- Mrugnęłam do Richa, a on nieśmiało pomachał mi ręką.
- Mam na imię Megan - przedstawiła się jakaś pannica.
- W jej ustach błysnął metal. - Rich twierdzi, że jesteś sławną piosenkarką.
- Cóż, to...
- Jaką piosenkarką? - spytała korpulentna dziewczyna. - Z jakiegoś zespołu?
- Jest za stara, żeby śpiewać w zespole rockowym - zauważył któryś z chłopców.
- Miałam ochotę wyrzucić go na korytarz.
- Wcale nie - zaprotestowała Megan. - Przypomnijcie sobie tylko „Rolling Stones”. Założę się, że jest od nich młodsza.
- O wiele - zapewniłam.
- Co śpiewasz? - spytał inny chłopiec. - Arie operowe czy coś w tym stylu?
- Opera jest do kitu - orzekł ten sam nastolatek, który oskarżył mnie o to, że jestem za stara na rock and rolla. Tym razem naprawdę miałam ochotę go ukarać.
- Chwileczkę, chłopaki! - zawołał Rich, podnosząc rękę do góry, żeby zwrócić na siebie uwagę pozostałych. - Ciocia śpiewa na Broadwayu.
- Co to jest Broadway? - spytał pyskаты chłopak, tym samym dając świadectwo własnej ignorancji.
- Broadway to jest... to jest... - Rich spojrzał na mnie bezradnie. - Powiedz im to sama, ciociu.
- Z przyjemnością - zgodziłam się. - Broadway to dzielnica Nowego Jorku. Znajduje się tam bardzo dużo teatrów, w których grają najlepsze w kraju i na świecie sztuki.
- Lepšie niż na West Endzie w Londynie? - spytała chwalięta.
- Tak sędę. Broadway uważany jest za stolicę teatru i musicalu, a Hollywood - filmu.
- Powiedziałaś to tak, jakbyś była nacjonalistką - stwierdziła mała miss West Endu.
- Co to jest nacjonalizm, Holly? - spytał Conrad.
- Przesadny patriotyzm. Nacjonalista uważa, że w jego kraju wszystko jest najlepsze.
- Cóż, w Ameryce naprawdę wszystko jest najlepsze - zauważył młokos o grubych wargach.

- To ty tak twierdzisz, Chad. Masz horyzonty tak wąskie jak żaba.

- A ty masz twarz jak żaba.

Wszyscy śmiali się z zabawnego Chada.

- Dobra, dzieciaki, wystarczy - przerwała im Barb. - Odbiegliśmy nieco od tematu.

- A o czym będziemy mówić, mamó? - spytał Conrad.

- Zbliża się Święto Dziękczynienia, porozmawiamy więc na temat darów...

- Święto Dziękczynienia - przerwała Megan. - A co z Bożym Narodzeniem?

- Ja już spisałam, co chcę dostać - przyznała się dziewczyna o jasnych lśniących włosach, mieniających się różnymi odcieniami.

- Ja też - zdradził Conrad. - Wpisałem tam również ciebie. Ładniutka nastolatka się zarumieniła.

- Dlaczego wpisałeś Hannah na swoją listę? - spytała Barb. Conrad przechylił głowę na bok i się uśmiechnął.

- Ponieważ chcę dostać Hannah pod choinkę. Chcę, żeby została moją dziewczyną. A jeśli się na to nie zgodzi, może przynajmniej w zamian dostanę całusa.

- Przykro mi, Connie, ale mam już chłopaka - odparła Hannah, po czym z zaskakującym spokojem podeszła do Conrada. - A oto twój całus.

Kiedy musnęła wargami policzek Conrada, młodzi ludzie wydali radosny okrzyk i zaczęli bić brawo.

- To było dobre - przyznał Rich, klepiąc się w kolano. - Naprawdę dobre.

Conrad przyłożył dłoń do policzka, jakby chciał zachować pocałunek.

- Jasne - przyznał z uśmiechem.

- Tak więc Hannah dała Conradowi prezent - wyjaśniła Barb zebrany. - Jak myślicie, dlaczego to zrobiła?

- Ponieważ mnie lubi! - zawołał Conrad, machając w powietrzu dłonią zwiniętą w pięść. - Ponieważ nie mogła mi się oprzeć!

Ta uwaga została nagrodzona kolejną salwą śmiechu. Rich śmiał się najgłośniej i raz jeszcze klepnął się po kolano.

- No właśnie - wykorzystała sytuację Barb. - Czasem ludzie obdarowują kogoś z poczucia obowiązku albo dlatego, że

wymagają tego dobre obyczaje, ale najczęściej dają prezenty tym, których lubią. A ponieważ Bóg nas kocha, otrzymujemy od Niego mnóstwo darów.

No nie - pomyślałam. Teraz zacznij się kazanie.

- Jakie to dary? - spytała Megan.

- Na przykład urodę - odrzekł Chad, przyjmując wyniosłą pozę. - Mnie obdarzył urodą.

- A mnie rozumem - powiedziała Holly.

- Macie rację - pochwaliła ich Barb, uprzedzając Chada, szykującego się do kolejnej dowcipnej uwagi. - Urodę i inteligencję możemy uważać za dar boży. Coś jeszcze?

Megan podniosła rękę.

- Bryce jest naprawdę dobrym hokeistą.

Chłopak z największą grdyką, jaką w życiu widziałam, spuścił wzrok, a na jego twarzy i uszach pojawiły się rumieńce.

- Oczywiście, uzdolnienia sportowe to też dar. Coś jeszcze?

Rozpoczęła się gorąca dyskusja o darach, posypało się mnóstwo pytań i uwag.

- Skoro darem są wszelkie talenty, czy można do darów zaliczyć również cechy charakteru, takie jak poczucie humoru czy elokwencja? A jeżeli tak, to dlaczego Bóg jednej osobie daje więcej niż innym? Czy to znaczy, że bardziej ją lubi?

- Może wszyscy dostajemy tyle samo, tylko niektórzy potrafią lepiej to wykorzystać?

- Czy wszystkie te dary nie są jedynie wynikiem odziedziczonych przez nas genów? - (To pytanie oczywiście zadała przemądrzała Holly).

Byłam zaskoczona entuzjazmem wykazywanym przez młodych ludzi. W szkółce niedzielnej, do której uczęszczałam dawno, dawno temu, wypowiedaliśmy się tylko wtedy, gdy pozwolił nauczyciel, a jeżeli ktoś nie mógł się doczekać, słyszał związane „szsz!” Niektóre z zadawanych przed chwilą pytań moi nauczyciele uznaliby za czyste bluźnierstwo: „Jeżeli Bóg daje człowiekowi coś, czego ten nie chce, na przykład chorobę czy coś podobnego, czy można zwrócić Mu ten dar?” (Później Barb wyjaśniła mi, że u matki chłopca, który zadał to pytanie, właśnie wykryto raka piersi). „Myślę, że Bóg jest podły, skoro jedną osobę obdarza ładną buzią i sławą, a drugą - nadwąga i trądzikiem”. (Pulchna, pryszczata dziewczynka, która

wygłosiła tę kwestię, przez cały czas otwarcie spoglądała na Hannah).

Wreszcie Barb zaproponowała, aby każdy powiedział, z jakiego daru cieszy się najbardziej. Ta sugestia spotkała się z kilkoma protestami, ale mama Conrada postawiła na swoim.

- Jeśli ktoś nie chce, nie musi się wypowiadać, ale umiejętność dzielenia się myślami i uczuciami również można uznać za dar. Pamiętajcie tylko o obowiązującej zasadzie: nie wolno wam osądzać niczyjej wypowiedzi.

- Może ja zacznę - zgłosiła się szczebiotka Megan. - Moim największym darem jest chyba to, że uchodzę za osobę bardzo towarzyską.

Spodziewałam się kolejnych jęków (a przynajmniej jakiegoś komentarza ze strony Chada), ale wszyscy zastosowali się do wymogów Barb.

- A ja po prostu kocham ludzi! - ciągnęła Megan. - Myślę, że to właśnie dzięki nim życie na naszej planecie jest takie fajne!

Barb uśmiechnęła się i kiwnęła głową.

- Kto następny? - spytała.

Hokeista, Bryce, potrząsnął głową, uparcie nie podnosząc wzroku.

- Rezygnuję.

- Myślę, że moim największym darem są zdolności do matematyki - zdradził następny chłopiec. Miał w podbródku takie zagłębienie, że można by zmieścić tam drobne na lunch. - Teraz przerabiam zaawansowaną algebrę, a w przyszłym roku chcę zająć się geometrią.

Barb ponownie się uśmiechnęła i kiwnęła głową.

- Hannah?

- Hmm - mruknęła ładna dziewczyna. - Czuję się tak zażenowana, że chętnie zrezygnowałabym z odpowiedzi, myślę jednak, że powinnam się odważyć.

Spojrzałam ukradkiem na hokeistę, który znów się zaczerwienił.

- No więc... - ciągnęła Hannah - ...sądzę, że moim największym darem bożym jest... - Spodziewałam się, że powie: „moja twarz”, „wspaniałe jasne włosy” albo „wzrost i szczupła sylwetka”, ale jeszcze raz mnie zaskoczyła. - ...jest to, że wszyscy mnie lubią.

Jej policzki zaróżowiły się. W tej sali często widać było rumieńce na twarzach.

- Przynajmniej tak mi mówią.

Słuchając, jak po kolei wypowiadają się siedzący w kręgu młodzi ludzie, zdałam sobie sprawę z tego, że za każdym razem wstrzymuję oddech. Nie chciałam uronić ani jednego słowa. Wszystko było takie fascynujące, takie wzruszające, na dodatek w niczym nie przypominało recytowania fragmentów Biblii - zajęcia, które zapamiętałam ze swojej szkółki niedzielnej.

- A ty, Rich?

Mój siostrzeniec wsunął dłonie pod uda i wychylił się do przodu, jakby miał zamiar przyjrzeć się swoim butom. Kiedy uniósł głowę, zobaczyłam wysuniętą do przodu brodę i zmarszczone w skupieniu czoło. Rich coś mamrotał.

- Co mówisz, Rich?

- Powiedziałem, że za największy dar uważam mojego serdecznego przyjaciela. - Pochylił się w bok i otoczył Conrada ramieniem. - To mój serdeczny przyjaciel, Conrad Joseph Torgerson.

Zanim Conrad odwzajemnił gest Richa, jego ramię zatoczyło szeroki łuk.

- Dzięki ci, Richardzie Allenie Wahlstromie.

- Nie ma za co.

Przez chwilę obaj milczeli, uśmiechając się do siebie. Wreszcie Conrad oderwał się od Richa i obdarzył wszystkich uśmiechem.

- Oczywiście, wszyscy wiedzą, co jest moim największym darem. - Wstał, przekreślił czapeczkę daszkiem do tyłu i powiedział, naśladowując Jamesa Browna: - To, że mogę się poruszać!

Po tym wyznaniu chłopiec zaczął tańczyć wewnątrz koła, machając rękami i uderzając się w boki. W sali rozległ się śmiech i rytmiczne oklaski, a Connie zareagował na nie jak stary wyjadacz, potrząsając (czy też próbując potrząsać) ramionami, niezgrabnie podskakując i kicając, dopóki nie zabrakło mu tchu.

- Dobrze już, dobrze, Conradzie - powiedziała Barb ze śmiechem. - Daj szansę innym.

Wesołość, która zapanowała po tańcu Conrada, została

przycmiona, kiedy dziewczyna o imieniu Linnea wyznała, że dla niej największym darem są chwile, kiedy ojciec jest trzeźwy, a jej koleżanka jako największy powód do radości wymieniła fakt, iż jej rodzice się nie rozwodzą - przynajmniej na razie. Kiedy nadeszła moja kolej, myślałam, że się wymigam tak jak Bryce, uznałam jednak, że powinnam świecić przykładem.

- Sądzę, że moim największym darem jest głos - oznajmiłam. - Dzięki niemu zrobiłam wspaniałą karierę, zresztą... - Nie mogłam w to uwierzyć: odebrało mi mowę. - ...naprawdę bardzo lubię śpiewać.

- Zaśpiewasz nam coś? - spytała Megan.

- Jasne, zaśpiewaj, ciociu! - poparł ją Rich, a jego prośbę podchwyciła reszta jego kolegów i koleżanek.

Oczywiście, nie mogłam odmówić zgrai trzynastoletków, skandujących moje imię.

- Zazwyczaj ktoś mi akompaniuje - wyjaśniłam, wstając.

- Zagram ci - zaproponował James.

- Ty?

Nie wiem, dlaczego tak się zdziwiłam - w końcu wiedziałam, że brał lekcje gry na fortepianie - niemniej byłam naprawdę zaskoczona.

James usiadł przy pianinie, dla rozgrzewki zagrał gamę, po czym zapytał:

- Co chciałabyś zaśpiewać?

- *Someone to Watch over Me*? - wypaliłam. - W tonacji G-dur.

Gdy James grał przygrywkę, nabrałam powietrza w płuca i próbowałam się skupić, mając świadomość, że nie ma bardziej wymagającej publiczności niż nastolatki.

Zaczęłam śpiewać, a James grał tak, jakbyśmy razem przygotowali się do tego występu. Mrugnął do mnie. Odwróciłam się od niego, nagle onieśmielona i zawstydzona jak młodzi ludzie, dla których śpiewałam. Zamknęłam oczy, żeby się skupić. Po chwili przemykające po klawiszach palce Jamesa zaprowadziły mnie tam, gdzie prawo wstępu ma tylko muzyka. Śpiewałam tak, jakbym rzeczywiście była zagubiona w lesie owieczką. Kiedy skończyłam, wybuchły oklaski. Dostrzegłam nawet, że kochająca wszystkich ludzi Megan otarła łzy. Potem wszyscy podbiegli do mnie i do Jamesa.

- Nie lubię takiej muzyki, ale to mi się podobało!

- Gram na trąbce - czy mogłabyś powtórzyć tytuł tej piosenki, żebym mógł zdobyć nuty?
- O kurczę, powinniście nagrać płytę!
- Dobry jesteś — przyznałam, pochylając się nad swoim akompaniatorem.
- Ty również - zapewnił James.
- Barb spojrzała na zegarek i klasnęła w dłonie.
- Pora posprzątać salę - oznajmiła.
- Ale ani pani, ani James nie powiedzieliście nam, jaki jest wasz największy dar! - zaproponowała Megan.
- Tak, powiedzcie! - zawtórowała reszta nastolatków.
- Barb uśmiechnęła się i wskazała Conrada:
- Oto mój największy dar - wyznała. - Connie, jego brat i siostra.
- Musiała to powiedzieć - wyjaśnił Connie kolegom. - W końcu jest moją mamą.
- A co ty uważasz za największy dar? - spytał Chad Jamesa, który nadal siedział przy fortepianie.
- Tylko nie mów, że córeczka - uprzedziła przemądrzała Holly. - To oczywiste.
- James z uśmiechem na ustach zagrał akord durowy, a następnie molowy.
- Owszem, to oczywiste, ale też prawdziwe. - Wykonał kilka pierwszych taktów *A Foggy Day*. - Ale gdybym miał wymienić drugi w kolejności największy dar, musiałbym powiedzieć, że są nim... - grał dalej - ...moje nogi. Nie chciałbym się przechwalać, ale naprawdę mam wyjątkowo zgrabne nogi.
- Zgrabne nogi?! - powtórzył Rich, a wszyscy wybuchnęli śmiechem.
- Chodźcie, dzieci - powiedziała Barb. - Niech każde z was zabierze ze sobą krzesło, żebyśmy już mogli stąd wyjść.
- Po raz pierwszy w życiu było mi żal, że zajęcia w szkółce niedzielnej dobiegły końca.

- Dlaczego mi nie powiedziałaś, że jesteś takim świetnym pianistą? - spytałam Jamesa, kiedy zdjął szarą marynarkę i rzucił ją na stołek barowy.
- James po prostu nie lubi się chwalić - wyjaśniła Barb. - Nie zauważyłaś?

- Jakie jeszcze tajemnice przede mną ukrywasz? - spytałam, przyglądając się, jak James podwija rękawy koszuli.

Nastroszył brwi.

- Obserwuj mnie, dziecinko, wtedy może się dowiesz.

Wziął z wieszaka kij i natarł jego końcówkę kredą. Barb układała bile.

Przed chwilą zjedliśmy pyszne drugie śniadanie, złożone z gofrów i zmiksowanych przez Barb świeżych owoców. Rich, Conrad i Natalie bawili się na piętrze grą wideo, noszącą tytuł *Dr. Techno-Wizzard* czy podobny. My okupowaliśmy pokój wypoczynkowy w suterenie i graliśmy w bilard. Prawdę mówić, to James grał z Barb. Ja siedziałam przy barze, kręcąc się na stołku obrotowym i układając ćwierćdolarówki, które postawiłam na mamę Conrada.

- Trójka do narożnej łuzi - zapowiedziała i zgodnie z deklaracją wbiła bilę numer trzy do rogu.

- Szóstka do bocznej - obiecał James, ale jego bila nie usłuchała rozkazu, odbiła się od bandy, po czym wpadła między pozostałe kule.

- Tylko się nie śmieję! - skarcił mnie. - Nie wolno ci się ze mnie śmiać ani stawiać na moją przeciwniczkę. To demoralizujące.

Obróciłam się na stołku i wbiłam wzrok w ścianę za barem. Nie zdołały jej tradycyjne plastikowe znaczki różnych gatunków piwa ani nic zbliżonego. Wisiały tam dyplomy George'a ze szkoły średniej i studiów, nagrody zdobyte w turniejach golfowych oraz fotografie mężczyzn dzierżących kije golfowe.

- Gdzie tu jest George? - spytałam.

Barb uważnie przyglądała się układowi bil.

- To ten wysoki facet w okularach. Siódemka do bocznej. Rozległo się stuknięcie, lecz bila nie trafiła do celu.

- Teraz przynajmniej wiem, że on naprawdę istnieje.

Barb ze śmiechem obarczyła mnie winą za nieudany strzał.

- Co chcesz przez to powiedzieć? - spytała.

- Ilekroć cię odwiedzam, nie ma go w domu.

- Genevo, byłeś u mnie tylko dwa razy.

- Nieprawda. Pamiętasz, jak wpadłam w zeszłym tygodniu na kawę?

- To będzie skomplikowane zagranie - oznajmił James. - Myślę jednak, że mi się uda.

- W porządku, odwiedziłaś mnie trzy razy. Dwukrotnie był w pracy, a dzisiaj jest poza domem.
 - Dokąd wyjechał?-spytałam.
 - Od czasu do czasu lubi spędzać weekend w górskiej chacie. James, jeżeli teraz mi się uda, będzie po tobie.
 - W zimie? - dopytywałam.
- Barb złożyła się do strzału i zerknęła na mnie.
- Pozwolisz, że wykonam ten ruch w nieco spokojniejszej atmosferze?
 - Och, bardzo proszę. Nie zamierzałam ci przeszkadzać.
- Mama Conrada wygrała pięć dolarów. Potem postanowiła sprawdzić, co porabiają dzieciaki, ale James zaproponował, że ją wyręczy.
- Może zagram z nimi w grę wideo. Jeśli są dobrze wychowani, pozwolą mi wygrać.
 - Tylko nie graj z nimi o pieniądze - rzuciła Barb przez ramię, po czym dołączyła do mnie. - Napijesz się coli czy wolisz coś innego? - spytała.
- Potrząsnęłam głową.
- Kofeina? Tylko tego mi brakowało. - Spojrzałam na ścianę. - Dlaczego nie ma tu zdjęć rodzinnych?
 - Genevo, to sanktuarium George'a. Trzyma tutaj swoje trofea i zdjęcia wpływowych przyjaciół. Co w tym złego?
- Wzruszyłam wymownie ramionami. Wtedy Barb zaskoczyła mnie, mówiąc:
- Już sobie wyrobiłaś o nim zdanie, prawda? Myślisz, że mój mąż zaniedbuje mnie i dzieci, w weekendy sam wyjeżdża w góry, w biurze spędza tyle czasu, ile tylko się da, byle nie wracać do domu, a jeżeli już tu jest, to sprowadza sobie współpracowników albo przyjaciół.,.
 - Barb, ja naprawdę...
 - Zaczekaj. Myślisz, że George nie rozwiódł się ze mną tylko dlatego, że jest na to za leniwy. - Głos jej się załamał. - Wiem, że tak myślisz... i właściwie jesteś bliska prawdy.
 - Och, Barb - jęknęłam, obejmując załamaną przyjaciółkę. - Nie wiedziałam. Po prostu uznałam... Myślałam, że jest normalnym, tradycyjnym, egoistycznym dupkiem.
- Ramiona Barb zdrzały. Przytuliłam ją mocniej, ale kiedy się ode mnie odsunęła, wyszło na jaw, że trzęsła się ze śmiechu.
- Genevo - wyznała, przeczesując (z miernym skutkiem)

czarne kędziory, będące wynikiem trwałej. - Uwielbiam, gdy nie owijasz niczego w bawełnę.

Następnie Barb wyjaśniła mi, że dla pozostałych dzieci George jest naprawdę dobrym ojcem (choć nie wspomniałam, ale to tylko dlatego, że zbyt dużo czasu zajmuje mu robienie pieniędzy). Niestety, Conrad okazał się dla niego zbyt wielkim ciężarem.

- Próbował, nie przeczę - przyznała Barb, tępo wpatrując się w nagrodę gubernatora. - Ale za słabo się stara. Ilekroć robią z Conniem krok do przodu, George natychmiast się wycofuje. Zupełnie jakby nie akceptował ułomności Conniego, a więc jego samego.

- To musi być dla ciebie bardzo trudne.

Usta Barb wygięły się w podkówkę. Wzruszyła ramionami.

- Przyzwyczaiłam się. - Odwróciła się do mnie i zmarszczyła nos, jakby poczuła jakiś wstrętny zapach. - Myślę, że mogło być znacznie gorzej. - Westchnęła. - Ale też mogło być o wiele lepiej. Dla niego i dla nas.

Siedziałyśmy, wpatrując się w ścianę, która stanowiła powód do dumy George'a Torgersona. W końcu postanowiłam rozwiać ponury nastrój.

- Może jednak napiłybyśmy się coli? Co ty na to? Coli i wszystkich innych zbyt słodkich napojów, które masz.

- Do usług! - zawołała Barb, wchodząc za bar.

Próbowała poprawić jeden z dyplomów George'a, ale zmieniła zdanie i przekrzywiła go jeszcze bardziej.

- Co jest między tobą i Jamesem?

- Gdzie on się podziewa?

- Prawdopodobnie przegrywa z dziećmi. Nie zmieniaj tematu. O co chodzi?

- Wiedziałaś, co on potrafi? Nie miałam pojęcia, że aż tak dobrze gra na pianinie.

- Wiedziałam. Ale nigdy tego nie robi. Myślałam, że padnę, gdy zaproponował, że ci zaakompaniuje.

- Dlaczego? O co chodzi?

- Nie powiedział ci?

- O czym miał mi powiedzieć? - spytałam, biorąc od Barb butelkę coli.

- Cóż, James jest pierwszorzędnym muzykiem, ale nikt nigdy nie słyszał jego gry.

- Dlaczego?

Barb upiła spory łyk napoju z bąbelkami i głośno czknęła.

- Barb! - skarciłam ją ze śmiechem.

- Przepraszam. Joel próbował kiedyś uczyć Conniego. Trzeba przyznać, że Connie bardzo się starał opanować tę sztukę. Chyba przy okazji ja też się trochę nauczyłam.

- Pewnie tak. Dlaczego nikt nigdy nie słyszał Jamesa?

- Ma straszną tremę. Potwornie boi się publiczności. Parę razy udało się go namówić, żeby zagrał w kościele, ale zawsze w ostatniej chwili rezygnował.

Przypomniałam sobie, jak James dawał znaki dyrygentowi chóru kościelnego.

- Dlaczego miałyby bać się występu w kościele? Nie wyobrażam sobie bardziej pobłażliwej publiczności.

W odpowiedzi na moją niezamierzoną uszczypliwość Barb prychnęła.

- Musisz zapytać o to Jamesa. - Odstawiła opróżnioną do połowy butelkę. - Chciałabym teraz wrócić do przerwane go wątku. Co jest między wami?

- Prawdę mówiąc, sama nie wiem - przyznałam. Moje palce powędrowały do niewielkiego wgłębienia tuż nad obojczykiem. - To strasznie dziwne. Przypomina romans nastolatków.

- Chcesz przez to powiedzieć, że nie przespaliście się ze sobą?

- Barb! Co za pytanie w ustach tak porządnej chrześcijanki jak ty!

- Chrześcijanie też uprawiają seks. A ty?

- Nie z nim. Pojawiły się pewne... komplikacje

- To znaczy?

- Nie wiem... James mnie pociąga, ale bardziej jako przyjaciel... przyjaciel, z którym uwielbiam się całować, ale na tym koniec. - Nagle zaschło mi w gardle, więc upiłam łyk coli. - A moment... moment, w którym moglibyśmy posunąć się dalej, zawsze wypada w nieodpowiednim czasie. Albo Rich coś sobie przypomina, albo woła nas Natalie, choć z drugiej strony może... może obydwójce odnieśliśmy zbyt poważne rany i teraz boimy się wrócić na pole walki.

- Walka to trafne określenie. - Barb otworzyła szafkę i zaczęła w niej czegoś szukać. - Od razu widać, że o zaopatrzenie dba tu facet. Jest pół torebki chipsów ziemniacza-

nych, trochę orzeszków ziemnych, ale ani jednej drażetki M&M-sów.

- Dzieciaki są bezlitosne, jeżeli chodzi o joystick - powiedział James, schodząc po schodach. - Tylko tyle udało mi się wywalczyć - oznajmił nasz zbawca, z uśmiechem pokazując torebkę herbatników.

Wspaniały dzień trwał nadal. Barb uznała, że koniecznie powinniśmy obejść Deep Lakę dookoła („Trzeba spalić nieco kalorii po zjedzeniu tylu ciasteczek”). Wątpię jednak, by nam się to udało, ponieważ wędrowaliśmy wolnym krokiem w rytm śpiewanych przez dzieci piosenek, między innymi *On Top of Old Smokey* i *Ninety-Nine Bottles of Beer on the Wall*. (Nieco później spytałam Barb, czy powinno się uczyć dzieci takich słów jak: „Zdejmij jedną i podaj dalej, na murze stoi dziewięćdziesiąt dziewięć butelek piwa”, na co Barb roześmiała się i odparła, że czasami warto zapomnieć o zasadach i nieco się zabawić).

Powiedziałam Jamesowi, jak miło mi się śpiewało przy jego akompaniamencie. Miałam nadzieję, że przy okazji mój rozmówca wspomni o tremie (znałam cierpiące na tę fobię osoby, które swobodnie mówiły o swoim kłopotcie, oraz takie, które nigdy nikomu się do niego nie przyznawały. Pewnie James należy do tej drugiej kategorii, jako że o niczym nie wspomniał). Jednak dzieciaki nieubłaganie domagały się, żebyśmy patrzyli na to czy na tamto albo żebyśmy się z nimi bawili.

Policzki nam poczerwieniały od zimna, na szczęście nie było wiatru. Z łatwością obeszlibyśmy jezioro, gdyby nie kilka wyjątkowo słabych pęcherzy.

- Tatusiu, muszę do ubikacji! - obwieściła Natalie, przysuwając się do Jamesa.

- Ja też - przyznał się Rich.

- I ja - przyłączył się Connie.

- Ile butelek bąbelków wypiliście? - spytała Barb.

- To nie były bąbelki, mamusiu - wyjaśnił Connie z krzywym uśmiechem. - Lecz piwo. Wypiliśmy dziewięćdziesiąt dziewięć butelek.

- W takim razie dobrze się składa, że jesteśmy właśnie tutaj - powiedziałam, wskazując na wzgórze, za którym stał

Druga próba była bardziej udana i Conrad jednym szarpnięciem wyjął skrawek papieru.

- „Chciałabym być różą” - przeczytał - „ponieważ jest piękna i niebezpieczna zarazem”.

- Czy to twoje słowa, Genevo? - spytała Barb.

- Wtedy wydawało mi się, że to strasznie mądre - odparłam, rumieniąc się. - Miałam jedenaście lat.

Następną kartkę wyciągnął James.

- „Nie chciałabym być niczym innym, ponieważ jestem częścią boskiego planu i nie mam prawa sprzeciwić się Stwórcy”.

Znów wszystkie twarze odwróciły się w moją stronę w oczekiwaniu na wyjaśnienia.

- To moja babcia Hjordis - oznajmiłam i poczułam to samo delikatne rozczarowanie, które ogarniało mnie za każdym razem, kiedy czytałam jej odpowiedź.

Zdawałam sobie sprawę, że w pisemnych wypowiedziach sprawiała wrażenie osoby przesadnie religijnej. Gdzie podziała się moja skora do zabawy, pełna radości życia babcia? Wiedziałam, że nie wszyscy potrafią przelać swoje myśli na papier, niemniej żałowałam, iż nikt nie zdoła poznać prawdziwej babci Hjordis, jeśli będzie próbował wyrobić sobie o niej zdanie na podstawie tego, co napisała w *Wielkiej tajemnicy*. Siedząca na kolanach Jamesa Natalie spytała, czy też może coś przeczytać.

- Pomożesz mi, tatusiu, prawda? - wyszeptwała, gdy sięgała po kartkę, ale gdy ją rozwinęła, uśmiechnęła się. - Na szczęście to drukowane litery. „Chciałabym być ziemią. Wtedy byłabym wszystkim: górą i oceanem, kopalnią złota i farmą, dżunglą i kolonią nietoperzy, szczytem góry lodowej i wielkim miastem. Byłabym domem dla ludzi i wszelkich stworzeń. Stanowiłabym częśćkę wszystkiego”. To dobra odpowiedź - przyznała Natalie.

- Napisała ją moja mama - pochwalił się Rich. - Prawda, ciociu?

- Prawda. Ann zawsze znała właściwą odpowiedź na każde pytanie.

Przeczytaliśmy pozostałe wywody. Wreszcie przyszła kolej na odpowiedź dziadka Olego: „Chciałabym być płaszczem mojej żony, bo wtedy przez cały czas mógłbym ją obejmować”.

- To niesprawiedliwe - zaprotestowała Barb - że w twojej rodzinie było tylu romantycznych mężczyzn, Genevo.

Potem Connie poprosił matkę, żeby odwróciła stronę.

- To już koniec - oznajmił Rich. - Nie ma więcej pytań ani odpowiedzi.

- Nie ma? - spytał Connie z wyraźnym rozczarowaniem w głosie.

- Ale zostało jeszcze wiele pustych stron - zauważyła Natalie.

- Masz rację - przyznałam. - Obie z siostrą wymyśliłyśmy pytania na trzy dni, które spędziłyśmy w chacie. Prosiłyśmy dorosłych, żeby też ruszyli głową, ale jakoś się nie spisali.

- Ułóżmy jakieś pytanie - zaproponował Connie.

- Świetny pomysł! - poparł go Rich.

Siedzieliśmy przy stole tak szczęśliwi i podnieceni, jakbyśmy byli garstką Einsteinów, których poproszono o ułożenie jakiegoś wzoru matematycznego.

Zastanawialiśmy się, czy powinniśmy postawić wspólne pytanie, czy też lepiej będzie, jeśli każdy zaproponuje swoje. Wreszcie przyjęliśmy to drugie rozwiązanie. Księga wędrowała kolejno do osób, które chciały się do niej wpisać. Uzgodniliśmy, że jeszcze tego dnia każdy z nas odpowie na jedno nowe pytanie.

- Mamy na to za mało czasu - oznajmił James, wstając. - Musimy iść z Nat na trening.

- Nie wolno mi jeszcze jeździć, tatusiu. Po co mam tam iść?

- Ponieważ jestem jednym z trenerów - odrzekł James. - Chodźmy już. Ubieraj się.

- Masz rację. Robi się późno - poparła go Barb. - My też musimy się już zbierać.

- Do jasnej cholery, pozwól mi, mamusiu, wpisać odpowiedź! - zaprotestował Conrad.

- Licz się ze słowami, Connie.

- Odłóżmy to na później - zaproponowałam. - Prawdę mówiąc, wtedy mieliśmy cały dzień na zastanowienie się przy każdym pytaniu. Umówmy się, że kiedy ponownie się spotkamy, będziemy mieli już gotowe odpowiedzi.

- Jak brzmi pytanie? - spytała Natalie, wkładając kurtkę.

Wszyscy obecni spojrzeli na mnie, postanowiłam więc

otworzyć księgę i wybrać jedno z nowych pytań. Głośno odchrząknęłam i przeczytałam słowa, zastanawiając się, kto je nakreślił:

- „Czego boisz się najbardziej?”

- Że mogłoby nie być gier wideo - zażartował Connie, na co wszyscy wybuchnęli śmiechem.

Kiedy wreszcie znalazłam się w łóżku, poczułam lekkość, która normalnie spływa po udanym dniu, spodziewałam się więc kolorowych snów. Tymczasem pojawiła się Petunia.

- Nie - szepnęłam. - Nie teraz.

A jednak. Nagle uświadomiłam sobie, że chociaż są ludzie, którzy darzą mnie miłością, nadal jestem na tym świecie sama jak palec i do końca życia nic już się nie zmieni. Przypomniałam sobie słowa Ann, która napisała, że sens naszemu życiu nadaje ktoś, dzięki komu nie czujemy się mali i samotni. Może powinnam do niej zadzwonić? - pomyślałam, nie chciałam jednak, żeby zaczęła się niepokoić o zdrowie psychiczne opiekunki swojego syna. Musiałam jakoś poradzić sobie z tym sama.

- Nie dasz rady - szepnęła Petunia.

Wzięłam głęboki wdech. Wydawało mi się, że w pokoju zaczyna brakować tlenu, więc ponownie nabrałam powietrza w płuca. Serce waliło mi w piersiach. Włączyłam lampkę nocną, przy okazji potrącając dłonią stojący obok telefon. To jest to! - pomyślałam. Wcale nie muszę przez całą noc chodzić tam i z powrotem. Zadzwonię do Jamesa. Nieważne, że elektroniczny zegar wskazuje pierwszą.

- Halo? - James sprawiał wrażenie bardziej zafrasowanego niż zaspanego.

- Mówi Geneva.

- Witaj, Genevo! Właśnie o tobie myślałem.

- Naprawdę?

No cóż, to było miłe. Dzwoniąc, nie spodziewałam się pochlebstwa.

- Nie spałeś?

- Miałem zamiar się położyć.

W słuchawce rozległ się stuk i zapadła cisza. Po chwili usłyszałam głos Jamesa:

- Przepraszam, upuściłem telefon. Dobrze się czujesz?

Prawie stchórzyłam, wargi odmówiły mi posłuszeństwa. Miałam ochotę powiedzieć: „Tak, chciałam tylko zaczerpnąć powietrza”, ale zamiast tego pisnęłam żałośnie:

- Tak strasznie się boję, James.

- Boisz się? - spytał takim tonem, jakby to była ostatnia rzecz, której się po mnie spodziewał. - Zastanawiałaś się nad pytaniem?

- Nie - odparłam, gdy wreszcie zrozumiałam, że mówi o *Wielkiej tajemnicy*. - Nie, to nie ma nic wspólnego z księgą. Po prostu czasami ogarnia mnie strach.

- Czego się boisz, Genevo?

Powiedziałam mu o wszystkim. O tym, że boję się samotności i że nie lubię przebywać sama ze sobą.

- Ja wręcz uwielbiam być z tobą, Genevo - zapewnił mnie James.

- Naprawdę? - spytałam ochrypłym ze wzruszenia głosem James roześmiał się cicho.

- Oczywiście. Jesteś dowcipna, twoje towarzystwo sprawia mi ogromną przyjemność, masz niespożytą energię...

- Och, James. - Głos mi się załamał. - Mówisz tak, żeby mnie pocieszyć, ale to nie pomaga. W twoich słowach brak przekonania.

Wsunęłam się pod kołdrę w nadziei, że to mi pomoże, skoro James nie potrafi dodać mi otuchy.

- Jesteś nie tylko zabawna, Genevo, chociaż już to bardzo się liczy. Jesteś również miła i troskliwa. Spójrz tylko, jak dobrze radzisz sobie z Richem. Umiesz postępować z dziećmi. No i, oczywiście, bardzo mi się podobasz.

Roześmiałam się, choć byłam bliska płaczu.

- James, wcale nie jestem miła ani troskliwa. Tylko udaję.

- Udajesz, że jesteś miła i troskliwa?

Kiwnęłam twierdząco głową, zapominając, że James mnie nie widzi.

- Tak. - Wstydziałam się przyznać. - Nie jest mi łatwo opiekować się Richem. To znaczy nie postępuję całkiem uczciwie, gdyż w rzeczywistości muszę nad sobą ciężko pracować...

- Genevo - przerwał mi James - Richowi to całkiem obojętne, czy musisz ciężko pracować, czy nie. Dla niego liczy

się tylko fakt, że jesteś dla niego dobra. Może za bardzo się martwisz.

- Mówiłam ci, że Jean Paul ma czwórkę dzieci?

W słuchawce na krótką chwilę zapadło milczenie. Potem James spytał:

- Czy Jean Paul to twój pierwszy mąż?

Znów kiwnęłam głową.

- Widziałam je zimą ubiegłego roku - wyznałam. - Jeździły na łyżwach w Rockefeller Center. Kiepsko sobie radziły. Pewnie pojawiły się tam pierwszy raz.

- Założę się, że ty rewelacyjnie jeździłaś na łyżwach.

Nabrałam powietrza w płuca, co zabrzmiało tak, jakbym lada chwila miała się rozpłakać. Jestem pewna, że podobny dźwięk wydałam wtedy, gdy robiąc zakupy, zawędrowałam na lodowisko i ujrzałam łyżwiarzy. Najpierw dostrzegłam Jeana Paula, potem jego żonę (związek mojego byłego męża z Francuzką, dla której mnie zostawił, okazał się nieudany, słyszałam jednak, iż jego trzecie małżeństwo z młodszą o dwadzieścia lat kobietą uchodziło za wzorowe), a następnie troje roześmianych dzieciaków, niepewnie stojących na lodzie, wołających „tata!” i „maman!”. Niegdyś byłam pewna, że któregoś dnia do mnie też tak ktoś będzie się zwracał. Patrzyłam na tę gromadkę jak sparaliżowana. Musiałam bardzo intensywnie im się przyglądać, bo w końcu Jean Paul się odwrócił. Spojrzał na mnie, po chwili wahania obdarzył mnie uśmiechem i pomachał, ale ja odwróciłam głowę, udając, że patrzę na kogo innego. Potem odeszłam.

- Zdradzę ci, James, co pomyślałam, patrząc na nich - powiedziałam wreszcie, zdusiwszy wyrywający się z piersi szloch. - Uznałam, że gdyby to były moje dzieci, znacznie lepiej radziłyby sobie na lodowisku.

- Muszę cię kiedyś wyciągnąć na ślizgawkę - oznajmił James, a po chwili dodał: - W przyszłości będziesz wspaniałą matką.

- Już nie - zdradziłam, czując, jak coś ściska mnie w gardle. - Przechodzę menopauzę.

- Niemożliwe. Kobiety przekwitają zazwyczaj koło czterdziestego piątego roku życia, prawda? «

- Niech Bóg cię błogosławi, James.

- Za co?

- Za to drobne kłamstewko. Dobrze wiesz, ile mam lat.
- Trzydzieści sześć, trzydzieści siedem?
- Jeszcze raz niech Bóg cię błogosławi - powtórzyłam, chichocząc, po czym zdziwiona zawołałam: - Nie uwierzysz! Petunia odeszła.

- Petunia?
- Samotność. Zniknęła.
- Nazywasz samotność Petunią?

Nie mogłam dokładnie odczytać tonu jego głosu, wydawało mi się jednak, że słyszę w nim niepewność.

- To bardzo dziwne, prawda?

W słuchawce po raz kolejny zapadła cisza. Mocno zacisnęłam powieki, czekając na reakcję Jamesa - śmiech albo radę, żebym zastanowiła się nad długim wypoczynkiem w spokojnym miejscu z wykwalifikowaną obsługą, która mi pomoże.

- Myślę, że to wspaniałe, Genevo - powiedział w końcu James. - Nie tylko masz odwagę rozmawiać ze swoją samotnością, ale jeszcze ochrzciłaś ją takim imieniem.

- Więc nie uważasz mnie za wariatkę? - spytałam, czując rozkoszną ulgę.

- Sądzę, że jesteś wspaniała.

Jego głos brzmiał trochę zbyt szczerze, więc aby uniknąć dalszych deklaracji, z którymi nie umiałabym sobie poradzić, spytałam:

- A ty, James? Czy wiesz już, czego boisz się najbardziej? Może ataku tremy?

- A więc już wiesz?
- Nie chcesz o tym mówić? - spytałam po dłuższej chwili.
- Po prostu to nie jest zbyt interesujący temat.
- W porządku, ale jeśli kiedykolwiek będziesz chciał pogadać, może zdołam ci jakoś pomóc. Jestem artystką, pamiętasz?
- Naprawdę? - odrzekł, a ja znów usłyszałam w jego głosie ciepłą nutkę. - Nie miałem pojęcia.

Ziewnęłam.

- Jestem taka zmęczona - wyznałam zgodnie z prawdą.
- Już się nie boisz?
- Nie, czuję jedynie zmęczenie.
- Zaczekaj chwilę.

Usłyszałam jakieś odgłosy, odległe brzdąkanie i chyba kroki, po czym James wyjaśnił:

- To piosenka, którą skomponowałem dla Natalie. Przed każdym meczem hokeja mała zmusza mnie, żebym ją zagrał. Podobno ją uspokaja.

James zagrał na fortepianie ustawionym w salonie swojej byłej żony najsłodszą melodię, jaką kiedykolwiek słyszałam.

- Jest cudowna - przyznałam. - Jaki ma tytuł?

- Chyba *Uspokajająca piosenka dla Nat*. Ale dziś zmieniłem go na *Melodię dla Genevy*.

Nie mam pojęcia, ile razy ją grał, wiem jedynie, że w końcu szepnęłam:

- Dziękuję.

Odłożyłam słuchawkę i natychmiast zapadłam w sen.

Oślepiająco biały śnieg, który spadł w Halloween, już dawno się roztopił i bardziej przypominał sterty starego, brudnego prania niż cud przyrody. Słońce flirtowało z obłoczkami jak Scarlett O'Hara z braćmi Tarletonami - przecinało chmury efektowną wiązką promieni, a następnie wycofywało się i zniknęło na wiele godzin, wiele dni, sprawiając, że bardzo chcieliśmy znów je ujrzeć.

W któryś z takich dni, kiedy słońce-Scarlett udało się z długą wizytą do swoich krewnych na dalekim Południu, wpadłam na genialny pomysł.

Musiałam, jako że dzień nie należał do najlepszych. Rich postanowił wkleić do albumu nasze ostatnie zdjęcia („Chcę pokazać mamie i tacie, co robiliśmy podczas ich nieobecności”) - Posprzeczaliliśmy się o kolejność, w jakiej należy ułożyć fotografie przedstawiające Richa i Conrada, gdy pomagają orkiestrze szkolnej. Zaciekawiona, na czym polega to zajęcie, zadzwoniłam do dyrygenta, a on zaprosił mnie na godzinną próbę.

Byłam pod wrażeniem, i to z wielu powodów. Instrumentaliści wykazali się nieprzeciętnym talentem - świetnie sobie radzili zarówno z balladą Glenna Millera, jak i z porywającym marszem. Dyrygent, pomimo nerwowego charakteru (przemierzał salę tam i z powrotem, jego twarz wykrzywiały różne tiki, a dłonie niespokojnie fruwały w powietrzu), sprawiał wrażenie, że robi to, do czego został stworzony. Świetnie radził sobie z uczniami, którzy nie tylko dobrze grali, ale też

w szczególnie sposób traktowali Richa i Conrada - to znaczy, w żaden sposób ich nie wyróżniali. (Wbrew własnej woli przypomniałam sobie moją podstawówkę i „klasę specjalną”, do której chodziły dzieci z różnymi stopniami upośledzenia. Były one bezlitośnie wyśmiewane na placu zabaw i korytarzach szkolnych przez pozostałych kolegów).

- Oni po prostu kochają muzykę - wyjaśnił nerwowy pan Talerico po próbie, kiedy Rich i Conrad składali nuty i przynosili futerały właścicielom instrumentów. - Nie mogą być zwykłymi członkami zespołu. Próbowałem nauczyć Richa czytania nut, ale chłopak sobie z tym nie radzi. Z kolei Conrad zgłębił tę sztukę, ale nie panuje nad własnym ciałem. - Mówiąc to, pan Talerico ani razu nie spojrzał mi w oczy. - Więc zaangażowałem ich jako personel pomocniczy. Uczestniczą w próbach w zamian za drobne usługi.

No więc, gdy zespół grał *My Way*, pstryknęłam chłopcom kilka zdjęć. Na jednym z nich uchwyciłam doskonały moment: pełen zachwytu Rich wsparł głowę na zaciśniętych pięściach, a uśmiechnięty od ucha do ucha Conrad odchylił głowę do tyłu. Uważałam, że takie zdjęcie zasługuje na osobną stronę w albumie - i to stało się powodem kłótni między mną a Richem.

- Chcę, żeby znalazło się obok innych zdjęć Conniego! - oponował.

Byłam zła na siebie, że w ogóle się zdenerwowałam (co za różnica, na której stronie znajdzie się to zdjęcie?), na domiar złego Rich uznał, że jestem potwornie uparta. Odepchnął album, przewracając słoik z klejem, a ja chyba trochę za głośno zwróciłam mu uwagę, by uważał, co robi.

Kiedy chłopak odkrył, że upiekłam mięso, zamiast zamówić chińszczyznę, wybuchnął:

- Przecież dzisiaj jest chiński wieczór! Chiński wieczór!

Przy kolacji obydwójce byliśmy tak ponurzy jak małżeństwo, które spędziło ze sobą czterdzieści nieszczęśliwych lat. Po kolacji zadzwoniła Barb, uprzedzając, że nazajutrz Conrad nie pójdzie na basen, bo się przeziębził. To jeszcze bardziej wytrąciło Richa z równowagi. Potem zadzwonił w antrakcie Trevor, zapewniając, że przez cały czas o mnie myśli. Przy okazji pochwalił się, że tego wieczoru siedzi na widowni reżyser filmowy Dody Griggs.

- Dody Griggs? - jęknęłam, czując się jak panienka, która jako jedyna w całym internacie nie została zaproszona na bal. - Chciałabym z nim współpracować. Dlaczego nie przyszedł do teatru, kiedy brałam udział w tym przedstawieniu?

Na domiar złego musiałam przećwiczyć z Richem ortografię, chociaż wcale mu nie szła. Był w ponurym nastroju, nie umiał odpowiedzieć na najprostsze pytania, a ja poprawiałam go, coraz bardziej podnosząc głos.

Za oknami padał deszcz ze śniegiem, dlatego spodziewałam się, że na chodnikach i jezdni pojawi się gruba warstwa lodu, co utrudni życie pieszym i zmotoryzowanym.

Naprawdę byłam w podłym nastroju, dlatego kiedy wpadłam na ten wspaniały pomysł, powitałam go jak zakonnica, która zauważyła, że do furty opustoszałego klasztoru zapukał papież.

- Rich! - zawołałam. - Rich!

Chłopak zmarszczył brwi, wysunął szczękę i spojrzał na mnie z taką pogardą („Ciekawe, co znowu wymyśliła?”), że wybuchnęłam śmiechem.

- Rich, co powiedziałaś na małą przejażdżkę?

- Na co?

- Na wypad. Wycieczkę. Wielką przygodę. Nie miałabyś ochoty na wyjazd z miasta i krótkie wakacje z ciotką?

Wojownicza mina Richa nieznacznie złagodniała.

- Nie mogę opuszczać szkoły.

- Wiem, głuptasku. Miałam na myśli przyszły tydzień. Wyjazd na Święto Dziękczynienia.

Rich podejrzliwie przymrużył oczy.

- Dokąd chcesz mnie zabrać?

- Na Manhattan!

Brak reakcji Richa był zniechęcający, ale zignorowałam to, wychwalając swój pomysł.

- Taaak, Rich. Zobaczyłabyś Manhattan, Wielkie Jabłko, Gotham, jednym słowem Nowy Jork, miejsce, w którym krzyżują się wszystkie główne drogi! Moglibyśmy wybrać się do teatru, świąteczną kolację zjeść w Waldorfie i przejechać się dorożką po Central Parku.

- Co to jest dorożka?

- Wóz zaprzężony we wspaniałe rumaki.

Rich zastanawiał się przez chwilę.

- Rokrocznie w Święto Dziękczynienia chodzimy do Conrada... Na świąteczny placek.

- Rich, w każdej chwili możesz wpaść do Conrada na placek. Proponuję ci Nowy Jork! Tam bez przerwy trwa zabawa!

- Bez przerwy?

- Uhm.

Rich usiłował zachować powagę, choć na jego twarzy pojawił się uśmiech.

- W porządku - zgodził się. - Jedźmy. Wybierzmy się tam, gdzie zawsze jest wesoło.

- Masz to jak w banku.

- Nowy Jork - powtórzył Rich, rozkoszując się tymi słowami. - A jeżeli rodzice się nie zgodzą?

- Zgodzą się - zapewniłam. - Słuchaj, przez tę gadkę o placku aż zgłódniałam. Czy nie czas na deser?

Po otwarciu zamrażarki zorientowałam się, że dawno nie byłam na zakupach.

- Co wybierasz: lody waniliowe czy lody waniliowe?

- Lody waniliowe! - zdecydował Rich.

Ann nie była zachwycona moim pomysłem, ale też nie odmówiła.

- Chodzi o to, że Manhattan jest naprawdę wielki - uzasadniała. - Co by było, gdyby Rich się zgubił?

- Nie spuszczać go z oka, Ann. Ilekroć wyjdziemy na ulicę, będę go prowadzić za rączkę.

- W takim razie bardzo często będziecie musieli trzymać się za ręce - powiedziała ze śmiechem.

- Och, Ann, będzie wspaniale. Chciałabym mu tyle pokazać. A zresztą kiedy jeszcze nadarzy się okazja, by oprowadzić go po Nowym Jorku bez ciągnięcia za sobą jego rodziców?

- Dzięki, Gen - odparła Ann.

Przez chwilę naradzała się z Rileyem, po czym wróciła do telefonu.

- Riley się zgadza.

- Prawdę mówiąc, uważam, że to wspaniały pomysł, Genevo - zabrzmiał w oddali głos mojego szwagra.

- No to świetnie! - zawołałam podniecona. - Jak się czujecie we Włoszech?

Okazało się, że *molto bene*. Ann z zapartym tchem opowiadała o kolacjach w malutkich trattoriach, wędrownkach po muzeach i oglądaniu obrazów, o których uczyła się w szkole, o wyprawie pożyczonym fiatem do Rzymu, posiłku złożonym z sera, oliwek i chleba na stopniach Koloseum.

- Co więcej, jest tu kilka rodzajów światła - podniecała się Ann. - W Toskanii wszystko wygląda inaczej niż w Wenecji czy Rzymie.

- Jak to? - spytałam.

Podróżowałam po Włoszech, ale nie zauważyłam, by we Florencji było inne światło niż w Wenecji.

- Trudno to wyjaśnić. Widzisz, w Toskanii światło jest niezwykle delikatne, można by powiedzieć: jesienne, czasami wręcz miedziane. Z kolei w Rzymie kolory wydają się bardziej rozmyte, łagodniejsze niż przy ostrym świetle słonecznym.

Pozwoliłam jej się wygadać - w końcu jest nauczycielką.

Występ zespołu tanecznego Natalie odbywał się w miejscowym ośrodku kultury. Kiedy w przerwie rozbłysły światła, oboje z Jamesem obserwowaliśmy, jak Rich i Conrad wtapiają się w tłum gości okupujących bufet. Zastanawialiśmy się, czy do nich dołączyć, czy naprawdę mamy ochotę na poncz i babeczki z kruszonką. Nagle w drzwiach przy scenie stanęła jakaś kobieta:

- Psst! Panie O'Neal! - szepnęła, machaniem ręki przywołując Jamesa. - Proszę do mnie, panie O'Neal.

- Kto to taki? - spytałam.

- Panna Nancy - wyjaśnił James, wstając. - Nauczycielka tańca. To ona przygotowała całe przedstawienie.

James naradzał się z panną Nancy, która machała rękami i potrzasała głową.

Kiedy wrócił na miejsce, był blady i sam również kiwał głową.

- Co się stało? - spytałam. — Czyżby Natalie źle się poczuła?

- Nie, nic jej nie dolega - zapewnił. - Gorzej z pianistką. Od rana fatalnie się czuje, nie chciała jednak przerywać przed-

stawienia. Teraz wymiotuje w łazience. - James starł pot z górnej wargi. - Chyba się do niej przyłączę.

- To znaczy?

- To znaczy zwymiotuję.

- Kiedy źle się poczułeś?

- Gdy Natalie zdradziła pannie Nancy, że gram na fortepianie. Nauczycielka chce, żebym wystąpił.

- Co jej powiedziałeś?

- Oczywiście odmówiłem. Ale ona bez przerwy powtarza, że dziewczynki będą zawiedzione, jeżeli nie zaprezentują reszty programu.

~ Nie ma prawa niczego ci narzucać - orzekłam, uznając, że panna Nancy nie ma ani krzty delikatności. - Niech znajdzie kogoś innego. Na widowni na pewno jest ktoś, kto potrafi grać.

James rozluźnił węzeł krawata. (Był tak miły, że wystroił się na koncert córeczki).

- Powiedziałem jej to, ona jednak odparła, że nie ma zamiaru tego rozgłaszać, ponieważ... - Resztę James wyjaśnił ostrym tonem. — ...Ponieważ nie chce, żeby zgraja siedzących na sali kur domowych wykorzystała szansę popisania się przed publicznością.

- Tak powiedziała? - Miałam ochotę się roześmiać, a jednocześnie udusić starąjędzę. - Co zamierzasz?

James jeszcze raz otarł górną wargę.

- Sądzę, że teraz przeproszę cię na chwilę, pójdę do łazienki, a potem zajrzę w nuty.

Mnąc program, patrzyłam, jak James znika za kurtyną. Podziwiałam jego odwagę i modliłam się, by go nie opuściła.

- Geneva Jordan?

Zaskoczona odwróciłam się i ujrzałam szczupłą, ciemnowłosą kobietę w garsonce.

- Owszem?

- Jestem Karin O'Neal.

Kobieta podała mi zadbaną dłoń. Wymieniłyśmy mocny uścisk.

- Mogę się przysiąc? - spytała, natychmiast siadając. - Nie sądziłam, że się tu pojawię, ale spotkanie skończyło się wcześniej i...

- Och! - wykrztusiłam, gdy w końcu zorientowałam się, z kim mam do czynienia. - To pan jest Kar. .en.

James opowiadał mi, jak bardzo jego żona się złościła, gdy ktoś przekręcał jej imię. Nie wiem, dlaczego to zrobiłam, zwłaszcza że było to celowe działanie.

- Karin. Pani jest Genewą Jordan - powiedziała. - Nie mogę uwierzyć, że siedzę obok takiej sławy.

- A jednak - rzuciłam.

Karin rozsiadła się wygodnie na miejscu Jamesa.

- Jak radzi sobie Natalie?

- Wspaniale. Jest dobrą tancerką.

- Nie chciałam się zgodzić, żeby występowała ze złamaną ręką, ale stepowanie nie jest aż tak niebezpieczne jak hokej, prawda?

- Rzeczywiście - zgodziłam się, chociaż już sama obecność tej kobiety wywoływała u mnie ostry sprzeciw.

- Geneva Jordan - powtórzyła, jakby wciąż nie mogła uwierzyć, że to ja. - Byłam zachwycona *The Wench of Wellsmore*. Oczywiście, oboje z Jamesem kochamy teatr. - Założyła nogę na nogę, szeleszcząc rajstopami. - Nigdy jednak nie sądziłam, że kiedyś spotkam jedną z moich ulubionych aktorek broadwayowskich.

W odpowiedzi zaprezentowałam jeden z nieszczerych uśmiechów. Czułam się jak motylek z uszkodzonymi czułkami, nie rozumiałam wysyłanych sygnałów. Czy Karin zachowuje się protekcyjnie, drwi ze mnie, czy też prawi mi komplementy? I dlaczego władczy tonem mówi: „oboje z Jamesem” robimy to czy tamto?

- Gdzie jest James? - spytał Rich, nagle pojawiając się z Conradem obok mnie.

- Całą twarz masz umazaną lukrem - powiedziałam i kciukiem wytarłam podbródek siostrzeńca. - Rich, Conradzie, to mama Natalie. Pani... hmmm... Karin.

Obydwaj chłopcy przywitali się grzecznie i usiedli obok mnie.

- No więc gdzie jest James? - spytał ponownie Rich.

Zamigotały światła, sygnalizując koniec przerwy.

- Zaraz się dowiesz - przekomarzałam się, zadowolona z zaskoczenia widocznego na twarzy Karin.

Kiedy publiczność wróciła na miejsca, światła zgasty, kur-

tyna uniosła się w górę, a na środek sceny padło światło reflektora.

- Patrzcie! James siedzi przy fortepianie! - szepnął Rich.

Tancerki w rytmicznych podskokach weszły na scenę i ustawiły się w świetle reflektora, prezentując publiczności wystudiowane uśmiechy, które z czasem stawały się coraz bledsze. Dziewczynki stały na scenie i rzucały ukradkowe spojrzenia na siedzącego po lewej stronie Jamesa, a ja w myślach namawiałam go, żeby zaczął grać.

- Co się dzieje, ciociu? - szepnął Rich.

- James ma tremę.

- Przed kim? Przecież w szkółce niedzielnej tak dobrze mu szło.

Bezradnie wzruszyłam ramionami. Wtedy Conrad pochylił się do mnie i szepnął:

- Może poszłabyś tam i usiadła przy nim?

- Co takiego?

Conrad odrzucił głowę do tyłu.

- Kiedy byłaś blisko niego, nie miał żadnej tremy.

- Nie mogę tam iść - wyszeptałam.

Bardzo lubiałam występy na scenie, ale gdy byłam do tego przygotowana.

- To niedorzeczne - szepnęła Karin. - Ktoś powinien opuścić kurtynę i zakończyć jego cierpienie.

To była ostatnia kropla. Poderwałam się na równe nogi. Kiedy wchodziłam bocznymi schodkami na scenę i siadałam obok Jamesa, publiczność pomrukiwała coraz głośniej.

- Mój Boże, Genevo - jęknął przez zaciśnięte zęby. - Pomóż mi.

- Właśnie po to tu jestem - uspokoiłam go. - Będę cię bronić przed zgniłymi pomidorami, którymi publiczność zamierza cię obrzucić.

James uśmiechnął się blado. Usiadłam przy nim. Nasze uda się zetknęły.

- No, pokaż im, co potrafisz, James.

Ojciec Natalie nieśmiało zagrał akord, potem drugi, w końcu wykonał kilka taktów. Słyszając znajomą melodię, dziewczynki zaczęły stepować w takt *The Girl from Ipanema*.

Publiczność nagrodziła taniec aplauzem, ale w pierwszej

części każdy występ kończył się burzliwymi oklaskami. Choć wydawało mi się, że Jamesowi bito głośniejsze brawa.

- Świetnie ci poszło, James - szepnęłam kojącym głosem pielęgniarki. - Pora na drugi utwór.

Dołożyłam wszelkich starań, żeby ani na chwilę nie tracić z nim fizycznego kontaktu. Odwracałam strony (niech myślą, że po to tu jestem), kiedy James grał *Jailhouse Rock* i *Yellow Bird*, ale dopiero przy *I'm an Old Cowhand* zauważyłam, że akompaniator dobrze się bawi. Pokonał strach i cały oddał się muzyce.

Dziewczynki (w odróżnieniu od hokejowej drużyny Natalie zespół taneczny nie był koedukacyjny) odtńczyły *Fever* i *If I Had a Hammer*. Następnie James uderzył w klawisze, rozpoczynając numer popisowy swojej córeczki - *Splish Splash*.

Natalie i trzy inne dziewczynki ubrane w różowe szlafroki kąpielowe i różowe turbany z ręczników wyłaniały się zza teksturowej wanny i wydmuchiwały bańki mydlane. Natalie trzymała w złamanej ręce buteleczkę z mydlinami, a w drugiej - słomkę. Na scenę wbiegły tancerki w króciutkich różowych spódniczkach i ustawiły się po obu stronach wanny. Trudno wyobrazić sobie miłszy obrazek, zwłaszcza że niektóre z młodych artystek na widok baniek zaczęły parskać śmiechem. Dziewczynka z warkoczykami, która przez cały wieczór usiłowała przyćmić swoje koleżanki, syknęła na rozbawione towarzystwo, ale to nie odniosło zamierzonego skutku.

- Przestańcie! - zawołała, klaszcząc w dłonie jak wredna stara nauczycielka.

Jej klaskanie jeszcze bardziej rozweseliło małe śmieszki.

Bańki mydlane nie unosiły się tak szybko i gwałtownie, jak powinny. Natalie i jej dwie koleżanki z wanny uległy powszechnie panującemu nastrojowi i chichotały razem z resztą zwłaszcza gdy córeczce Jamesa rozwinął się turban. Tylko jedna z dziewczynek (pewnie przyjaciółka zarozumiałej panicy z warkoczykami) z wściekłością wydmuchiwała bańki, usiłując zachować pozory.

Spojrząwszy na pierwszy rząd, ujrzałam Karin. Siedziała z założonymi rękami i z naganą spoglądała na Richa i Conniego, którzy wręcz pokładali się ze śmiechu. James grał rytmicznie, próbując utrzymać w ryzach rozbawione tancerki, co nie byłoby wielkim wyczynem, gdyby nie fakt, że sam również

się śmiał - może nie tak głośno jak niektóre z dziewcząt, niemniej aż podskakiwały mu ramiona.

Tylko na to czekałam. Zawtórowałam Jamesowi i całej widowni (z wyjątkiem Karin i prawdopodobnie rodziców małych ponuraczek). Następnie sprawiedliwości stało się zadość - dziewczynka z warkoczykami poślizgnęła się na mydlinach, rozlanych przez chichoczące koleżanki, i wybuchnęła płaczem.

- Mamusiu! - zawodziła, usiłując wyplatać się z różowej sieci.

Kurtyna opadła, a po dłuższej chwili znów uniosła się w górę, by zaprezentować dziewczynki tańczące tango do melodii *La Cucaracha*. James świetnie wykonał kilka następnych melodii (nikomu nie przyszyłoby do głowy, że nie przygotowywał się do występu razem z zespołem; szczególnie udane były jego interpretacje *Stand by Me* i *Under the Boardwalk*). Natomiast jeśli chodzi o widownię, dla niej cały koncert mógłby zakończyć się na *Splish Splash*. Aż wreszcie nastąpił wielki finał.

- Udało się! - zawołałam, gdy panna Nancy wyciągnęła Jamesa na środek sceny, by się ukłonił. - Zagrałeś!

- Dzięki tobie - odparł James i uściśnął mnie.

Zabraliśmy obu chłopców i przyłączyliśmy się do reszty rodziców, którzy składali gratulacje. Panna Nancy stała w drzwiach, wpuszczając ludzi do środka dopiero wtedy, gdy usłyszała odpowiednią porcję pochwał. Karin już tam była. Rozmawiała z matką dziewczynki z warkoczykami, która pod koniec przedstawienia próbowała zrehabilitować się w oczach publiczności. Nie była Cydem Charissem. Podrygiwała niezgrabnie, podobnie jak w układzie tanecznym do melodii *Fever*, ale wykazała się nie lada odwagą, wychodząc na scenę po klapie, jaką okazał się numer z bańkami mydlanymi. Na tym polega urok przemysłu rozrywkowego: w walce między talentem a odwagą ta ostatnia wygrywa znacznie częściej.

- Nat! - James pochylił się, by uściśnąć córkę. - To było wspaniałe! Jesteś najbardziej uroczą dziewczynką ze złamaną rączką.

- Dzięki, tatusiu - odrzekła, dając mu kuksańca w bok. - Nieźle grałeś... Nie!

- Tak! - krzyknął James, udając, że się na nią rzuca.

- Podobał mi się *Splash* - przyznał Rich. - To był zabawny numer.

- Bardzo zabawny - dodał Conrad.

W oczach Natalie pojawił się błysk.

- Naprawdę?

Karin pojawiła się, jakby uznała, że nadeszła pora na jej kwestię.

- Natalie, zanim stąd wyjdiesz, chciałabym, żebyś przeprosiła Cassie.

- Ależ, mamusiu, już to zrobiłam!

- Nie, przeprosiłaś mamę Cassie.

- Chodź, Nat, pójdę z tobą - zaproponował James.

Natalie wzięła Richa za rękę. Widocznie naprawdę potrzebowała wsparcia. Zostałam z Karin.

- Posłuchaj, Genevo - zagaiła Karin.

Słyszając ton jej głosu, chciałam powiedzieć: „Dla ciebie jestem panną Jordan”. Nie odezwałam się jednak. Nie wiem czemu, ale bałam się tej kobiety.

- Nie wiem, co łączy ciebie i Jamesa, ale jeżeli coś więcej niż przyjaźń, to muszę cię uprzedzić, że mój mąż jest bardzo skomplikowanym człowiekiem.

Spojrzałam na nią. Byłam tak zaskoczona, że zabrakło mi słów. Karin odgarnęła grzywkę z czoła.

- Zawsze marzył o graniu. Oczywiście ma talent, ale zabrakło mu odwagi. Czy mówił ci, że chciał zostać pianistą?

- Cóż, naprawdę pięknie gra.

- Owszem, na dodatek wreszcie poradził sobie z tremą. A gdzie postanowił zadebiutować? Na przedstawieniu dla dzieci. - Karin potrząsnęła głową. - To typowe dla niego.

Jesteś znacznie gorsza, niż mówił James! - pomyślałam. Chciało mi się krzyżeć, ale zdobyłam się jedynie na ciche „przepraszam”, po czym wyszłam z sali w poszukiwaniu tle-
nu, który odebrała mi ta kobieta.

- Naprawdę tak powiedziała? - spytał znacznie później James.

W chłodnym nocnym powietrzu jego oddech zamieniał się w obłoczki pary.

- Fajnie byłoby posiedzieć w wannie do gorących kąpieli - wyrwało mi się, gdy Rich zasnął na kanapie.

- No to chodźmy - odparł James.

Instalacja nadal była zepsuta. Ubrani w kurtki, czapki i rękawiczki, siedzieliśmy w pustej wannie pod mroźnym niebem.

- Powiedziała, że zdecydowałem się zadebiutować na przedstawieniu dla dzieci?

Kiwnęłam głową twierdząco.

- Zaczynam uważać, że gorzej niż ja ulokowałeś swoje uczucia.

James się roześmiał.

- Była fajna... przynajmniej kiedyś.

- Powiedz mi, James - zagadnęłam, postukując butami, by rozgrzać zmarznięte stopy. - Naprawdę chciałeś zostać pianistą?

- Nie mam pojęcia, dlaczego jej o tym powiedziałem.

James z niedowierzaniem potrząsnął głową i rozmasował szczękę. Usłyszałam ciche skrobanie, świadczące o tym, że powinien się ogolić. Przez dłuższy czas docierał do mnie tylko ów dźwięk.

- Zastanawiałem się nad tym — wyznał wreszcie - gdy kończyłem podstawówkę. Mój nauczyciel uważał, że mam spore szanse, zorientowałem się jednak, że facet nie jest zbyt wymagający. W liceum porzuciłem muzykę klasyczną i grałem na organach elektrycznych w kilku zespołach. Wydawało mi się, że mogę coś zdziałać w wielkim świecie muzyki. Chciałem grać w zespole jazzowym albo rockandrollowym. Widziałem się nawet w kanale jakiegoś teatru na Broadwayu.

- Byłoby fajnie, gdybyśmy wystąpili w tym samym przedstawieniu.

Na twarzy Jamesa pojawiło się rozmarzenie.

- To by było coś.

- Co się więc stało? - spytałam, ujmując jego dłoń i wsadzając ją sobie pod pachę.

W miejsce rozmarzenia pojawiła się rezygnacja.

- Wszystko zaczęło się podczas mojej podróży dookoła świata - szepnął. - Oprócz różnych dziwnych zajęć, o których ci opowiadałem, czasem udawało mi się namówić właściciela knajpy albo barmana, żeby pozwolił mi zagrać. Nigdy nie dostawałem za to dużych pieniędzy, ale przynajmniej miałem

szansę przegrać piosenki, które chodziły mi po głowie. - James wydał policzki i westchnął. - Nieważne. Jednak pewnego razu, gdy grałem w knajpce w Barcelonie, jakaś kobieta zaczęła na mnie wrzeszczeć. Kiedy przeprosiłem ją za to, że nie gram jej ulubionych kawałków, rzuciła we mnie butelką wina. Dostałem w głowę.

- Żartujesz! - wydusiłam tradycyjną odpowiedź na dziwną opowieść.

James pokręcił głową.

- Ocknąłem się na zapleczu z zakrwawionym ręcznikiem na czole, na którym wyrósł guz.

- Zemdlałeś?

James przytaknął.

- Więc kiedy usiadłaś przy mnie i powiedziałaś, że osłoniż mnie przed pomidorami, którymi może mnie obrzucić publiczność, pomyślałem: „Nawet nie wiesz, jak bardzo jest to możliwe”.

Roześmiałam się.

- Czy tamta kobieta powiedziała, dlaczego to zrobiła?

- Nikt nie zdążył jej o to zapytać, gdyż po rzuceniu butelką natychmiast uciekła. I nigdy nie dowiedziałem się, czy nie podobało jej się moje granie, czy może przypominałem jej męża kobieciarza. Zresztą powód mógł być jeszcze inny. Właściciel jedynie popukał się w czoło i stwierdził, że musiała być *loco*. Wszyscy mówili, że nie powinienem brać sobie tego do serca, i posłuchałem ich - grałem tam jeszcze przez kilka następných dni - ale byłem coraz bardziej spięty. Ilekroć kątem oka dostrzegałem na sali jakiś gwałtowniejszy ruch, wydawało mi się, że zaraz ktoś się na mnie rzuci. Wreszcie zrezygnowałem z występów w tej knajpie i wyjechałem do Portugalii.

- Nigdy więcej nie występowałeś przed publicznością?

James się roześmiał.

- Jeśli mam być szczery, to występowałem. Karierę zakończyłem w niewielkim klubie w Lizbonie. Grałem tam prawie cały miesiąc, ale nie mogłem odzyskać dawnej równowagi psychicznej. Ciągle się zastanawiałem, czy zaraz czymś dostanę i czy tym razem nie będzie gorzej. Gdy wróciłem do Stanów i przyjaciel poprosił mnie, żebym zagrał na jego ślubie,

dosłownie sparaliżowało mnie ze strachu. Nie byłem w stanie się zmusić.

- Och, James!

- Czułem się strasznie głupio, jak oferma. Siedziałem na chórze, młoda para i goście patrzyli na mnie z wyczekiwaniem, a ja po prostu nie mogłem się ruszyć. Nie wiem, co było gorsze: świadomość, że jestem przerażony, czy też poczucie, iż zawiodłem przyjaciela.

- Och, James! -powtórzyłam.

- Od czasu do czasu próbowałem wystąpić przed publicznością, na przykład w kościele. W takiej właśnie chwili spotkaliśmy się po raz pierwszy. Ale nie mogłem otrząsnąć się z odrętwienia.

- W szkółce niedzielnej grałeś bardzo dobrze.

James wzruszył ramionami.

- Widocznie nie boję się trzynastolatków. Zresztą tylko ci akompaniowałem. Byłaś tuż obok mnie. Tak jak dzisiaj.

- Czy kiedykolwiek próbowałeś jakoś sobie z tym poradzić?

- Zapisałem się na kurs autohipnozy, ale zasypiałem, próbując wprowadzić się w trans. Przeczytałem kilka książek... - Potrząsnął głową, po czym westchnął i oparł ją o brzeg wan-ny. - Nie mówmy o tym więcej. Rozkoszujemy się pięknem migoczących gwiazd.

- W porządku - zgodziłam się, również odchylając głowę do tyłu. - Podaj mi, proszę, mojego drinka.

- Chcesz go dostać w wydrążonym ananasie czy kokosie?

- Hmm... może być kokos.

Przebywaliśmy w wymaginanym świecie, póki nie smagnął nas wiatr, który trudno było uznać za morską bryzę.

- Wiesz - powiedział James, prostując się i składając ręce na piersi - ktoś powinien to naprawić. Co nie działa?

- Ann twierdzi, że pompa się zepsuła.

Przyjrzałam się muszli wykonanej z drewna sekwoi. Wyobraziłam sobie, że wypełniają pieniąca się, musująca woda.

- Umiałbyś ją naprawić? - spytałam z nadzieją w głosie.

- Czy umiałbym naprawić zwyczajną pompę?

Potrząsnął głową, jakbym sprawiła mu przykrość, zadając to pytanie. Potem spojrział w zachmurzone nocne niebo.

- Nie - odparł.

Roześmiałam się.

- To znaczy, że nie jesteś majsterkowiczem, James?

- Zależy, co przez to rozumiesz.

Uśmiechnęłam się w odpowiedzi na tę próbę flirtu. Potem z kompletnym brakiem wycucia oznajmiłam, że na Święto Dziękczynienia zamierzam zabrać Richa do Nowego Jorku.

- O rany, Genevo - jęknął James po dłuższej chwili milczenia. -I bez tego koniec listopada zbliża się za szybko.

Ann i Riley mieli wrócić w sobotę po Święcie Dziękczynienia; następnego dnia wybierałam się do domu.

- I tak zostało nam bardzo mało czasu. Dlaczego chcesz go jeszcze bardziej skrócić?

- Pomyślałam, że mogłabym spędzić z Richem cudowne chwile.

- To samo myślałem o nas.

Spojrzałam na Jamesa. Uważałam się za znawczynię ludzkiej psychiki - ta umiejętność jest niezbędna, jeśli chce się być dobrym aktorem. Jednak w przypadku Jamesa... no cóż... trudno było mi go rozszyfrować. Czego ten człowiek ode mnie oczekuje i czego ja oczekuję od niego? Pocałowaliśmy się kilka razy, ale przez cały czas mieliśmy przy sobie przyzwitki w postaci Richa i Natalie. W związku z tym nasza znajomość wciąż tkwiła w dziewiętnastym wieku i wcale nie byłam pewna, czy któreś z nas chce przenieść ją do współczesności. Może James tego chciał. Przynasnął się bliżej i otoczył mnie ramionami.

- Nie bardzo wiem, co nas łączy - szepnęłam.

- To, co łączy kobietę i mężczyznę - wyjaśnił, a kiedy roześmiałam się, słysząc jego zachrypnięty głos, spytał: - Kochałaś się w ogromnej wannie do gorących kąpieli?

- W pustej... nigdy.

- Ja też.

Gdy mnie pocałował, jego nos dotknął mojej twarzy. Był taki zimny, że niemal się cofnęłam, ale namiętność szybko wyeliminowała przykre odczucia. Serce waliło mi w piersiach jak młot, a przez głowę przebiegały dziwne myśli. Czy naprawdę tego chcę? (Wydawało mi się, że tak). James jest bardzo dobrym przyjacielem (który przy okazji wspaniale całuje). Jeżeli pozwolę, by sprawy posunęły się nieco dalej, dokąd nas to zaprowadzi?

Porzucając bezsensowne rozważania, westchnęłam (często wzdycham), gdy nasze dłonie pokonały przeszkody w postaci zimowych ubrań. Pomimo mroźnej nocy James promieniował cudownym ciepłem! Byłam pewna, że kiedy się rozbierzemy, z naszych ciał zaczną unosić się kłęby pary. W końcu z tego właśnie słyną wanny do gorących kąpiel. Fakt, że zabrakło wody, nie miał żadnego znaczenia - porwał nas wartki, władczy potok.

Jednak los nam nie sprzyjał. W chwili, kiedy przełamaliśmy wszelkie opory i przekroczyliśmy wszystkie granice, Rich, który zazwyczaj spał jak kłoda (lub raczej jak kamień), zaczął krzyczeć.

- Wielkie nieba -jęknięłam.

James wyskoczył z pustej wanny równie szybko jak ja. Wpadliśmy przez przeszklone drzwi do salonu.

- Rich! - krzyknęłam.

Podbiegłam do siostrzeńca, który siedział na kanapie, przyciskając do piersi poduszkę. Na jego twarzy malował się paniczny strach, a krzyk przypominał beczenie owcy, którą po długim pościgu dopadł wilk.

- Rich! - powtórzyłam, biorąc go w ramiona. - Już dobrze, już wszystko dobrze.

Beczenie nie ustawało.

- Podejrzewam, że wciąż śpi - powiedział James.

- Słucham?

- To samo we wczesnym dzieciństwie zdarzało się Natalie. Miewała koszmary senne, krzyczała i płakała, ale nie mogła się obudzić. Rano niczego nie pamiętała.

Zajrzałam Richowi w oczy, ale on nie patrzył na mnie, tylko na coś, czego nie mogłam zobaczyć.

Łomotało mi w piersiach i skroniach. Kusiło mnie, by zamknąć mu usta dłonią i uciszyć okropny krzyk.

- Co mam zrobić?

- Nic na to nie poradzisz - odparł James, siadając na podłodze obok kanapy. - Przestanie, jak się zmęczy. Możesz go jedynie przytulić.

Każde duże miasto ma wiele twarzy, ale Nowy Jork należałoby uznać za prawdziwą sybillę. Czasami jest rzezimieszkiem, kiedy indziej wielką damą, romantycznym trubadurem albo sprytnym oszustem. Zmienia oblicza tak szybko jak człowiek przechodzący na drugą stronę ulicy. (W stosunku do miejsc i przedmiotów nie używam rodzaju żeńskiego i razi mnie, kiedy ktoś inny to robi. Pewnego razu Trevor zaczął mówić o jachcie, na który zostaliśmy zaproszeni, jak o kobiecie. Spytałam: „Gdzie jacht ma pochwę?”). Gdy jednak przyjechałam z Richem do Nowego Jorku, miasto zachowywało się nad wyraz grzecznie, niczym kosmopolityczny gospodarz, który z otwartymi ramionami wita gości.

Zafundowałam Richowi najwspanialszą wycieczkę po metropolii. Obejrzelśmy występ Rockettes („Przypominają nożyczki!” - zawołał Rich na widok synchronicznych ruchów nóg), wjechaliśmy na Empire State Building i zwiedziliśmy Muzeum Guggenheima („Kręci mi się w głowie” - oznajmił siostrzeniec, gdy przemierzaliśmy ekspozycję). Spacerowaliśmy po Fifth Avenue („Skąd przyjechali wszyscy ci ludzie?” pytał Rich, pozdrawiając niemal każdego przechodnia okrzykiem: „Witaj, przyjacielu!”). Przetrzęsaliśmy wielki sklep z zabawkami, przejechaliśmy się dorożką po Central Parku i zjedliśmy podwieczorek w „Algonquin”.

Za każdym razem, gdy podchodził do mnie jakiś wielbiciel, Rich promiennie się uśmiechał i proponował swój autograf jako dodatek ekstra. Nagryzmolił swoje imię na kawałku papieru, wydartym z firmowej torebki FAO Schwarz.

- Jestem Rich - powiedział, wręczając go kobiecie, zachwycającej się moją rolą w *Monie*.

~ To mój siostrzeniec - wyjaśniłam.

- Och! - westchnęła kobieta i schowała obydwie autografy do kieszeni. - Pewnie wiesz, młody człowieku, że twoja ciocia to ktoś naprawdę specjalny.

Rich potrząsnął głową.

- Nie, to ja jestem specjalny.

Rich bardzo się ucieszył, że zrozumiałam jego żart, który polegał na tym, iż użył słowa „specjalny” w znaczeniu, jakie często słyszał w odniesieniu do siebie. Śmiał się, widząc moją

wesołość. Biedna kobieta, która nie zrozumiała, o co chodzi, po prostu uciekła. W chwilach takich jak ta byłam zdumiona, że udało mi się nawiązać z Richem tak bliską więź. Co więcej, owe chwile zdarzały się coraz częściej, zwłaszcza gdy zapomniałam, że jestem opiekunką nieszczęśliwego dziecka z zespołem Downa, a czułam, iż przebywam w towarzystwie kogoś, kogo naprawdę lubię.

Po świątecznej kolacji w hotelu Waldorf wróciliśmy do mojego mieszkania. Rich zadzwonił do swojego przyjaciela, Conrada.

- Zjedz za mnie dwa kawałki ciasta! - zaproponował.

Gdy odłożył słuchawkę, bacznie mi się przyjrzał.

- Najbardziej lubię placek z dyni i ciasto orzechowe - powiedział i wybuchnął płaczem. - Podczas Świąta Dziękczynienia zawsze jedliśmy razem placki! - wyjaśnił, kiedy się uspokoił i mógł już mówić. - Zawsze. Connie niezmiennie wybierała placek z dyni, a ja ciasto orzechowe. Bardzo lubię ciasto orzechowe.

Pociągnął nosem, a jego nastroszone brwi przypominały odwróconą literę V. Chłopak ukrył twarz w dłoniach i znów się rozpłakał.

Głaskałam go po plecach. Kiedy przestałam, ponieważ rozboleła mnie ręka, zauważyłam, że Rich śpi.

W moim mieszkaniu panował niezwykły spokój, który przypisałam trzeszczeniu ognia na kominku i śpiącemu na kanapie chłopcu. Nie mogłam sobie przypomnieć, żebym kiedykolwiek wcześniej przebywała w swoim mieszkaniu sam na sam ze śpiącym dzieckiem. Oczywiście, Rich sypiał u mnie przy okazji poprzednich odwiedzin, ale zawsze byli też jego rodzice. Ze smutkiem pomyślałam o tym, jak inaczej wyglądałoby moje życie, gdybym miała dzieci, które mogłabym utulić do snu.

Oceniając swój stan w skali od jednego do dziesięciu, gdzie euforii przypisałabym jeden punkt, a najbardziej ponurej wizycie Petunii - dziesięć, czułam się na jakieś pięć i pół punktu. Byłam przygnębiona i chętnie wypłakałabym się na czyjejs piersi. Jeżeli człowiek dzieli się z kimś miłością nabiera ona podwójnej mocy; jeśli dzieli się depresją, znacznie ją zmniejsza... a przynajmniej może stroić sobie z niej żarty. Wiedziałam, że wielu moich przyjaciół spędza święta poza mia-

stem, na przykład Claire wyjechała do swojego domku w Connecticut. Wystukałam więc numer, na który dzwoniłam setki razy. Był to telefon Trevora.

Zgłosiła się automatyczna sekretarka. Zacinając się, nagrałam wiadomość o tym, że jestem w Nowym Jorku i chciałam jedynie życzyć udanego Świąta Dziękczynienia, chociaż jest Anglikiem, który uważa, że Stany Zjednoczone, podobnie jak reszta świata, powinny być brytyjską kolonią. Czy wobec tego w ramach protestu uczcił ten dzień, spożywając pudding śliwkowy i placek z mięsem?

Odłożyłam słuchawkę i natychmiast zaczęłam żałować, że nie mogę skasować tej wiadomości. Wstydziłam się swego nienaturalnie kwiecistego przemówienia.

Na szczęście gospoia nie wykradła resztek zapasów wina (ani butelki; zastanawiałam się, czy ja też byłabym uczciwa, mając pod ręką ten kosztowny napój bogów). Otworzyłam butelkę merlota.

Wróciłam na paluszkach do salonu i usiadłam w jednym z miękkich foteli, które razem ze stojącą przy kominku kanapą tworzyły kącik gościnny. Opróżniłam kieliszek, jakbym była maratończykiem, który przed chwilą ukończył bieg i bardzo chciało mu się pić. Potem już rozkoszowałam się winem, sącząc je małymi łydkami, a każdy z nich podkreślałam dodatkowo długim westchnieniem. Delikatne chrapanie Richa ustało i zmieniło się w mamrotanie o jakimś bucie. Wstałam, by poprawić kaszmirową narzutę, którą był przykryty.

Jeżeli w chwili przygnębienia człowiek nie ma towarzystwa, właściwie może zrobić tylko jedno - poddać się depresji. Puściłam więc składankę utworów Franka, Tony'ego, Elli i Billie. Były to piosenki, przy których człowiek ma ochotę skoczyć z mostu albo w najlepszym przypadku rozpłakać się jak dziecko. Rich trochę się wiercił, ale nadal spał, pozwalając mi wysłuchać *Good Morning Heartache* i *September Song*. Łzy żałośnie kapały mi do kieliszka.

Kiedy całkowicie pogrążyłam się w łzawej, pijackiej rozpacz, odezwał się domofon.

- Trevor Waite chce się z panią widzieć, panno Jordan - zaanonsował portier.

W pierwszym odruchu chciałam zacząć krzyczeć. Zdecydo-

wałam się jednak na inne rozwiązanie - przełknęłam ślinę i doskonale opanowałam głosem oznajmiłam:

- W porządku, wpuść go, Charles.

Potem wpadłam do łazienki jak Margaret Dumont ścigana przez braci Mara. Spryskałam twarz zimną wodą i rozczapierzonymi palcami przeczesalam włosy. Kiedy malowałam usta szminką, usłyszałam delikatne pukanie do drzwi. (Było to bardzo afektowane posunięcie. Trevor nigdy nie dzwonił do drzwi, tylko cicho pukał, jakby było mu obojętne, czy zostanie wpuszczony do środka, czy też nie).

Wzięłam głęboki wdech, wciągnęłam brzuch i wolno podeszłam do drzwi, udając, że wcale mnie nie obchodzi, czy Trevor wejdzie, czy też nie.

- Witaj, Genevo - powiedział i od razu mnie objął. - Jak to dobrze, że znów cię widzę!

- Ja też się cieszę - odparłam.

Wywinęłam się z uścisku, wiedząc, że jeżeli natychmiast się nie opamiętam, przestanę nad sobą panować.

- Skończyłaś już grać rolę opiekunki? - spytał donośnym głosem typowego aktora.

Położyłam palec na ustach, ruchem głowy wskazując kanapę, na której twardo spał Rich.

- Och! - szepnął teatralnie Trevor. - A więc przyjechaliście do miasta we dwójkę?

- Jutro wyjeżdżamy - wyjaśniłam, prowadząc go przez pokój jadalny do kuchni, żebyśmy mogli swobodnie porozmawiać.

Trevor wyraźnie liczył na coś więcej niż rozmowę. Nim zdążyłam wyjąć lód z zamrażarki (był człowiekiem pijącym niemal wyłącznie szkocką z lodem), jednym ruchem zamknął lodówkę i mnie objął.

Jak już zaznaczyłam, próbowałam nad sobą zapanować, ale niebawem ten wysiłek okazał się tak jałowy jak próba przeciwstawienia się tornado. Podejrzewam, że odbylibyśmy stosunek na podłodze w kuchni, gdybym w trakcie szalonych pieszczot nie uderzyła głową o brzeg lady. Nie jestem masochistką; nie lubię, gdy mnie coś boli.

- Au! - zawołałam, rozmasowując potylicę. - Krwawię?

Trevor odsunął moją dłoń i rozdzielił włosy.

- Nie, ale musisz usiąść. Zrobię ci herbaty.

Posadził mnie przy stole i podjął odpowiednie przygotowania. Znał moją kuchnię i wiedział, gdzie co stoi. Pomimo bolącej głowy prawdziwą przyjemność sprawiało mi obserwowanie, jak Trevor napełnia czajnik i otwiera szafki.

- Myślałam, że wypijemy coś mocniejszego.

- W przypadku urazu głowy nie powinno się pić alkoholu. Poza tym gdyby między nami do czegoś doszło, wolałbym, żebyś nie miała wymówki w rodzaju „byliśmy pijani”.

- Dlaczego, Trevorze, miałabym szukać wymówki? — spytałam, czując miłe ciepło.

O ile gwałtowny rumieniec niezmiennie zdradza człowieka, o tyle ludzie, którzy nie potrafią się rumienić, na tę samą myśl reagują zażenowaniem. Zobaczyłam je na angielskiej twarzy Trevora. Odwrócił się, ale było już za późno.

- No wiesz - odrzekł, udając, że całą uwagę skupia na czajniku, chociaż woda jeszcze nie zaczęła wrzeć. — Gdybym na przykład został na noc.

- Sądzisz, iż chcę, żebyś został?

- Mogę jedynie na to liczyć.

Zawsze można na coś liczyć. Śmiejąc się, wyznałam Trevorowi, że powiedział to tak jak grzeczny uczeń, spytany, jakie ma szanse u francuskiej guwernantki.

- Genevo, bardzo za tobą tęskniłem!

Byłam zaskoczona gwałtownością jego słów. Poczułam się tak, jakbyśmy podczas grania sceny z komedii romantycznej nagle znaleźli się w tragedii klasycznej.

Wtedy Trevor podbiegł do mnie, padł na kolana, otoczył mnie ramionami, wtulił twarz w moje łono i zaszlochał. Poczulałam dziwną mieszaninę zdumienia i zażenowania. Potrafiłam zrozumieć załamania Richa, ale w przypadku mężczyzny, któremu wychowanie nie zezwalało na okazywanie uczuć, było to coś niezwykłego.

- Trevorze - powiedziałam, unosząc jego głowę ze swoich kolan (nie mogłam już dłużej wciągać brzucha). - Co cię ugryzło?

- Ty!

Trevor z trudem podniósł się z kolan i szybkim ruchem nadgarstka wytarł nos. Usiadł po drugiej stronie stołu i spojrzał na mnie z dziwnym wyrazem twarzy, który tworzyło swoiste połączenie zażenowania z nadzieją. Po chwili odchrząknął.'

- Genevo - oznajmił. - Wszystkie dziewczyny... kobiety... które miałem po tobie... sam nie wiem... nie mogły się z tobą równać.

Ogarnęło mnie wzruszenie, odezwała się jednak także podejrzliwość. Ile miał od naszego zerwania dziewczyn czy kobiet, oprócz miss silikonu?

- Czego się po mnie spodziewasz? - spytałam wreszcie.

Wiem, że moje słowa zabrzmiały dość chłodno, ale usiłowałam kierować się w tej rozmowie zdrowym rozsądkiem.

Trevor znów odchrząknął.

- No cóż, miałem nadzieję, iż rzucisz mi się w ramiona i powiesz, że ty również nie byłaś zadowolona z żadnego mężczyzny po mnie. - Wzruszył ramionami. Przez chwilę wyglądał jak nastolatek. - Ale chyba chciałaś zrobić coś innego.

Poczułam rumieniec na policzkach, co uniemożliwiło mi wymiganie się.

- Trevorze... bardzo mnie... zaskoczyłeś.

- Naprawdę? Nie wyczułaś niczego, gdy rozmawialiśmy przez telefon?

Wzruszyłam ramionami, nie wiedząc, co odpowiedzieć. Podczas mojego pobytu w Minnesocie odbyliśmy zaledwie kilka rozmów telefonicznych, dokładnie - trzy. Pierwsza z nich była bardzo ostrożna, natomiast w ostatniej nie brakowało żartów i aluzji. Lubiłam flirtować; czyżbym włożyła w to więcej serca tylko dlatego, że rozmawiałam z Trevorem? Bez wątpienia był atrakcyjnym mężczyzną, inaczej z pewnością nie znalazłby się na liście pięćdziesięciu najbardziej seksownych mężczyzn publikowanej przez magazyn „People”. Tylko czy urok czarującego aktora o lodowato-błękitnych oczach i brytyjskim akcencie działa na każdego, czy tylko ja, Geneva, odczuwam pociąg do swojego dawnego kochasia? Jeżeli tak, to ów pociąg winien być rozpatrywany na równi z naszą wspólną przeszłością... Nie, nie psujemy tej chwili.

Wstałam z krzesła i zanim ktoś zdążyłby powiedzieć: „Czy naprawdę wszystko przemyślałaś?”, usiadłam mu na kolanach i obdarzyłam zdecydowanym, namiętym pocałunkiem.

- Och, Genevo! - westchnął, odrywając wargi. - Tym razem będzie inaczej!

Trevor pocałował mnie z równą namiętnością i już nam się

wydawało, że przećwiczymy zupełnie nowy aspekt sztuki kulinarnej, gdy do kuchni wszedł Rich.

- Ciociu?

Podskoczyłam.

- Rich... - powiedziałam, poprawiając włosy. - To mój przyjaciel, Trevor.

Na twarzy siostrzeńca pojawił się przebiegły uśmiezek, jakby nasze definicje wyrazu „przyjaciel” nieco się różniły.

- Witaj, przyjacielu - powiedział Rich, wyciągając rękę.

Na twarzy Trevora pojawił się uprzejmy, nieco zmieszany uśmiech.

- Hmm... cześć.

Uścisnęli sobie dłonie.

- Całował pan moją ciocię.

Trevor się roześmiał.

- Owszem, całowałem. Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko temu?

Rich jeszcze bardziej się rozpromienił.

- Chyba nie. Jeszcze raz: jak pan się nazywa?

- Trevor. Trevor Waite. Grałem z twoją ciocią w tej samej sztuce.

- Trevor Waite - powtórzył Rich, po czym nagle krzyknął: - Trevor Zaczekaj!

- Sprytne - przyznał Trevor z uśmiechem. - Przypuszczam, że szukasz jakiejś przekąski?

Rich przytaknął. I tak oto we troje spędziliśmy świąteczny wieczór, jedząc jajecznicę, którą usmażył Trevor, opowiadając głupie dowcipy i jak sądzę, całkiem niezłe się bawiąc.

- Jak tu ładnie, ciociu - zauważył Rich, gdy samolot podchodził do lądowania na lotnisku Św. Pawła w Minneapolis.

Pochyliłam się i wyjrzałam przez okrągłe okienko. Jak okiem sięgnąć, ziemia wyglądała tak, jakby otulała ją welon. Klepnęłam Richa w kolano i się uśmiechnęłam.

- Naprawdę pięknie, Rich.

Byłam w siódmym niebie - to dobre określenie dla lotu, który przebiegał tak spokojnie jak podróż autobusem przez

Wait (ang.) - czekać, również: zaczekaj (przyp. tłum.).

perie. Nie potrzebowałam dodatkowych wrażeń. Byłam całkowicie pogrążona w myślach, raz po raz odtwarzając chwilę, gdy Trevor poprosił mnie o rękę.

Idąc za przykładem Richa, my również wylądowaliśmy w łóżku. Trevor jest wspaniałym kochankiem i bardzo się tym szyci, ale tamtej nocy zaprezentował coś więcej - czułość i wdzięczność, które pojawiają się wówczas, gdy człowiek dostanie jeszcze jedną szansę. Po fakcie rozpłakałam się, chociaż nie po to, by wyrzucić na Trevorze większe wrażenie, lecz dlatego, że rozpaczliwie potrzebowałam ukojenia. Miotają mną sprzeczne uczucia - byłam szczęśliwa i usatysfakcjonowana, ale jednocześnie zdenerwowana, niepewna i przerażona. Trevor tulił mnie, póki się nie uspokoiłam, po czym szepnął mi do ucha:

- Wyjdiesz za mnie?

Powiedział to najcichszym szeptem, ale słowa - zawsze mówił bardzo wyraźnie - były zdumiewająco jasne.

- Co takiego? - spytałam zaskoczona.

Może nie była to najbardziej romantyczna, ale niewątpliwie szczerza reakcja. Pytanie Trevora zważyło mnie z nóg.

- Mówisz poważnie?

Na jego twarzy pojawiło się rozczarowanie.

- Oczywiście - zapewnił, siadając na łóżku.

Wodził dłonią po kołdrze, jakby strzepywał niewidzialne okruchy. Ja również usiadłam. W każdej sytuacji, a szczególnie w łóżku, dobrze jest znajdować się na poziomie osoby, z którą rozmawia się na poważny temat.

- Chyba nie oczekujesz, Trevorze, że natychmiast dam ci odpowiedź?

W moim głosie pobrzmiwała wysoka, niespokojna, błagalna nuta, której nie cierpiałam u innych. Gdy jednak oświadczy ci się facet, co do którego już dawno straciłaś nadzieję, brak panowania nad głosem jest usprawiedliwiony.

Trevor zacisnął szczękę, w potem ją rozluźnił. Wreszcie odwrócił się do mnie i powiedział z uśmiechem:

- Chyba nie. Zastanów się. Propozycja jest ważna, dopóki nie zostanie przyjęta albo odrzucona.

Odpowiedziałam uśmiechem. Byłam gotowa wtulić się w jego ramiona i odpłynąć w spokojny, bezpieczny sen, ale ten

wieczór składał się z samych niespodzianek. Jedna z nich polegała na tym, że Trevor wyślizgnął się z łóżka.

- Nie zostaniesz? - spytałam, patrząc, jak się ubiera.

- Chciałbym - odrzekł, zapinając szytą na miarę koszulę. - Ale z samego rana mam przesłuchania.

- Do czego? - spytałam.

Nic tak nie wzbudza ciekawości aktora jak wiadomość o przesłuchaniach kolegi.

- Pour Deux szuka nowej twarzy - zdradził, unosząc czarną brew.

- College Purdue czy kurczak Purdue? - spytałam.

Trevor roześmiał się i zapiął spodnie.

- No cóż, moja francuszczyzna nie należy chyba do najlepszych. Pour Deux - powtórzył, tym razem poprawnie wymawiając nazwę. - Dla dwojga. Szykują wielką kampanię reklamową nowej wody kolońskiej. Moimi konkurentami są dwaj inni aktorzy z wybrzeża.

- W takim razie powodzenia!

- Dziękuję, kochanie. - Trevor przesłał mi całusa. - Prześpij się. Zadzwoń, jak dotrzesz do Minneapolis.

Po samotnie spędzonej nocy nie musiałam udzielać Richowi żadnych wyjaśnień, chociaż wolałabym, żeby Trevor został i po zjedzonym w spokoju śniadaniu odwiózł nas na lotnisko. Wiem jednak, że nie zawsze może być tak, jak chcę, nawet jeśli na to zasługuję.

Kupiłam Richowi grę, która pochłaniała go prawie przez całą podróż, dzięki czemu mogłam zastanawiać się nad propozycją Trevora. Jednak gdy samolot wylądował, musiałam porzucić wszelkie rozważania i skupić się na bagażu oraz powrocie do domu.

Barb obiecała, że odbierze nas z lotniska, a ja nie miałam nic przeciwko temu, żeby skorzystać z jej wspaniałomyślnej propozycji, jednak gdy do niej zadzwoniłam, nikt nie podniósł słuchawki. Zostawiłam wiadomość na sekretarce, po czym powędrowaliśmy na postój taksówek, by zaoferować jednemu z taksówkarzy lukratywny kurs.

- Całowałaś się, ciociu, z Trevorem - przypomniał mi Rich, gdy zmywaliśmy naczynia, w których przyrządzaliśmy gorącą czekoladę.

Ann i Riley mają zmywarke, ale mycie naczyń jest jednym z nielicznych zajęć domowych, które sprawiają mi niekłamaną przyjemność. Nic nie uspokaja mnie bardziej niż zanurzanie dłoni w spienionej wodzie, szorowanie naczyń i spłukiwanie ich. Co więcej, każdy pomywacz marzyłby o takim towarzyskim, dowcipnym pomocniku, jakim był Rich. A do tego nigdy nie zwracał naczyń z docinkiem: „Nie domyłaś, ciociu”.

Spojrzałam na siostrzeńca, szczerzącego w uśmiechu zęby.

- No to co? - spytałam. - Co w tym złego?

Jego uśmiech stał się jeszcze bardziej przebiegły.

- Z Jamesem też się całowałaś. - Rich zmarszczył brwi. - Czy James wie, że całowałaś się z Trevorem?

- Nie, James nie wie, że całowałam się z Trevorem, bo to nie jego sprawa. Gdyby James całował się z kimś innym, też by mnie to nie obchodziło.

- Dlaczego? Dlaczego by cię to, ciociu, nie obchodziło?

Właśnie wyskrobywałam z garnka resztki czekolady. Zamarłam w bezruchu. Zdałam sobie sprawę, że jeżeli potrę jeszcze mocniej, zniszczę wewnętrzną powłokę. Wręczyłam garnek Richowi.

- Ponieważ ze sobą nie chodzimy - odparłam.

- To dlaczego się z nim całowałaś?

Ostrą stroną gąbki zaatakowałam chochlę.

- Nie wiem - przyznałam. - Zresztą można całować się z kilkoma osobami - dodałam wymijająco.

Rich mrugnął do mnie porozumiewawczo. Okulary przesunęły mu się na nosie, a jedną stronę twarzy wykrzywił grymas, gdy chłopak mocno zacisnął powiekę.

- Co o tym sądzisz? - spytałam i roześmiałam się wbrew sobie.

- Chyba masz rację, ciociu - odparł Rich, po czym w mgnieniu oka wydał dolną wargę i zmarszczył brwi.

Roześmiałam się jeszcze głośniejsze. Nie wiedziałam, o co nagle zaczął się dąsać, sądziłam jednak, że uda mi się go rozbawić.

- To tylko znaczy, Rich - wyjaśniłam, spłukując sztućce

i wkładając je do właściwej przegródki w rogu suszarki - że człowiek jest po prostu lubiany. Nie widzę w tym nic złego.

Rich spojrział na mnie. Na jego twarzy malowało się takie cierpienie, że musiałam gwałtownie zaczerpnąć powietrza. Potrzebowałam szybkiego dopływu tlenu, by w końcu zrozumieć, o co chodzi. Jak mogłam być tak tępa?

- Rich...

Chłopak zrzucił dłoń, którą położyłam na jego ramieniu.

- Hannah pocałowała Conrada, pamiętasz? - powiedział, wieszając wilgotną ścierkę na uchwycie drzwiczek piekarnika. — W ubiegłym roku na obozie również dostał całusa. W tym roku wybieram się na obóz.

- Prawdopodobnie też ktoś cię pocałuje.

Rich wzruszył ramionami i wyszedł z kuchni. Poszłam za nim do salonu. Chłopiec opadł na kanapę, a ja usiadłam obok.

- Conrad mówi to samo. Powiada: „Do jasnej cholery, oświadczenie dopilnuję, żeby cię porządnie wycelowano”. To jego słowa. Czy to źle, ciociu, że powiedziałem „do jasnej cholery”?

- Nie, przecież tylko cytowałeś.

- Connie mówi, że jeżeli jego dziewczyna będzie w tym roku na obozie, to ona pozna mnie ze swoją przyjaciółką. - Rich wytarł nos w nadgarstek i spojrział na mnie: - A co będzie, jeżeli dziewczyna Conniego nie ma przyjaciółki? Kto mnie wtedy pocałuje?

- Cóż... może jakaś inna dziewczyna, którą sam znajdziesz.

- Nie potrafię - wyznał Rich, a jego oczy wypełniły się łzami. - Bez Conniego nie znajdę dziewczyny. One go lubią, chociaż jest podrygusem.

- Rich - skarciłam go.

- Tak mówi Connie - usprawiedliwiał się Rich. - Ciągłe powtarza, że jest podrygusem.

- Mimo to... - Patrzyłam, jak po policzkach mojego siostrzeńca płyną łzy. - Och, Rich! — Wyciągnęłam do niego ramię, a chłopiec się w nie wtulił.

- Myślisz, ciociu, że jestem jeszcze dzieckiem - zagaił Rich, gdy po pięciu minutach w końcu przestał płakać.

- Nie, wcale tak nie myślę. Sądzę, że jesteś cudowny.

Głowa chłopca nadal spoczywała na mojej piersi. Odgarnęłam mu z czoła jasne włosy.

- Sądzę, że dziewczyny polubią cię tak jak Conrada.
Rich wyprostował się i gwałtownie zaczął kręcić głową.
- On je rozśmiesza. Dziewczyny to lubią. Conrad się ich nie boi... aja... tak.

Opuścił głowę. Uniosłam mu ją palcem.

- Każdy trochę boi się, gdy trzeba kogoś polubić.

- Ty też? - spytał Rich. - Boisz się polubić Jamesa?

- Jamesa?

Byłam zaskoczona nie tyle pytaniem, ile osobą, której dotyczyło.

- Rich, ja nie lubię Jamesa.

- Nie lubisz go?

- To znaczy lubię go, ale nie w taki sposób. Nie tak, jak na przykład lubię Trevora.

- Ale z Jamesem też się całowałaś!

Rzuciłam siostrzeńcowi chłodne spojrzenie. On prawdopodobnie też spojrział na mnie oziębłe, choć tego nie widziałam.

- Cóż... - powiedziałam, grając na zwłokę. - Lubię Jamesa i mogę się z nim całować, ale Trevora lubię bardziej.

Skurczyłam się cała, gdyż zabrzmiało to jak tłumaczenie zadurzonej nastolatki.

- Ani razu nie pocałowałam dziewczyny - wyznał Rich. - Przynajmniej nie w usta. Chciałbym pocałować dziewczynę w usta.

- Jeszcze to zrobisz.

- Conrad też tak mówi. Conrad twierdzi, że dziewczyny będą stały w długiej kolejce, by dostać od nas całusa.

Roześmiałam się.

- Prawdopodobnie ma rację.

- Conrad mówi, że gdy raz nas pocałują, nie będą chciały całować się z nikim innym. - Na twarzy chłopca pojawił się promienny, choć niepewny uśmiech. - Myślisz, że to prawda?

- Nie wiem - odparłam. - Ale to możliwe.

Rich zastanawiał się przez chwilę. Patrzyłam przez wielkie weneckie okno na gęstniejący zmrok i prószący powoli śnieg. Pomyślałam o rozpaleniu w kominku, ale na kanapie było mi tak wygodnie, że nie miałam ochoty się ruszać. Kiedy Rich znowu się odezwał, mówił ledwo dosłyszalnym szeptem.

- Ciociu, jak sądzisz, czy kiedyś się ożenię?

Poczułam ból w piersi.

- Nie wiem, Rich - wyznałam, próbując zachować beztrojski ton. - A co myślą o tym twoi rodzice?

- Mówią: „Pożyjemy, zobaczymy”.

Chciałam zbyć go jakimś frazesem, ale zdawałam sobie sprawę, że Rich nie potrzebuje głupawych zapewnień. Przez dłuższą chwilę siedzieliśmy, dotykając się ramionami i słuchając cichego poskrzypywania domu.

- Conrad twierdzi, że na pewno się ożeni - zdradził wreszcie Rich, przekręcając słowo „na pełno”. - Jeśli o mnie chodzi, nie jestem tego pewien. Chciałbym mieć żonę, ale czy jakaś dziewczyna będzie mnie chciała? Nasza nauczycielka, pani Merseur, specjalistka od nauczania dzieci specjalnej troski, uważa, że czasami ludzie z zespołem Downa nie są dość dojrzały, by się ożenić.

Poczułam pod powiekami piekące łzy, ale Rich zdziwił mnie, wybuchając śmiechem.

- Co w tym śmiesznego?

- Conrad oznajmił jej: „Za to, co pani powiedziała, nie zaprosimy pani na wesele Richa”.

Zachichotałam.

- Naprawdę Conrad tak powiedział?

Rich przytaknął.

- On ciągle żartuje. Jest bardzo zabawny. - Rich zacisnął drżące palce w pięści i oparł na nich podbródek. - Zdaniem Conrada, pani Merseur to stara sztywniara. Czasem tak ją nazywa. - Rich roześmiał się. - Co to jest „sztywniara”?

Zastanawiałam się przez chwilę.

- Osoba pozbawiona wyobraźni.

Zerknęłam na zegarek. Uznałam, że pewnie Barb stawia właśnie na stole resztki wczorajszej świątecznej kolacji.

- Może być do niego zadzwonił? - zaproponowałam.

- Do Conrada... Jasne!

Zostawiłam siostrzeńca i powędrowałam do kuchni w poszukiwaniu czegoś, co nadawałoby się na kolację.

Kuchenni bogowie byli dla mnie łaskawi. W zamrażarce znalazłam pojemnik opatrzony przez Ann etykietą „lasagne”. Wkładając pudełeczko do mikrofalówki, zastanawiałam się, czy po powrocie z Włoch przepis mojej siostry na tę potrawę ulegnie zmianie. Uśmiechnęłam się na myśl o Ann, która tak radośnie opisywała przez telefon światło w różnych częściach

Włoch. Uśmiech nie chodził z mojej twarzy, gdy oglądałam główkę sałaty o nieco przywędłych liściach. Zdałam sobie sprawę, że jestem zadowolona. Na myśl o spożyciu z siostrzeńcem kolacji, składającej się z odgrzanej włoskiej potrawy i niezbyt świeżej sałaty, ogarnęło mnie uczucie błogiego szczęścia. Potem czekało mnie już tylko rozpalenie w kominku.

Widocznie Barb i Conrad nie byli świadomi, że mam na ten wieczór tak miły plan.

- Ciociu, Conniego nie ma w domu! - zawołał Rich.

Złapał mnie w holu, gdy szłam otworzyć drzwi komuś, kto jakąś chwilę temu oparł się o dzwonek.

- Pewnie... Connie!

- Cześć, Rich! - zawołał Conrad, stając w drzwiach razem z matką.

- Musicie się pośpieszyć. Ubierajcie się. Nie chcemy się spóźnić.

- Spóźnić? - spytałam. - Na co?

Barb pogroziła Richowi palcem.

- Zapomniałeś powiedzieć cioci o dzisiejszym wieczorze?

- O czym miałem jej powiedzieć? - zdziwił się zmieszany chłopiec.

- O meczu! - krzyknął Conrad. - Mówiłem ci o tym, gdy dzwoniłeś podczas Święta Dziękczynienia, pamiętasz?

Rich klepnął się w czoło.

- Faktycznie! - Spojrzawszy na mnie, przyznał: - Zapomniałem.

Barb wyjmowała już z szafy mój płaszcz.

- Chodź, Genevo, nie chcielibyśmy opuścić pierwszej tercji.

- Czego?

- Pierwszej części meczu Natalie. No, pośpieszcie się. Nie wyłączałam silnika.

Dziewczynki kręciły się na lodowisku jak grubo ubrane, nieporadne robaczki.

- Jaki wynik? - spytał Rich.

- Chyba jeszcze nie zaczęły - odrzekła Barb. - Wydaje mi się, że to dopiero rozgrzewka. Widzisz? Trenerzy jeżdżą I nimi.

- Tam jest James! - pokazał Rich.

Dawaliśmy mu znaki, ale nas nie zauważył. Za to siedząca na ławce rezerwowych Natalie pomachała nam złamaną ręką, z powodu której nie mogła uczestniczyć w grze.

- Zimno tu - poskarżył się Conrad, gdy przy pomocy matki wspinał się na trybuny.

- Dlatego nie będziemy zdejmować okryć - wyjaśniła Barb.

Zdążyliśmy na czas. Nim zawodniczki wróciły na swoje ławki, udało się nam zająć miejsca.

Obserwując je, przypomniałam sobie zimowe wieczory, które razem z Ann spędzałyśmy w pobliskim parku. Była tam ślizgawka, powstała po zalaniu wodą boiska piłkarskiego. Obie świetnie radziłyśmy sobie w łyżwiarstwie figurowym. Ćwiczyłyśmy piruety i skomplikowaną jazdę do tyłu, ale zawsze chciałam dostać się na lodowisko hokejowe. Uganianie się za krążkiem musiało być zabawne, poza tym zbierali się tam wszyscy chłopcy. Jednak lodowisko, podobnie jak domek na drzewie, zostało opatrzone wywieszka: „Dziewuchom wstęp wzbroniony” i ściśle przestrzegano owej zasady. Toteż teraz nie mogłam się napatrzeć na ubrane w stroje do gry w hokeja dziewczynki o poważnych twarzach, przysłoniętych plastikowymi maskami ochronnymi.

- To naprawdę poważniejsza sprawa niż zwykły trening - zauważyłam.

Na lodowisku panowała całkiem inna atmosfera: to był prawdziwy mecz.

- Czy patrząc na nie, nie żałujesz, że w dzieciństwie nie miałyśmy takiej możliwości? - spytała Barb, jakby czytała w moich myślach.

Szybko się z nią zgodziłam.

- Po lekcjach chodziłyśmy na koszykówkę - wspominała. - Grałyśmy z dziewczynkami z tej samej szkoły, starsze przeciwko młodszym.

Patrzyliśmy, jak mała zawodniczka pchnęła krążek, który z trudem przechwyciła bramkarka przeciwnej drużyny. Matka dziewczynki - jedna z trzech eleganckich kobiet, obok których siedziałam na treningu - poderwała się radośnie, ale po chwili usiadła, rozczarowana.

- Taaak, byłam diabłem wcielonym. Nawet ojciec uważał,

f

że jestem lepszą koszykarką niż mój brat. - Barb przygryzła górną wargę. - Tymczasem to on pojechał na mistrzostwa stanowe.

- Nie żartuj.

- Poważnie - potwierdziła Barb, potrząsając głową.

Spojrzałam na lodowisko. James stał za bandą. Wychylił się do przodu i szepnął coś na ucho jednej z dziewczynek, jednocześnie klepiąc w ramię inną. Potem przeniósł wzrok na grające zawodniczki i powiedział kilka zachęcających słów. Miał na sobie kasztanową kurtkę drużyny Deep Lake i czapkę w tym samym kolorze. Jego ożywiona twarzy co chwila się zmieniała.

- James chyba naprawdę to przeżywa - zauważyłam.

- Ale nie tak bardzo jak ten drugi facet - dodała Barb, kiwnięciem głowy wskazując na wąsatego trenera. - Gdy jedna z dziewczynek spudłowała, rzucił czapkę o ziemię.

- On zawsze tak się zachowuje - wyjaśniłam.

Nagle zrobiło mi się żal jego podopiecznych.

Tuż przed początkiem drugiej tercji Conrad oznajmił, że musi iść do toalety.

- Ja też — powiedziałam. - Pójdę z tobą.

Po wyjściu stanęłam przy drzwiach oznaczonych trójkąciem. Czekałam w nieskończoność.

- Przepraszam - wyszeptał zakłopotany Connie, gdy wreszcie się pojawił. - Mama mówi, że nigdy nie wygram konkursu w zapinaniu guzików na czas - wyznał, poruszając, a raczej mocno potrząsając głową. - Nie uwierzysz, jaki kłopot sprawia mi zapięcie jednego małego guziczka u spodni.

Dziewczynki znów wyszły na лёd. Stanęliśmy przy bandzie za bramką rywalk drużyny Natalie.

- Umiesz jeździć na łyżwach, Genevo? - spytał Conrad.

Przytaknęłam.

- Gdy byłam dzieckiem, z wielkim trudem ściągano mnie z lodowiska.

- Jak człowiek się czuje, gdy może się tak szybko poruszać?

Jedna z zawodniczek pomknęła w kierunku bramki, ścigana przez trzy konkurentki, i oddała strzał.

- Och! -jęknęliśmy, gdy bramkarka odbiła krążek.

- Jak człowiek się czuje? - powtórzyłam pytanie Connie-

go. - Fajnie. - Zastanawiałam się, jak najlepiej opisać to uczucie. - Zjeżdżałeś kiedyś na saneczkach, prawda?

Connie tylko poprawił na głowie czapkę.

- W takim razie wiesz, jak to jest, kiedy mknie się szybko, a ziemia umyka spod stóp, prawda? Podobnie jest, gdy jeździsz na łyżwach, z tą różnicą, że nie siedzisz na sankach, tylko stoisz i kontrolujesz prędkość, z jaką się poruszasz.

Spoglądając na zawodniczki na lodzie, Conrad uśmiechnął się po swojemu.

- Podobałoby mi się to - przyznał. - Lubię kontrolować prędkość.

- A jak to jest... - zaczęłam, ale w porę ugryzłam się w język.

- Kiedy?

- Nieważne - rzuciłam, udając, że całą moją uwagę pochłania to, co się dzieje na lodzie.

- Chcesz wiedzieć, jak to jest, kiedy człowiekiem rzuca na wszystkie strony? - spytał.

Nabrałam powietrza w płuca, po czym wybuchnęłam śmiechem.

- W porządku - przyznałam. - Choć ujęłabym to nieco inaczej. Ale masz rację, zastanawiałam się, jak to jest, kiedy...

- Jest się podrygusem? - dokończył Connie.

Jego dłonią wstrząsnął skurcz. Kiwnęłam przytakująco głową, a chłopak uśmiechnął się od ucha do ucha.

- Cóż, zawsze tak było, więc w moim odczuciu to całkiem normalne.

Potem skierowaliśmy uwagę na grę. Na drugim końcu lodowiska zrobiło się zamieszanie: zobaczyliśmy strzał i obronę. Następnie dziewczynka z przeciwnej drużyny odparowała odbicie i zdobyła punkt.

- Och! -jęknęliśmy oboje z wyraźnym zawodem.

- Mimo to nasza drużyna nadal wygrywa - uspokoił mnie Connie, zerkając na tablicę wyników. Potem odwrócił się do mnie i spytał: - Wiesz, Genevo, jak się z tym czuję? Jak radio czy telewizor, przez który czasami przepływa prąd o zbyt wysokim natężeniu. Zbyt wysokim jak na moje potrzeby. - Odwrzucił do tyłu głowę i spojrzał na mnie. - Czy to brzmi sensownie?

Kiwnęłam twierdząco głową i mając nadzieję, że chłopak nie poczuje się zakłopotany, wzięłam go pod rękę.

Kiedy wróciliśmy na swoje miejsca na trybunach, Rich spytał, czy moglibyśmy coś przekąsić.

- Lepiej nie psuj sobie apetytu - uprzedził Conrad. - Po meczu idziemy na pizzę.

- Naprawdę? - spytaliśmy obydwójce z Richem.

Connie się roześmiał.

- Mówiłem ci o tym, Rich, kiedy rozmawialiśmy przez telefon.

- Rzeczywiście - przyznał chłopak i klepnął się w czoło. - Po meczu czeka nas pizzowa uczta.

Drużyna Deep Lake Blasters wygrała 7:4, więc uczta zamieniła się w święto zwycięstwa.

- Żałuję, że nie mogłam zagrać - przyznała Natalie.

Dmuchnęła w słomkę zanurzoną w płynnej czekoladzie, tworząc brązowe bąbelki.

Oczy Richa rozbłysły. Poszedł za jej przykładem.

- Jeszcze zagrasz - zapewnił James, poklepując ją po ramieniu. - Za dwa tygodnie zdejmą ci gips.

- To dobrze, bo nie chcę, żeby Tara strzeliła więcej goli ode mnie.

- Tara to ta mała, która dziś zdobyła trzy punkty - wyjaśnił James. - Twarda zawodniczka.

- Ja też jestem dobra, tatusiu!

- Owszem, Nat - potwierdził James skinieniem. Klepnął ją jeszcze raz, po czym wyciągnął rękę, by szturchnąć siedzącego naprzeciwko Richa. - I co, chłopcze, jak spodobał ci się Nowy Jork?

- Widziałem występ zespołu Racket!

- Rockettes - poprawiłam.

- O rany! - jęknął Conrad.

Kiedy każdy z nas nałożył sobie porcję pizzy pepperoni z oliwkami, Rich dokładnie opowiedział Jamesowi o naszej wyprawie, a przynajmniej o jej turystycznej części. Do mnie należało poinformowanie Jamesa o reszcie.

Gdy znaleźliśmy się na parkingu, Barb spytała, czy moglibyśmy pojechać do domu z Jamesem i Natalie. Conrad był bardzo zmęczony, dlatego Barb chciała jak najszybciej zawieźć go do domu.

- Służę pani — zażartował James i skłonił się, otwierając przede mną drzwi samochodu.

W drodze słuchaliśmy stacji radiowej dla wapniaków i nuciiliśmy przeboje Beatlesów sprzed trzydziestu lat.

- To John Lenon - wyjaśnił Rich Natalie.

Kiedy samochód zatrzymał się na podjeździe, światło reflektorów padło na sanki, które Rich zostawił na zaśnieżonym poboczu. To podsunęło mu pewien pomysł.

- Chodźmy na sanki!

- Jest późno - zaproponowałam, zerkając na zegarek.

- Za późno na krótki spacer? - spytał cicho James. - Posażilibyśmy dzieci na saneczkach.

- To świetny pomysł! - zawołała Natalie. - Będziecie nas ciągnąć!

- No dobrze - westchnęłam ciężko, jakbym wyświadczała im wielką przysługę, chociaż naprawdę nie chciałam, by ten wieczór tak szybko się skończył.

Dzieciaki usiadły na sankach, a my rozpoczęliśmy wędrówkę w ciemności. Śnieg skrzypiał pod nogami. Najpierw ciągnął James, potem ja. W końcu Rich i Natalie wpadli na rewelacyjny pomysł, że zabawią się w woźniców.

- Wio! - zawołali.

Posłuszni jak psy zaprzęgowe przebiegliśmy kilka kroków, aż z ust zaczęła nam buchać para.

- Chyba nigdy wcześniej nie widziałem, by jeszcze przed grudniem spadło tyle śniegu - zauważył James podczas krótkiej przerwy w szybkiej jeździe. - Jest pięknie, prawda?

Przytaknęłam. Nie padało tak bardzo jak w Halloween. Prószył drobny śnieżek, świat wyglądał jak żywcem wyjęty z litografii firmy Currier & Ives. Z nieba spadały koronkowe strzępki. Tylko patrzeć, a pojawią się sanie z dzwoneczkami, a na saniach panowie z sumiastymi wąsami i niewiasty, które włożyły futra, by nikogo nie zgorszyć.

- Cieszę się, że wypad do Nowego Jorku wam się udał - powiedział James.

Rich chyba nadal przechwalał się tą podróżą, bo Natalie wrzasnęła:

- Tatusiu, w przyszłym roku nie chcę jechać do Disneylandu. Wolę w Nowym Jorku zobaczyć występ Rockettes!

- Będę to miał na uwadze! - krzyknął szybko w odpowie-

Genevo.

Niech Bóg błogosławi Richa, który w tej samej chwili po-
naglił nas okrzykiem:

- Wio!

W tym momencie to ja ciągnęłam saneczki, więc miałam
wymówkę, by nie odpowiadać na wyznanie Jamesa.

Nie mogłam jednak uciekać w nieskończoność - w ogóle
ledwo biegłam. Dzieciaki były ciężkie. Wkrótce James mnie
dogonił. Ciężko dyszałam z wysiłku i poruszałam się wyjątko-
wo niezgrabnie.

- Wiedziałem, że będę za tobą tęsknić - ciągnął. - Nie
przypuszczałem jednak, że aż tak. Nie wiem, jak zniósę twój
wyjazd pod koniec tygodnia. Z kim będę mógł porozmawiać?
Komu będę mógł powiedzieć: „Zastanawiam się nad przyję-
ciem posady trenera dziewczęcej drużyny hokejowej w szkole
średniej”?

- Nad czym się zastanawiasz? - spytałam zaskoczona.

- Wio! - krzyczały dzieci.

- Trenując drużynę Natalie, zdałem sobie sprawę, że bar-
dzo lubię to robić. Cieszyłbym się, gdybym mógł pracować
z dziewczętami ze szkoły średniej. Oczywiście, nie wiem jesz-
cze, czy wtedy nie musiałbym również uczyć, sądzą jednak, że
to też by mi się podobało. Nie powinienem mieć kłopotów
z otrzymaniem uprawnień nauczycielskich. W końcu tytuł ma-
gistra już mam.

- Och, James! - jęknęłam z zachwytem.

Byłam szczęśliwa, słysząc w jego głosie podniecenie. Jed-
nak zdawałam sobie sprawę, że jeżeli teraz nie powiem tego,
co leży mi na sercu, już nigdy się nie zdobędę na odwagę.

- James... - Zacerpnęłam powietrza i postanowiłam wziąć
byka za rogi. - Trevor poprosił mnie o rękę.

W milczeniu z trudem ciągnęliśmy sanki. Rich i Natalie
rozmawiali ze sobą o śnieżynkach.

- Jak ktoś może mówić, że nie ma dwóch takich samych
śnieżynek? - spytała Natalie. - Nikt nie widział wszystkich
śnieżynek.

- To nie ma znaczenia - cierpliwie wyjaśniał Rich.

- Nie rozumiem. Nie można powiedzieć czegoś takiego, nie
przyjrzawszy się każdej z nich, a to jest przecież niemożliwe.

- Natalie ma rację - wtrąciłam się.

Miałam nadzieję, że w ten sposób skłonię Jamesa do tego, by się odezwał. Nie udało mi się, dlatego po dłuższej chwili dodałam:

- Skoro śnieżynek jest dużo, znacznie więcej niż linii papilarnych, a nie ma na świecie takich samych linii papilarnych (w co, moim zdaniem, aż trudno uwierzyć), więc nie ma powodu...

- Co powiedziałaś? - przerwał James.

- Hej, czy kiedy wrócimy do Richa, będziemy mogli zagrać w śnieżne kółko i krzyżyk?! - krzyknęła Natalie.

- Narysujemy w śniegu wielką tabelę - wyjaśnił Rich. - I patykami będziemy zaznaczać „O” i „X”!

- Już późno, Rich. James i Natalie muszą wracać do domu - przypomniałam.

- Nie, musimy już wracać, Nat - potwierdził James.

- Wcale nie jest za późno! - zaprotestował Rich. - Proszę, ciociu. Na świecie jest tak ładnie!

- Nie! - krzyknęliśmy obydwój z Jamesem.

Dzieci, zaskoczone naszym wybuchem, natychmiast ucichły, zdając sobie sprawę, że nasza odpowiedź jest ostateczna.

- I co odpowiedziałaś Trevorowi? - spytał James.

- Że muszę się zastanowić.

Powiedziałam to tak cicho, że James przysunął się bliżej.

- Słucham? - spytał.

- Że muszę się zastanowić - powtórzyłam nieco głośniej.

- I co?

- O co ci chodzi?

- Czy się zastanawiałaś?

- Oczywiście, James. Słowo daję. Wciąż się zastanawiam. Jeszcze nie podjęłam decyzji.

- W takim razie spróbuję ci pomóc - powiedział James, biorąc mnie w ramiona.

Nasze kurtki zaszeleściły, kiedy zaczął mnie całować wśród spadających z nieba jedynych w swoim rodzaju śnieżynek.

Rich i Natalie chyba poczuli ulgę i zadowolenie, ponieważ obydwój wybuchnęli śmiechem.

- Hej, mówiliśmy „wio!”, a nie „całować się”! - powiedziała Natalie.

Następnego dnia oboje z Richem wynajdywaliśmy sobie różne zajęcia, by dotrzeć do wieczora, kiedy to mieliśmy odebrać z lotniska Ann i Rileyę. Zajęliśmy się więc zmywaniem, polerowaniem, odkurzaniem, szorowaniem i skrobaniem.

Kiedy po południu próbowałam nauczyć Richa gry w scrabble, cała moja zabawa w opiekunkę o mały włos nie została uwieczniona atakiem serca. Ciśnienie trochę mi wzrosło, kiedy Rich zdecydował się wykorzystywać tylko gotowe wyrazy. Nagle serce zamarło mi w piersiach i przestało pompować krew, gdyż ktoś zaczął włamywać się do domu. Rich również usłyszał dźwięk otwieranych drzwi. Przerażeni spojrzeliśmy na siebie. Poziom adrenaliny w mojej krwi gwałtownie wzrósł, kiedy zastanawiałam się, czy lepiej uciec, czy uzbroić się w znajdującą się w pobliżu patelnię i podjąć walkę. Po chwili uznałam, że teflonowa patelnia nie może się równać siłą rażenia z uzi, AK- 47 czy też inną bronią, którą posługują się obecnie podmiejscy złodzieje. Doszłam więc do wniosku, że lepiej wiać. Właśnie zaczęłam ciągnąć Richa za rękę, kiedy w drzwiach pokoju pojawili się Ann i Riley.

- Niespodzianka!-krzyknęli.

Nie przesadzili.

Chwyciłam się za pierś, przekonana, że za chwilę przedwcześnie stanę przed obliczem Stwórcy. Ale krzyk Richa zadziałał jak rozkaz, pobudzając moje serce do regularnej pracy.

- Mamusiu! Tatusiu!

Odruchowo zasłoniłam uszy, mając nadzieję, że utrata słuchu będzie nieznaczną.

- Rich! - odkrzyknęli w odpowiedzi rodzice chłopaka, biorąc go w ramiona.

Każdy przynajmniej raz w życiu powinien przeżyć tak wspaniałe spotkanie, jakie było udziałem Ann, Rileyę i Richa. Ściskali się, całowali i raz za razem wybuchali śmiechem. Nawet nie próbowałam ich upomnieć, żeby nigdy więcej nie wazyli się tak zakradać. Co właściwie chcieli tym osiągnąć: przyprowadzić kogoś o atak serca?

- Mielicie wrócić dopiero wieczorem - przypomniałam, gdy krzyki i śmiech nieco przycichły, a moja rodzina była już w stanie porozumiewać się za pomocą słów.

- Wyjaśniliśmy to już przed chwilą - powiedziała Ann,

obejmując ramieniem syna. - Chcieliśmy sprawić wam niespodziankę.

Rich promieniał, wysuwając do przodu brodę i prezentując niewiarygodnie szeroki uśmiech.

- Cieszę się z tej niespodzianki - przyznał.

Po długiej rozmowie, śmiejąc się, przejrzelśmy gruby plik zdjęć (prawdę mówiąc, wolę slajdy - przynajmniej mogę do woli ziewać w ciemności, nie obrażając ich właściciela). Potem wymieniliśmy się prezentami. Chociaż podobała mi się skórzana torba z Florencji, a Richowi przypadły do gustu wysokie buty (bardziej przypominały kowbojki niż obuwie włoskie, ale to był jedynie dodatkowy powód do zadowolenia), jednak prezentem, który wywołał największy zachwyty, był nasz album ze zdjęciami.

- Och, Rich! - rozczuliła się Ann, przeglądając zdjęcia z Halloween. - Wyglądasz jak gondolierzy, których widzieliśmy w Wenecji!

Rich przytaknął, jakby właśnie o to chodziło.

- Spójrz na Conrada. - Riley wybuchnął śmiechem. - Wygląda jak przemoczony robot.

- Była wtedy straszna zamieć - przypomniał sobie Rich.

- A to kto? - spytała Ann, przyglądając się fotografii spod przymrużonych powiek. - Genevo, czy to nie James?

- Owszem. On i jego córka uratowali nas w Halloween.

- Upuściłem wszystkie słodycze - wyjaśnił Rich z taką powagą, jakby był prezenterem telewizyjnym ogłaszającym wiadomość o zgonie jakiegoś dygnitarza.

- To też on - zauważył Riley, odwróciwszy stronę.

Spojrzałam na zdjęcie, które w pizzerii zrobił nam kelner, i wybuchnęłam śmiechem.

- Tamtego wieczoru zjadłeś pięć kawałków pizzy, pamiętasz, Rich?

- Pięć kawałków?! - zmartwiła się Ann, jak na troskliwą "matkę przystało.

Rich pogłaskał się po brzuchu.

- Trzy kawałki pizzy pepperoni i dwa z kiełbasą i cebulą.

- Wygląda na to, że James odegrał nie tylko rolę wybawiciela - mruknął Riley, wracając do zdjęć.

Kiwnęłam głową.

- James został naszym dobrym przyjacielem, prawda, Rich?

- James i Natalie. - Rich dotknął palcem wskazującym twarzy na zdjęciu. - Są naszymi dobrymi przyjaciółmi. A ciocia nawet lubi całować się z Jamesem.

- Gee-nee-woo! - zachnęła się moja siostra, zamieniając moje imię w miniarię, składającą się z trzech nut. - Lubisz całować się z Jamesem?

Poczułam, jak moją twarz oblewa zdradliwy rumieniec.

- To... hmmm... nie...

Moje zmieszanie rozbawiło Ann i Riley'a.

- Wyczuwam pewne zdenerwowanie - przekomarzał się ze mną szwagier.

- Genevo - przejęła inicjatywę Ann. - Po raz ostatni jąkałaś się jak sztubak w czasach Brada Norlunda.

- Wcale nie jąkam się jak sztubak - zaprotestowałam, ale zdradziła mnie kropelka śliny, która trysnęła mi z ust.

- Ciociu, pokażmy im naszą największą niespodziankę - ponaglił Rich.

Miałam ochotę uściskać go za to, że tak zręcznie zmienił temat.

- Nie uwierzycie - powiedziałam, pewna, że sprawa Jamesa została zapomniana.

- W co? - spytała Ann, gdy Rich pobiegł po niespodziankę.

- Zaraz zobaczysz.

Ann zrobiła okrągłe oczy, gdy Rich położył jej na kolanach oprawioną w tekturę księgę.

- *Wielka tajemnica* — pisnęła. - Zupełnie o niej zapomniałam.

- Czy wiesz, jak trudno było mi trzymać język za zębami? Podczas każdej naszej rozmowy przez telefon miałam ochotę powiedzieć: „Zgadnij, Ann, co znalazłam!”

- Znaleźliśmy! - poprawił Rich.

- Co to jest? - spytał Riley, pochylając się nad Ann, by lepiej zobaczyć.

- Coś, co wymyśliłyśmy jako dzieci - wyjaśniła Ann, ostrożnie rozwiązując wstążkę. - Gdy spędzałyśmy wakacje w chacie naszego ciotecznego dziadka, Carla. Usiłowałyśmy w jakiś sposób zabić czas, żeby nie zwariować z nudów, ponieważ wciąż potwornie lało. Nasz pomysł okazał się w końcu wspaniałą terapią grupową.

- „Co to jest prawdziwa miłość?” - przeczytał Riley.

- A teraz trzeba wyjąć z kieszonki kartkę i przeczytać odpowiedź - wyjaśnił Rich.

Każde z nas po kolei odczytywało tekst. Oboje z Richeni cieszyliśmy się, że zdołaliśmy sprawić Ann i Rileyowi taka frajdę.

- To piękne, Ann - pochwalił żonę Riley, gdy przeczytał to, co napisała o sensie życia i fakcie, że jest jedną z bliźniaczek.

- „Kim chciałabym być, gdybym nie mogła być człowiekiem? Nie chciałabym być niczym innym, ponieważ jestem częścią boskiego planu i nie mam prawa sprzeciwić się Stwórcy”. - Ann zerknęła na mnie. - To babcia, prawda? Pamiętam, jak przed laty czytaliśmy jej odpowiedź. Uważałam wtedy, że te słowa zupełnie do niej nie pasują.

- No właśnie. W ogóle nie odzwierciedlającej charakteru.

Wyjęłam z kieszonki następną kartkę i prychnęłam, rozpoznając pismo.

- Za to odpowiedzi ciotecznego dziadka Carla bardzo do niego pasują. „Gdybym nie był człowiekiem...” - czytałam, naśladując delikatny norweski akcent ciotecznego dziadka Carla - „...pewnie byłbym książką, ponieważ książka, a zwłaszcza dobra, nie umiera, na dodatek może zmienić ludzkie życie, stać się jego częścią. Jaka to książka, spytacie? Myślę, że mój wybór padłby na Biblię. Wyobraźcie sobie, że z waszego powodu toczyłyby się wojny, że dalibyście początek nowym religiom, a dla milionów ludzi byłibyście czymś świętym, godnym uwielbienia i szacunku”.

- Hej, spójrzcie! - zawołał Rich, zanurzając dłoń w nowej kieszonce. - Tu są całkiem świeże odpowiedzi.

- Postanowiliśmy uzupełnić księgę - wyjaśniłam. - Wpisaliśmy do niej nowe pytania.

- To dobrze - pochwaliła nas Ann. - Pamiętasz, jak byłymy rozczarowane, gdy się okazało, że nikt z dorosłych niczego nie wymyślił?

Kiwnęłam głową. Byłam szczęśliwa, że mamy tyle wspólnych wspomnień.

- „Właściwie nie ma czegoś takiego, czego bardzo bym się bała” - powoli czytał Rich. - „Kiedyś żyłam w ciągłym strachu, ale potem moi rodzice i tak się rozwiedli. Myślałam, że będzie naprawdę źle, ale się pomyliłam. Czasem nie jest najle-

piej, ale można wytrzymać. Teraz staram się nie myśleć o swoich obawach, ponieważ wcale nie znikają przez to, że się do nich wraca, a niepotrzebnie poświęca się im coraz więcej uwagi".

- Kto to? - spytała Ann.

- Natalie - wyjaśnił Rich. - Poznałem po rozwodzie. Poza tym napisała drukowanymi literami!

Z uśmiechem na ustach zastanawiałam się, kiedy ten spryciarz, James, zdążył włożyć odpowiedzi.

- Jest coś jeszcze? - spytałam.

- Owszem - potwierdził Rich, wyjmując dwa skrawki papieru. - Proszę, tatusiu - powiedział, wręczając ojcu jeden z nich. - To dla ciebie, mamusiu. - Drugą kartkę dał Ann.

Riley rozwinął swoją i przeczytał:

- „Najbardziej boję się tego, że moi rodzice odejdą, umrą albo gdzieś znikną”.

- To moja! - wyjaśnił Rich. - Przeczytałeś moją odpowiedź!

Ann objęła syna ramieniem.

- Pamiętam, że kiedy byłem małą dziewczynką, też się tego bałam.

- A co jest napisane na twojej kartce, Rileyu?

- „Lęk przed publicznością sprawiał, że nie mogłem się ruszyć, czułem się jak sparaliżowany. Nie potrafiłem podejść do fortepianu. Jeszcze gorzej było, kiedy strach dopadał mnie nieco później, gdy już siedziałem przy instrumencie. Wtedy trudniej mi było uciec. Ale trema jest niczym w porównaniu | przerażeniem, jakie ogarnia mnie na myśl o Twoim wyjeździe, Genevo”.

Riley zamilkł i spojrzął na mnie.

- Mam kontynuować? Czuję się, jakbym czytał twoją korespondencję.

- Jeżeli James włożył tę kartkę do książki, to zdawał sobie sprawę, że wszyscy przeczytają jego odpowiedź — uznał Rich. - Czytaj dalej.

- Tak jest, sir - zgodził się Riley i znów spojrzął na mnie, oczekując przyzwolenia. - W porządku. „Czuję, że wreszcie spotkałem kobietę, z którą chciałbym spędzić resztę życia. Nie mogę znieść myśli, że uważasz mnie jedynie za przyjaciela, z którym lubisz się czasem całować. Intuicja podpowiada mi,

że gdybyś była ze sobą szczerą, odwzajemniłabyś moje uczucie. Nie wiem, jak to nazwać, Genevo, może są to oświadczenia, ale kocham Cię, chciałbym spędzić z Tobą resztę życia i wiem, że to by się nam udało, pomimo różnych przeszkód. Nie obawiam się ich, Genevo, a jeżeli Ty masz przed nimi treść, znajdę sposób, by Ci pomóc".

- O kurczę! - sapnęła Ann.

- On cię lubi - zauważył Rich.

- To spore niedopowiedzenie, synu - zauważył Riley.

Czułam się bardzo niezręcznie.

- Ciociu, czy Trevor będzie zły z powodu tego, co napisał James?

- Trevor? - zdziwiła się Ann. - A co Trevor ma z tym wspólnego?

- Z nim ciocia też się całuje! - wypalił chłopak.

- Nie potrafisz trzymać języka za zębami, Rich? Co jeszcze im o mnie powiesz?

- Hmm - zastanawiał się Rich, drapiąc się po głowie. - Że jest bardzo dużo lodów. - Wyciągnął ręce, jakby trzymał w nich gorącą patelnię. - Ogromne pucharki pełne lodów.

Ann i Riley zareagowali na tę zdradę śmiechem. Udałam obrażoną, potem jednak poszłam w ich ślady. Przynajmniej zmienił się temat rozmowy, i tak powinno zostać.

Zostało, do późnego wieczora. Leżałam w łóżku i czytałam książkę, popijając wino, które globtroterzy kupili podczas wycieczki do jakiejś winnicy. Nagle usłyszałam delikatne pukanie i do pokoju weszła Ann.

- Nie śpisz? - spytałam. — Nie czujesz zmęczenia spowodowanego różnicą czasu?

- Funkcjonuję wyłącznie dzięki adrenalinie - wyjaśniła Ann. -I hektolitrom kawy.

Przycupnęła na skraju łóżka, prawie siadając mi na nogach.

- Czytałam Richowi do snu. Zazwyczaj nie pozwala mi tego robić, mówi, że jest już duży.

- Co mu czytałaś?

- Jego ulubioną *Wyspę skarbów*. Ale zasnął, nim na scenie pojawił się Long John Silver.

W trakcie naszej rozmowy przesunęłam się na środek łóżka,

a Ann wślizgnęła się pod kołdrę. Przez chwilę rozkoszowaliśmy się niezwykle wspaniałym uczuciem, jakim jest przebywanie w łóżku z siostrą.

- Gen - powiedziała wreszcie Ann. - Najmocniej dziękuję, że zostałeś z Richem. Nie masz pojęcia, jak bardzo jestem ci wdzięczna.

- Zaczekaj, aż przyślę ci rachunek - zażartowałam, po czym sięgnęłam przez Ann po swój kieliszek na stoliku nocnym. - To całkiem dobre wino, wiesz? - oznajmiłam, upijając łyk. - Masz ochotę?

Ann upiła łyczek.

- Mieliśmy w tej winnicy niezły ubaw. Poznaliśmy Douga i Susan, kolekcjonerów antyków, parę, o której ci opowiadałam. O drugiej po południu wszyscy byliśmy zalani.

- Ann - skarciłam ją, naśladując naszą mamę. - Byłaś zalana o drugiej po południu?

- Nie poznałabyś mnie, Genevo. Czułam się jak dwudziestoletnia studentka odwiedzająca Włochy w ramach międzynarodowej wymiany. Bardzo tęskniłam za Richem. Riley też. Ale przypominaliśmy sobie nawzajem, jak bardzo potrzebne są nam te wakacje i że Rich jest w dobrych rękach. - Ann pochyliła się i pocałowała mnie w policzek. - Dzięki za to, że tak troskliwie się nim zajmowałeś, Gen.

- Cała przyjemność po mojej stronie.

- Naprawdę to była dla ciebie przyjemność? - spytała Ann z entuzjazmem. - Nie bujasz?

Sącyłam wino, zastanawiając się nad odpowiedzią.

- Naprawdę - powiedziałam zdecydowanie. - Owszem, paraliżował mnie strach, że coś sknocę, ale nie sknociłam!

Obydwie roześmiałyśmy się, słysząc w moim głosie zdumienie.

- Nadal nie mogę uwierzyć, że mi się udało.

- Rich mówi, że świetnie się bawił.

- Och, Ann, tak się cieszę. Ja też się nie nudziłam.

Ann przysunęła się bliżej.

- Czy teraz mogę zapytać, w co ty się, do diabła, wpakowałaś?

Próbowałam odegrać urażoną niewinność, ale Ann nie dała się zwieść.

- Gdybyś mogła zobaczyć swój wyraz twarzy - powie-

działa ze śmiechem. — Jest wart wszelkie pieniądze. Dobrze już, Genevo. James wyznał ci miłość i znów pojawił się Trevor. Co się nagle stało tym wszystkim facetom?

- Wszystkim? - Teraz to ja się roześmiałam.

- Dobrze, już dobrze. Powiedz mi, co jest między tobą a Jamesem.

- Nic - odparłam po dłuższej chwili. - To znaczy James jest bardzo fajny, ale...

- Ale co?

Wzruszyłam ramionami.

- Sądę... sądę, że stanowił miłą odmianę. Niestety, uznał, że to coś więcej. No wiesz... po przygodzie z Trevorem miło było poczuć, że interesuje się mną jakiś inny mężczyzna.

- A wracając do przygody z Trevorem - podchwyciła Ann - dlaczego się z nim całowałaś?

Jeszcze raz wzruszyłam ramionami.

- Poprosił mnie o rękę.

Moja siostra zrobiła okragłe oczy.

- Nie!

- Tak.

- I co mu odpowiedziałaś?

- Zastanawiam się nad tym.

- Zastanawiasz się? Po tym, co ci zrobił?

- Ann - zganiłam zawsze lojalną siostrę. - Nie bił mnie ani nic z tych rzeczy. Po prostu... przechodził trudny okres czy coś w tym stylu. Męskie klimakterium.

- Własnym uszom nie wierzę, Genevo! Bronisz Trevora Waitte'a! A nie tak dawno mówiłaś: „Niech go piekło pochłonie!”

Roześmiałam się. Kto jak kto, ale Ann zawsze pamięta takie rzeczy.

- Zmienił się. Zrozumiał, że zachowywał się jak drań i że nadal mnie kocha.

- Dopóki nie pojawi się kolejna małolata z implantami.

- Daj spokój, Ann.

Zaczynało mnie złościć, że nie mogę jej przekonać.

- Nie narzekaj na niego, zmienił się. Chce to udowodnić, żeniąc się ze mną.

- Zazwyczaj to kobieta dowodzi swej miłości, wychodząc za kogoś za męża.

Wypiłam ostatni łyk wina i popukałam palcami w kieliszek, upewniając się, czy nie ma w nim jeszcze jakiejś kropelki.

- Nie gniewaj się, Ann, ale chyba Riley cię woła - powiedziałam, odstawiając kieliszek na nocny stolik.

Ann nigdy nie trzeba powtarzać takich rzeczy dwa razy.

- W porządku - mruknęła, wstając z łóżka. - Poruszyłam ten temat tylko dlatego, że cię kocham, Gen. Chcę, żebyś dokładnie wszystko przemyślała.

- Tak jest, psze pani - odparłam tonem zarozumiałej uczennicy.

- Dobranoc, Genevo.

Siostra pożegnała mnie chłodno i wychodząc, trzasnęła drzwiami.

Sięgnęłam po słuchawkę. Chciałam zadzwonić do Jamesa i zwierzyć mu się z kłopotów. Potem zdałam sobie sprawę, że jednym z nich jest sam James.

Poprawiłam poduszkę, żeby wygodniej się na niej leżało, po czym szturchnęłam ją raz jeszcze - niech to diabli wezmą! Marzyłam jedynie o tym, by odpłynąć w słodki, złudny sen, w którym człowiek może o wszystkim zapomnieć. Moje myśli przypominały zgraję warczących, skomlaących dzikich psów, domagających się uwagi. Kiedy wreszcie spoczęłam w objęciach Morfeusza, nie kołysał mnie, lecz rzucał moim ciałem. A gdy rano Rich wpadł do mojego pokoju, miałam ochotę na niego krzyknąć.

- Ciociu, jest niedziela. Dzisiaj wyjeżdżasz!

Powiedz mi coś nowego - pomyślałam - i wyjdź.

- Ciociu, będę za tobą tęsknił!

Bez ostrzeżenia zarzucił mi ręce na szyję i przytulił się do mnie. Tylko pod groźbą tortur wyznałabym, które z nas obejmowało mocniej.

- Postanowiłam, że ci wybaczę - oznajmiła Ann na powitanie, gdy przywlokłam się do kuchni.

Wyjęłam z szafki kubek.

- Co chcesz mi wybaczyć?

- Wszystkie błędy, jakie popełnisz w przyszłości. - Wzięła dzbanek i nalała mi kawy. - Nie będę cię pouczać i nie będę się na ciebie wściekać.

- Akurat ci wierzę. - Rozejrzałam się po kuchni. - Gdzie reszta?

- Na zewnątrz - odparła Ann i skinieniem głowy wskazała stojący na kuchennej ladzie talerz z przykrywką. - Masz ochotę na naleśniki? My już jedliśmy.

- Jedliście? Jestem tu ostatni dzień, a wy zjedliście śniadanie beze mnie?

- Genevo, jest południe. Myśleliśmy, że obudzisz się, nim wrócimy z kościoła, ale ty wciąż spałaś, a my zdążyliśmy zgłodnieć.

- Nie obudziliście mnie na mszę?

Ann się roześmiała.

- Sprawiasz wrażenie rozczarowanej.

- Bo jestem. Lubię chodzić do kościoła.

Pogłaskała mnie po głowie.

- Cieszę się.

- Nie podniecaj się za bardzo. Nie myśl, że się nawróciłam. Raz pomogłam Barb w szkółce niedzielnej. Było... zabawnie. Poza tym sama nie wiem... - Nie mogłam uwierzyć, że plotę takie głupstwa. - Właściwie to był fajny sposób na rozpoczęcie niedzieli.

Ann przytaknęła. Odczytałam ten gest jako „a nie mówiłam”, chociaż może nie o tojej chodziło.

- A więc gdzie są Rich i Riley? - spytałam wesoło.

- Na dworze. Rich chciał się pobawić w coś, co podobno sam wymyślił. Śnieżne kółko i krzyżyk, czy coś w tym stylu. - Ann nalała mi soku pomarańczowego. - Och, Barb prosiła, żebyś zadzwoniła do niej przed wyjazdem.

Zamrugałam, usiłując ukryć łzy, które niespodziewanie napłynęły mi do oczu.

- A James życzy ci bezpiecznego lotu.

- Tylko tyle?

- Nie. Ma nadzieję, że kiedyś jeszcze się spotkacie.

Przełknęłam kawałek naleśnika, który jakoś nie bardzo chciał przejść mi przez gardło.

- Wydawał się smutny, Gen.

- Trudno - powiedziałam, polewając śniadanie dodatkową porcją syropu. - Gdy następnym razem przyniesie pocztę, powiedz mu, że miło było go poznać.

Kroiłam naleśniki na coraz drobniejsze kawałki. Nóż dzwonił o talerz, wydawał dźwięk przywodzący na myśl pęknięty dzwon.

- Dasz mi znać, gdy opanujesz styl grzbietowy? - spytałam.

Rich przytaknął i wysunął do przodu brodę.

- I przyślesz kopię swojego sprawdzianu z ortografii?

Ponowne skinienie. Nie udało mi się zmusić go do otworzenia ust.

Odprawa już się zaczęła, ale ociagałam się z wejściem na pokład. Miałam nadzieję, że uda mi się przez chwilę porozmawiać z siostrzeńcem.

- Jest mu smutno - wyjaśniła Ann, poruszając samymi ustami i pocierając pięściami oczy, jakby naśladowała płacz.

- Widzę - odpowiedziałam w taki sam sposób.

Objęłam chłopca i przytuliłam go do siebie.

- Rich, przecież wiesz, że będę za tobą tęsknić.

Kiwnął głową, a po policzku potoczyła mu się łza.

- Nie rób tego, Rich - ostrzegłam, wycierając chłopcu twarz. - Bo ja też zaraz zacznę beczeć jak niemowlę. Chyba nie chcesz, żeby ciocia płakała, prawda?

Uśmiech, którym mnie obdarzył, należał do wyjątkowo bladych, ale dodał mi odwagi.

- Jeżeli będę beczeć jak niemowlę, każą mi siedzieć w dziecięcym foteliku. Jestem na to za duża.

Plotłam trzy po trzy o upokorzeniach, które będę musiała znosić, jeżeli rozpłaczę się jak dziecko. Ale to i tak nie ja wywołałam szeroki uśmiech na twarzy chłopca.

- Natty! - krzyknął Rich. - James!

- Biegliśmy przez całą drogę! - oznajmiła Natalie.

- Już myśleliśmy, że nie zdążymy - dodał James, sapiąc i trzymając się za bok.

- Chodź zobaczyć samolot cioci! - zaproponował Rich, ciągnąc Natalie do okna.

Ann i Riley przywitani się z Jamesem, po czym dyskretnie wycofali się, tak by nas nie słyszeć.

- Nat chciała się z tobą pożegnać - wyjaśnił James.

- Rzeczywiście, wygląda na załamana z powodu mojego wyjazdu - zażartowałam, kiwnięciem głowy wskazując okno, przy którym dziewczynka wraz z Richem obserwowała pas startowy. - Przeczytałam to, co napisałeś w *Wielkiej tajemnicy*.

Na twarzy Jamesa pojawił się wyraz oczekiwania i strachu.

- Czyżbyś zamierzała powiedzieć, że zdecydowałaś się wyjść za mnie za mąż?

- Nie - zaprzeczyłam, czując, jak wielka klucha podchodzi mi do gardła.

- W takim razie... - ciągnął James, szybko się kłaniając. Miło mi było cię poznać, Genevo. Będę za tobą tęsknił.

Roześmiałam się, żeby nie wybuchnąć płaczem. Potem nabrałam powietrza w płuca, ponieważ James przyciągnął mnie do siebie i obdarzył jednym z tych pocałunków, na których widok inni ludzie zazwyczaj przystają i albo potrząsają głową; z niedowierzaniem, uświadamiając sobie całą ich bezwstydność, albo cicho wdychają, marząc o tym, żeby sami mogli się tak całować.

10

Przypomniałam sobie, jak cudownie jest całować się z Jamesem. W samolocie zastanawiałam się, co oznaczały te pocałunki, ale nic nie przychodziło mi do głowy. Pewnie ludzie, którzy wspaniale całują i znają umiejętności partnera, nie mogą się doczekać wyjątkowej okazji, jaką jest pożegnanie, by ulec niezwykle przyjemnemu, acz krótkotrwałemu zauroczeniu. Przypuszczam, że podobnie postępuje człowiek, który świetnie tańczy i wreszcie znajdzie na parkiecie kogoś, kto jest w stanie mu w tej sztuce dorównać.

Oczywiście zastanawiałam się nad tym, co by było, gdybyśmy naprawdę ze sobą „zatańczyli”. Czy kochanie dorównałoby naszym wspaniałym pocałunkom? Byłam zawiedziona (nie lubię, gdy coś mnie omija), a jednocześnie cieszyłam się (fakt, iż nie przespaliśmy się ze sobą, ułatwił mi traktowanie Jamesa jak przyjaciela), że tego nie wiem. Nadal jednak słyszałam Riley'a czytającego na głos napisane przez Jamesa

wyznanie, które zapadło mi głęboko w serce i płonęło żywym ogniem. Nie sądziłam, że się we mnie zakocha - miał jedynie uprzyjemnić mi czas opieki nad Richem.

Wierzcie lub nie, nie należę do kobiet, które często korzystają z podręcznego lusterka. Uważam, że przeglądanie się w miejscach publicznych jest w złym guście (prawdę mówiąc, jako istota próżna, nigdy nie odczuwam potrzeby sprawdzenia makijażu czy uczesania). Ale przedział pierwszej klasy był prawie pusty, a ja koniecznie chciałam się przyjrzeć twarzy, którą całował James.

Nic się nie zmieniałam: burza rudych włosów, zgrabny, zadarty nosek, żywe rumieńce i piękne zęby. Zostały również: delikatnie zarysowana linia szczęki ze skłonnościami do tworzenia się podbródków, zmarszczki mimiczne tak głębokie, że dawały innym do zrozumienia, iż śmiech to moje jedyne zajęcie, cera przypominająca bardziej skórę grejpfruta niż jabłka, a szyja! - zdecydowanie przypominała krepę. Zatrzasnęłam lusterko, zapewniając się w duchu, że oświetlenie w samolocie jest równie niekorzystne jak w sklepowych przebieralniach.

Kiedy pojawiła się stewardesa, usłyszałam, że mężczyzna siedzący kilka rzędów za mną zamówił szkocką z wodą sodową. Pomyślałam, że to dobry, leczniczy drink. Poprosiłam więc o jeden kieliszek, potem drugi i spoglądając przez owalne okienko na rozciągający się w dole miniaturowy świat, próbowałam o niczym nie myśleć.

Nie spodziewałam się, by ktoś na mnie czekał na lotnisku, muszę jednak przyznać, że byłam nieco rozczarowana, kiedy rzeczywiście nikt po mnie nie wyszedł. Zawsze to miło, gdy ktoś człowieka wita. Samotnie powędrowałam po bagaż.

Gdy zabierałam z taśmy jedną z toreb, jakiś mężczyzna dotknął mojego ramienia.

- Mogę to zabrać, panno Jordan?

- O co chodzi? - wymamrotałam wyświechtany zwrot, wyrażający zaskoczenie.

- Jestem pani kierowcą. Mam zawieźć panią do domu.

- Ach! - krzyknęłam, przypominając sobie, jak bardzo lubię, gdy traktuje się mnie ze szczególną atencją. - Jak miło wrócić do domu!

Przypuszczałam, że kierowcę wynajęła Claire, ale ten domysł okazał się błędny, gdy tylko usiadłam z tyłu. W odróż-

nieniu od wszystkich innych tylnych siedzeń, które zdarzało mi się wycierać, to było obsypane płatkami róż.

- O kurczę! - zawołałam.

- Nie byłem zbyt zachwycony - przyznał kierowca, wsiadając do samochodu. - Wie pani, taka dekoracja może zniszczyć tapicerkę. Ale pani narzeczony nalegał. - Kierowca poprawił lusterka wsteczne i włączył się do ruchu. - Twierdził, że olejek różany zmiękczy i zakonserwuje skórę, po czym dał mi studolarowy napiwek.

Cieszyłam się nie tylko z romantycznego gestu, ale również z faktu, że mój skórzany płaszcz (co za szczęście!) zostanie zmięczony i zakonserwowany. Rozparłam się wygodnie, wdychając słodki zapach. Musiałam się obyć bez szampana, ale za to miałam do dyspozycji czekoladki, w które zaopatrzył mnie Trevor. Zdecydowanie zawsze obierał właściwą drogę.

Limuzyna podjechała pod dom. Pędząc do siebie, półgębkiem odpowiedziałam na powitanie portiera.

Niecierpliwie pchnęłam drzwi. Spodziewałam się, że powita mnie ogień na kominku i Trevor, leniwie rozciągnięty na imitacji futra niedźwiedzia, ale palenisko było zimne, a na dywanie nie znalazłam nawet pchły.

- Gdzie jesteś, Trevorze?! - krzyknęłam piskliwym, dziewczęcym głosem, w nadziei, że męski głos o brytyjskim akcencie odpowie: „Tutaj, kochanie”.

Jednak w sypialni, gabinecie i pokoju gościnnym, a także wszystkich pomieszczeniach, które przeszukałam, nikogo nie było.

Dopiero na stoliku przy wejściu znalazłam kartkę, na której spoczywała róża. Zauważyłabym ją natychmiast, gdybym nie próbowała znaleźć jakiegoś gościa.

Kochanie!

Spotkamy się dziś po przedstawieniu.

Nie mogę się doczekać.

Trevor

Cóż, nie był to styl godny lorda Byrona, ale liścik powiedział mi wszystko, co chciałam wiedzieć. Nie mógł się mnie doczekać, a ja miałam czas, by zrobić sobie gorącą kąpiel z pianą.

*

- Achchch... - Westchnienie Trevora wyrażało zadowolenie i satysfakcję seksualną. - Jestem taki szczęśliwy, że znów mogę trzymać cię w ramionach, Genevo.

- A ja czuję się szczęśliwa, że znów w nich jestem - mruknęłam.

Wtuliłam nos w ramię Trevora, wdychając jego zapach.

- Jak myślisz, czy po ślubie będzie nam też tak dobrze? A może lepiej?

Zesztywniałam. Trevor musiał to wyczuć, ponieważ wybuchnął śmiechem.

- Och, Genevo, wiem, że się jeszcze nie zgodziłaś. Mam tylko nadzieję, że pod wpływem subtelnej presji powoli dojdiesz do jedynego słusznego wniosku.

- To znaczy?

Trevor mnie pocałował. Poczułam na policzku cudowny, szorstki zarost.

- To znaczy powiesz: „Oczywiście, kochanie, że za ciebie wyjdę. Jak mogłeś w to wątpić?”

Pocałowałam go. Dziewięćdziesiąt pięć procent komórek ciała nakłaniało mnie, żeby wykrzyzczyć te słowa, ale milczałam, jako że pozostałe pięć procent kazało mi się z tym wstrzymać.

Zawsze zdarzają się cuda, zwłaszcza w teatrze. Nazajutrz po moim powrocie do Nowego Jorku odwiedził mnie Angus Powell, producent *Mony*. Błagał, żebym na kilka tygodni wróciła na deski teatru, „póki nie znajdziemy kogoś, kto zastąpiłby tę okropną Bennet. Ten głupi babsztyl twierdzi, że ma guz na strunach głosowych. Jej lekarz mówi to samo. Jestem pewien, iż nieźle mu zapłaciła za potwierdzanie tej bajeczki”.

- A co z jej dublerką?

Angus ciężko westchnął, jak człowiek zmęczony życiem.

- Właśnie dowiedziała się, że po dwudziestu latach nieudanych prób wreszcie zaszła w ciążę. Uważa, że rola *Mony* jest zbyt wyczerpująca i może zagrażać dziecku.

- No cóż, macie jeszcze drugą dublerkę.

- Genevo, proszę. Potrzebujemy ciebie. Jesteś królową Broadwayu.

Jak mogłabym odmówić inteligentnemu człowiekowi, który nazwał mnie królową Broadwayu?

Miło było wrócić na scenę, widzieć, jak na próbach pianista raz za razem powtarza, poruszając jedynie ustami: „Super!”, odkryć, że nie zapomniałam ani jednego tanecznego kroku. Szybowałam w powietrzu, unoszona przez aktora, który grał Michała Anioła.

- Schudłaś, Genevo? - spytał.

(Wiedziałam, że mówi to tylko przez grzeczność. W Minnesocie przytyłam dwa i pół kilograma, pochłaniając z Richem ogromną ilość lodów, ale doceniłam ten gest).

Kiedy wychodziłam na lunch, reżyser zapewnił mnie:

- Nie mogliśmy się doczekać twojego powrotu. Faith Benet to prawdziwa suka.

- Najgorsza - potwierdził ucharakteryzowany aktor, odgrywający jedną z głównych ról. - Ciągłe zrzędziła, że dekoracje są do kitu. Nic dziwnego, że ma guz na strunach głosowych.

Czy można sobie wymarzyć lepszy dzień? Znakomita próba, pracownicy techniczni i cały zespół, obgadujący aktorkę, która mnie zastąpiła.

Nie mogłam się doczekać swojej drugiej premiery, zaplanowanej na dwudziestego trzeciego grudnia. (Możecie nazywać mnie świętym Mikołajem. Mój powrót na scenę potraktowano jako gwiazdkowy prezent dla publiczności). Wróciło dawne podniecenie: byłam wzruszona faktem, że po raz drugi w mojej karierze znajdę się w ramionach Leonarda da Vinci, którego grał Trevor Waite, i że w życiu osobistym wróciłam w ramiona kochanka, którego również grał Trevor Waite. W życiu rzadko zdarza się taki zbieg okoliczności, dlatego się nim rozkoszowałam.

- Jeżeli nas napadną, będziesz musiała mi oddać moje wszystkie pieniądze plus pięćdziesiąt procent całej kwoty.

- Wzięłaś ze sobą pieniądze? - spytałam, udając przerażenie. - Nikt nie jest taki głupi, żeby wybierać się do Central Parku z pieniędzmi. Mam przy sobie jedynie prawo jazdy, na wypadek, gdyby zaistniała potrzeba zidentyfikowania moich zwłok.

Claire roześmiała się żałośnie, jakby mówiła: „Żartujesz sobie ze mnie, prawda?”

- Zdziwiasz mnie, Claire. Jesteś agentką, powinnaś być nieustraszona.

- Jestem - oświadczyła, omiatając spojrzeniem poboczne alejki. - Niczego się nie boję, oprócz Central Parku.

- Jest biały dzień - przypomniałam. - Dokoła kręci się mnóstwo ludzi.

Mówiłam prawdę. W parku pełno było osób uprawiających jogging, spacerowiczów, matek i nianiek, popychających wózki, w których leżały opatulone dzieci.

Odwiodłam Claire od zamiaru wybrania się na lunch i wyciągnęłam ją na spokojny spacer zaśnieżonymi alejkami. W Deep Lake przyzwyczaiłam się do takich przechadzek. Ale na Manhattanie nigdy nie było spokojnie, a śnieg ledwo prószył.

- Możemy już wracać? - jęknęła Claire.

Miała na nogach buty na pięciocentymetrowych obcasach, niezbyt nadające się do pokonywania dużych odległości.

- Jestem głodna. Przez cały poranek marzyłam o sałatce z homara.

- Ależ z ciebie dziecko! - zganiłam ją.

Ciężko westchnęłam, chwyciłam ją za ramię i obróciłam o sto osiemdziesiąt stopni. Nie chciała o tym słyszeć.

- O, nie - sprzeciwiła się i tym razem to ona obróciła mnie. - Nie ośmieliłabym się zepsuć ci nowej frajdy, jaką jest dla ciebie ruch na świeżym powietrzu. Zamierzam spacerować tak długo, jak będziesz chciała, nawet gdybym miała przypłacić to życiem.

- A co z twoją sałatką z homara?

- Agenci bez przerwy poświęcają się dla swoich klientów.

Roześmiałam się i powiedziałam:

- To takie szlachetne z twojej strony i ze strony wszystkich uprawiających twój zawód.

Obok nas przebiegł mężczyzna uprawiający jogging. Obie z Claire przez chwilę podziwialiśmy jego pośladki w obcisłych legginsach.

- A więc - zagaiła Claire - czy najpierw omówimy sprawy zawodowe, czy też oddamy się przyjemnościom?

- Najpierw przyjemności.

- Zaczniemy od spraw zawodowych. Tym bardziej że mani dobre wieści.

- Jakie? - spytałam z ciekawioną.

- W najbliższy wtorek odbędzie się przesłuchanie do *Samsona i Dalili*. Norman Alexander ukończył scenariusz. — Claire poklepała aktówkę, z którą nigdy się nie rozstawała. - To sensacja, Genevo. Przygotuj się na kolejnego Tony'ego.

Uścisnęłam ramię Claire.

- Cudownie. Zawsze o tym marzyłam.

Minęłyśmy bladolicego mima w lichym paletku, zupełnie nieodpowiednim na tę pogodę. Rzuciłam pięć dolarów. Kiedy mim w geście podziękowania uchylał mi wyimaginowanego kapelusza, doradziłam:

- Lepiej kup sobie ciepłą kurtkę.

- Co słyhać u Trevora? - spytała Claire.

Zdałam sobie sprawę, że sporo ją kosztowało, by to pytanie zabrzmiało beztrąsko.

- To znaczy, że pora na przyjemności?

Uśmiechając się do Claire, zauważyłam, że moja rozmówczyni walczy ze sobą, by nie odpowiedzieć mi tym samym.

- Daj spokój, Claire, ciesz się ze mną. Pracując z nim, świetnie będę się bawić.

Nazajutrz czekała mnie próba *Mony*. Przygotowywałam się do niespodziewanego powrotu na scenę.

- Nie pytałam o pracę - wyjaśniła Claire. - Jestem ciekawa, jak wam się układa.

- Zmienił się, Claire. Świat przestał kręcić się wokół niego. Kręci się wokół nas.

- Lepiej, żeby to była prawda, bo jeżeli znów cię skrzywdzi, słowo daję, że będzie miał do czynienia ze mną.

Uścisnęłam ramię Claire i podziękowałam.

- Trevor niewątpliwie chce, żebyśmy pośpieszyły się z odpowiedzią.

- Kiedy mu jej udzielisz?

- Gdy będę ją znała. Potrzebuję więcej czasu. Nie zamierzam skakać do wody, nie wiedząc, czy potrafię pływać.

- Myślę, że umiejętności pływackie nie mają najmniejszego znaczenia. Liczy się tylko to, czy w wodzie są rekiny.

- Uważasz Trevora za rekina? - spytałam, odsuwając się

na bok, by przepuścić spacerowicza idącego szybszym krokiem.

- Dobrze już, dobrze - odrzekła Claire, obdarzając mnie uśmiechem. - Przecież wiesz, że nie lubią obgadywać rekinów.

Trevor został zaangażowany do reklamy wody *Pour Deux* i podpisał kontrakt, gwarantujący mu udział przynajmniej w dwóch następnych wersjach. Stał się nowym symbolem tej wody toaletowej.

Sesja zdjęciowa miała trwać dwa dni. Na miejsce akcji wybrano starą gospodę w pobliżu Bedford, w stanie Nowy Jork. Wszystko zostało zorganizowane tak, by Trevor nie opuścił przedstawienia. Zawsze lubiłam krótkie wypadki za miasto, postanowiłam więc, że pojedę z Trevorem, potem jednak okazało się, że mam w tym czasie przesłuchanie.

- Genevo — dąsał się Trevor. - Nie możesz go odwołać?

- Tylko o tym marzę - prychnęłam.

Prośzenie aktora, żeby odwołał przesłuchanie, jest równe żądaniu, by przez cały rok codziennie oddawał krew w niehygienicznych warunkach.

- Mogę jednak przyjechać po przesłuchaniu. - Objęłam Trevora i pocałowałam go w szyję. - Przecież i tak najbardziej ci zależy na tym, żebym była przy tobie w nocy, prawda?

W odpowiedzi Trevor mruknął jak niedźwiedź w okresie godowym.

Jestem prawdziwym weteranem, nadal jednak nie umiem przewidzieć wyniku przesłuchań. Czasami byłam pewna, że wypadłam tak sobie, a potem dzwoniła do mnie Claire z informacją: „Zostałaś zaangażowana. Spodobałaś im się!” Kiedy indziej nikt nie raczył nawet oddzwonić, chociaż z przesłuchania wychodziłam niemal w podskokach, pewna, iż zaprezentowałam tekst tak, jak nikomu nie udało się tego zrobić od czasu, kiedy Mojżesz odczytał dziesięć przykazań.

Tym razem poszukiwano aktorów, którzy udzieliliby głosów postaciom z *Hoedown* - filmu animowanego (ani razu nie padło określenie „rysunkowy”) o Dzikim Zachodzie. Miałam być Bronco Betsy. W trakcie przesłuchania wszyscy śmiali się

dokładnie wtedy, kiedy tego chciałam, a gdy zaśpiewałam jedną z piosenek, zareagowali tak, jakbym wynalazła lek na raka.

- Och, panno Jordan. Ta intonacja, ten akcent - zachwycał się autor tekstów, całując koniuszki swoich palców. - To frazowanie, ta dynamika, sposób, w jaki podkreślała pani wszelkie niuansy. Mój Boże, nie pamiętam, kiedy tak się śmiałem.

- Jest pani skarbem narodowym - dodał kompozytor.

- Odezwiemy się do pani - obiecał reżyser.

Zadzwoniłam do Claire i powtórzyłam jej całą rozmowę.

- Jak się czujesz? - spytała.

- Wspaniale. Nie sędzę, żebym kiedykolwiek śpiewała lepiej. Udało mi się zmusić ich do śmiechu, i co najważniejsze, spędzę noc z Trevorem w starej, romantycznej gospodzie.

- O kurczę! - jęknęła Claire.

Wyobraziłam sobie, jak moja agentka potrząsa głową i zasłania dłońią oczy.

- Z tobą jest naprawdę źle.

Do Bedford jechało mi się wyjątkowo przyjemnie. Prószył drobny śnieżek, który nie tylko nie utrudniał podróży, ale wręcz ją umiłał. Mój wóz - pięcioletni mercedes - nieczęsto opuszczał garaż, jednak za każdym razem, kiedy siadałam za kierownicą, przypominałam sobie, dlaczego tak bardzo lubię prowadzić. Cieszyło mnie, że panuję nad ogromną maszyną, co więcej, czekała mnie wspaniała przygoda. Złapałam się na tym, że gwizdę i śpiewam w takt melodii płynącej z radia. Kiedy skręciłam z autostrady w stronę Bedford, zdałam sobie sprawę, że po raz pierwszy od bardzo, bardzo dawna jestem naprawdę szczęśliwa.

Och, szczęście, płochy towarzyszu! Przepraszam za kiepską parafrazę Szekspira, ale wy również wygłosilibyście równie dramatyczną tyradę, gdybyście przyłapali miłość swego życia *in flagranti*. Oczywiście, Trevor próbował mnie przekonać, że elokwentna pracownica Harmony Products ma prawo siedzieć w jego pokoju hotelowym i popijać wino, co więcej, że to nic zdrożnego. W końcu ona jedna wie, jak poprowadzić kampanię *Pour Deux*. Co w tym złego?

Wcale nie twierdziłam, że to złe, ale Trevor widocznie wy-

czuła moją złość, zaskoczenie i podejrzliwość. Co prawda nie krzyczałam i nie rzucałam niczym o ściany apartamentu (ozdobione zresztą jakimś historycznym motywem). Nie, po prostu nie byłam zbyt przyjacielska ani pozytywnie nastawiona do świata. No dobrze, przyznaję, że zachowywałam się nieco oziębło.

Zostałyśmy sobie przedstawione. Podchodząc do drzwi sypialni, dałam Meg (tak wysokiej i eleganckiej, że miałam ochotę ją spoliczkować, nawet jeżeli wcale nie próbowała uwieść Trevora) do zrozumienia, co o tym wszystkim sądzę, pytając, czy mogliby przenieść się do foyer, ponieważ jestem trochę zmęczona.

- Genevo! - warknął Trevor, wymawiając moje imię ostrzegawczym tonem.

- Och, naprawdę muszę już iść - powiedziała zdzira z Madison Avenue. - Czeka mnie jeszcze kilka telefonów. - Wzięła z sosnowego stołu folder i niepewnie pomachała nim na pożegnanie. - Było mi bardzo miło panią poznać. Uważam, że jest pani wspaniałą aktorką, panno Jordan.

Podniosłam rękę i machnęłam dłonią bardziej pogardliwie niż przyjacielsko.

Kiedy wyszła, Trevor spojrział na mnie, jakbym straciła cały swój dawny, obecny i przyszły urok.

- Mogłabyś mi wytłumaczyć, o co ci chodzi? - spytał.

Spojrzenie jego chłodnych błękitnych oczu było jeszcze bardziej lodowate niż zazwyczaj.

- Daj spokój, Trevorze - warknęłam, wychodząc z łóżka, do którego tak mi było spieszno. - Za kogo ty mnie uważasz? Za idiotkę?

- Owszem - przytaknął. - W tym przypadku zdecydowanie zachowałeś się jak idiotka.

- Pewnie mam uwierzyć, że rozmawialiście o interesach?

- Oczywiście, do jasnej cholery!

Trevor uderzył pięścią w sosnowy stół. Podziwiałam ten gest, nie wierzyłam jednak w jego szczerłość. Czy rzeczywiście był to przejaw gniewu, czy też świadomy chwyt?

- No cóż - westchnęłam, zabierając płaszcz i torebkę. - Widzę, że nie mam po co tu zostawać. Zdecydowanie nie brak ci towarzystwa.

Trevor złapał mnie przy drzwiach.

- Daj spokój, Genevo. Żartujesz, prawda?
- Nie, nie żartuję - zaprzeczyłam, próbując uwolnić się z uścisku.
- Co cię naszło, Genevo? To pierwsza duża kampania Meg. Dziewczyna chce, żeby wszystko dobrze wypadło, dlatego nachodzi ludzi. Przed przyjściem do mnie odwiedziła reżysera.
- Czy on też jest przystojny?
- Genevo - mruknął Trevor.

Wtedy nieoczekiwanie wybuchnęłam płaczem.

Zostałam na noc w historycznym pokoju i z prawdziwą radością donoszę, że znalazłam w nim nie tylko przeszłość.

To straszne - rozważałam następnego dnia w drodze powrotnej. - Co człowiekowi po wielokrotnym orgazmie, skoro nie wie, czy partner nie obdarza nim i innych kobiet? Chyba uwierzyłam Trevorowi, jednak dręczyło mnie to „chyba”. Chciałam wiedzieć, że mogę mu ufać; chciałam patrzeć, jak rozmawia z innymi kobietami, i nie podejrzewać, iż właśnie z nimi flirtuje; chciałam mieć pewność, że mu wystarczam.

W rzeczywistości jednak chciałam się przekonać, czy wyrażona poprzedniego wieczoru zgoda na ślub była właściwą decyzją, czy też powinnam przygotować się na najgorsze.

Kiedy hamowałam przed znakiem stopu, mój samochód wpadł w poślizg na niewielkim skrawku oblodzonej nawierzchni, i chociaż nie stało się nic straszego - nie wpadłam pod jadącą z naprzeciwka furgonetkę - zrozumiałam, że jestem zbyt podniecona, by prowadzić auto. Powinnam trochę się przejść albo napić czegoś gorącego bez kofeiny.

W miasteczku panowała przedświąteczna atmosfera. Witryny sklepowe zdobiły girlandy z gałęzi jodły i sosny, a na każdym drzwiach wisiał stroik. Zupełnie jakby świąteczne pocztówki z Nowej Anglii nagle nabrały życia.

Wysiadłam z samochodu i przespacerowałam się chodnikiem, po czym przeszłam na drugą stronę i wróciłam. Poczulałam się jak włóczęga i dlatego weszłam do sklepu z antykami.

Znalazłam kilka interesujących przedmiotów: krzesła firmy Hepplewhite i ozdobną szafę z drewna klonowego, ale w obecnej sytuacji zakupy jako sposób na depresję byłyby lekką przesadą. Zamieniłam kilka słów z właścicielem sklepu. Wiedziałam, że mnie rozpoznał, ale wyraźnie nie chciał robić

z tego afery. Kierując się do wyjścia, zauważyłam drewnianą figurkę gondoliera na łódce.

- Wezmę ją - oznajmiłam.

- Nie wiem nawet, skąd pochodzi - wyjaśnił właściciel, przyjmując pieniądze. - Ale wygląda jak Glauschein.

- Glauschein?

- To niemiecka rodzina, która na początku dziewiętnastego wieku produkowała zabawki. Robili sporo drewnianych drobiazgów, głównie pojazdy: wagony kolejowe, dyliżanse, statki i inne. Ale nie przypominam sobie, żeby któraś z ich zabawek była tak piękna.

Kosztowała tyle co para naprawdę dobrych butów, ale była tego warta. Rich na pewno się ucieszy.

- Kupiłam ci prezent, wiesz? - oznajmiłam, gdy Rich i Ann zadzwonili do mnie jeszcze tego samego wieczoru. Zdążyłam jedynie zapalić w kominku.

- Masz dla mnie prezent? - usłyszałam cichy, słodki głos Richa. - Jaki?

- Nie powiem. - Roześmiałam się. - Dostaniesz go na Gwiazdkę.

- Przyjedziesz do nas na Boże Narodzenie?

- Niestety. - Było mi przykro, że muszę ostudzić entuzjazm siostrzeńca. - Przecież wiesz, że na święta zostaję w Nowym Jorku.

- Nie chcesz obejrzeć bożonarodzeniowej parady? Będę jednym z Trzech Króli.

- Naprawdę?

Zanim zdążyłam zapytać o szczegóły, Rich oznajmił:

- Conrad jest w szpitalu.

- Conrad jest w szpitalu? - spytałam, zasuwając obudowę kominka. - Co się stało?

W słuchawce zaległa cisza, a kiedy Rich znów się odezwał, mówił z trudem, jakby coś utkwilo mu w gardle.

- Nie jestem pewien. Ale to coś gorszego niż przeziębienie... które złapał.

- Och, Rich!

- To mój serdeczny przyjaciel - przypomniał Rich, pocią-

gając nosem. W tle usłyszałam głosy. Po chwili siostrzeniec oznajmił: - Mama chce z tobą, ciociu, rozmawiać.

Ciągle tkwiłam przy telefonie, gdy wrócił Trevor.

- Zadzwoń jutro, Ann - obiecałam. - Pozdrów ode mnie Barb.

- Kim jest Barb i dlaczego przekazujesz jej pozdrowienia? - spytał, kiedy się rozłączyłam.

- To mama Conrada - wyjaśniłam. - Opowiadałam ci o niej, pamiętasz? Conrad jest przyjacielem Richa. Trafił do szpitala. Ma zapalenie płuc.

- Jako dziecko dwukrotnie przechodziłem zapalenie płuc - powiedział Trevor, nalewając sobie szkocką. - Wszystko przez te wietrzne angielskie zimy. Zawsze znajdują sposób, by dorwać się człowiekowi do płuc.

Trevor usiadł przy mnie na kanapie i zrzucił buty.

- Komplet - poinformował. - Zgadnij, kto siedział w środku pierwszego rzędu.

- Papież?

- Bardzo śmieszne. Nie, ktoś, kto może pomóc mi w karierze bardziej niż papież. Jake Bartholomew.

- Jake Bartholomew, człowiek, który wyreżyserował *Hunter s Dawn*?

- Ten sam. A teraz zgadnij, kto przyszedł za kulisy, by spytać, czy będę miał czas na zagranie w filmie, który zaczynają kręcić w lutym.

- Hmm... Dobra, poddaję się.

- Jake Bartholomew - rozpływał się Trevor, ignorując mój sarkazm.

Podeszłam do barku, uznając, że pora na coś mocniejszego.

- Jak to się dzieje, że wszyscy wielcy ludzie pojawiają się w teatrze wtedy, kiedy mnie tam nie ma?

Trevor się roześmiał.

- Gdybym cię nie znał, pomyślałbym, że wierzysz w spiskową teorię dziejów.

- Nie sądzę, by ktokolwiek przeciwko mnie spiskował. Po prostu uważam, że dużo tracę.

- Jutro po przedstawieniu idziemy z Jakiem na kolację.

- Mogę się przyłączyć?

- Genevo, to spotkanie w interesach. Zanudzisz się na śmierć.

- Zawsze chciałam poznać Jake'a Bartholomew!

Trevor wziął mnie za rękę i pociągnął na kanapę.

- Uwważaj - ostrzegłam, usiłując nie rozlać džinu z tomkiem.

- Genevo! - powiedział Trevor, marszcząc czoło, by podkreślić szczerze spojrzenie. - Proszę, nie zrozum mnie źle, ale nie chcę, żebyś tam była.

- Wielkie dzięki!

Trevor nastroszył się jeszcze bardziej, a zmarszczki na jego czole się pogłębiły.

- Proszę, Genevo. Ciężko mi się do tego przyznać, boję się jednak... boję się, że jeżeli przyjdiesz, to po prostu mnie przyćmisz. Boję się, że oślepiony twoim blaskiem Jake Bartholomew zapomni o mnie.

- Oślepiony moim blaskiem? To było dobre, Trevorze.

Trevor poruszył dłonią, by zamieszać drinka. Kostki lodu cicho zadzwoniły w kieliszku.

- Wybacz teatralność, Genevo, ale wiesz, o co mi chodzi, prawda?

Przez chwilę siedziałam kompletnie zniechęcona. Doskonale rozumiałam Trevora. Gdybym miała spotkać się ze znanym reżyserem, też nie chciałabym, żeby rozpraszał go inny aktor... ale to wszystko było takie przykre. W tym momencie nie znosiłam, nie - nienawidziłam Trevora. Złościł mnie również mój zawód i wybujałe ego, które my, aktorzy, od początku musimy w sobie rozwijać, ponieważ potrzebujemy jakiejś broni, ego, które służyło nam do ataku i obrony.

- No cóż - powiedziałam wreszcie. - Jeżeli Jake Bartholomew wspomni o głównej roli kobiecej, powiesz mu o mnie?

- Oczywiście, kochanie. - Trevor odstawił kieliszek na ławę i pocałował mnie. - Nie tylko mu o tobie powiem, ale jeszcze będę wychwalać cię pod niebiosa.

Stuknęliśmy się kieliszkami, doskonale się rozumiejąc.

Następnego dnia po próbie (która w rzeczywistości była jedynie formalnością; wszyscy widzieli, że pomimo dwumiesięcznej nieobecności doskonale wszystko pamiętam) wybrałam się na świąteczne zakupy. Uznałam, że jestem wyjątkowo zapobiegliwa. Do Wigilii zostało dziesięć dni, a ja już poza-

łatwiałam wszystkie sprawunki. W Bloomingdale przewalały się tłumy. Uwielbiałam tę grę zespołową, jaką było przeczesywanie stoisk w towarzystwie eleganckich mieszkańców Manhattanu, pachnących dobrymi perfumami, czeszących się u fryzjera, u którego wizyta kosztuje dwieście dolarów, i używających łokci skuteczniej niż hokeiści. Machnęłam jednak kartą kredytową z pewnością godną pierwszej damy, a wówczas jedna z ekspedientek przysłała mi z pomocą.

Kiedy wyszłam ze sklepu, wiał lekki wietrzyk. Byłam obciążona prezentami i zastanawiałam się, w jaki sposób przywołam taksówkę, skoro mam zajęte ręce. W tym momencie zatrzymał się przy mnie samochód, wysiadł z niego kierowca, zapytał, czy mnie podwieźć, po czym odebrał ode mnie pakunki i ostrożnie ułożył je na tylnym siedzeniu. Był to jeden z cudów, jakie się zdarzają o tej porze roku.

Świąteczną atmosferę mojego pachnącego choinką apartamentu dopełniały głosy Binga Crosby'ego i Nat King Cole'a. Pakowałam prezenty, od czasu do czasu sięgając do wielkiego pudła czekoladek, które przysłała mi Faith Bennet (usiłowałam doszukać się jakichś złych zamiarów z jej strony - czyżby chciała, żebym przytyła? - potem wreszcie pojęłam, że to tylko miły gest), i dzwoniłam do przyjaciół, którym nie wysłałam kartek świątecznych.

Właściwie to bardziej gadałam i jadłam (w bombonierce było kilka naprawdę wspaniałych karmelków), niż pakowałam. Dlatego gdy zmiotłam resztki wstążek i zmiełam skrawki papieru ozdobnego, zauważyłam, że minęła już północ.

Zdażyłam dwa razy dołożyć do kominka i pochłonąć prawie całą górną warstwę czekoladek, gdy wreszcie usłyszałam zgrzyt klucza w zamku.

- Nie śpisz jeszcze? - spytał Trevor.

- Jak ci poszło? - spytałam, siadając na kanapie.

Trevor usiadł przy mnie i wziął mnie za rękę.

- Dostałem tę rolę.

- Gratuluję, Trevorze!

- Zaczynamy w marcu w Meksyku.

- Szczęściarz z ciebie. Marzec w Meksyku. - Wypuściłam Trevora z objęć i spojrzałam na niego. - A co będzie w tym czasie z *Moną*!

Trevor prychnął pogardliwie.

- Zapomniałaś, że mój kontrakt kończy się w lutym?
- Zamierzasz odejść?
- Przecież ty odeszłaś.
- Wiem, ale... *Mona* nie utrzyma się na scenie bez ciebie!

Oczywiście, zdawałam sobie sprawę, że skoro *Mona* utrzymała się beze mnie, to utrzyma się też bez niego. Po prostu nie podobało mi się, że Trevor chce zrezygnować. Cała nasza przeszłość była związana z tym spektaklem, więc teraz, kiedy czekała nas wspólna przyszłość... cóż, wcale nie tęskniłam do zmian. Trevor oczywiście nie zrozumiał podtekstu; usłyszał tylko, że moim zdaniem bez niego sztuka zrobi klapę, dlatego podziękował mi za komplement długim, namiętym pocałunkiem.

- Wiesz coś na temat głównej roli kobiecej? - spytałam, odrywając się od niego.

- Słowo daję, że gorąco cię polecałem, ale...
- Ale co?
- Sądzę, że zaangażują Kimberly Killian.
- Kimberly Killian, tę aktorkę telewizyjną?

Trevor przytaknął i obdarzył mnie zatroskanym spojrzeniem.

- Ależ ona mogłaby być twoją córką!

To dość kiepski argument w przypadku mężczyzny, do którego poprzednia dziewczyna mogłaby mówić „tatuśku”. Uśmiezek Trevora dobitnie wyraził to, co on, Hollywood i śmietanka towarzyska mają do powiedzenia na ten temat: „I co z tego?”

- To mnie po prostu doprowadza do szału. Kiedy moim partnerem będzie dwudziestodwuletni gwiazdor? Czy oni wreszcie rozumieją...

- Genevo. Nie zaczynajmy wszystkiego od nowa - przerwał mi Trevor znudzonym tonem. Wstał i przeciągnął się: - Daj spokój. Chodźmy już do łóżka. Robi się późno.

Nie dla ciebie - pomyślałam. Ty ciągle grywasz z dzierlatkami.

We śnie bawiłam się jak nigdy dotąd - wjeżdżałam na szczyt góry rowerem jednokołowym, machając tłumowi jedujących Szwajcarów. Gdy zadzwonił telefon, dopiero po

dłuższej chwili zdałam sobie sprawę, że to niejodłowanie, tylko dźwięk pochodzący z rzeczywistego świata.

- Słucham? - rzuciłam do słuchawki.

Było to bardziej wyzwanie niż powitanie.

- Witaj Genevo, mówi Ann.

Jej głos był tak poważny, że usiadłam, natychmiast odzyskując przytomność.

- Co się stało?

- Chodzi o Conrada. Ma problemy z sercem. On... On... - Jej silny głos się załamał. - Jest za słaby, Genevo.

- Za słaby?

Bardzo pragnęłam, by zakończyła to zdanie czymś w rodzaju: „Jest za słaby z angielskiego! Cha, cha, cha!” Ale moja siostra tego nie zrobiła.

- Och, Ann - jęknęłam łamiącym się głosem. - Przyjadę tak szybko, jak tylko będę mogła.

- Naprawdę? Nie musisz, wcale tego nie oczekuję, ale... przyjeźdź, proszę. Rich będzie zachwycony.

- Zaraz dzwonię do mojego agenta, żeby załatwił mi bilety na samolot - rzuciłam na pożegnanie.

- Co miałbym tam robić, Genevo? - spytał Trevor, gdy pakowałam walizkę.

- Podtrzymywać mnie na duchu. Być przy mnie.

- Nie, będę tylko przeszkadzał. - Nie wstając z łóżka, pochylił się, próbując wziąć mnie za rękę, ale wywinęłam mu się. - Nikogo tam nie znam, Genevo.

- Znasz moją siostrę i szwagra - przypomniałam mu, próbując upchnąć świeżo kupione prezenty. - Znasz Richa.

- Owszem, spotkałem tych ludzi, co wcale nie znaczy, że ich znam. Zresztą dzisiaj mam przedstawienie. Myślisz, że zadzwonię do teatru i poproszę o kilka dni urlopu?

- Przecież masz dublera, prawda? Dublera, który jest gotów w razie potrzeby cię zastąpić.

- Genevo - powiedział Trevor takim tonem, jakby udzielał mi nagany. Ludzie odzywają się w ten sposób, gdy wiedzą, że ich rozmówca ma rację, ale im jest to całkiem obojętne. - Pamiętaj, Genevo, że dzisiaj mieliśmy kupić obrączki?

- Oczywiście - przytaknęłam, zwalczając pokusę, by wślizg-

nać się do łóżka i położyć obok Trevora. - Ale to może zacczekać, a Conrad nie.

- Będę przekazywał ci pozytywne wibracje - obiecał Trevor, całując mnie na pożegnanie.

- Dzięki - powiedziałam, chociaż w duchu pomyślałam: „Też mi coś!”

Stwierdzenie, że byłam zaskoczona, spotkawszy na lotnisku Jamesa przy wyjściu dla pasażerów, byłoby takim samym komunałem jak wyznanie, że lubię czekoladę.

James obdarzył mnie delikatnym, niewinnym pocałunkiem w policzki i wziął ode mnie torbę.

- Dzięki, że przyjechałaś - powiedział. - Jesteśmy ci za to bardzo wdzięczni.

- W końcu to nic takiego - wydukałam. - Dlaczego po mnie wyjechałeś, James? Chyba powinieneś być w pracy.

- Mam wolne. Kiedy dowiedziałem się, że przyjeżdżasz, zaproponowałem, że cię odbiorę.

- Skąd wiedziałeś, że przyjadę? Decyzję podjęłam kilka godzin temu.

- Ann do mnie zadzwoniła. Ostatnio często ze sobą rozmawiamy.

- Naprawdę? - spytałam, mijając trzech ponurych biznesmenów.

- Jasne. Zorganizowaliśmy coś w rodzaju sieci informacyjnej. Przekazujemy sobie wiadomości o stanie Conrada i o jego rodzinie. A rozmawiając z Ann, zawsze dowiaduję się przy okazji czegoś o tobie.

- Czy Ann powiedziała ci, że zgodziłam się wyjść za Trevora?

James odciągnął mnie na bok i przyłożył mi dłoń do czoła.

- Chyba masz gorączkę.

Uśmiechnęłam się do niego przyjaźnie - nie byłam w stanie się roześmiać - i spytałam o Conrada.

- Jedziemy prosto do szpitala - oznajmił. - Wszyscy już tam są.

- Och, James - jęknęłam. Serce waliło mi w piersiach jak oszalałe. - Jest aż tak źle?

James przytaknął.

- Bardzo.

Wchodząc do szpitala, powtarzałam sobie: „Głowa do góry! Nie poddawaj się! Kiedy życie staje się twarde, na przetrwanie mogą liczyć tylko najtwardsi. Uśmiechnij się!”

Uważałam, że całkiem nieźle mi idzie do czasu, gdy wysiedliśmy z windy i ruszyliśmy korytarzem w stronę drzwi wahadłowych z napisem: Oddział intensywnej opieki medycznej.

- Och, James, chyba zaraz zemdleję.

- Lepiej tego nie rób - powiedział, obejmując mnie w pasie. - Oprzyj się na moim ramieniu.

Ann przeczytała mi list, który Rich dostał w szkole. Była w nim prośba, żeby uczniowie nie przynosili ze sobą niczego, co chociaż w najmniejszym stopniu przypominałoby o Bożym Narodzeniu, jako że „byłoby to niesprawiedliwe w stosunku do dzieci, które tych świąt nie obchodzą”. Na szczęście nowy przepis nie dotyczył poczekalni szpitalnej. Gdzie jak gdzie, ale właśnie tam potrzebny był jakiś radosny akcent. Szanuję ludzi wszystkich wyznań, ale choinka, ozdoby i sylwetki reniferów są uniwersalne; wszyscy lubią świętego Mikołaja i prezenty. Oczywiście, mogłabym też przytoczyć argument, że wszelkie odmienne sposoby obchodzenia świąt religijnych są jedynie odmiennymi sposobami, ale Boże Narodzenie ze świętym Mikołajem wydaje się zupełnie innym świętem niż Boże Narodzenie bez niego.

W rogu poczekalni stała sztuczna choinka, obwieszona czerwoną i srebrną lametą. Było to jedyne pogodne miejsce w pomieszczeniu, którego ściany oklejono tapetą winylową w kolorze łososiowym, ozdobioną deseniem przypominającym srebrzystometalowe plemniki. Bez trudu zajęłaby pierwsze miejsce w konkursie na najbrzydszą tapetę wszech czasów. Dwa płótna w poczekalni przypominały obrazy, które można nabyć na balu dobroczynnym, zorganizowanym pod hasłem „Pomóżmy głodującym artystom”. Miałam zamiar porozmawiać z administratorem szpitala i spytać go, czy celowo chciał zepsuć samopoczucie odwiedzających, czy też...

- Cześć, ciociu!...

Rich znów tak mocno mnie uściśnął, że omal nie upadłam na podłogę. Przyłączyli się do nas Ann i Riley. Uściskom

i pocałunkom nie było końca. Potem podeszliśmy do kanapy, której obicia wyglądały na wyjątkowo łatwopalne.

Gdy usiedliśmy, radosny nastrój powitania prysnął. Wszyscy wyglądali na ogłuszonych i wyczerpanych. Rich zaś sprawiał wrażenie niemowlaka, który obudził się po zbyt długiej drzemce.

- Serce Conrada nie pracuje tak, jak powinno - wyjaśnił chłopiec.

Kiwnęłam głową. Nie byłam w stanie wydusić z siebie ani słowa.

- Już wcześniej bywał w szpitalu - ciągnął Rich. - Ale zawsze jakoś z tego wychodził.

Zerknęłam na siostrę. W jej oczach zobaczyłam taki smutek, że nie mogłam na nią patrzeć. Byłam zaskoczona spostrzeżeniem, że organ, który pozwala nam spoglądać na świat, zdradza innym ludziom to, co dzieje się w naszej duszy.

- Lepiej by było, gdyby i tym razem sobie poradził - dodał Rich, krzyżując ręce na piersi i marszcząc czoło.

James, który dotychczas siedział na stołku od fortepianu, wstał.

- Witaj, Barb! -zawołał.

Przywitałyśmy się na środku pokoju. Obejmowałyśmy się długo i mocno.

- Cześć, Genevo - powiedziała moja przyjaciółka. - Bardzo się cieszę, że przyjechałaś.

- Musiałam - zapewniłam, bardzo się starając, żeby nie drżał mi głos.

- Chcesz przy nim trochę posiedzieć?

Z tym pytaniem Barb zwróciła się do Ann, która po chwili w towarzystwie Riley'a i Richa wyszła z poczekalni.

- Ja też chętnie do niego pójde - dodał James.

Nie przestając się obejmować, podeszłyśmy do kanapy.

- Co się stało, Barb?

Chyba nie obraziła się na mnie za obcesowe pytanie, choć przez chwilę milczała, jedynie potrząsając głową. Nie wyglądała dobrze. Miała odcisk na policzku, a nieudana trwała oklapła z boku, jakby Barb długo siedziała, opierając głowę na dłoni.

- Pamiętasz tamto przeziębienie? Nie pozwalałam mu cho-

dzić na basen, bo nie mógł się potem wygrzebać z chorób. Od tego wszystko się zaczęło.

Kiwnęłam głową, tęskniąc do czasów, kiedy Conradowi nie dokuczało nic poza zwykłym przeziębieniem.

- Podczas Święta Dziękczynienia i na początku grudnia czułam się już lepiej. Potem pewnego poranka znalazłam go w samej piżamie siedzącego na schodach.

Oczy Barb zasnuły się łzami.

- Najpierw miałam ochotę na niego nakrzyczeć. No wiesz: „Pośpiesz się, Connie, bo spóźnisz się na autobus!” Ale podniósł na mnie wzrok i powiedział: „Nie mogę oddychać, mamusiu”. - Barb opuściła głowę. - Nie potrafię opisać tego uczucia, tego chłodu, który mnie przeniknął. Wiedziałam, że to coś poważnego.

- Rich mówił, że Conrad już przedtem parę razy leżał w szpitalu.

Barb kiwnęła twierdząco głową.

- Urodził się z bardzo słabymi płucami. Zawsze miał kłopoty z oddychaniem. - Barb gwałtownie zaczerpnęła powietrza. Zabrzmiało to prawie jak płacz. - Potem płuca wyraźnie się wzmocniły. Bardzo pomogło pływanie. Jednak teraz...

Barb wpatrywała się w choinkę, poruszając jedynie kciukami.

- Teraz to nie płuca, lecz serce, prawda?

- I jedno, i drugie. Connie ma powiększone serce i osłabione płuca. Jedno pogarsza stan drugiego. Boję się... och, Genevo, tak bardzo się boję!

Przytuliłam Barb, niebawem jednak przerwały nam jej dzieci, które wyglądały, jakby od dawna nie spały.

- Przynieśliśmy ci coś do jedzenia, mamusiu - powiedziała dziewczyna, która przedstawiła się jako Maddy. - To zupa z restauracji. Powinna być dobra.

- Mamusiu - odezwał się Joel, siadając obok. - Rozmawiałem z tatą. Już tu jedzie.

Barb oparła głowę na ramieniu syna i wzięła od córki talerz z zupą. Byłam zaskoczona pocieszeniem, jakie starsze dzieci niosły matce.

- Barb - spytałam. - Czy mogę odwiedzić Conrada?

- Oczywiście.

Przywołała na usta delikatny, uprzejmy uśmiezek, jakby chciała mnie przekonać, że nic jej nie dolega.

- Pokażę pani jego salę - zaproponował Joel, delikatnie odsuwając się od matki. - Zaraz wracam, mammo.

Joel, podobnie jak jego rodzice, był wysokim chłopcem. Miał czarne, proste włosy. Zapewne Barb miałyby takie same, gdyby nie robiła trwałe.

- Mama sporo nam o pani opowiadała - przyznał, gdy zśliśmy korytarzem. - Jest bardzo zadowolona, że pani przyjechała.

- Och!

Byłam zażenowana wdzięcznością, którą mi okazywano tylko dlatego, że tu przyjechałam.

- To nie... no cóż... zaprzyjaźniłam się z twoją matką. I Conradem.

Chłopak szedł wyprostowany jak ktoś, kto poczuwa się do odpowiedzialności za rzeczy, które go przerastają. Jednak kiedy usłyszał moją odpowiedź, nagle opuścił głowę, jakbym zadała mu cios.

- Dobrze się czujesz? - spytałam, kiedy oparł się o ścianę.

Joel potrząsnął głową, ale nie otwierał oczu.

- Po... po prostu nie mogę w to wszystko uwierzyć. Takie rzeczy nie powinny się zdarzać.

Oparłam się o ścianę obok chłopca i przyglądałam biegącej korytarzem pielęgniarce.

- Biedny Connie. - Joel pociągnął nosem i po chwili dodał: - To dobije tatę.

- Dobije tatę? - spytałam zaskoczona. - Dlaczego?

Joel odrzucił do tyłu głowę i wbił wzrok w sufit.

- Nigdy nie próbował poznać Conrada tak jak mama, Mad-dy czy ja. - Joel wydał gardłowy dźwięk, jakby zamierzał spluć albo się rozpłakać. - Teraz nie będzie mógł sobie tego wybaczyć.

- A mama? - szepnęłam.

Dziwny dźwięk przerodził się w śmiech.

- Och, ona wszystko mu wybaczy.

- Nie o to mi chodziło. Czy gdyby Conrad... umarł... czy zdołałaby się z tym pogodzić?

Byłam zdumiona intymnością naszej rozmowy. Zналиśmy się zaledwie od pięciu minut, czasami jednak odnoszę wraże-

nie, że szpitale bardzo przypominają pociągi i samoloty, a przebywający w nich ludzie odbywają pewnego rodzaju podróże i pragną o tym porozmawiać.

Joel stał na jednej nodze jak flaming, pelikan, czy jak się tam nazywa ten cholerny ptak, który lubi stać na jednej nodze. Drugą zgiął w kolanie i oparł stopą o ścianę. Nie patrzył już w sufit, lecz w podłogę.

- Mama jest niezniszczalna. Babcia, mama mamy, często powtarza, że mama potrafi pogodzić się ze wszystkim.

- Zastanawiam się jednak...

Joel odepchnął się od ściany.

- To sala Conniego. Ta z balonikami - wskazał.

Po tym pożegnaniu wysoki młody człowiek odszedł, ciągnąc palcem po ścianie.

Czułam się tak, jakby nogi wrosły mi w podłogę - nie mogłam się ruszyć. Poczulałam zapach parzonej kawy i wyobraziłam sobie lekarza pełniącego czterdziestoosmiogodzinny dyżur, przemęczonymi oczami wpatrującego się w filiżankę i niecierpliwie poganiającego pielęgniarkę czy kogoś innego parzącego tę kawę. Chętnie napiłabym się kawy - pomyślałam i idąc za zapachem, oddaliłam się od pokoju Conrada.

- Tutaj, Gcnevo!

Zaskoczona, zatrzymałam się na środku korytarza. Kiedy się odwróciłam, ujrzałam Rileya stojącego w ozdobionych balonikami drzwiach. Przywoływał mnie gestem ręki.

- A więc tu jesteście - powiedziałam, nie przyznając się, że miałam zamiar uciec.

- Idę po kawę - rzekł szwagier.

- Myślałam o tym samym - odparłam.

- Przyniesiemy ci - zaproponowała Ann. - Zostaniesz z Richem i Conniem?

- Gdzie jest James?

- Nie wiem. Wyszedł kilka minut temu.

- Myśleliśmy, że wrócił do poczekalni.

Zamiast silić się na odpowiedź, wzruszyłam ramionami. Minęłam ich w drzwiach i znalazłam się w sali szpitalnej. Na sznurku biegnącym wzdłuż ściany wisiały liczne kartki, zawierające świąteczne pozdrowienia i życzenia powrotu do zdrowia. Na parapecie siedziały stłoczone pluszowe zwierzątka. Na stoliku leżała czapeczka Conniego.

- Cześć, ciociu - powitał mnie Rich, siedzący przy łóżku przyjaciela.

Zaczerpnęłam powietrza i odrzekłam:

- Cześć, Rich.

Siedząc na krześle obok siostrzeńca, bezskutecznie usiłowałam ominąć wzrokiem Conniego, podłączonego do różnego rodzaju piszczących i szemrzących urządzeń. Czułam się tak, jakbym usiłowała nie patrzeć na kraksę samochodową.

- Co u niego słyhać? - zadałam retoryczne pytanie, biorąc Richa za wolną rękę. W drugiej trzymał dłoń przyjaciela.

- To mi się nie podoba - odparł cicho Rich. - Wcale mi się to nie podoba.

- Mnie też.

Zacisnęłam powieki, starając się pokonać panikę, która dosłownie mroziła mi krew w żyłach. Nie wiem, jak długo siedziałam w takim stanie.

- Ciociu, ciociu, obudź się! - powiedział wreszcie Rich.

- Nie śpię - zapewniłam go. - Po prostu przypominam sobie, jak po raz pierwszy przyjechałam po was na basen.

- Wtedy, kiedy się spóźniłaś i musieliśmy dzwonić po mamę Conniego?

- Nie, wtedy, kiedy patrzyłam, jak pływacie.

Przyjechałam za wcześnie. Weszłam do wilgotnej, pachnącej chlorem hali, w której znajdował się basen, i usiadłam na ławce pod ścianą. Młody trener popędzał pływaków. Widocznie się ścigali, ale w spienionej wodzie nie mogłam rozpoznać żadnego z nich. Po dopłynięciu do końca basenu prawie wszyscy wykonywali salto w wodzie, z wyjątkiem dwóch najwolniejszych zawodników, którzy zatrzymali się i odwrócili, dotykając brzegu basenu. Ta dwójka (rozpoznałam w nich Richa i Conniego) skończyła dopiero wtedy, gdy wszyscy inni wyszli już z wody.

- Hej, chłopcy! - krzyknął trener, wyciągając przed siebie stoper. - Pobiliście własny rekord!

Rich i Connie przybili piątkę, nie zwracając uwagi na oklaski kolegów z drużyny. Po wyjściu z wody Conrad zaczął machać rękami i uderzać nogą o płytki. Myślałam, że dostał jakiegoś ataku.

- Pamiętasz, jak Connie po wyjściu z wody wykonywał taniec kurczaka?

- Raczej mokrej kury - poprawił mnie Rich. - Trener powiedział, że popłyniemy szybciej, jeżeli sobie wyobrazimy, iż jesteśmy wściekli. Miał rację. Kiedy wyszliśmy z basenu, Connie wyjaśnił trenerowi: „Nie byłem zwyczajnie zły, byłem bardziej wściekły niż mokra kura”. Potem wykonał ten swój szalony taniec!

Całe zajście stało się zabawne, gdy z reakcji trenera i kolegów wywnioskowałam, że Conrad wcale nie potrzebuje natychmiastowej pomocy lekarza. Jeszcze bardziej się śmiałam, kiedy cała drużyna z trenerem na czele ruszyła do szatni krokiem zaprezentowanym przez Conniego.

- Connie tańczy zawsze, gdy tylko nadarza się ku temu okazja - szepnął Rich, po czym pochylił się nad przyjacielem, ale przeszkadzały mu przewody. - Jesteś taki zabawny, Connie. Jesteś najlepszym, najzabawniejszym przyjacielem na świecie.

Rozległo się głośne pukanie do drzwi, zwiastujące wejście tłumu ludzi, łącznie z doktorem, pielęgniarką Barb, jej dziećmi i wysokim mężczyzną. Przypuszczałam, że to George.

- Chodźmy, Rich - zaproponowałam, ciągnąc siostrzeńca za rękę.

Chłopiec podniósł się powoli i niepewnie pokiwał palcem przyjacielowi, nakazując mu, by nigdzie się nie ruszał.

Riley zabrał Richa do domu. Siedziałyśmy z Ann w poczekalni, pijąc pozbawioną smaku kawę. Na szczęście była mocna. Po wypiciu wrzuciłam styropianowy kubek do kosza i gwałtownie wstałam.

- Chyba się trochę przejdę - powiedziałam do siostry. - Przyłączysz się?

Ann pokręciła głową. Wypadłam z poczekalni tak szybko, że prawie zderzyłam się z sanitariuszem, popychającym wózek wyładowany brudną pościelą.

Potrzebowałam świeżego powietrza, pachnącego czymś innym niż środek antyseptyczny, rozpylany w szpitalu przez urządzenia wentylacyjne.

Wcisnęłam guzik. Kiedy otworzyły się drzwi windy, musiałam wziąć głęboki wdech. Nie, nie zobaczyłam spowitego

w prześcieradło nieboszczyka, wiezionego do podziemnej kostnicy. Miałam przed sobą Jamesa.

- Cześć - pozdrowiłam go, wsiadając do windy. - Gdzie byłeś?

- Tu i tam - odparł. - Na zewnątrz, w kawiarni, w kaplicy. Ktoś nagle krzyknął:

- Proszę przytrzymać drzwi!

James zablokował je ramieniem.

- Dzięki - odezwał się młody mężczyzna, towarzyszący kobiecie w zaawansowanej ciąży. - Wysiedliśmy na niewłaściwym piętrze. Chyba jesteśmy trochę zdenerwowani.

- Och...-jęknęła jego żona.

- Które piętro? - spytał James.

- Piąte - odparł mężczyzna.

James wcisnął guzik.

Kobieta znów jęknęła. Mężczyzna przytulił ją jeszcze mocniej.

- Dobrze, już dobrze, kochanie.

- Nie, wcale nie jest dobrze - zaprotestowała kobieta, podtrzymując ogromny brzuch. - Chcę do domu.

- To nasze pierwsze dziecko - wyjaśnił nieznajomy, z radosnym uśmiechem na ustach. - Wyznaczony termin przypada na przyszły tydzień. - Zadzwoił dzwonek i drzwi się otworzyły. - Zabawne, gdyż poza tym przypadkiem żona zawsze się spóźnia.

- Proszę - błagała kobieta, gdy szli w stronę dyżurki pielęgniarek. - Nie chcę.

Ależ chcesz, chcesz - pomyślałam - ponieważ dzięki temu będziesz miała dziecko.

Drzwi windy prawie już się zamknęły. Wcisnęłam guzik, by je otworzyć.

- Zostańmy na tym piętrze, James - poprosiłam. - Przyjrzyjmy się niemowlętom.

Stojąc przed przeszkloną ścianą, wskazałam jedno z czworoga niemowląt:

- Spójrz na nią. Będzie pierwszą kobietą pełniącą funkcję przewodniczącej Izby Reprezentantów.

W czerwonej, pomarszczonej twarzyczce noworodka w róż-

żowej włóczkowej czapeczce dominowała szeroko otwarta buźka.

- Albo gwiazdą Broadwayu - dodał James.

- Wielkie dzięki. - Dałam mu kuksańca. - Spójrz tam.

Zobaczyłam śpiące dziecko. Na jego twarzyczce malowały się błogi spokój i pogoda ducha.

- Nie pozwoli, by cokolwiek wytrąciło je z równowagi - przepowiadał James. - Prawdopodobnie zostanie dyplomatą... o ile nie będzie wiecznie spał.

Pielęgniarka uśmiechnęła się do nas, wkładając do czystego plastikowego łóżeczka jeszcze jedno zawiniątko.

- Kolej na nie - zaproponowałam, przyglądając się dziecku o rozbieganych oczkach. - Będzie odkrywcą. Może nawet jako pierwszy człowiek postawi nogę na Marsie.

- Ale westchnęłaś - zauważył James, obejmując mnie ramieniem.

- Och! - Nawet nie wiedziałam, że westchnęłam. - Po prostu... po prostu kocham dzieci. Tymczasem nigdy nie będę miała własnego.

James przytulił mnie jeszcze mocniej.

- Może to dobrze - orzekłam wysokim, spokojnym głosem. - A gdyby moje dziecko... - spytałam, myśląc o Conradzie, leżącym trzy piętra wyżej - ...umarło?

Oparliśmy czoła o szybę i przyglądaliśmy się noworodkom. Uśmiechnięta pielęgniarka znów baczenie nam się przyjrzała, tym razem chyba nieco zaniepokojona.

- Dlaczego Bóg pozwala, by dzieci umierały?

Tym razem to James westchnął.

- Nie wiem, Genevo. A dlaczego pozwala dzieciom żyć? Nie wiem, dlaczego Bóg robi to czy tamto.

- Więc dlaczego tak głęboko wierzysz?

- Wiara to nie wiedza, tylko ufność.

- Owszem, ale ja raz zaufałam... - Miałam na myśli swoje małżeństwo z Jeanem Paulem. - I bardzo się zawiodłam.

- Kiedy człowiek wierzy - wyjaśnił James - mimo że czasem coś sugeruje, że Bóg nie istnieje, to częściej można natrafić na dowody przemawiające za Jego istnieniem.

- Chyba nawet nie wiem, czy Bóg to on, czy ona - wyznałam.

- Ja też tego nie wiem - przyznał James. - Jeszcze nie znalazłem właściwego słowa, którym można by określić Boga.

Kolejna para szykująca się do porodu zatrzymała się obok nas i zadrżała przez szybę, prawdopodobnie szukając natchnienia.

- Przejdźmy się - zaproponowałam.

Nagle poczułam się przytłoczona całym misterium narodzin.

- Jak myślisz, dlaczego Bóg nigdy nie dał mi dziecka?

- Och, Genevo - westchnął James. - Czemu zadajesz mi takie trudne pytania?

Uśmiechnęłam się blado.

- Mówisz jak moja cioteczna babcia, Tove. Pytam, bo chciałabym znać odpowiedź.

- Cóż, każdy by chciał. Ale czasem, kiedy mnie o coś pytasz, chcesz, żebym udzielił takiej odpowiedzi, jakiej się spodziewasz. A gdy mi się to nie udaje, zachowujesz się tak, jakbyś się na mnie zawiodła.

- Naprawdę? Nie wiedziałam. Po prostu czasem wydaje mi się, że inni ludzie wiedzą więcej ode mnie.

- Zawsze miałem wrażenie, że to ty znasz wszystkie właściwe odpowiedzi, Genevo.

Stanęliśmy przy windach. James wcisnął guzik i drzwi jednej z nich natychmiast otworzyły się z cichym szmerem.

- Prawdę mówiąc, nie wiem, dlaczego Bóg nie dał mi dziecka.

- Myślę, że nie chodzi o to, co Bóg nam daje albo czego nie daje, ważniejsze jest, co my sami z tym robimy.

James spojrział na podświetlone cyfry nad drzwiami windy. Cofnęłam się o krok i działając pod wpływem niewytłumaczalnego impulsu, pokazałam mu język, jak dziecko wyrażające w ten sposób swój stosunek do kolegi, który zawsze ma na wszystko gotową odpowiedź.

W nocy spałam jak niemowlę - niespokojny, cierpiący na kolkę bobas, który budzi się co pół godziny, rozpaczliwie pragnąc pociechy, ciepła i otuchy. Rzadko zmieniałam rytuał związany z ponownym zasypianiem: rozprostowałam pasek mokrych od potu spodni piżamy (ach, te rozkosze związane

z menopauzą!), wytłukłam twarde jasiek i gapiłam się w lampki migające na choince. To był zwyczaj, który nie dawał natychmiastowych skutków, ale wreszcie zapadłam w sen. Śniło mi się, że jestem przerażonym, ściganym dzieckiem. Po przebudzeniu poczułam prawdziwą ulgę. Potem naprawdę bardzo długo nie mogłam zasnąć.

Kiedy wreszcie skończył się mój sen o niebezpiecznym tanerczu, otworzyłam oczy i zamrugałam energicznie. Nikłe, szare światło świadczyło o tym, że zaczęło już świtać. Wiedziałam, że Ann jest w pokoju, chociaż jej nie widziałam ani nie słyszałam.

- Chyba powinnam wyłączyć te lampki - powiedziałam, siadając na łóżku. - Pamiętasz, jak mama krzyczała do taty, żeby je zgasił, zanim pójdzie spać?

Nie otrzymawszy odpowiedzi, odwróciłam się. Zobaczyłam stojącą w drzwiach Ann. Miała na sobie płaszcz. Była wyprostowana i nieruchoma jak rzeźba.

- Ann - szepnęłam, idąc w jej kierunku.

Zorientowałam się, że to nie gra, a moja siostra drży.

Zawahałam się. Nie chciałam zbliżyć się jeszcze bardziej. Pragnęłam, żeby czas stanął w miejscu. Wiedziałam, że Ann przyszła mi coś powiedzieć, ale nie chciałam tego słyszeć. Nim jednak zdążyłam ją poprosić, żeby zaczekała - może zignorowałybyśmy prawa czasu i przestrzeni? - moja siostra otworzyła szeroko oczy, jakby wpatrywała się w lśniące, złociste wahadełko hipnotyzera, i powiedziała:

- Connie... nie żyje.

Zacisnęłam powieki. Splecione w uścisku, omal nie upadłyśmy na podłogę. Po chwili złapałam się na tym, że wkładam płaszcz, który wyjęłam z szafy.

- Chodźmy - zaproponowałam, zbliżając się do siostry i zaciskając dłoń na jej ramieniu. - Przejdźmy się.

- Nie mogę - powiedziała przepraszącąco. - Na zewnątrz jest za zimno. Bardzo zmarzłam.

- W porządku - zgodziłam się, otwierając drzwi. - W takim razie wybierzmy się na przejażdżkę.

W trudnych chwilach zawsze zdawałam się na instykt. Czułam się tak, jakby jakiś gburowaty, ale przyjaźnie nastawiony przewodnik prowadził mnie w miejsce, o którym nie chciałam myśleć, ale do którego i tak musiałam trafić. Tym ra-

zem instynkt podpowiedział mi, że obie potrzebujemy ruchu, musimy gdzie się udać.

Samochód Ann był jeszcze ciepły.

- Przyjechałaś prosto ze szpitala? - spytałam, biorąc od siostry kluczyki i zapuszczając silnik.

Ann przytaknęła.

- Kie... kiedy...?

- Zmarł o czwartej czterdzieści dwie - odpowiedziała Ann, kiedy zrozumiała mój bełkot. - Conrad urodził się późno w nocy i umarł wczesnym rankiem, jak powiedziała Barb. - Ann przetarła palcem zaparowaną szybę. - W kółko to powtarzała, jak mantrę albo ogłoszenie dla prasy.

Zamrugałam powiekami, żeby pokonać łzy, które cisnęły mi się do oczu. Wycofałam wóz z podjazdu, ulegając potrzebie ucieczki. Niebo na wschodzie zdążyło się już zaróżowić, pojechałam więc w tamtą stronę, próbując przełknąć kluchę, która uwięzła mi w gardle.

- Nie pożegnał się - ciągnęła Ann, kiedy skręcałam w Lake Road. - Barb była pewna, że przed śmiercią Conrad otworzy jeszcze oczy i da jej jakiś znak, mrugnie albo się uśmiechnie, tymczasem on po prostu odszedł.

Powiedziała to tak spokojnie, że aż struchlałam, gdy chwilę później wrzasnęła, jakby ugryzła ją osa.

- Po prostu odszedł! - powtórzyła. - Uwierzysz, że Conrad odszedł bez jakiegoś żarciku? Bez puenty? - Ann kiwała głową w tył i w przód, jak manekin w testach samochodowych. - Mój Boże, Genevo, nie powiedział nawet: „Żegnajcie!”

Ann zapiszczała, a kiedy nie mogła już dłużej się hamować, zaczęła szlochać. Czułam, że mam potwornie napięte mięśnie.

Wielkie, szare, zamarznięte jezioro stanowiło istne uosobienie przygnębienia. Otaczały je nagie, czarne drzewa o gałęziach przypominających kleszcze krabów. Zawróciłam na autostradę, aby uniknąć tego widoku.

Ann płakała, ukrywszy twarz w dłoniach. Jechałam różnymi drogami, by wreszcie utknąć w korku. Przypomniałam sobie rozmowę w samolocie ze sprzedawcą perfum. Teraz już wiedziałam, jak pachnie rozpacz. Ma zapach przegrzanego wnętrza samochodu, brudnego śniegu i lepkiego potu, wydzielanego przez napięte jak struna ciało. Nie tylko znałam zapach

rozpaczy, ale też jej dźwięk: tłumiony przez rękawiczki szloch mojej siostry, ślizgające się po błocie opony i łomot serca, przypominający dudnienie tam-tamów ogłaszających wojnę plemienną.

Zastanawiałam się, co właściwie chcę osiągnąć, jadąc bez celu (i jak się okazało po zerknięciu na tablicę rozdzielczą - za szybko), gdy jednak na horyzoncie pojawiło się Minneapolis, wiedziałam już, dokąd zmierzam.

Zaparkowałam samochód i wyłączyłam silnik. Myślałam, że Ann śpi, jednak chwilę później oderwała dłonie od bladej, skapanej we łzach twarzy i wyjrzała przez przednią szybę.

- O kurczę! - zawołała ochrypłym głosem. - Nasze stare śmieci.

Siedziałyśmy w milczeniu, przyglądając się dwóm domkom, w których dorastałyśmy.

- Co się stało z wielkim drzewem rosnącym na podwórku przed domem babci? - spytałam.

- Założę się, że pokonała je choroba holenderskich wiązów - wyjaśniła Ann. - Zniszczyła tysiące drzew.

- Kiedy?

Ann pociągnęła nosem.

- Nie wiem, jakieś piętnaście, dwadzieścia lat temu.

- To było ładne drzewo. Pamiętasz, jak stawiałyśmy pod nim stolik do kart i sprzedawałyśmy lemoniadę?

- Dziesięć centów za szklanekę. - Ann się uśmiechnęła. - Nasza cena była dwukrotnie wyższa niż u innych sprzedających, ale przekonywałyśmy klientów, że używamy tylko...

- ...najlepszych cytryn - dokończyłam, po czym powiedziałyśmy na głos nasz slogan: „Najlepsze cytryny z Lemon City na Florydzie”.

- Sprzedawałyśmy wszystko do ostatniej kropelki - ciągnęła Ann, ściskając moją dłoń.

Byłam zdumiona siłą tego uścisku. Wcześniej nawet nie zdawałam sobie sprawy, że trzymamy się za ręce.

- Chcesz rozejrzeć się po okolicy? - spytałam.

Ann przytaknęła i otworzyła drzwi samochodu.

Stanęłyśmy ramię w ramię na odśnieżonym chodniku, patrząc na domy naszych dziadków i rodziców.

- Dom babci niedawno otynkowano - zauważyła Ann.

- Za naszych czasów był lepiej utrzymany. Wyglądał ładniej, gdy był zielony.

- Pamiętasz, jak zbudowałyśmy sobie mały domek i pocięłyśmy jedną z siatek, żeby wstawić ją do okna?

- Tata był wściekły - przypominałam sobie. - A babcia spytała go: „Nie potrafisz rozpoznać wartościowej architektury?”

Ann roześmiała się na to wspomnienie. Niewątpliwie rozbawiła ją również mój najprawdziwszy norweski akcent.

Postanowiłyśmy ruszyć z miejsca, zanim ktoś z mieszkańców zawiadomi policję o dwóch kobietach w średnim wieku, obserwujących dom.

- Przejdźmy się kawałek - zaproponowała Ann.

Wędrując pod gałęziami rosnących wzdłuż alei drzew, pozbawionych liści, dotarłyśmy do najbliższego skrzyżowania, skręciłyśmy w bok, a po pokonaniu następnego rozwidlenia znalazłyśmy się z powrotem na naszej ulicy.

Jeżeli w Minneapolis na jakiejś ulicy mieszka dużo dzieci, miejscem zabaw i spotkań towarzyskich jest dla nich jezdnia. Tu ścigałyśmy się na rowerach, jadąc po obu stronach środkowej linii. Poklepywaliśmy Timmy'ego - starego psa myśliwskiego, śmierdzącego, a mimo to kochanego przez wszystkich, i niezmiennie obserwującego nas ze swojego miejsca przy drzwiach garażu. Tutaj bawiłyśmy się, kopiąc puszkę albo grając w klasy i krzycząc ostrzegawczo: „samochód!”, ilekroć pan O'Keef przejeżdżał swoim fordem (gdy wybierał się w podróż służbową, za tylną szybą jego wozu wisiały wieszaki z koszulami) albo pan Mayer usiłował przedrzeć się swoim kombi z drewnianą paką. Biegałyśmy po podwórkach, na których suszyły się rozpięte na sznurach kombinezony, koszule robocze, szorty i bluzki, a u otyłej pani Huffman wisiały ogromne bawełniane staniki i pasy do pończoch. Wystarczyło na nie popatrzeć, żeby człowiekowi zrobiło się smutno i nie miło. Wtedy jeszcze każdy palił własne śmieci. Jako dzieci stawałyśmy wokół zardzewiałej beczki i rzucałyśmy do niej patyki i kamienie. Przy każdym trafieniu unosił się z niej snop iskier. Teraz przy każdym garażu stały wielkie plastikowe pojemniki z pokrywami, chroniącymi przed smrodem gnijących odpadów, oraz zielone pudła na śmieci przeznaczone do utylizacji.

Wędrowaliśmy w milczeniu. Podtrzymywałyśmy się nawzajem, ilekroć któraś z nas się poślizgnęła na lodzie. Choć po raz ostatni szłam tą ulicą kilkadziesiąt lat temu, znałam okolicę o wiele lepiej niż moją obecną dzielnicę w Nowym Jorku.

Stanęłyśmy przed krótkim podjazdem prowadzącym do garażu, który niegdyś należał do naszej babci.

- Och, Genevo, zobacz - szepnęła Ann.

Odśnieżony podjazd prowadził z ulicy prosto do domu. Pewnego upalnego lata babcia Hjordis, Ann i ja za pomocą gałązek zerwanych z krzaka bzu wryłyśmy nasze inicjały w świeżo wylanym betonie.

- Boże, jak mi jej brak! - westchnęłam.

- Mnie też - przyznała Ann. - Ale przynajmniej w ciężkich chwilach mamy siebie nawzajem. A kto będzie przy Richu? Jediną osobą, która pomogłaby mu pogodzić się ze śmiercią Conniego... był... Connie.

Z budynku wypadł owczarek niemiecki, ostrzegając warczeniem, że rozszarpie nam gardła. Zaczął biegać wzdłuż ogrodzenia. Kiedyś leżał tu puszysty, śmierzący, spokojny Timmy i machał kudłatym ogonem za każdym razem, gdy zatrzymywałyśmy się, by pogłaskać go po łbie.

Padłyśmy sobie z Ann w ramiona i wybuchnęłyśmy płaczem.

11

Był to najkoszmarniejszy dźwięk, jaki kiedykolwiek słyszałam. Przypominał ryk kozła, który wpadł we wnyki. W taki sposób rozpoczął Rich, kiedy Ann i Riley powiedzieli mu, że Conrad nie żyje.

Spytałam Ann, czy chce, żebym przy tym była, ale jedynie zmieszła się na to pytanie. Uznałam więc, że może będzie lepiej, jeżeli to ona i Riley zawiadomią Richa, poprosiłam tylko siostrę, żeby dała znać, gdyby zmieniła zdanie. Siedziałam więc na łóżku w pokoju gościnnym, załamując ręce jak zły aktor, który udaje, że się martwi. Rich nie przestawał ryczeć i za-

wodzić. Zrobiło mi się niedobrze, zakryłam więc uszy, żeby nie słyszeć tego straszego dźwięku.

Mniej więcej godzinę później Ann, Riley i ich syn zeszli do kuchni. Siedziałam przy stole, próbując wymazać niewłaściwy wyraz, który wpisałam długopisem do krzyżówki w gazecie. Byli potwornie bladzi. Poczułam, jak mnie również krew odpływa z twarzy. Spod okularów Richa widać było zaczerwienione oczy. Chłopiec wydawał się mniejszy, przygarbiony, jakby ktoś zadał mu cios w żołądek. Wysunął brodę i wpatrywał się w podłogę. Kiedy Ann spytała go, czy napije się soku, a Riley nalał kawy do dwóch filiżanek, Rich podniósł wzrok, spojrzał na mnie i powiedział zachrypniętym głosem:

- Na pewno słyszałaś już, ciociu, co się stało.

Kiwnęłam głową, a Rich, jak przystało na ogromnego pieszczocha, rzucił mi się w ramiona.

Znów rozległ się jego szloch. Byliśmy otepiali od płaczu. Opieraliśmy się bezwolnie o blat kuchenny, jak pijani rewolwerowcy w saloonie.

Nie odbieraliśmy telefonów, zgłaszała się automatyczna sekretarka, gdy jednak po długiej pauzie usłyszałam głos mamy, mówiącej: „Nienawidzę tej głupiej maszyny”, zdobyłam się na to, by oderwać z rolki kawałek papierowego ręcznika, otrzeć twarz i odebrać telefon.

- To ty, Genevo? - spytała mama. - Znów tam jesteś? Dobry Boże, trwonisz majątek na przeloty. Słuchaj, postanowiliśmy z ojcem spędzić Boże Narodzenie u przyjaciół w Scottsdale, dlatego pomyślałam...

- Mamusiu, umarł Conrad, przyjaciel Richa - przerwałam jej.

Mama nabrała powietrza w płuca.

- O nie! Jak to się stało?

Przywołałam do telefonu Ann, a potem wszyscy słuchaliśmy jej smutnej opowieści. Zaparzyłam kolejny dzbanek kawy. Riley wpatrywał się w przymocowany do lodówki magnes, będący reklamówką miejscowej pizzerii.

- Rich! - zawołała Ann, przykrywając słuchawkę dłonią. - Babcia chce z tobą rozmawiać.

Myślałam, że Rich nie zareaguje albo przynajmniej z odmową potrząśnie głową (za którą właśnie się trzymał), ale posłusznie wstał i wziął od matki słuchawkę.

Obserwując go, próbowałam zgadnąć, co mówi babcia, ale jego zazwyczaj tak wymowny wyraz twarzy tym razem niczego nie zdradzał.

Wreszcie Rich kiwnął głową.

- W porządku - mruknął, po czym odłożył słuchawkę. - To babcia - przypomniał nam. - Powiedziała, że Conrad poszedł tam, gdzie nikomu nie bywa smutno i obowiązuje zakaz biegania. Jej zdaniem, Conrad jest teraz zaprzyjaźnionym ze mną aniołem i zawsze mnie usłyszy, jeśli tylko będę chciał z nim porozmawiać, nawet o północy.

Ann i ja wymieniliśmy spojrzenia. Czy te słowa naprawdę powiedziała nasza matka? Czyżby próbowała pocieszać Richa tak, jak zrobiłaby to babcia Hjordis?

Rich stał, wpatrując się w sufit i poruszając ustami. Kiedy na nas spojrział, uśmiechnął się niewyraźnie, jakbyśmy go przytąpiali na podjadaniu ciasteczek.

- Właśnie powiedziałem Conniemu, że kupiłem mu na Gwiazdkę niebieskie gogle do pływania. Odparł, że mogę je sobie zatrzymać.

Rich znów się uśmiechnął albo przynajmniej próbował. W chwilę potem ponownie się rozpłakał.

Setki ludzi przyszły do kościoła, tonącego w kwiatach poinsencji.

Siedzieliśmy za Torgersonami: Ann po mojej lewej stronie, Rich pomiędzy nią a Rileyem. Na prawo ode mnie siedział James z Natalie. Serce łomotało mi w piersiach tak, jakbym wykonała pięćset podskoków w ciągu dwóch minut. Zastanawiałam się, kiedy sama padnę trupem. Poczułam się winna, że żartuję sobie w taki sposób, kiedy w odległości kilku metrów ode mnie w mahoniowej trumnie leży prawdziwy nieboszczyk. Potem zalała mnie gorąca lava, co wcale nie poprawiło mojego samopoczucia.

Puściłam dłoń Jamesa - trzymałam jego i Ann za ręce - żeby powachlować się programem.

- Dobrze się czujesz?

Potrząsnęłam głową.

- Da się wytrzymać czy nie bardzo? - spytał James.

Zastanawiałam się przez chwilę, gdy jednak temperatura

płonącej we mnie lawy spadła poniżej poziomu wrzenia, odpowiedziałam:

- Chyba się da.

- Oddychaj głęboko - poradził James.

Zastosowałam się do jego rady, próbując niepostrzeżenie ugasić swój wewnętrzny, rozszalały Wezuwiusz, dostarczając mojemu organizmowi ogromną ilość orzeźwiającego tlenu. Z każdym wdechem byłam coraz spokojniejsza, gdy jednak usłyszałam dobiegający z chóru śpiew, porzuciłam wszelką nadzieję na to, że spokojnie dotrвам do końca nabożeństwa.

Nie byłam jedyna. Ktoś śpiewał sopranem pieśń *Simple Gifts* Quakera czy też Shakera. Kiedy padły słowa „Darem jest dotarcie do miejsca, w którym powinniśmy się znaleźć”, usłyszałam szloch pół tuzina osób, wśród nich Ann. Ścisnęłam jej dłoń. Przypomniałam sobie, jak Conrad zdradzał swoim przyjaciółom ze szkółki niedzielnej, że za największy dar uważa fakt, iż może się poruszać.

Barb odwróciła się do nas, a Rich pochylił się do przodu. Wiedziałam, że w tej chwili myślą o tym samym co ja.

- Mogę się poruszać - powiedziałam, poruszając bezgłośnie wargami.

Barb przytaknęła i zacisnęła usta, usiłując powstrzymać łzy. Rich poklepał mnie po ramieniu.

- Mógł się poruszać - wyszeptał.

To było piękne nabożeństwo. Pastor znał Conrada wystarczająco dobrze, by go szczerze wychwalać. Wierni zaśpiewali pieśń *Children of the Heavenly Father*, a solista chóru - piosenkę Simona i Garfunkela *Bridge over Troubled Waters*. Gdy nawą główną zaczął płynąć strumyczek łez, pastor ogłosił, że nadszedł czas, żebyśmy podzielili się wspomnieniami o Conradzie. Po drugim wystąpieniu strumyk zamienił się w rwącą rzekę, niosącą kartki z tekstami pieśni i modlitw.

No dobrze, przesadzam. To nie była rzeka, tylko potok.

Po przemówieniach dwóch nauczycieli Conrada wstał dyrygent orkiestry szkolnej - znerwicowany pan Talerico.

- Kiedy człowiek uczy w szkole muzyki... - zaczął, nerwowo odczytując notatki - ...czasami w ciągu kilku taktów całkowicie zmienia mu się nastrój, od absolutnego zniechęcenia do radości. - Odchrząknął. Zauważyłam, że drżą mu ręce. - Byłem szczęśliwy, gdy Connie uczestniczył w próbach.

Kochał muzykę. Mówił, że nie tyle słyszy ją tutaj... - Pan Talerico wskazał uszy - ...co czuje w tym miejscu. - Byłam pewna, że dłoń mówcy powędruje do lewej połowy piersi, zaskoczył mnie jednak (a sądząc po odgłosach - nie tylko mnie), dotykając karku. Wreszcie z niepewnym uśmiechem spojrzął na słuchaczy. - Connie zawsze mówił: „Kiedy grają dobrą muzykę, mam ochotę pokręcić tyłeczkiem”.

Wszyscy się roześmiali.

Odniosłam wrażenie, że śmiech dodał dyrygentowi orkiestry szkolnej pewności siebie. Chowając kartkę do kieszeni, powiedział:

- Connie kochał muzykę, ale jedną z jego ulubionych piosenek do kręcenia tyłeczkiem była melodia, którą graliśmy podczas zawodów szkolnych. - Mężczyzna spojrzął w głąb kościoła. - Proszę, dzieci!

Nagle zabrzmiały dźwięki *Hawaii Five-0*. Główną nawał maszerowała orkiestra, połyskując trąbkami i tubami. Rich, uszczęśliwiony, klaskał w dłonie i z otwartą buzią przyglądał się członkom zespołu.

Gdy przebrzmiał ostatni dźwięk, rozległy się oklaski. Miałam wrażenie, że z wszystkich piersi wyrwało się westchnienie wdzięczności za chwilę ulgi.

Następnie głos zabrał brat Conrada, Joel, a po nim Hannah o lśniących, jasnych włosach. Mówiąc, patrzyła na trumnę.

- Podobało mi się, że jeden niewinny pocałunek potraktowałeś jak wielkie wydarzenie, Conradzie. Dziękuję ci za to, że poczułam się tak, jakbym dała ci coś niezwykle ważnego.

Dziewczyna usiadła i odgarnęła włosy gestem, który mógłby wydać się arogancki, ale widać było, iż musiała to zrobić, żeby się nie rozpłakać.

Przemawiały również inne dzieci ze szkółki niedzielnej. Energiczna Megan wyskandowała:

- Kochałam Conniego!

Spodziewałam się, że członkini Mensy, Holly, wyrecytuje fragment jakiegoś poważnego poematu, którego nie zrozumiałam z powodu niedoskonałości swojego umysłu. Ona jednak powiedziała tylko:

- Dużo nauczyłam się od Conrada.

Potem zapadła cisza. Ann szturchnęła mnie łokciem w bok i podała złożony, wilgotny skrawek papieru.

- Przeczytasz? - spytała drżącym głosem. - Pomogłam Richowi to napisać, ale ani on, ani ja nie jesteśmy w stanie otworzyć ust.

Moje serce natychmiast zareagowało tak, jakbym znów zaczęła skakać z zabójczą szybkością.

- Ja... ja...

Bardzo chciałam przeczytać to, co napisał Rich, wiedziałam jednak, że jeśli wstanę, stracę panowanie nad sobą i moje łyzy podniosą poziom płynącego nawą potoku.

- James? - szepnęłam prosząco, nie, błagalnie, wręczając mu kartkę.

Przez chwilę patrzył na mnie zdziwiony, jak siódmoklasiśta, któremu rzucono na kolana liścik. Zrozumiał, gdy rozwinął kartkę.

- Czy ktoś jeszcze ma coś do powiedzenia? - spytał pastor.

- Chcesz, żebym to przeczytał? - szepnął James.

Energicznie przytaknęłam.

Obserwowałam, jak porusza mu się grdyka, potem jednak James wstał bez wahania i się przedstawił.

- Kiedyś Connie przyszedł na mecz hokeja trenowanej przeze mnie drużyny - zaczął silnym, pewnym głosem. - Po meczu powiedział: „James, myślę, że byłbym dobrym bramkarzem”. „Dlaczego tak sądzisz?” - spytałam. „Ponieważ przechytryłbym graczy” - odparł. - „Wykonywałbym tyle nieskoordynowanych ruchów, że nie wiedzieliby, gdzie mają strzelać”.

James odczekał, aż ucichnie śmiech.

- A teraz... - rozwinął kartkę - ...chciałbym przeczytać to, co napisał Rich Wahlstrom, serdeczny przyjaciel Conniego.

James podrapał się w głowę tuż nad uchem.

- „Drogi Conradzie” - zaczął czytać. - „Teraz już nie boję się śmierci, ponieważ ty tam na mnie czekasz. Zawsze na mnie czekałeś. Mam nadzieję, że będę wiedział, jak sobie bez ciebie radzić. Kiedy żyłeś, byłem szczęśliwy. Twój przyjaciel, zawsze kochający, Rich”.

James, ubrany w dobrze skrojony garnitur, stał przez chwilę w milczeniu, wpatrując się w kartkę. Zapadła głęboka cisza. Potem potok łez wezbrał i cały kościół znalazł się pod wodą.

*

Jako dzieci obie z Ann otwierałyśmy gwiazdkowe prezenty już w Wigilię, co w dużym stopniu podważało naszą wiarę w świętego Mikołaja, chociaż bardzo starałyśmy się ją zachować.

- Może do niektórych domów Mikołaj przychodzi trochę wcześniej - przekonywałam Ann z nadzieją w głosie. - Pomyśl tylko jak zdążyłby odwiedzić wszystkich w ciągu jednej nocy?

- Nie musicie wierzyć w Świętego Mikołaja - oznajmiła babcia Hjordis.

Siedziałyśmy w jej kuchni przy stole i pomagałyśmy robić *krumkaka*, nasze ulubione norweskie świąteczne ciasteczka.

- Wystarczy, żebyście wierzyły w Boga. Jest o wiele ważniejszy od świętego Mikołaja i daje wam o wiele więcej.

Dorastałam w przeświadczeniu, że jedyna wada babci Hjordis to podważanie naszej wiary w świętego Mikołaja. Komu może zaszkodzić odrobina magii i fantazji? Ale, prawdę mówiąc, drobna krzywda, jaką wyrządzała nam w ten sposób babcia, była niczym w porównaniu z krzywdą, która spotykała nasze przyjaciółki, gdy nagle odkrywały, że święty Mikołaj to mama i tata.

Mój fryzjer, Benny, opowiadał mi o tym, jak jego mama przeczytała mu nawet list *Tak, Virginio, święty Mikołaj istnieje* w nadziei, że złagodzi w ten sposób okropny cios, jaki spotkał Benny'ego, kiedy dowiedział się, że Mikołaja nie ma.

- Pomogło? - spytałam.

Benny kiwnął przecząco głową.

- Nazwałem ją kłamczucha i kopnąłem w tydkę.

Wcześniejsze rozpakowywanie prezentów było naszą tradycją i bardzo się z tego cieszyłam. Zresztą otwieranie paczek wieczorem ma w sobie znacznie więcej dramatyzmu, niż gdy robi się to przy świetle dziennym.

Ponieważ nazajutrz miałam wracać do Nowego Jorku, postanowiliśmy, że w tym roku otworzymy prezenty jeszcze wcześniej (ponad tydzień przed czasem). Niestety, tego wieczoru nie było radosnych okrzyków, skrawki ozdobnego papieru nie fruwały w powietrzu jak buławy żonglera, nie było przymierzania swetrów, kapeluszy ani rękawiczek, nikt nie usiadł na podłodze, by pomóc Richowi złożyć jedną z tych podobno „łatwych do złożenia” zabawek.

Wszystko przebiegało wyjątkowo spokojnie. Zjedliśmy cichą kolację, uszczknęliśmy co nieco z tacy wyładowanej świątecznymi ciasteczkami, które Ann piekła i zamrażała przez cały miesiąc, a dla uświetnienia wieczoru popijaliśmy czerwone i białe wino.

Rich usiadł na kanapie między ojcem a matką. Kiedy uznaliśmy, że chłopak zbyt długo wpatruje się w płonące polana, próbowaliśmy nakłonić go do rozmowy. Spytałam Richa, co bardziej lubi: ciasteczka posypane czekoladą czy z czekoladową masą. Riley spytał syna, czy mu się podoba gondolier, którego ode mnie dostał.

- Podoba mi się - odparł Rich. Od momentu, kiedy rozpakował drewnianą figurkę, nie wypuszczał jej z rąk. - Ale będzie czuł się samotny - wyjaśnił chłopiec, gładząc lalkę palcem po głowie. - Będzie mu brakowało robota.

Widząc zaskoczenie, malujące się na twarzach Ann i Rileya, przypomniałam im, że podczas Halloween Conrad przebrał się za robota.

- Pamiętasz tamtą zamieć śnieżną? - spytał Rich.

- Pamiętam.

- Pamiętasz, w którym domu dali nam popcorn?

- Pamiętam.

Gdy rozległ się dzwonek, szybko wstałam, żeby otworzyć drzwi. Poczułam ulgę, że mogę chociaż na krótką chwilę wyrwać się z pokoju, w którym panuje ponura atmosfera.

- James obiecał, że wpadnie - wyjaśniłam.

W pośpiechu uderzyłam się o róg stołu. Krótkotrwała ulga rozwiązała się, gdy otworzyłam drzwi. To nie był James, lecz osoba z piętnem znacznie głębszego smutku - Barb. Moja przyjaciółka trzymała jakąś paczkę i miała niepewny wyraz twarzy.

- Ann mówiła, że będziecie otwierać prezenty...

- Och, Barb - westchnęłam, obejmując ją.

Kiedy wprowadziłam ją do środka, zauważyłam światła jeszcze jednego samochodu.

- Chyba przyjechał James - domyśliłam się.

- To dobrze - uznała Barb. - Przyda mi się towarzystwo.

Kiedy mój siostrzeniec rozpakował gry wideo, które dostał od Jamesa, na chwilę stał się dawnym Richem.

- Space Expedition - przeczytał. - Dzięki.

Przez kilka minut cieszył się z prezentu, potem nagle posmutniał, jakby odebrał sygnał: „Dość tej zabawy. Pora pograżyć się w rozpacz”.

- Rich? - zagaiła Barb, gdy chłopiec znów zaczął wpatrywać się w ogień. - Ja też mam dla ciebie prezent.

Naprawdę nie wiem, jak ona to zrobiła. Jej życie legło w gruzach, a jednak znalazła czas, by pomyśleć o gwiazdkowym prezencie dla Richa.

Barb i Ann wymieniły spojrzenia. Odczytałam w nich to wszystko, co sobie ofiarowywały: odwagę, wsparcie, odrobinę nadziei.

Rich ostrożnie rozpakował paczuszkę, dwukrotnie przerywając to zajęcie, żeby poprawić okulary, co moim zdaniem było całkowicie zbyteczne.

Wreszcie usunął ozdobny papier, lecz zanim otworzył wieko, ciężko westchnął, a my wszyscy również. To było pełne napięcia oczekiwanie. W takiej atmosferze Roosevelt mógłby rozpakowywać prezent od Stalina (to nie znaczy, że porównuję Barb do Stalina, ale na pewno wiecie, o co mi chodzi).

Gdy Rich zobaczył, co jest w środku, na jego twarzy pojawił się wyraz takiego zachwytu, jak wówczas, gdy po raz pierwszy oglądał występ Rockettes.

- To czapeczka Conniego - sapnął. - Dostałem czapeczkę Conniego.

Wyjął ją z pudełka tak delikatnie, jakby to było niemowlę, po czym spojrzał wyczekująco na matkę i Barb.

- Możesz ją włożyć, Rich - zaproponowała ofiarodawczyni. - Conrad chciałby, żebyś ją nosił.

Wreszcie Rich wsadził na głowę czapkę, z którą nie rozstawał się jego przyjaciel.

- Doskonale pasuje - powiedziała, dotykając daszka. - Macie lusterko?

Siedzieliśmy jak zaczarowani, jakbyśmy patrzyli na magika, który wyjmuje z rękawa tuzin królików. Przez jedną słodką chwilę wierzyliśmy, że wszystko jest możliwe i że Rich się otrząśnie.

- Hej, ja też mam coś dla was - przypomniał sobie Rich i pobiegł do kuchni.

Śledziliśmy go wzrokiem, zastanawiając się, jaki prezent przygotował. Wrócił do pokoju z zarumienionymi policzkami, przyciskając do piersi *Wielką tajemnicę*.

- Odpowiedzieliśmy z Conniem na kilka pytań. Zrobiliśmy to wtedy, gdy u nas nocował. Zanim trafił do szpitala. - Rich spojrzął na Barb i zmarszczył czoło. - Pani jeszcze tego nie czytała, prawda? Chcieliśmy, żeby to była niespodzianka.

- Nie czytałam - szepnęła Barb.

Sądząc po zaskoczeniu malującym się na twarzach Ann i Riley, oni również nic o tym nie wiedzieli.

Rich wcisnął się między matkę i Barb, po czym otworzył księgę. Wysunął koniuszek języka, żeby lepiej się skupić, i przewrócił kilka stron. Wodząc po nich palcem, w milczeniu odczytywał pytania. Wreszcie zatrzymał się i powiedział, uśmiechając się promiennie:

- To jest dobre.

Pytanie brzmiało: „Kogo podziwiasz najbardziej?” Rich wsadził palec do kieszonki i wyłuskał z niej dwa karteluszeki.

- Chcecie przeczytać tylko odpowiedź Conniego czy moją też? - spytał.

Odpowiedzieliśmy zgodnie, że chętnie zapoznamy się z obydwoma. Rich dał jedną z kartek Jamesowi, drugą mnie i kazał nam czytać.

Ojciec Natalie rozwinął karteluszek.

- „Podziwiam Supermana, chociaż wiem, że on tak naprawdę nie istnieje. Podziwiam go za to, że przybył z daleka, nie znał nikogo, a mimo to zrobił dla ludzi dużo dobrego i walczył ze złem. Podoba mi się, że jako Clark Kent jest straszną oferą, ale kiedy staje się Supermanem, nie ma w nim nic z oferty”.

- To głupie, prawda? - spytał Rich. - Brzmi jak wypowiedź jakiegoś dzieciaka.

- To cudowne - zaprotestowała Ann. - Mnie też bardzo odpowiada, że jako Clark Kent jest taką oferą, a jako Superman nie.

- Mam czytać? - spytałam, starając się opanować lekkie drżenie.

Barb przytaknęła i wbiła we mnie wzrok.

- Spodoba się wam odpowiedź Conniego - zapewnił Rich, kładąc głowę na ramieniu Ann.

- „Chciałbym wiedzieć, kto wymyślił to pytanie”. - Z trudem odczytywałam niewyraźne pismo Conniego. - „Skrzycałbym go. Nie da się wskazać jednej osoby, gdy dokoła jest tylu ludzi, których się podziwia, jak na przykład mama, brat, siostra, pan Talerico, instruktor pływania czy Arnold Schwarzenegger. Nie można też zapominać o facetach, którzy skaczą na nartach z wysoka i jeszcze przy okazji obracają się w powietrzu. Gdyby ktoś mi groził, że mnie zastrzeli, jeżeli nie wybiorę jednej osoby, powiedziałbym: dobra, zastrzel mnie. Żartuję. No dobrze, gdybym musiał wybrać jedną osobę, którą podziwiam, byłby to... któż inny, jeśli nie Rich? Tylko pomyślcie: prawie zawsze ma dobry humor, a nawet jeśli czasami się dąsa, łatwo go rozweselić. Nie jest taki przystojny ani mądry jak ja, nie cieszy się też takim powodzeniem u dziewczyn, ale to go wcale nie martwi. Nie jest o nic zazdrosny, prawdę mówiąc, cieszy się z tego, co mają inni. Trudno znaleźć kogoś takiego jak Rich. O osobach takich jak ja i Rich wiele osób ze współczuciem mówi, że jesteśmy »niepełnosprawni«. Ludziska, nie współczujcie nam! Możecie się wypchać tym współczuciem!”

Na krótką chwilę w pokoju zapanowała cisza, potem odezwała się Barb:

- Kochany chłopak.

Rich wybuchnął śmiechem. Wszyscy musieliśmy się do niego przyłączyć. Znów zmyślałam: „Wszystko będzie dobrze”, ale po chwili chrouak się rozpłakał. Zerwał z głowy czapkę Conniego, przycisnął ją do ust i obsypał pocałunkami.

Zaczęliśmy go pocieszać, głaskać i obejmować. Rich szlochał, dopóki nie zabrakło mu łez, po czym zasnął z głową na moim ramieniu.

- Będzie uwielbiał tę czapkę - zapewniła Ann, kiedy ciche pochrapywanie Richa utwierdziło nas w przekonaniu, że śpi.

Przez dłuższą chwilę wpatrywaliśmy się w zmięte nakrycie głowy, trzymane przez Richa w dłoniach. Wreszcie Barb spytała, czy może dostać kieliszek wina.

- Ale z nas gospodarze! - zadrwił Riley, klepiąc Ann po

kolanie i wstając. Po chwili przyniósł z kuchni dwa dodatkowe kieliszki dla Barb i Jamesa i napełnił je winem.

- Może poczytałybyś coś jeszcze, Genevo? - spytała Barb, wypiwszy spory łyk włoskiego wina.

- Z prawdziwą przyjemnością - zapewniłam.

Delikatnie poruszyłam ramieniem. Głowa Richa była bardzo ciężka.

Ann podała mi księgę. Otworzyłam ją na ostatnich stronach.

- „Co cię uszczęśliwia?” - przeczytałam. - Ciekawe, kto to napisał.

- Ja - przyznała się Barb. - Usiłowałam wymyślić jakieś trudne pytanie, ale chyba się nie spisałam.

- To jest bardzo poważna kwestia - zapewnił ją Riley, a wszyscy pozostali przytaknęli.

Włożyłam dłoń do kieszonki, wyjęłam kartkę i rozwinęłam ją.

- Bingo. To Connie. „Uszczęśliwia mnie Hannah. Czy kiedykolwiek zauważyliście, że jej włosy mają kilka odcieni? Żółtawy, platynowy, jasnobrązowy. Bardzo lubię też jej cichy głos. Czasami wydaje mi się, że dziewczyny, które cicho mówią mają jakąś tajemnicę, którą każdy chciałby poznać. Co jeszcze? Niech się zastanowię. Słodycze, gry wideo, telewizyjny kanał science fiction. Jestem również szczęśliwy, gdy dzwoni mój starszy brat, Joel, i chce ze mną rozmawiać. Bardzo lubię też, jak moja mama rano śpiewa, chociaż nie ma słuchu. To taki wspaniały początek dnia. Cieszę się, kiedy jem naleśniki, a mama śpiewa *You Are the Sunshine in My Life*, wykorzystując w tym celu tylko trzy dźwięki”.

- O rany! - jęknęła cicho Barb. - Mój syneczek.

Co począć, gdy smutek staje się składnikiem powietrza tak samo jak wodór, tlen czy azot? Można zrobić tylko jedno - zacząć nim oddychać, wchłaniać go z każdym długim, głębokim wdechem.

- Mam czytać dalej? - spytałam wreszcie.

Barb przecząco potrząsnęła głową.

- Jednak jeżeli nie macie nic przeciwko temu, chciałabym zabrać *Wielką tajemnicę* do domu. Mogłabym przy okazji odpowiedzieć na kilka pytań.

Ostrożnie, by nie obudzić Richa, przewiązałam księgę wstążeczką i położyłam ją na ławie.

- Jak się czuje twoja rodzina? - spytała Ann łagodnie.

Barb jednym haustem opróżniła kieliszek.

- Dzieci wczesnie poszły spać, a George... no cóż, George w tej chwili nie jest zbyt rozmowny.

- Po nabożeństwie zamieniłem z nim kilka zdań - wyznał James. - Nie czuje się zbyt dobrze, prawda?

Barb pokręciła przecząco głową.

- Czuje się wręcz podle.

Moja przyjaciółka wydała dźwięk, który zazwyczaj poprzedza atak kaszlu.

Rich się poruszył. Skorzystałam z okazji, uwolniłam się od ciężaru i położyłam mu głowę na jaśku. Usiadłam na podłodze. Jedną ręką masowałam ramię, a drugą ponownie napełniłam kieliszek Barb.

- Wiecie, co powiedziała Maddy? - spytała Barb, odbierając ode mnie kieliszek i kiwając głową w geście podziękowania. - To rodzinna poetka. Stwierdziła, że nasza rodzina przeżywa obecnie okropną burzę na morzu, na szczęście znajdujemy się w łódkach ratunkowych, jakimi są miłość i wspomnienia o Conradzie. To prawda, jeśli chodzi o mnie i o dzieci, ale George? - Barb wypita łyk wina i zmarszczyła nos. - On nie ma żadnej łódki, dlatego tonie.

- Och, Barb! - westchnęła Ann, blada jak płótno.

- Wiedziałas o tym, Ann. Wiedziałas, kiedy George utonie.

- Wiedziałam - przyznała Ann, kiwając głową.

- Jak możemy ci pomóc? - spytał Riley.

Barb przygryzła górną wargę.

- Robiąc to, co właśnie robicie - odparła. - Słuchając mnie.

I słuchaliśmy jej. Zapadła głęboka noc, a my wciąż słuchaliśmy: najpierw Barb, a potem wspomnień o Conradzie, utrwalonych w pamięci każdego z nas. Na choince migotały lampki, Ann uzupełniła tacę z ciasteczkami, Riley dolał wina, ja zaparzyłam następny dzbanek kawy, James dorzucił dREW do ognia, a Rich chrapał. Tak wyglądała nasza prywatna stypa, poświęcona kochanemu przez nas chłopcu, którego czapeczka spoczywała w najbezpieczniejszym miejscu - w dłoni jego serdecznego przyjaciela.

Nazajutrz przeżywałam prawdziwe tortury, żegnając się z Richem. Nie mogłam się pogodzić z faktem, że nie przyłgnał do mnie ze szlochem. Był przygnębiony i zrezygnowany, jakby uznał, że pożegnania są nieuniknione i lepiej jest się do nich przyzwyczaić.

James zaproponował, że odwiezie mnie na lotnisko. Skorzystałam z jego oferty, a z rodziną i przyjaciółmi pożegnałam się w domu.

- Jeszcze raz, dziękuję, Dee - powiedziała Ann, kiedy obejmowałyśmy się po raz ostatni.

- Nie bardzo wiem, za co mi dziękujesz.

- Za to, że byłeś z nami. - Ann poprawiła pasemko moich włosów. - Powodzenia na premierze!

- Na drugiej premierze - przypomniałam jej. - Dzięki, Dum.

Podeszłam do Richa, który wyglądał przez weneckie okno. Drgnął, gdy dotknęłam jego ramienia. Wzięłam go za rękę.

- Wiesz, że zawsze możesz do mnie zadzwonić. O każdej porze dnia i nocy.

Rich wysunął dolną wargę. Unikał mojego spojrzenia.

- Chciałabym zostać, kochanie, ale muszę wracać do Nowego Jorku. Wkrótce zaczynam występ.

Rich patrzył prosto przed siebie, obojętny na moją paplalinę.

- Może podczas ferii wiosennych przyjechałbyś do mnie w odwiedziny? Moglibyśmy się wspaniale bawić. Wiosną Nowy Jork jest naprawdę piękny. Prawie taki piękny jak...

- Connie nigdy nie wróci, prawda? - spytał Rich bezbarwnym głosem.

Uścisnęłam jego dłoń.

- Nigdy.

- A czy ty, ciociu, kiedyś wrócisz?

Zabrakło mi tchu.

- Och, Rich - jęknęłam, gdy w końcu odzyskałam głos. - Oczywiście. Wrócę, gdy tylko będę mogła. A gdyby coś mi przeszkodziło... wtedy ty przyjedziesz do mnie.

- Podoba mi się w Nowym Jorku - wyznał Rich, kiwając głową. Potem spojrzął mi w oczy i spytał: Wiesz, ciociu, co Connie kiedyś powiedział?

- Co takiego?

Na ustach mojego siostrzeńca zaigrał wstydlivy uśmiech.

- Jego zdaniem, James ma ogromne szczęście, że może się z tobą całować. Powiedział, że gdybyś była trochę młodsza, też chciałby cię pocałować. Twoje rude włosy przypominały mu lisa.

Rich się roześmiał. Poszłam za jego przykładem, gdyż jego śmiech sprawił mi wielką przyjemność.

- Może tak właśnie jest w niebie - zastanawiał się Rich. - Jeżeli lubisz się całować, możesz to robić przez cały dzień.

- Bardzo miła perspektywa - uznałam.

Na lotnisko jechaliśmy dziwnie skrępowani, jakbyśmy umówili się z Jamesem na randkę w ciemno i szybko doszli do wniosku, że do siebie nie pasujemy. Kilkakrotnie próbowaliśmy nawiązać rozmowę, ale właściwie nie mieliśmy na to ochoty, dlatego szybko zapadała cisza.

- Co robisz w święta? - spytałam.

- Nie wiem. Karin zabiera Natalie na Hawaje, więc właściwie nie mam żadnych planów. - James obejrzał się przez ramię i zjechał na drugi pas. - A ty?

Czy powinnam wspomnieć o Trevorze?

- Och, jeszcze niczego nie planowałam.

Przestaliśmy się zmuszać do rozmowy. James zajął się prowadzeniem wozu, a ja gapiłam się przez okno niewidzącym wzrokiem.

W milczeniu szliśmy przez parking w kierunku terminalu. Nagle James zatrzymał się i przekrzywił lekko głowę.

- Słyszysz to?

Stałam i również odchyliłam głowę w bok, podejmując grę zaproponowaną przez Jamesa. Jednak po chwili spośród zwykłych hałasów na parkingu wyłowiłam czyjś płacz, a raczej - płacz dziecka.

Staliśmy przez chwilę, po czym James ruszył przejściem między samochodami, cicho wołając:

- Jest tu ktoś?

Ruszyłam za nim, próbując zlokalizować płacz.

- Proszę się odezwać.

James zatrzymał się przy starym chevrolecie z ostrymi, groźnie wyglądającymi płetwami.

- W czym możemy pomóc? - spytał, wychylając się przez otwarte okno.

Podbiegłam do niego, gotowa pocieszyć przerażone dziecko. Nagle zorientowałam się, że w chevroletcie siedzi staruszka.

- Mój Boże! - mamrotała, pociągając nosem i potrząsając głową.

- Dzień dobry, madame - powiedział łagodnie James. - Co możemy dla pani zrobić?

Zastanawiałam się, dlaczego James przemawia jak bohater powieści Henry'ego Jamesa, ale kurtuazyjne pytanie wyraźnie uspokoiło kobietę.

- Hmm - mruknęła, ocierając oczy. - Chy... chyba się zgubiłam.

- Proszę z nami - zaproponował James, otwierając drzwi pojazdu. - Pomożemy pani.

Kobieta naciągnęła na uszy wełnianą czapeczkę z pomponem i przez łzy uśmiechnęła się do Jamesa z niekłamana wdzięcznością.

- No właśnie - zachęciłam ją.

Staruszka wysiadła z auta. Była wyjątkowo drobna i krucha.

- Chodźmy, pomożemy pani znaleźć miejsce, do którego pani zmierzała.

Kobieta powiedziała, że nazywa się Crandall. James zabrał walizkę, która stała na przednim siedzeniu. Starsza pani szła zaskakująco żwawym krokiem jak na tak kruchą i przygarbioną osobę (patrząc na nią, odnotowałam w pamięci, że muszę zażywać wapń). Poruszała się jak kaczką, stawiając stopy na zewnątrz. Zaciśnęła pięści, jakby miała zamiar zdzielić w głowę każdego, kto stanie jej na drodze.

- Czy mogę spytać, co tak bardzo wytrąciło panią z równowagi? - zagał James.

Sporunowałam go spojrzeniem - skąd on bierze te bzdurne pytania w stylu Henry'ego Jamesa? - a James błyskawicznie je zrozumiał. W odpowiedzi wzruszył ramionami i zrobił głupią minę.

- Hmm - mruknęła kobieta, patrząc prosto przed siebie. - Byłam trochę niespokojna. Przede wszystkim nie bardzo wiedziałam, dlaczego siedzę w tym wielkim samochodzie.

- To nie pani wóz? - James stanął jak wryty. - W takim razie może powinienem odnieść kluczyki.

Wcześniej uznał, że zabierając kluczyki, które starsza pani zostawiła w stacyjce, oddaje przysługę.

- Kluczyki? - spytała, również się zatrzymując i przygryzając prawie niewidoczną dolną wargę. - Kluczyki? Od samochodu? Od wielkiego chevroleta?

Czekaliśmy przez chwilę, co będzie dalej, gdy jednak pani Crandall nic więcej nie powiedziała, James wyjaśnił:

- Tak, chodzi mi o kluczyki od chevroleta. Czy to pani samochód?

- Oczywiście - potwierdziła staruszka. - Należy do mnie, odkąd pan Crandall przestał uważać, że kobieta nie powinna siadać za kierownicą. - Zachichotała. - Uważał się za twardego, ale tak naprawdę trząsał się jak galareta.

- Czy pan Crandall żyje? - spytałam.

Staruszczyzna wysunęła brodę. Niektórymi gestami przypominała mi Richa.

- W tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym piątym roku rozstał się z tym padołem łez.

- Czy ma pani dzieci, do których moglibyśmy zadzwonić? - spytał James.

- Dzieci? Oczywiście. Pięcioro. Przynajmniej tyle ich było, kiedy ostatni raz je liczyłam.

- Czy wiedzą, dokąd pani jedzie? - próbowałam ciągnąć ją za język.

- Jestem dorosłą kobietą - przypomniała pani Crandall. - Nie muszę prosić dzieci o pozwolenie, gdy zamierzam udać się w podróż.

Policjant kierujący ruchem na skrzyżowaniu pozwolił nam przejść na drugą stronę ulicy. James, jak przystało na wiecznego harcerza, trzymał panią Crandall za łokieć.

- W takim razie gdzie się pani wybiera z taką lekką walizką? - spytał, kiedy otworzyły się automatyczne drzwi terminalu.

Unióś walizkę, spojrzał na mnie i powiedział bezgłośnie: „Jest pusta”.

- Jadę do Luizjany, synku. Zabrałam tylko banjo.

Względna przytomność umysłu wykazywana przez panią Crandall podczas krótkiego spaceru z parkingu na lotnisko zniknęła, gdy znaleźliśmy się na terenie terminalu. Znow za-

częła płakać i mamrotać coś pod nosem. Usiłowała się nam wyrwać.

- Proszę się nie bać. Pomożemy pani - zapewnił ją James.

- Wszystko będzie dobrze - skłamałam uspokajającym tonem.

Spojrzałam na Jamesa, oczami zadając pytanie: „I co teraz?” W odpowiedzi James ponownie wzruszył ramionami.

- Może tam zwrócilibyśmy się o pomoc? - szepnęłam, ruchem głowy wskazując informację.

- Och, nigdy nie jest dobrze. Nastawiłam wodę na herbatę, ale w domu nie ma ani jednego ciasteczka. - Pani Crandall niespokojnie rozglądała się na wszystkie strony. - A chciałam tylko jedno malutkie ciasteczko.

- Dobrze już, dobrze - pocieszałam, przytrzymując starszkę jedną ręką, a drugą gładząc ją po plecach.

- Ile masz czasu? - spytał James.

Zerknęłam na zegarek. Zupełnie zapomniałam, że nie przyjechałam na lotnisko po to, by pomagać zagubionej starszce.

- Chyba nie zdążymy wypić pożegnalnego drinka.

- Nie chcę, żebyś spóźniła się na samolot.

- A potem zatkał się ten cholerny zlew - ciągnęła pani Crandall. - Same nieszczęścia.

- Ma pani rację - przyznałam, znów poklepując ją po ramieniu.

Kiedy opowiedzieliśmy o wszystkim kobiecie w informacji, wyglądała na zakłopotaną.

- Znaleźliście ją w samochodzie?

- Owszem - potwierdził James. - Na parkingu usłyszeliśmy płacz, a potem znaleźliśmy... hmm... panią Crandall.

- Dlaczego płakała?

- Nie bardzo wiemy - przyznał James.

- Proszę posłuchać — wtrąciłam. Doszłam do wniosku, że skoro ta ignorantka nie rozumie pewnych rzeczy, trzeba jej to i owo wyjaśnić. - Wiemy niewiele więcej niż pani, może więc po prostu zadzwoni pani na policję i sprawdzi, czy ktoś nie zgłosił zaginięcia starszej osoby?

James był pod wrażeniem - otworzył buzię, a jego oczy wyraźnie się zaokrągliły.

- No dobrze - łaskawie zgodziła się kobieta z informacją.

- Proszę powiedzieć Mabel, że to nie olej, tylko roztopione masło - zaznaczyła pani Crandall.

Kobieta przycisnęła słuchawkę do ucha, a do drugiego wsadziła palec (widocznie należała do osób, którym hałas przeszkadza w pracy) i kiwnęła głową.

- Tak, tak, przyprowadzili ją tu przed chwilą. - Krzywo spojrzała na panią Crandall. - Nie, chyba nic jej się nie stało. Czy doznała jakichś obrażeń? - spytała, patrząc na mnie.

- Może ja z nimi porozmawiam - zaproponowałam, wyciągając rękę po słuchawkę.

Policjant potwierdził, że dom starców w Field Manor zgłosił zaginięcie Winony Crandall.

- Mam w komputerze informację, że to jej trzecia ucieczka. W ubiegłym tygodniu znaleziono ją w kasynie.

- Po prostu wsiada do swojego samochodu i odjeżdża?

- Wsiada do czyjegoś samochodu i odjeżdża. W zgłoszeniu wpisano, że poprzednim razem „pożyczyła” auto jednego z pensjonariuszy.

- Starego chevroleta?

- Nie, proszę pani. Przyłapano ją również w toyocie z tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego drugiego roku, należącej do recepcjonistki. Staruszka ukradła jej także torebkę.

Po odłożeniu słuchawki przekazałam Jamesowi wszystko, czego się dowiedziałam. Pani Crandall mamrotała pod nosem, że nie może znaleźć odpowiednich butów dla pana Crandalla.

- Kogoś po nią przyślą - dodałam. - Mamy na nich czekać przy południowych drzwiach poczekalni. - Zerknęłam na zegarek. - Mogę was tam odprowadzić, ale potem będę musiała lecieć.

- Ja też muszę już lecieć - oznajmiła pani Crandall swoim pięknie modulowanym, trzeźwym głosem. - Nie mam czasu na wygłupy.

- Dokąd się pani wybiera? - spytałam.

Staruszka spojrzała na mnie krzywo i potrząsnęła głową jakby właśnie usłyszała najgłupsze na świecie pytanie.

- Już panience mówiłam. Jadę do Kansas City. Są tam szalone kobietki. Mam ochotę na jedną z nich.

Wybuchnęliśmy śmiechem, szybko jednak się powstrzymaliśmy, zawstydzeni, że rozbawiły nas słowa starej piosenki, zacytowane przez biedną staruszkę.

Przy drzwiach, przy których mieliśmy czekać na policję, stała ławka. Posadziliśmy panią Crandall między sobą. Ostatnia przygoda musiała ją zmęczyć, ponieważ gdy tylko usiadła, zamknęła oczy i nie minęła minuta, jak zaczęła chrapać.

- A więc to nie jest samochód jej męża?

- Może miał podobny - uznałam. - Ale tamten na parkingu na pewno do niego nie należał.

- Szkoda - powiedział James. - To ładny wóz. - Westchnął, wyprostował złączone ręce i przeciągnął się. - Nie tak sobie wyobrażałem nasze pożegnanie.

- A jak?

- Och! - z wahaniem wpatrzył się w swoje dłonie. - Myślałem, że napijemy się jakiegoś drinka, może kawy po irlandzku, a potem odstawisz kieliszek i powiesz coś takiego: „James, nie mogę lecieć. Zakochałam się w tobie”.

Nagle coś chwyciło mnie za gardło. Z trudem przełknęłam ślinę.

- A ja bym odpowiedział: „To dobrze, bo też się w tobie zakochałem”.

Spojrzeliliśmy na siebie. Przez chwilę kusiło mnie, by się pochylić nad należąca do pani Crandall czapką z pomponem i pocałować go. Wiedziałam jednak, że to by oznaczało poważne kłopoty. A przecież miałam ich już dosyć.

- Lepiej już sobie pójdę, James — powiedziałam, wstając.

James również zamierzał się podnieść, ale pani Crandall, straciwszy jedno z podtrzymujących ją ramion, całym ciężarem oparła się o drugie.

- Obudzisz ją - powiedziałam, kręcąc głową.

James uśmiechnął się jak Rick z *Casablanki*. Przypuszczam, że odpowiedziałam pełnym tęsknoty uśmiechem Elsy. Przesłałam mu całusa. Widząc go z drobną, siwowłosą kobietą, przypomniałam sobie halloweenowy wieczór, kiedy James pomógł mi i Richowi wrócić do domu.

- Wiesz, co najbardziej mi się w tobie podoba, Jamesie O'Nealu? To, że zawsze ratujesz zagubione duszyczki.

James wybił palcami rytm na pustej walizce pani Crandall.

- Wiesz, co najbardziej podoba mi się w tobie, Cienevo Jordan? To, że to właśnie ty mogłabyś uratować moją duszę.

Gdy wsiadłam do samolotu, ogarnął mnie smutek i chciało mi się płakać, ale przelot z jednej strefy czasowej do drugiej i odległość ponad półtora tysiąca kilometrów spowodowały, że trochę się uspokoiłam.

Łatwo odsunąć od siebie wszystkie wątpliwości i kłopoty, gdy czeka dom pełen róż (czemu Trevor uparł się na ten, a nie inny rodzaj kwiatów?). Sto dwadzieścia róż w wazonach (przeliczyłam), porozstawianych po całym salonie. W połączeniu ze świątecznymi ozdobami kwiaty tworzyły wspaniałą nastrój.

- Gdzie jesteś, Trevorze?! - zawołałam, gdyż poczułam lekki dreszczyk emocji, który był wspaniałą odtrutką na smutek towarzyszący mi nieprzerwanie przez kilka ostatnich dni.

Właśnie zdejmowałam buty, gdy Trevor wyszedł z sypialni. Miał na sobie jedwabny szlafrok i policzkiem przyciskał do ramienia bezprzewodowy telefon. Bardzo przypominał Jamesa Bonda. Przesłał mi całusa, po czym wskazał na telefon i powiedział bezgłośnie:

- Bartholomew.

Trevor złapał całusa, którym mu się odwzajemniłam, i zniknął z powrotem w sypialni, zamykając za sobą drzwi.

Wolałabym od razu rozpakować walizkę, ale nie chciałam przeszkadzać Trevorowi w rozmowie ze słynnym reżyserem. Ha! Prawdę mówiąc, miałam ochotę skorzystać z drugiego aparatu i wybłagać u reżysera przynajmniej jedno parszywe przesłuchanie. Ale nie byłam dzieckiem, dlatego poprzestałam na przyrządzeniu sobie wytrawnego martini.

Kiedy Trevor zakończył rozmowę, wyśliznął się z sypialni, podszedł do mnie od tyłu i objął mnie. Poczułam dotyk jedwabiu.

Gdyby skakanie ze strachu było dyscypliną olimpijską, w tej chwili pobiłabym rekord.

- Na litość boską, Trevorze, przestań straszyć ludzi!

- Nie straszę ludzi, tylko ciebie. - Trevor pocałował mnie w szyję. - Mam nadzieję, że lubisz róże i że cię nie przytłaczają.

- Wcale - odparłam, chociaż w moim salonie pachniało jak w kwaciarni. - Są cudowne. Dziękuję.

- Co u ciebie słyhać? - spytał. - Jak miewa się twoja rodzina?

- Nie najlepiej - westchnęłam.

- Tak mi przykro, Genevo.

Staliśmy przez chwilę. Trevor trzymał mnie w ramionach i opierał podbródek na czubku mojej głowy. Patrzyliśmy na roztaczający się za oknem widok, w którym najwięcej miejsca zajmował pobliski wieżowiec.

- Hmm... - mruknął w końcu Trevor, odwracając mnie twarzą do siebie. - Chociaż bardzo miło się stoi, czekają na nas ważniejsze sprawy.

- Mamy na to czas?

Roześmiał się.

- Myślałem o czymś innym, mała szelmo.

Wziął mnie za rękę, podprowadził do kanapy i delikatnie na nią pchnął. Potem wyjął z kieszeni szlafroka pudełeczko.

- Trevorze, w tym roku część prezentów otwierałam u Ann ze sporym wyprzedzeniem. Z następnymi chciałabym zaczekać do świąt.

- To nie jest prezent gwiazdkowy.

Na ustach Trevora igrał chłopięcy, pełen nadziei uśmiech. Kiedy otworzyłam śliczne pudełeczko, poczułam ucisk w żołądku, jakbym właśnie sprowokowała kogoś do ciosu. W środku znajdowało się to, czego należało się spodziewać - pierścionek z brylantem.

- Hmm... - wymamrotałam.

Trevor promieniał, przypuszczając, że chciałam powiedzieć: „O kurczę!” albo „Wielkie nieba!”.

- Jest piękny - zachwyciłam się, ponieważ: a) naprawdę był piękny, b) nie wiedziałam, co jeszcze mogłabym powiedzieć.

- Wydaje mi się, że jest ładniejszy od pierścionka, który dałem ci za pierwszym razem, nie sądzisz?

Przytaknęłam ogłupiała.

- Spróbuj - ponaglił Trevor. - Kazałem go dopasować, ale nigdy nic nie wiadomo.

Wsunęłam klejnot na palec, mrużąc oczy, by uniknąć oślepienia gigantycznym brylantem albo tym, co oznaczał. Wyciągnęłam rękę i zaczęłam poruszać dłonią, jakbym uczyła się machać na pożegnanie.

- Podoba ci się? - spytał ponownie Trevor. Jego głos brzmiał młodziej niż zazwyczaj.

- Bardzo - przyznałam.

Nie skłamałam, pierścionek naprawdę był cudowny. Ale jak na zaręczynowy - krzykliwy i nieodpowiedni.

- Cieszę się - powiedział Trevor, po czym pochylił się i pospiesznie mnie cmoknął. - A teraz chodźmy do teatru. Wszyscy umrą z zazdrości.

Rzuciłam się w wir świątecznych uroczystości i przygotowań do występu, aczkolwiek w przypadku tego pierwszego zajęcia telefon Claire wcale mi nie pomógł.

- Genevo, mam dobrą i złą wiadomość.

Z jej tonu wywnioskowałam, że zła wiadomość jest ważniejsza.

- Zamieniam się w słuch.

- Chcą cię zaangażować do *Hoedown*.

- Mówisz o tej kreskówce?

- Posłuchaj, Genevo, czy brałaś udział w przesłuchaniach do czegoś innego pod tytułem *Hoedown*!

- To była dobra czy zła wiadomość?

Syknęła cicho.

- Oczywiście, to była dobra wiadomość. Filmy animowane są nieśmiertelne, a rola Bronco Betsy jest dobra i zabawna.

- A co ze złą?

Moja agentka westchnęła.

- Nie zagraż Dalili.

- Słucham? - Tego się nie spodziewałam. - Nie chcą mnie? Mówiłaś, że Norman Alexander stworzył tę rolę z myślą o mnie!

- Owszem, Genevo, i jest mu niezmiernie przykro. Niestety, decyzja należała do producentów.

- Czy to normalna praktyka? A co z opinią Normana Alexandra?

- Cóż mogę ci powiedzieć, Genevo? Widocznie nie pytano go o zdanie.

Czułam, że zaraz się rozpłaczę.

- Czy powiedzieli ci, kogo zaangażują? Tylko, proszę, nie mów, że Ellie Armstrong.

Claire roześmiała się ponuro.

- Nie, nie Ellie Armstrong. Martine Jeffries.
- Kim, u diabła, jest Martine Jeffries?
- Dwudziestotrzyletnią dziewczyną jednego z producentów. Masz jakieś pytania?
- Żadnych. - Wszystko zrozumiałam.

„Time” i „Post” zamieściły ogłoszenia o „nieoczekiwanym powrocie Genevy Jordan do *Mony*”. Rozkoszowałam się kawą z ekspresu i lekturą gazety, rozpisującej się o tym, że mam wielki talent i że dzięki mnie niemal każdy spektakl staje się przebojem kasowym.

- Widzicie, dupki? - zadałam retoryczne pytanie wymagowanym producentom *Samsona i Dalili*.

„Twarze wielbicieli *Mony* promieniują czymś więcej niż tajemniczym uśmiechem” - pisała Joyce Dean w swojej rubryce. „Dzisiaj Geneva Jordan powraca do roli, którą stworzyła i w której będzie występować aż do przyszłego sezonu!”

Parsknęłam śmiechem: stara Joyce niezbyt się wysiliła, używając wyświechtanego chwytu, jakim było pisanie o nowym sezonie pod koniec roku kalendarzowego. Przestałam się śmiać, gdy przeczytałam następne zdanie: „To ma być również wspaniałe pojednanie między Genewą Jordan i Trevorem Wait'em, który nie tylko kreuje postać Leonarda eta Vinci, lecz również wcielił się w rolę narzeczonego. Okaże się, czy druga próba będzie bardziej udana”.

Cisnęłam gazetą przez całą kuchnię. Sporo czasu minęło, odkąd po raz ostatni czytałam kronikę towarzyską, nie wspominając już o plotkach na swój temat. Naprawdę byłam zła. To, co napisała Joyce Dean, nie było czystym oszczerstwem. Niepokoiły mnie jej cięte uwagi i fakt, że o wszystkim wiedziała. Ale mam to gdzieś. Zamierzałam dzisiaj wrócić na scenę i nie mogłam się tego doczekać.

Pogoda odzwierciedlała mój nastrój był łaciny zimowy poranek. Gdybym wyciągnęła rękę, mogłabym /łapać promień słońca odbijający się w moim brylancie. Coraz bardziej lubiłam ten klejnocik, a także myśl, która się z nim wiązała.

- Wróciłaś, kochanie - przywitał mnie mój fryzjer, gdy po południu się do niego wybrałam.

Wymieniliśmy pocałunki. Benny należał do nielicznych osób, które naprawdę dotykały wargami policzków, a nie tylko cmokały w powietrzu.

- Gdy zadzwoniłam, Wendy powiedziała mi, że klientka odwołała rezerwację.

- Nie - zaprzeczył Benny, prowadząc mnie za rękę do fotela. - Po prostu powiedziałem Cin Flanders, że mam komplet, i spytałem, czy może przyjść w przyszłym tygodniu.

- Zrobiłeś to dla mnie?

Cin Flanders była reporterką lokalnej stacji telewizyjnej. Ostatnio została prezenterką wiadomości.

- Dla ciebie spławiłbym nawet Gretę Garbo, kochanie.

- Greta Garbo nie żyje.

- Wiem. Chyba nie sądzisz, że pozbyłbym się jej dla ciebie, gdyby żyła.

Benny zarzucił mi na ramiona kitel ze wzorem imitującym skórę tygrysa i posadził na fotelu.

- Jak tam? Czy sprawdziłaś się w roli opiekunki do dziecka?

Nie mogłam się już doczekać, kiedy będę mogła opowiedzieć Benny'emu wszystko, co się wydarzyło. Co prawda był strasznym plotkarzem, ale potrafił słuchać, gdy ktoś chciał się wygadać. Postanowiłam opowiedzieć mu o Richu, Jamesie i Conradzie. Zanim jednak zdążyłam otworzyć usta, Benny zapisał:

- O mój Boże, a cóż to takiego?

- O co ci chodzi? - spytałam z nadzieją, że Benny nie dostrzegł szczura, który jakimś cudem wydostał się z rur kanalizacyjnych prosto do umywalki.

- O to - pokazał Benny. - O ten kamyk na twoim palcu.

- Ach, to. - Moje serce nie wróciło jeszcze do normy. - To mój pierścionek zaręczynowy.

- Jesteś zaręczona? - spytał Benny, przyciskając dłonie do piersi. - Kto to?

- Jezu, Benny, nie powinieneś prowadzić zakładu fryzjerskiego dla gwiazd, skoro nie wiesz, co się dzieje. Trafiły o tym wszystkie dzisiejsze gazety.

- Kto to?

- Właściwe pytanie powinno chyba brzmieć: „Z kim?” - rzuciłam zdenerwowana.

Czułam, że jeśli udzielę Benny'emu niewłaściwej odpowiedzi, zaatakuje mnie lokówką.

- Oczywiście, Trevor.

Benny zbladł. Wiedziałam, że to była zła odpowiedź. Jednak nie zaatakował mnie żadnym ze swoich urządzeń, nie musiałam więc salwować się ucieczką.

Nasze spojrzenia spotkały się w lustrze. Wcale nie spodobało mi się to, co zobaczyłam. Obok mnie stał mężczyzna, potrząsający głową z niedowierzaniem. Benny był tak zaszokowany, jakby na własne oczy widział katastrofę pociągu pasażerskiego i mnóstwo śmiertelnych ofiar tego wypadku.

- Uspokój się, Benny.

Nie przypominam sobie, by Benny kiedykolwiek oniemiał. Ale teraz nie był w stanie wydusić z siebie ani słowa. Gapił się na mnie z otwartą buzią.

- Dobrze się czujesz, Benny? Mam nadzieję, że nie dostaniesz zaraz zawału.

Mój wątpliwy żart nie rozweselił Benny'ego, który nadal patrzył na mnie wybałuszonymi oczami.

- Słuchaj, Benny, jeżeli masz zamiar tak stać...

- Powiedz, że to nieprawda, Genevo - wydusił w końcu fryzjer. - Powiedz mi, że nie popełnisz tego błędu.

Może było to uderzenie gorąca albo uboczny skutek załopotania - tak czy inaczej poczułam, że się rumienię.

- Gdy byłaś tu poprzednio, opowiadałaś mi, że wyrzuciłaś tego chama ze swojego życia na dobre. Cieszyliśmy się razem, pamiętasz? A teraz zamierzasz za niego wyjść?

Z trudem przełknęłam ślinę, czując, że zaraz się rozpłaczę albo dostanę ataku szału.

- Zmienił się - wyjaśniłam spokojnie. - Przyznał się do błędów. Teraz wszystko będzie inaczej.

- Dopóki nie pojawi się kolejna puszczańska.

Skądś znałam te argumenty. Przypomniałam sobie, że identyczną dyskusję odbyłam z Ann, kiedy się dowiedziała, że Trevor poprosił mnie o rękę.

- Benny - powiedziała wyniośle - „puszczańska” to bardzo seksistowskie określenie.

Benny uniósł jedną brew, wyrażając w ten sposób pogardę.

- A więc co dzisiaj robimy? - spytał, nagle przechodząc do interesów. - Tradycyjne strzyżenie?

Przytaknęłam, siłą powstrzymując łzy.

Benny w milczeniu zajął się moimi włosami. Obydwoje dołożyliśmy starań, by nasze spojrzenia nie spotkały się w lustrze. Próbowaliśmy podsłuchiwać rozmowy innych klientów z fryzjerami, ale żadna z nich mnie nie zainteresowała.

Gdy Benny skierował na mnie strumień powietrza z suszarki, podskoczyłam.

- Och, przepraszam, kochanie, nie chciałem cię przestraszyć - powiedział. Wyłączył suszarkę i położył mi dłoń na ramieniu. - Słuchaj, Genevo, chyba wiesz, że życzę ci jak najlepiej.

Kiwnęłam głową. Cholerne łzy, wbrew zakazowi, napływały mi do oczu.

- On się zmienił, Benny - zapewniłam ochryple.

- Mam nadzieję.

Benny poprawił mi uczesanie, po czym pochylił się i szepnął mi do ucha tajemniczym tonem:

- Czy mówiłem ci, co w zeszłym tygodniu przydarzyło się Erin Michaels, gdy pojechała do Palm Beach?

Moja garderoba zmieniła się w salon wystawowy rozlicznych kwaciarni i towarzystwa Western Union.

Sądząc po liczbie telegramów, ktoś mógłby wywnioskować, że wszystkie życzenia dotyczą mistrza świata wagi ciężkiej.

„Dobij ich!” - przeczytałam w telegramie od Angusa Powella, a Claire doradzała, żebym „była zabójcza”. Co się stało z łagodniejszymi życzeniami typu: „połamania nóg”?

Kipiała ze mnie energia tak, że miałam ochotę brykać jak konik. Gdyby moja przemiana materii zawsze działała na takich obrotach, nosiłabym ubrania o kilka numerów mniejsze.

Przykleiłam sztuczne rzęsy, spojrzałam w lustro tonące w telegramach i wykonałam kilka ćwiczeń rozgrzewających struny głosowe.

Rozległo się pukanie inspicjenta.

- Piętnaście minut, panno Jordan.

Nie przestawałam ćwiczyć. Wykonywałam wargami przesadne ruchy. Przypominałam podstarzałą kokotę, choć wcale

innie to nie szokowało. W moim odczuciu wszystkie broadwayowskie aktorki tak wyglądają. Na tym polega urok scenicznego makijażu.

Wstałam i przez chwilę krążyłam po pokoju, głęboko oddychając. Przypominałam sobie teksty własnych piosenek i ballad Trevora: „Uważam się za malarza / A jednak mnie przeraża / konieczność malowania. / Czy farby będą w stanie / uchwycić jej uśmiech?”

Włożyłam kostium i z uniesioną spódnicą wieśniaczki przećwiczyłam taneczny krok. Niektórzy aktorzy wkładają kostiumy dopiero w ostatniej chwili, ale ja zawsze ubieram się nieco wcześniej, po czym proszę garderobianą, żeby nie przeszkadzała mi przez chwilę, gdyż chcę się wczuć w rolę.

Tańczyłam przez jakiś czas, przeglądając się w lustrze i podziwiając grację, z jaką poruszam dłońmi. Były takie lekkie i dziewczęce. Zdałam sobie sprawę, że moja lewa ręka jest prawdopodobnie lżejsza. Zdjęłam pierścionek zaręczynowy (nie mogłam pokazać się z tym klejnotem w roli Mony Lisy) i wsunęłam go do kieszeni szlafroka, który wisiał na drzwiach (ewentualni złodzieje na pewno nie będą grzebać w kieszeniach różowego szlafroka). Nie tęskniłam do chwili, kiedy znów go włożę, i mój palec nie wyglądał gorzej bez tej ozdoby. Ale moja obojętność w stosunku do pierścionka zaręczynowego nie osłabiła więzi z narzeczonym.

- Naprawdę?

To pytanie zadałam sobie na głos, rzucając się na zbyt grubo wyściełany fotel.

Powinnam natychmiast się poderwać i przećwiczyć jeszcze kilka kroków oraz piosenek. W końcu czeka mnie przedstawienie i to na nim powinnam się skupić. Wcale nie muszę siedzieć i zamartwiać się swoim życiem osobistym. A jednak siedziałam.

Kiedy wróciłam od Benny'ego, zadzwoniła Ann, by życzyć mi powodzenia.

- Wczoraj widziałam się z Jamesem. Przyniósł pocztę. Masz zagrać tak, żeby wszystkim pospadały skarpetki.

- Jak on się miewa?

- James? Zamieniliśmy tylko kilka słów, ale wyglądał dobrze. Chociaż chyba trochę zmarzł. Wczoraj mieliśmy dwadzieścia stopni mrozu.

- Dlatego wcale nie tęsknię za Minnesotą - wyjaśniłam, a następnie spytałam: - Jak Rich?

Usłyszałam w słuchawce głośne, głębokie westchnienie.

- Jest zrozpaczony. Naprawdę, Genevo, pograżył się w rozpacz. Teraz rozumiem, co ludzie mają na myśli, mówiąc, że ktoś zachowuje się, jakby go piorun poraził. Rich stracił kontakt ze światem. To nieszczęście po prostu go dobiło.

- Mogę z nim porozmawiać?

- O kurczę, sparzyłam się kawą - powiedziała Ann, ze świsem wciągając powietrze. - Nie ma go. Poszedł z Rileyem na spacer.

- Przy dwudziestu stopniach poniżej zera?

Anna cicho się roześmiała.

- Już się ociepliło. Dzisiaj jest tylko osiemnaście.

Chwilę pogadałyśmy o Barb („Wybieram się z nią wieczorem do cukierni” - poinformowała mnie Ann), po czym opowiedziałam siostrze o nowym pierścionku.

- A więc oficjalnie się zaręczyłaś? - spytała.

- Jeżeli to kwestia pierścionka, to owszem, jestem oficjalnie zaręczona.

W słuchawce zapadła długa cisza.

- Nie chcesz być gościem honorowym na moim ślubie? - spytałam, a gdy nie usłyszałam śmiechu, którego się spodziewałam, dodałam: - Nie możesz przynajmniej poudawać?

- Żebyś się lepiej poczuła? Nie, nie zamierzam stwarzać pozorów, że cieszę mnie wiadomości, które uważam za smutne. Zasługujesz na coś więcej.

- Wiesz co, Ann? Właśnie spojrzałam na zegarek. Muszę już iść do teatru. Ucałuj wszystkich.

- Chciałam jeszcze...

Bardzo lubię rozmowy telefoniczne za to, że w razie potrzeby zawsze można je skończyć. Nagłe odłożenie słuchawki bardzo przypomina zatrzasknięcie komuś drzwi przed nosem. Tak postąpiłam z Ann.

- Naprawdę kocham Trevora - powiedziałam bezgłośnie do swojego odbicia, wspierając to wyznanie odpowiednią gestykulacją. - Ma swoje wady, aleja też nie jestem chodzącym ideałem.

Usłyszałam pukanie.

- Mona? Tu Lennie.

O wilku mowa. Stał za drzwiami.

- Wejdz!

Trevor zabójczo prezentował się w kostiumie Leonarda da Vinci. Miał na sobie legginsy, obszerny strój i miękki kapelusz. Wśliznął się do środka, wziął mnie w ramiona i pocałował.

- Już czas, kochanie. Chodźmy i dajmy im to, czego pragną.

Daliśmy. Byliśmy naprawdę wspaniali. Kiedy tańczyliśmy, unosiliśmy nogi wyżej niż zazwyczaj; gdy śpiewaliśmy - nasze piosenki płynęły prosto z serca, a kiedy wypowiadaliśmy swoje kwestie, nasze słowa brzmiały tak, jakbyśmy mówili i słyszeli je po raz pierwszy w życiu. Podczas ballady Trevora sala szlochała, sama również uрониłam łzę (tylko jedną dramatyczną łezkę - nie pytajcie, jak to zrobiłam). Porwaliśmy publiczność, a gdy po zakończeniu delikatnie sprowadziliśmy ją na ziemię, odwdzięczyła się nam burzliwymi oklaskami. Widzowie wstali z miejsc i krzyczeli z zachwytem. Ukłoniłam się więcej razy niż gejsza podczas szkolenia.

Kiedy kurtyna opadła po raz ostatni, Trevor wziął mnie w ramiona i poderwał w górę.

- Byliśmy wspaniali!

- Prawda? - potwierdziłam, obejmując go w pasie nogami.

Niosąc mnie, Trevor minął stojących na scenie aktorów i pracowników technicznych, którzy wykrzykiwali: „Wspaniałe przedstawienie!” i „Brawo!”. Wreszcie znaleźliśmy się na prowadzącym do szatni korytarzu.

- Ufff! - Trevor postawił mnie na ziemi, cmoknął od niechcienia i powiedział: - Zobaczymy się za dziesięć.

Otworzył drzwi swojej garderoby, przesłał mi jeszcze jednego całusa i zniknął. Powędrowałam korytarzem. Byłam nieco rozczarowana, że nie doszedł do mojego pokoju i nie przeniósł mnie przez próg.

Nie miałam zbyt dużo czasu na przeżywanie zawodu. Zdążyłam jedynie włożyć pierścionek, kiedy w mojej garderobie pojawiły się tłumy wielbicieli i rozległo się strzelanie szampana.

- Właśnie mi przypomniawsz, Gcnevo, dlaczego czuję się zaszczycona, mogąc cię reprezentować - powiedziała Claire,

która wyglądała niesłychanie elegancko w białym wełnianym kostiumie.

- Claire... - odrzekłam, czując, że coś ściska mnie w gardle. - To najmilsza rzecz, jaką kiedykolwiek mi powiedziałaś. Milsze mogłyby być tylko słowa: „Postanowiłam, że będą reprezentować cię za darmo”.

- Chciałabyś - mruknęła Claire, biorąc kieliszek szampana od chórzysty, który był teraz kelnerem.

- To był najlepszy pierwszy akt w twojej karierze - przyznał reżyser, Paul Drake. - Świetnie się spisałaś, Genevo.

- Dzięki, Paul - rzekłam.

Miałam ochotę spytać: „A co ci nie odpowiadało w drugim akcie?”, ale ugryzłam się w język. Wzięłam kieliszek szampana i uniosłam go w geście zachęty, ale Paul potrząsnął głową.

- Jestem na odwyku - szepnął. - Już któryś raz.

- To dobrze - pochwaliłam i nie wzięłam do ust ani kropli, dopóki Paul nie odszedł na drugi koniec pokoju.

Przyjmowałam słowa podziwu, pozowałam do zdjęć razem z autorem tekstów i jego chłopakiem, ściskałam ręce mężów, żon i przyjaciół członków chóru, a nawet po raz kolejny dałam autograf żonie burmistrza, kobiecie, która obejrzała spektakl czternaście razy. Czułam się jak królowa pszczół. Byłam w centrum uwagi i sprawiało mi to ogromną przyjemność.

- Dobry wieczór, panno Jordan! - zagaiła wysoka, ciemnowłosa kobieta.

Ładnie pachniała i promiennie się uśmiechała. Odwzajemniłam jej uśmiech i uściśniłam wyciągniętą dłoń.

- Jestem Meg Adams - przypomniała mi, zauważywszy, że jej nie pamiętam. - Pracuję nad reklamówką *Pour Deux*. Spotkałyśmy się w Bedford.

Przekrzywiłam głowę na bok.

- Och, tak - powiedziałam. - Chyba byłam wtedy nieco obcesowa.

- Ależ nie. Tak się cieszę, że znów panią widzę. I że mogłam obejrzeć przedstawienie. Czekałam, aż pani wystąpi w roli głównej.

- To bardzo miło z pani strony - odparłam tonem godnym Glorii Swanson, po czym wywołałam drobne zamieszanie, domagając się szampana, którego rzeczywiście potrzebowałam.

Na widok Meg do mojej piersi zakradło się jakieś śmieszne uczucie, jakby coś mnie tam swędziało. Wątpiłam, by łączyło ją z Trevorem coś poważnego, nie wiedziałam tylko, jak szczerze są moje wątpliwości. A także gdzie się podział angielski pupil kobiet i miłośników teatru. Przecież powiedziała: „Zobaczymy się za dziesięć”. Czyżbym się myliła, przypuszczając, że miał na myśli dziesięć minut? Kurtyna opadła prawie pół godziny temu. Chyba to dość czasu, by się wykapać i doprowadzić do porządku? Czy mój narzeczony nie powinien się pośpieszyć i dołączyć do przyjęcia na cześć swojej przyszłej żony?

- Przepraszam - powiedziałam, przedzierając się przez tłum ludzi, którzy w odpowiedzi zaczęli obsypywać mnie komplementami.

- Bajeczne przedstawienie, Genevo!

- Czuję, jakby na moich oczach powstawała historia teatru.

- Za dzisiejszy występ powinnaś dostać następnego Tony'ego.

- Dziękuję - odparłam, stając przy drzwiach. - Bardzo wam wszystkim dziękuję.

Pokonałam korytarz, po drodze mijając kilku wielbicieli, którzy schronili się tu przed ściskiem panującym w mojej garderobie.

Jedna z aktorek - grała rolę powiernicy Mony - obdarzyła mnie kolejnym komplementem:

- Oboje z Trevorem byliście dziś wspaniali.

Kiwnęłam głową w geście podziękowania. To, co zaszło w następnej chwili, nie było rodzajem iluminacji ani przebudzenia, jednak wreszcie uświadomiłam sobie prawdę, która krążyła po zakamarkach mojego umysłu jak stary parszywy pies. Przez cały czas z ogromnym wysiłkiem starałam się ją lekceważyć, ale zawsze zdawałam sobie z niej sprawę. Oboje z Trevorem stanowimy wspaniałą parę, ale na scenie. To bardzo ważne, chociaż wcale nie znaczy, że tak samo będzie w normalnym życiu. Owszem, powinnam mieć na scenie wspaniałego partnera w rodzaju Trevora, ale niczym sobie nie zasłużyłam na takiego partnera jak on w życiu prywatnym.

Ruszyłam szybciej w stronę jego garderoby. Kręciło mi się w głowie. Czułam przypływ miłości do Trevora, ale jako partnera w granej przeze mnie sztuce. Chciałam wdrzeć się do

jego pokoju i podzielić się z nim swoim ostatnim odkryciem: „Przecież jest jeszcze coś takiego jak prawdziwe życie”.

Zatrzymałam się o krok od jego drzwi, ponieważ usłyszałam jakiś głos. Ugięły się pode mną kolana, choć powód był całkiem inny, niż myślicie. To nie był Trevor zapewniający Meg o dozgonnej miłości do niej i wody toaletowej *Pour Deux*. Usłyszałam głos, który w moich uszach brzmiał jak muzyka.

- Wspaniałe przedstawienie, panno Jordan!

Zebrałam fałdy długiej sukni, którą wciąż miałam na sobie, i pobiegłam za kulisy.

- Dobre przedstawienie, Genevo — pochwalił mnie reżyser.

- Dzięki - odparłam zmieszana.

Na scenie zobaczyłam jedynie dwóch facetów, którzy usuwali malowidła przedstawiające szesnastowieczny Rzym.

- Rich?! -zawołałam.

- Wspaniałe przedstawienie, panno Jordan! - powtórzył mój siostrzeniec.

Usłyszałam gardłowy śmiech, po czym zza ostatniej kurtyny wyłonił się Rich.

- Cześć, ciociu!

- Wielkie nieba! - zawołałam, rozkładając ramiona.

Rich podbiegł i uściskał mnie w ten swój wylewny sposób.

- Jak to się stało, Rich? Dzisiaj rozmawiałam z twoją mamą. Nie powiedziała mi, że przyjedziesz.

Przez dłuższą chwilę tuliliśmy się do siebie. Wreszcie Rich wywinął się z mojego uścisku.

- Wesołych świąt, ciociu! Jestem twoim gwiazdkowym prezentem!

Rich miał na głowie czapeczkę Conniego. Pociągnęłam za daszek.

- Och, ciociu, byłaś naprawdę wspaniała!

Roześmiałam się. Bardzo podobał mi się entuzjazm, który Rich zawierał w każdym zdaniu, jakby był paziem nawołującym, by wszyscy wielbili króla.

- Kiedy przyjechałeś? Jak tu trafiłeś? Z kim jesteś?

Chłopak znów zachichotał.

- Oczywiście, z Jamesem.

- Cześć, Genevo - usłyszałam.

Spojrzałam w stronę, skąd dochodził jego głos. James stał w kanale orkiestrowym.

- Jeżeli nie znasz tych ludzi, czekają mnie poważne kłopoty! - zawołał reżyser. - Ale twoja agentka twierdzi, że to twoi przyjaciele.

- Bo to naprawdę są moi przyjaciele, Jack - potwierdziłam, podchodząc w towarzystwie Richa na brzeg sceny.

- Jesteś zaskoczona, ciociu?

- Bardzo.

- Śniło mi się, że gram na Broadwayu, Genevo - wyznał James, siadając do fortepianu. - Więc mnie nie budź.

Następnie, korzystając z partytury pozostawionej na pulpicie, zagrał moją balladę z *Mony*.

*Mój uśmiech, powiadasz, to kraina, jakiej ludzkie oko nie
widziało,*

I nie wiesz, jak odmalować ów tajemniczy świat.

Och, Leonardo, jestem tylko kobietą, która pokochała,

A na mojej twarzy igra słońca blask.

Zaśpiewałam razem z Jamesem. Chyba włożyłam w tę piosenkę serce i duszę, ponieważ, gdy skończyłam, zauważyłam, że na scenie zebrała się spora grupka, która nagrodziła mnie oklaskami. Skłoniłam się nisko i wskazałam ręką na kanał.

- Takie sama brawa należą się akompaniatorowi.

Patrzyliśmy na siebie, uśmiechając się głupkowato. Miałam wrażenie, że zaraz zacznę chichotać i wiercić czubkiem palca w podłozie.

- Gdzie jesteś, Genevo?

No, dzieci, udawajcie, że nic się nie stało. Nadchodzi dyrektor!

- Chodź, Trevorze! - powiedziałam, odwracając się. - Chyba pamiętasz Richa.

- Jak się masz, stary? - spytał Trevor, wyciągając rękę.

- Chyba dobrze - odparł Rich, nagle onieśmielony.

- A ten facet, który wychodzi z kanału, to mój przyjaciel, James O'Neal.

James wbiegł na scenę i przywitał się z Trevorem.

- Idziemy na kolację. Przyłączycie się do nas? - spytał Trevor Jamesa, który spojrzał na mnie i nieznacznie wzruszył ramionami.

Uśmiechnęłam się do Richa i Jamesa.

- Przepraszam was na chwilę.

Wzięłam Trevora pod ramię i podprowadziłam go na pusty koniec sceny. Czasami widzowie są potrzebni, ale nie tym razem.

- Trevorze - powiedziałam, zdejmując pierścionek. - Nie będzie mi już potrzebny.

Trevor wyglądał jak żołnierz, któremu właśnie dowódca kazał wykurzyć snajpera.

- Nie rozumiem, Genevo.

- Próbuję ci powiedzieć, że nie chcę wychodzić za ciebie za mąż, Trevorze. Przykro mi, nie chciałam cię zranić, ale po prostu nie mogę zostać twoją żoną.

- Dlaczego? - spytał tonem mówiącym: „Jak śmiesz?”

- Z tego samego powodu, z jakiego ty nie powinienesz zostawać moim mężem. Tak naprawdę wcale się nie kochamy. Przynajmniej nie jest to taka miłość, na jaką zasługujemy.

- Nie taka miłość, na jaką zasługujemy? Co to właściwie ma znaczyć, Genevo?

- Potrzebuję kogoś, na kogo mogłabym liczyć, Trevorze - wyjaśniłam spokojnie. - Kogoś, komu ufam.

Nozdrza Trevora gwałtownie się poruszyły. Odwrócił się, spojrzał na Jamesa i spytał:

- Jego?

- Tak, Trevorze, jego.

To wyznanie dodało mi sił.

Wiele czasopism i dziennikarzy zachwycało się chłodnym spojrzeniem błękitnych oczu Trevora Waite'a, i rzeczywiście jest to zjawisko godne uwagi. Jednak gdy te oczy po raz ostatni spoglądały na mnie, dostrzegłam w nich gniew, urazę i, jak mi się wydaje, odrobinę ulgi. Przez dłuższą chwilę patrzyliśmy na siebie bez słowa. W końcu Trevor odwrócił się i dając mi do zrozumienia, że ma wszystko w nosie, podrzucił mój pierścionek zaręczynowy i złapał go w locie tak niedbale, jakby to była ćwierćdolarówka. Potem zszedł ze sceny i zniknął z mojego życia.

Neony i lampki choinkowe rozświetlały ciemność nocy. Po opuszczeniu teatru powędrowaliśmy Czterdziestą Drugą. Mogło się wydawać, że śnieg nie bardzo wie, co zrobić: w po-

wietrze wirowały pojedyncze płatki, ale trudno było powiedzieć, że pada.

- Nawet w najśmielszych marzeniach nie przypuszczałam, że dzisiejszy wieczór spędzę z wami obydwoje. Dlaczego nie powiedzieliście mi, że przyjeżdżacie?

- To była raczej nieoczekiwana decyzja - wyjaśnił James.

- No właśnie - potwierdził Rich.

- Nie powiedzieliśmy ci jeszcze - ciągnął James - że...

- Mama i tata też tu są!

- Ależ... ależ Ann dzwoniła do mnie dzisiaj z Minneapolis.

- Nieprawda - zaprzeczył James. - Dzwoniła z hotelu. Ponieważ Karin zabrała Natalie na Hawaje, zdecydowaliśmy się spędzić Boże Narodzenie w Nowym Jorku.

- Nadał jesteś zaskoczona, ciociu?

Przytaknęłam, chociaż słowo „zaskoczenie” nie oddawało w pełni tego, co czułam.

Stojący obok wózka sprzedawca precli przestępował z nogi na nogę i zacierał ręce.

- Zjadłbym precla - oznajmił Rich.

- To go sobie kup - zaproponował James, wręczając mu drobne. - Kompletnie pograżył się w smutku - dodał, gdy chłopak popędził w stronę sprzedawcy. - Kiedy wspomniałem Ann, że wybieram się na twoją premierę, wszyscy podchwycili mój pomysł. Chcieliśmy się stamtąd wyrwać... i zapewnić jakąś odmianę Richowi.

James zapiął górny guzik świetnie skrojonego płaszcza, który był zapewne pamiątką po jego poprzedniej pracy.

- Nie byliśmy w stanie go rozweselić, ale przynajmniej mogliśmy pomóc mu wyjść z dołka, zapewnić chwilę wytchnienia.

- I chyba się udało - stwierdziłam, obserwując, jak Rich bierze precla, a potem klepie sprzedawcę po ramieniu. - Jak długo tu będziecie?

- Ann zaplanowała na jutro wielkie przyjęcie, a Blasters grają dopiero trzeciego, więc... więc doszedłem do wniosku, że zatrzymam się na dłużej. Może uda mi się znaleźć jakąś dziewczynę, z którą mógłbym spędzić sylwestra.

- Hmm - podrapałam się po podbródku. - Chyba moja przyjaciółka... nie, nie jest w twoim typie... Ale jest jeszcze... nie, ona też ci się nie spodoba.

- Żadna mi się nie spodoba - zapewnił James, przyciągając mnie do siebie. - Oprócz ciebie.

- I nawzajem! - oznajmiła królowa balu maturalnego, wreszcie zdając sobie sprawę, że wybrankiem jej serca wcale nie jest zawodnik z drużyny baseballowej, tylko sympatyczny chłopak ze świetlicy, zawsze chętny, by pomóc jej przy odrabianiu lekcji.

Potem zrobiliśmy to, co potrafiliśmy robić naprawdę wspólnie - zaczęliśmy się całować. Serce waliło mi w piersiach, na policzki wystąpił rumieniec, na dodatek poczułam, że kręci mi się w głowie.

- O kurczę! - sapnęłam, odwracając głowę. - Chyba mam gorączkę.

- Ja też - odparł James.

- Całowaliście się - zauważył Rich.

- To prawda - przyznał James.

Wzięliśmy się za ręce i pomaszzerowaliśmy Czterdziestą Drugą tak, jakbyśmy prowadzili paradę zorganizowaną z okazji Święta Dziękczynienia. Oboje z Jamesem skosztowaliśmy precla, którym poczęstował nas Rich, a kiedy na rękawie swojego drogiego płaszcza zauważyłam plamę z musztardy, kompletnie się tym nie przejęłam.

Mijaliśmy przechodniów. Gdy usunęliśmy się na bok, by przepuścić grupę japońskich turystów, Rich zawołał do jednego z nich:

- Witaj, przyjacielu!

W odpowiedzi turysta uśmiechnął się i skinął głową, a ja... no cóż, poczułam dziwne zadowolenie.

Zdawałam sobie sprawę, że sporo czasu upłynie, nim Rich oswoi się ze stratą, jaką była śmierć Conrada, ale wiedziałam też, że -jak to ujęła Maddy - miłość do Conrada będzie łódką ratunkową, z której w razie potrzeby chłopak będzie mógł skorzystać. A jeżeli ból czasami będzie silniejszy od miłości, jeżeli łódka się przechyli, to najbliżsi pośpieszą Richowi z pomocą. On również pomoże nam na swój niezgrabny, ale pewny sposób. Cieszyła mnie myśl, że kiedy ludzie nawzajem się kochają, wiedzą, jak sobie pomóc.

Zerknęłam na Jamesa, który stał na Times Square i zachwycał się tym samym, co wszyscy. Wiedziałam, że może być ciężko - prawdę mówiąc, bardzo ciężko - zanim przechodząca

menopauzę gwiazda Broadwayu i skłonny do introspekcji listonosz nauczą się ze sobą żyć. Ale chciałam podjąć to wyzwanie. Co więcej, wiedziałam, że James również.

Odwrócił się do mnie. Na jego nosie wylądował płatek śniegu, który przez krótką chwilę migotał jak brylantowy kolczyk.

Uścisnęłam ramię swego towarzysza i się uśmiechnęłam.

- Witaj, przyjacielu - powiedziałam.

James otarł się o mnie biodrem.

- Witaj - odrzekł i uśmiechnął się w ten swój uroczy sposób.

Epilog

Pewnego razu, kiedy kupowałam bieliznę u Bergdorfa, zaczęła mnie jakaś kobieta i powiedziała, że poprzedniego dnia była na *Wench of Wellsmore*.

To żenujące, gdy ktoś obcy chwyta człowieka za rękę, zwłaszcza jeśli trzyma się w niej wyściełany, koronkowy stannik i wyszczuplające reformy. Na domiar złego kobiecie błyszczały oczy, co sprawiało wrażenie, że jest wielbicielką niebezpieczną. Podziękowałam jej więc uprzejmie, ale nie wylewnie, i poszłam w stronę przebieralni, mając nadzieję, że nieznajoma da mi święty spokój.

Nie dała. Była chyba zdenerwowana tak bardzo jak ja.

- Och, Boże, chce pani przymierzyć bieliznę, a ja tylko się narzucam. Przepraszam, panno Jordan, ale nie jestem jedną z natrętnych wielbicielek, o których tyle ostatnio się czyta.

Wyraz mojej twarzy musiał jej powiedzieć, że nie do końca wyzbyłam się podejrzeń. Kobieta roześmiała się nerwowo.

- Zaraz sobie pójdę, ale wcześniej chciałabym pani powiedzieć, że to przedstawienie było dla mnie ogromnym przeżyciem. Jednak gdy opadła kurtyna, zrobiło mi się smutno.

- Dlaczego? Przecież *The Wench of Wellsmore* dobrze się kończy - przypomniałam jej.

Trochę się uspokoiłam. Moje przeczucie mówiło mi, że chociaż dama z przedmieścia (elegancka, ale nie najmodniejsza fryzura i dobrze skrojony płaszcz wskazywały na Greenwich) jest pełna entuzjazmu, raczej nie wygląda na agresywną.

- To prawda, tylko czy ich szczęście będzie trwać wiecznie? Czy prosta dziewczyna zdoła przyzwyczaić się do życia wyższych sfer? Czy matka barona ją przeprosi? A co z pokojówką? Czy ona i kamerdyner kiedyś się pobiorą?

Wcale mnie nie dziwiło, że moja rozmówczyni chce wiedzieć więcej. Sama uwielbiam epilogi. Dzięki nim można wyjaśnić wszystkie albo prawie wszystkie szczegóły.

Przedstawienie *Samsona i Dalili* odniosło sukces, a Martine Jeffries zdobyła uznanie, na które sobie zasłużyła. (Obejrzałam tę sztukę - Martine Jeffries była cudowna: miała wspinały głos Ethel Merman i figurę Mary Martin). Podziwiałam aktorkę, chociaż nie omieszkałam zrugać Normana Alexandra, kiedy wpadliśmy na siebie.

- Dzięki, że się za mną ująłeś, Normanie.

- Cholera jasna, miałem nadzieję, że uda mi się wyjść, zanim mnie zobaczysz.

- Obejrzałam twoją sztukę, Norman. Jest dobra. Martine również.

Na twarzy Normana odmalowało się zaskoczenie.

- Mówisz szczerze?

- Oczywiście. Nie twierdzę, że nie byłabym najlepszą Dalilą pod słońcem, ale... Martine jest naprawdę dobra.

- Przecież wiesz, że próbowałem cię przepchnąć, Genevo.

- Wiem - przyznałam, czując, że zbiera mi się na płacz.

- Zamierzałem do ciebie napisać, zadzwonić, ale... Niestety, nie ma wytłumaczenia dla złych manier. Jak mogę ci to wynagrodzić?

Zwykle zbywam tego typu pytania jakąś dowcipną uwagą, ale skoro zadał je Norman Alexander...

- Hmm... zastanawiam się nad własnym spektaklem.

- Naprawdę? Masz już scenarzystę?

- To zależy. Znasz kogoś odpowiedniego?

Sukces Normana wyraźnie wpłynął na stan jego jamy ustnej, ponieważ pokazał w uśmiechu olśniewająco białe zęby.

- Oczywiście. Zawsze chciałem napisać sztukę dla jednego aktora.

- Naprawdę?

Norman przytaknął.

- Zwłaszcza dla kogoś takiego jak ty.

*

Właśnie nad tym teraz pracuję. W żadnym wypadku nie twierdzę, że moje dni na Broadwayu dobiegły końca, po prostu nie zamierzam siedzieć beczynn timer czekać, kiedy nawinie mi się jakaś następna rola.

Jestem święcie przekonana, że James może mi akompaniować. On też tak sądzi. Nasze występy przedpremierowe wypadły jak należy - dwukrotnie śpiewałam z nim w kościele i raz w barze w centrum Minneapolis, na przyjęciu związku hydraulików. Na dwie godziny zajęliśmy fortepian i zaprezentowaliśmy wszystkie piosenki. Dostawaliśmy pięćdziesięciodolarowe napiwki, co według szefa baru było kwotą rekordową.

Przypomniałam Jamesowi, że widzowie z Manhattanu są bardziej wybredni niż parafianie czy lekko wstawieni hydraulicy w Minneapolis, na co James odparł:

- Twój snobizm, Genevo, jest jedną z najmniej atrakcyjnych twoich cech. Poza tym mogę grać wszędzie, dopóty, dopóki jesteś przy mnie.

James nadal roznosi pocztę. Po raz pierwszy zobaczyłam go w letnim mundurze. Nie kłamał, rzeczywiście ma zgrabne nogi. Co kilka tygodni jeżdżę do Minneapolis, z kolei on co miesiąc odwiedza mnie w Nowym Jorku. Kiedy podkładałam głos pod Bronco Betsy, James i Natalie spędzili ze mną długi weekend w Los Angeles. Natalie była bardzo podniecona spotkaniem z Nickiem Ralstonem, który użyczył głosu czarnoskórn timer Wendellowi w PBS.

Wybrałam się na lunch z Faith Bennet, która powiedziała, że trzyma za mnie kciuki.

- Gdy usłyszałam, że zakochałaś się w jakimś listonoszu z Minneapolis, doszłam do wniosku, że już po tobie, ale teraz, kiedy na ciebie patrzę, muszę przyznać, że nigdy nie wyglądałaś lepiej.

- Dzięki, Faith.

- Kiedy chodziłaś z Trevorem, zawsze byłaś taka... sama nie wiem... mizerna. Mizerna i niespokojna.

Poczułam, że sztywnieją mi mięśnie twarzy.

- Dzięki, Faith.

- Przecież wiesz, o co mi chodzi - powiedziała, wybuchając śmiechem. - W każdym razie dobrze ci to robi. Dzięki

tobie zaczęłam mieć nadzieję. Może i ja znajdę jakiegoś listonosza.

- Oby był fajny!

- Na tym polega cały sekret? - spytała Faith.

Dolna warga zadrżała jej w taki sposób, jaki w jej operze mydlanej wywoływał salwy śmiechu, nie sądzę jednak, by teraz o to jej chodziło.

- Wystarczy, żeby był fajny?

- To nie żaden sekret, Faith. Dla takich kobiet jak my to prawdziwe objawienie.

Rich bardzo poważnie potraktował rolę świadka. Wczoraj stał w swoim pokoju przed lustrem i szukał czegoś w kieszeni. Spytałam, co robi.

- Ćwiczę - wyjaśnił. - Ćwiczę wyjmowanie obrączek.

Dziś mężczyźni jadą wybrać smokingi (ja i Ann zarezerwowałyśmy sobie prawo weta). Ann, Barb i Claire będą moimi druhenami. Prosiłam, żeby włożyły coś eleganckiego, ponieważ uważam, że dorosłe kobiety w typowych sukniach druhen wyglądają śmiesznie.

Claire usiłuje okazywać entuzjazm. Naprawdę lubi Jamesa, uważa jednak, że ten związek jest skazany na porażkę.

- Chciałabym po raz ostatni nakłonić cię do rozwagi, potem będę milczeć - obiecała przez telefon.

- Może od razu przejdiesz do drugiej części?

- Nie chcę, żebyś potem była nieszczęśliwa, Genevo.

- Uwierz mi, Claire, mnie również na tym nie zależy.

- W takim razie pomyśl, w co się pakujesz! Jeszcze nie zdecydowaliście, gdzie będziecie mieszkać, a ja szczerze wątpię, byś była szczęśliwa w Wide Lakę...

- Deep Lakę, Claire. Miasteczko nazywa się Deep Lakę. Zresztą wcale nie jestem pewna, czy zamieszkamy właśnie tam.

- To znaczy, że zostaniesz w Nowym Jorku?

- Prawdopodobnie przez jakiś czas będziemy do siebie dojeżdżać, ale ostatecznie zamieszkamy razem. Może na Manhattanie, a może w Minneapolis.

- A co z Natalie? - zadrwiła Claire. - Jeżeli zdecydujecie

się na Nowy Jork, jak James zniesie rozstanie z córką? - prychnęła moja agentka.

- Rozmawialiśmy z Karin. Wygląda na to, że chętnie zrzeknie się opieki nad córką na rzecz Jamesa, zwłaszcza że ostatnio dużo podróżuje.

- To znaczy, że już wszystko załatwione, czyż nie?

Roześmiałam się.

- Wielkie nieba, oczywiście, że nie! Nie wiem, czy kiedykolwiek uda nam się wszystko załatwić. Ale chcemy spróbować.

Nie miałam odwagi wyznać, że ostatnio sporo czasu spędzamy, dzwoniąc do krajowych i zagranicznych agencji adopcyjnych. To była nasza słodka tajemnica. Gdyby Claire usłyszała taką wiadomość, trzeba by było wzywać do niej lekarza.

Przez chwilę w słuchawce słychać było jedynie dźwięk, który wydawała Claire, ilekroć popadała w zadumę: było to pukanie długopisem w suszkę.

- A co będzie, jeżeli ktoś zaproponuje ci jakąś wielką rolę?

- Wtedy wezmę udział w przesłuchaniach.

- A jeżeli James się na to nie zgodzi?

- Claire, James chce, żebym była szczęśliwa. Jeśli uszczęśliwi mnie jakaś wielka rola, James podczas premiery będzie trzymał za mnie kciuki.

- Mówisz, jakbyś była tego całkiem pewna.

- Bo jestem - potwierdziłam. - Jestem pewna jego miłości. Jak każdy zakochany człowiek.

Czekając na Ann i Rileya, z którymi mieliśmy się wybrać po smokingi, siedziałam z Richem i Jamesem przed weneckim oknem. Spoglądaliśmy na letni krajobraz. Mogliśmy usiąść na werandzie, ale było zbyt duszno, a krwiożercze komary wyraźnie szukały ofiar.

- Hej! - zawołałam, biorąc ze stołu *Wielką tajemnicę*. Myślę, że wezmę ją na przyjęcie weselne. Przekażemy ją gościom, żeby zamiast swoich imion wpisali odpowiedzi na pytania.

- Przeczytajmy jakieś odpowiedzi - zaproponował Rich, wyjmując z kieszonki skrawek papieru. Pytanie brzmi:

„Czego się najbardziej boisz?” - Rozwinął karteluszek i marszcząc czoło, przeczytał: - „Pe-tu-nii”.

James wziął mnie za rękę.

- Co to znaczy? - spytał Rich. - Dlaczego ktoś miałby się bać jakiejś petunii?

- Nie jakiejś petunii, Rich, tylko wielkiej, złej Petunii.

- A więc to twoja odpowiedź, ciociu? Najbardziej boisz się wielkiego, złego kwiatka?

Uśmiechnęłam się.

- Nie. Moja Petunia bardziej przypominała wielkiego, złego wilka. Ale już się jej nie boję.

- Dlaczego?

Spojrzałam na swojego przyszłego męża.

- Bo mam kogoś, kto pomoże mi ją pokonać.

Rich przyjrzał się nam i potrząsnął głową.

To dziwne - mruknął, po czym odwrócił kartkę. - Teraz twoja kolej, ciociu.

Sięgnęłam do kieszonki z odpowiedzią na pytanie: „Jak brzmi najlepsza rada, jakiej udzieliłbyś komuś innemu?”

- „Gdybym miał coś komuś radzić, powiedziałbym, żeby nie przejmował się radami, które nic mu nie dadzą”.

Rich pochylił się w moją stronę, podekscytowany:

- To Connie, prawda?

Przytaknęłam i czytałam dalej:

- „Ludzie zawsze mi mówią: »Bądź ostrożny«, ponieważ wydaje im się, że upadnę albo się skaleczę. Gdybym ich słuchał, nie zaznałbym wielu przyjemności! Mój trener na pływalni nigdy nie mówi, żebym był ostrożny. Powtarza: »Nie dowiesz się, póki nie spróbujesz«. Kiedy po raz pierwszy wszedłem do basenu, myślałem, że utonę, ale tak się nie stało, i potem czułem się wspaniale, jakbym był zdolny do wszystkiego! Gdybym wtedy zachował ostrożność, nigdy nie wypłynąłbym poza płytką wodę i nie zaznałbym tego wspaniałego uczucia. Warto więc pamiętać, że czasem ludzie udzielają rad, które mogą jedynie zaszkodzić. Decyzja, co jest dla ciebie dobre, a co złe, należy tylko do ciebie. Zawsze możesz powiedzieć innym, żeby się wypchali”.

- To dość dobra rada, prawda? - spytał Rich po chwili. - Pominąwszy ostatnie zdanie.

- To bardzo dobra rada - przyznałam.

Wyobraziłam sobie, jak Connie pisze te zdania drżącą ręką, z podniesioną głową, a przy ostatnich słowach promiennie się uśmiecha.

Zamierzam włożyć jego czapeczkę na wasz ślub oznajmił Kich, po czym spytał cicho: - Mogę? Czy świadek może się pokazać w czapeczce Conniego?

- Oczywiście - zapewnił go James. - To doskonały pomysł.

Zorganizowaliśmy wesołą wyprawę do wypożyczalni smoków. Wszyscy z wyjątkiem mnie paplali. Ja z ogromną przyjemnością wyglądałam przez okno, podziwiałam zmieniający się krajobraz i wyobrażałam sobie przedstawienie, którego premierę zapowiedzieliśmy na wrzesień (gdyby ktoś jeszcze się nie domyślił, będzie w nim sporo piosenek o miłości). Przypomniałam sobie obiecujące słowa kobiety z agencji szukającej rodzin dla osieroconych niemowląt z Ameryki Południowej i pomyślałam o ludziach, którzy za kilka dni przyjdą do kościoła na nasz ślub. Ostatnio zostałam członkiem parafii (oficjalnie podjęłam pewne zobowiązania, a nieoficjalnie czułam, że jest mi tam dobrze). Cieszyłam się na myśl o spotkaniu z rodzicami i przypomnieniu im o *Wielkiej tajemnicy*. Wiedziałam, że wszyscy znamy odpowiedzi na trudne pytania, a jeśli nie, zawsze możemy liczyć na pomoc najbliższych. Pomyślałam o babci Hjordis i dziadku Olem, o cioteczonym dziadku Carlu i jego żonie Tove. Miałam nadzieję, że oni też będą obecni na naszym ślubie. Jeśli tak, to na pewno zabiorą ze sobą Conrada, pod jednym wszakże warunkiem, postawionym przez cioteczną babcię Tove: „Żadnych przekleństw. W kościele nie wolno używać brzydkich wyrazów”.

Wyobrażałam sobie, jak Conradowi błyszczą oczy, gdy rozważa tę radę i zastanawia się, czy się do niej zastosować. Zamknąwszy oczy, podziękowałam w myślach chłopcu, który wiedział, kiedy warto być ostrożnym, a kiedy nie.